susan elizabeth Phillips

Moja Pierwsza Gwiazda

„Susan Elizabeth Phillips
nigdy nie zawodzi!
Każda z jej
energetyzujących,
lekkich powieści
to gwarancja
poprawy nastroju.”
„New York Times”

AMBER

susan elizabeth

Phillips

Moja Pierwsza Gwiazda

Przekład
Ewa Spirydowicz

AMBER

Redakcja stylistyczna
Jacek Złotnicki

Korekta
Hanna Lachowska
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Massonstock/Thinstockphoto

Tytuł oryginału
First Star I See Tonight

Copyright © Susan Elizabeth Phillips 2016.
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6107-2

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Pamięci Cathie Linz: miłośniczki kotów, Beatlesów, czerwonych butów, urodzin, bibliotekarzy, przyjaciół i dobrych książek. Jak śpiewał Paul, „Nasze wspomnienia sięgają dalej niż droga przed nami”. Dziękuję za entuzjazm i niekończące się wsparcie, którym obdarzałaś koleżanki i kolegów po piórze. A Twoim najbliższym – wielkie dzięki za to, że daliście nam De.

Rozdział 1

Miasto było jego. Cooper Graham był panem tego miasta, a wraz z nim – całego świata. Tak przynajmniej sobie powtarzał.

Ciemnowłosy kociak klęczał u jego stóp. Jej długie, ciemne włosy opadały mu na nagie udo.

– Żebyś o mnie nie zapomniał – zamruczała.

Końcówka flamastra łaskotała go w udo. Spojrzał z góry na dziewczynę.

– Jak mógłbym zapomnieć o tak pięknej kobiecie?

– Mam nadzieję, że nie zapomnisz. – Przypieczętowała pocałunkiem numer telefonu zapisany czarnym flamastrem. Wieki miną, zanim to z siebie zmyje, ale cenił swoich fanów i nie chciał sprawić jej przykrości.

– Chętnie bym z tobą dłużej pogadał – zapewnił grzecznie i pomógł jej wstać. – Ale muszę jeszcze pobiegać.

Nakryła dłońmi te miejsca na swoim ciele, których dotykał.

– Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Uśmiechnął się odruchowo i ruszył asfaltową ścieżką prowadzącą wzdłuż wybrzeża jeziora Michigan, z widokiem na fantastyczną panoramę Chicago. Jest najszczęśliwszym facetem na świecie, prawda? No jasne. Wszyscy chcą się z nim przyjaźnić, zwierzać, kochać. Nawet zagraniczni turyści wiedzą, kim jest. Berlin, Delhi, Osaka – nieważne. Coopera Grahama zna cały świat.

Po prawej mijał Burnham Harbor. Był wrzesień, więc żaglówki lada chwila znikną z jeziora, na razie jednak kołysały się na wodzie. Przyspieszył kroku. Upewnił się, że jego sportowe buty rytmicznie uderzają o bruk Lakefront Trail. Widział przed sobą podskakujący koński ogon jasnowłosej biegaczki. Umięśnione nogi. Fantastyczny tyłek. Zero wyzwania. Wyprzedził ją, nie przyspieszając kroku.

To był wspaniały dzień dla Coopera Grahama – ale który nie był? Wystarczy zapytać kogokolwiek. Stado mew nad Chicago z szacunkiem zatoczyło krąg nad jego głową. Potężne dęby wzdłuż alejki zaszumiały z wrażenia. Nawet klaksony taksówkarzy na Shore Drive dodawały mu otuchy. Kochał to miasto, a ono jego.

Facet przed nim był zbudowany jak sportowiec. I szybki.

Ale nie dość szybki.

Coop go wyprzedził. Facet nie wyglądał nawet na trzydziestkę. Coop miał trzydzieści siedem lat i mnóstwo kontuzji po długiej karierze w zawodowym sporcie, ale nie aż tyle, by pozwolił, żeby ktoś go wyprzedził. Cooper Graham został wyłowiony przez Houston z drużyny uniwersytetu stanowego w Oklahomie. Osiem sezonów w Miami Dolphins jako rozgrywający, a potem transfer do legendarnych Chicago Stars, drużyny, która dzięki niemu po trzech sezonach zdobyła upragnione pierścienie Super Bowl. Kiedy tylko wsunął sygnet z brylantem na palec, dokonał rozsądnego wyboru i odszedł – dopóki był na szczycie. I bardzo dobrze. Odszedł, zanim stał się jednym z tych żałosnych starych nieudaczników,

rozpaczliwie czepiających się dawnej chwały.

– Hej, Coop! – zawołał biegacz zbliżający się z przeciwnej strony. – W tym roku Starsom będzie cię brakowało!

Coop podniósł kciuk.

Trzy lata w drużynie Stars to najlepszy okres w jego życiu. Owszem, jego korzenie tkwią w polach Oklahomy, Miami pozwoliło mu dojrzeć, ale to Chicago rzuciło mu największe wyzwanie. A reszta to już historia sportu.

– Coop! – Śliczna brunetka biegnąca w jego kierunku o mało nie straciła równowagi, kiedy go poznała.

Posłał jej swój klasyczny uśmiech dla fanki.

– Cześć, skarbie. Super wyglądasz.

– Nie tak super jak ty!

Przez lata zaliczył wiele kontuzji, ale nadal był silny, miał szybki refleks i chęć zwycięstwa, dzięki której zwrócił na siebie uwagę jeszcze w czasie studiów, a z czasem ta uwaga tylko przybierała na sile. Fakt, odszedł ze sportu zawodowego, ale to nie znaczy, że całkiem się wycofał; nie, po prostu zmienił boisko i chciał podbić nowe terytorium.

Kolejny kilometr za nim. I jeszcze jeden. Wyprzedzali go tylko rowerzyści. Jego heroldzi, otwierający mu drogę w to wrześniowe popołudnie. Nikt nie był w stanie go dogonić – ani młodzi Turcy z budek z kebabami, ani wytatuowani chłopcy z mięśniami napompowanymi na siłowni.

Kończył piąty kilometr, kiedy ktoś go jednak wyprzedził. Młody, chyba student. Coop trochę zwolnił, ale teraz od razu przyspieszył. Nikt go nie pokona. Tak już jest i tyle.

Dzieciak zerknął na niego, zorientował się od razu, koło kogo biegnie, i oczy prawie wyszły mu z orbit. Coop skinął mu głową i przyspieszył, aż młody został w tyle. Staruszek? Dobre sobie.

Usłyszał kroki za sobą. Znowu ten gnojek. Zrównał się z Coopem, cholerny chwalipięta. Biegałem dzisiaj z Coopem Grahamem i dałem mu wycisk.

O nie, słodziutki.

Coop przyspieszył. Nie był jednym z tych dupków, którzy twierdzą, że sami zdobyli Super Bowl, ale miał świadomość, że bez niego Stars nie daliby rady, bo Coop najbardziej na świecie kochał zwyciężać.

I znowu ten dzieciak. Coraz bliżej. Chudy, z nogami jak zapałki i za długimi rękami. Młodszy o co najmniej piętnaście lat, ale Coop nie wierzył w żadne wymówki. Zebrał się w sobie. Jeśli ktoś twierdzi, że zwycięstwo nie jest najważniejsze, zalewa. Liczy się tylko wygrana; boleśnie przeżywał każdą klęskę. Ale choćby nie wiadomo jak bardzo go dotknęła, zawsze zachowywał się bez zarzutu; chwalił przeciwnika, śmiał się z siebie, nigdy nie obwiniał złych decyzji, niezdarnych kolegów z drużyny czy kontuzji. Bez względu na gorzkie myśli i jadowite słowa na końcu języka zawsze zachowywał pozory. Narzekanie tylko potęguje gorycz porażki. Ale, na Boga, nienawidził przegrywać. I dzisiaj nie da się pokonać.

Dzieciak biegł równym, długim krokiem. Za długim. Coop wiedział o bieganiu rzeczy, o których młodemu nawet się nie śniło, i dlatego powstrzymał odruch, by przyspieszyć. Nie jest przecież głupi. Głupi biegacze odnoszą kontuzje.

No dobra, jest głupi. Prawy piszczel płonął bólem, dyszał ciężko, chore biodro pulsowało. Umysł podpowiadał, że nie musi nikomu niczego udowadniać, ale nie mógł pozwolić, żeby dzieciak go wyprzedził. Nie potrafił.

Trucht przeszedł w sprint. Przez całą karierę grał mimo bólu i teraz też mu nie ulegnie. Nie w pierwszym wrześniu nie na boisku, gdy jego kumple z drużyny pocą się na treningach przed kolejnym niedzielnym meczem. Nie będzie jak inni byli sportowcy, którym wystarcza wydawanie zarobionych pieniędzy i leniwe tycie.

Osiem kilometrów. Lincoln Park. Znowu biegli ramię w ramię. Płuca mu płonęły, biodro dawało się we znaki, łydki piekły niemiłosiernie. Popękane piszczele, tak się to fachowo nazywa, a boli jak diabli.

Dzieciak został w tyle. Dogonił go. Został w tyle. Znowu go dogonił. Mówił coś. Coop nie słuchał. Ignorował ból, jak zawsze. Koncentrował się na ruchach nóg, na chwytaniu kolejnego haustu powietrza. Na zwycięstwie.

– Coop! Panie Graham!

Co, do cholery?

– Mogę… sobie… zrobić… z panem… zdjęcie? – wysapał dzieciak. – Dla… ojca?

Co? Chodziło mu tylko o fotkę? Coop ociekał potem. Płuca stały mu w ogniu. Zwolnił, dzieciak też, aż w końcu obaj stanęli. Coop najchętniej zwinąłby się w kłębek i osunął na ziemię, ale dzieciak stał i Coop prędzej strzeliłby sobie w łeb.

Po szyi skurczybyka spływała kropelka potu.

– Nie chciałem przerywać panu treningu… ale mój ojciec byłby zachwycony.

Dzieciak nie dyszał tak bardzo jak Coop, ale po piętnastu latach w NFL Coop zdobył się na uśmiech.

– Jasne. Nie ma sprawy.

Młody wyciągnął komórkę, majstrował coś przy niej i cały czas paplał, jak to on i jego ojciec są wielkimi fanami Coopa. Coop tymczasem starał się oddychać. Okazało się, że młody uprawia sprint, więc humor mu się trochę poprawił. Fakt, przez kilka dni będzie musiał robić sobie okłady z lodu na biodro, ale co z tego? Zwycięstwo to jego prawo.

Mimo wszystko to jednak wspaniały dzień w życiu Coopera Grahama.

Gdyby nie jedna upierdliwa kobieta.

Zobaczył ją koło muzeum, kiedy podjechał taksówką po swój samochód. I proszę bardzo, siedziała na ławce i udawała, że czyta książkę.

Wczoraj wyglądała jak bezdomna z potarganymi siwymi włosami. Dzisiaj miała na sobie czarne legginsy, szorty i bluzę i wyglądała jak studentka sztuki. Nie widział stąd jej samochodu, ale był gotów się założyć, że jest gdzieś w pobliżu. Gdyby w ciągu ostatnich czterech dni nie widywał zbyt często ciemnozielonego hyundaia sonaty ze zbitym reflektorem, nie domyśliłby się, że ktoś go śledzi. Miał tego dość.

Już szedł w jej stronę, ale wtedy podjechał autobus. Chyba coś wyczuła, bo wsiadła do niego i stracił okazję. Niespecjalnie się tym przejął, bo domyślał się, że jeszcze ją zobaczy.

I tak właśnie było. Dwa dni później.

Piper przeszła przez jezdnię i zbliżyła się do wejścia do Spiral, nocnego klubu, który Cooper Graham otworzył w lipcu, pół roku po tym, jak odszedł z Chicago Stars. Wrześniowa bryza omiatała jej gołe nogi, podwiewała skraj króciutkiej czarnej sukienki, pod którą miała chyba przedostatnie czyste majteczki. Wcześniej czy później będzie musiała zrobić pranie, ale w tej chwili liczyło się tylko jedno – obserwowanie każdego kroku Coopera Grahama.

Głowa ją swędziała, bo ukryła swoje krótkie włosy pod długą peruką, którą znalazła na wyprzedaży. Miała nadzieję, że włosy, w połączeniu z wydekoltowaną sukienką, kocimi kreskami na oczach, czerwoną szminką i stanikiem push-up, sprawią, że prymityw przy drzwiach, uchodzący w Spiral za selekcjonera, w końcu wpuści ją do środka. Już dwukrotnie próbowała i za każdym razem poniosła klęskę.

Na bramce stał ten sam koleś. Wyglądał jak dziewiętnastowieczna torpeda: gruba głowica, potężny korpus, stopy jak płetwy. Za pierwszym razem burknął pogardliwie, że nie wejdzie, choć jednocześnie wpuścił do środka dwie blondynki. Oczywiście zaprotestowała.

– Co to ma znaczyć: nie ma miejsc? One weszły!

Zmierzył małymi oczkami jej króciutkie ciemne włosy, najlepszą białą bluzkę i dżinsy.

– Jak powiedziałem.

Tak było w zeszłą sobotę. Poza Spiral Piper nie mogła wykonywać swojej pracy, a ponieważ klub jest

otwarty tylko cztery dni w tygodniu, dopiero wczoraj miała okazję spróbować ponownie. Uczesała się starannie i włożyła spódniczkę i bluzkę, ale i tak nie zrobiła na nim wrażenia, więc musiała postarać się bardziej. Kupiła sukienkę w H&M, zamieniła ukochane buty na mordercze szpilki i pożyczyła od Jen, swojej przyjaciółki, wieczorową torebeczkę. Mieściła się w niej tylko komórka, podrobione prawo jazdy i kilka banknotów dwudziestodolarowych. Inne rzeczy – wszystko, co zdradzałoby jej tożsamość jako Piper Dove – leżało bezpiecznie w bagażniku jej samochodu: laptop, torba z przebraniami, pełna kapeluszy, okularów przeciwsłonecznych, kurtek i szali, i obsceniczny przyrząd znany jako Tinkle Belle, dzięki któremu mogła niepostrzeżenie, bez wysiadania z samochodu, załatwiać potrzeby fizjologiczne.

Spiral, klub nazwany na cześć słynnych podkręcanych rzutów Coopera Grahama, to najnowsze miejsce na imprezowej mapie Chicago. Przy aksamitnej linie oddzielającej wejście oczywiście już zdążyła ustawić się kolejka. Zbliżając się do torpedy, wstrzymała oddech, ściągnęła ramiona, wypchnęła piersi do przodu.

– Macie dzisiaj spory ruch, mój drogi – zagaiła z brytyjskim akcentem, który ostatnio ćwiczyła.

Torpeda zwrócił uwagę na jej piersi i twarz, potem opuścił głowę i popatrzył na jej nogi. Co za świnia. Super. Przechyliła głowę i odsłoniła w uśmiechu białe zęby, na które jej ojciec wydawał tysiące dolarów, odkąd skończyła dwanaście lat, choć zaklinała go, żeby raczej kupił jej konia. Teraz, gdy miała trzydzieści trzy lata, nadal uważała, że koń byłby lepszym pomysłem.

– Nie do wiary, jacy wy, Amerykanie, jesteście wielcy. – Koniuszkiem palca wskazującego poprawiła okulary w oprawkach retro, które w ostatniej chwili dodała do przebrania, żeby zmienić się jeszcze bardziej.

Napuszył się.

– Ćwiczę.

– To… to jasne. – Najchętniej udusiłaby kretyna jego firmową smyczą z logo Spiral.

Wpuścił ją do luksusowego wnętrza utrzymanego w brązie i czerni.

Nigdy nie przepadała za sceną klubową, nawet jako dwudziestolatka. Ta sztuczna radość sprawiała, że czuła się wyobcowana, oddalona. Ale dzisiaj to jej praca, a Spiral, klub należący do supergwiazdy, to coś więcej niż zwykła dyskoteka. Dwa poziomy oznaczały z jednej strony dość miejsca do tańca, z drugiej – dawały możliwość rozmów i flirtowania bez konieczności przekrzykiwania muzyki. Czwartkowy tłum już wypełniał całe wnętrze; goście siedzieli na poręcznych sofach obitych skórą, przy małych, kwadratowych, dyskretnie oświetlonych stolikach. Didżej grał dzisiaj z konsoli nad parkietem, na którym plamy światła zlewały się i zmieniały jak napalone ameby.

Kupiła jedynego drinka, na jakiego mogła sobie dzisiaj pozwolić, sprite'a za sześć dolarów. Nad kontuarem listwy LED splatały się jak złote UFO. Przez dłuższą chwilę przyglądała się barmanom, a potem znalazła sobie spokojny kącik między brązowymi kandelabrami, żeby obserwować właściciela, kiedy tylko się pojawi.

Chudzielec z nawoskowanymi włosami i butelką miller lite podszedł do niej i zasłonił widok.

– Czy bardzo bolało, jak spadałaś z nieba?

– Sam spadaj.

Zrobiło mu się bardzo przykro.

– Poczekaj – westchnęła.

Na jego twarzy malowała się żałosna wręcz nadzieja. Poprawiła okulary na nosie i dodała już grzeczniej:

– Słuchaj, te teksty z Internetu są straszne. Lepiej na tym wyjdziesz, mówiąc po prostu „cześć".

– Oszalałaś?

– To tylko taka uwaga.

Skrzywił się złośliwie.

– Ty suko.

Tyle, jeśli chodzi o starania, żeby być miłą.

Koleś oddalił się w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy, a Piper upiła łyk sprite'a. Torpeda wrócił na pozycję bramkarza. Podrywanie długonogich blondynek to chyba jego specjalność.

VIP room mieścił się na antresoli. Spojrzała w górę, wypatrując swojej ofiary, lecz nie dostrzegła go wśród gości przy brązowej barierce. Musiałaby dostać się na górę, ale przy schodach czatował inny ochroniarz, blond buldog, którego zadaniem było nie wpuszczać byle kogo na pięterko. Byle kogo, czyli także jej, niestety. Wściekła, przebiła się przez tłum na drugą stronę klubu. I wtedy go zobaczyła.

Nawet w zatłoczonym klubie Cooper Graham wyróżniał się jak reflektor w fabryce świec. Był idiotycznie męski. Idiotycznie. Był Świętym Graalem męskości. Gęste włosy koloru przypalonej grzanki polanej miodem. Kwadratowa szczęka, szerokie ramiona i dołek w podbródku – taki banał, że powinien się wstydzić. Miał na sobie swój klasyczny strój – koszula, dżinsy, kowbojki. W przypadku większości facetów kowbojki w Chicago to pewna przesada, ale on urodził się i wychował na ranczu. Mimo wszystko nie podobały jej się ani jego buty, ani wyrastające z nich długie, umięśnione nogi, ani – bo od dziecka kibicowała Chicago Bears – drużyna, w której dawniej grał. Piper musiała ciężko pracować na każdego centa, w przeciwieństwie do tego aroganckiego, niepotrzebnie uprzywilejowanego byłego rozgrywającego Chicago Stars i stadka zapatrzonych w niego aktoreczek.

Śledziła go od prawie tygodnia. Ilekroć klub był otwarty, Cooper zjawiał się w pracy, nie sądziła jednak, by ten trend długo się utrzymał. Celebryci zazwyczaj załamywali się pod ciężarem prawdziwej roboty.

Graham robił obowiązkową rundkę – klepał mężczyzn po plecach, flirtował z kobietami, które tłoczyły się wokół niego jak samoloty na pasach startowych lotniska O'Hare. Niechętnie krytykowała przedstawicielki własnej płci, ale teraz to jej praca, a żadna z nich nie wyglądała jak przyszła pani prezes – za dużo zarzucania włosami, trzepotania rzęsami i prężenia biustów. Kiedy je obserwowała, po raz kolejny dziękowała losowi, że w tej chwili nie chce się z nikim wiązać. Zależało jej tylko na pracy.

Tłumek wokół Grahama gęstniał. Szukała ochroniarzy, ale jedyni, których widziała, byli zajęci rozmowami z kobietami. Na razie, nikt jeszcze nie zatrudnił jej do ochrony, a miała za sobą długi kurs i widziała, że w przypadku Grahama brak zabezpieczeń był rażący, choć dzięki temu będzie się mogła bardziej do niego zbliżyć.

Graham był rozluźniony mimo tłumu. Widziała, jak przeczesuje wzrokiem gości, jakby czekał na okazję do dobrego podania. Zerknął w jej stronę i zaraz uciekł wzrokiem.

Tłum wokół niego gęstniał niebezpiecznie. Jakimś cudem udało mu się wyrwać i uciec na schody, w stronę VIP roomu. Doprowadzało ją do szału, że nie może za nim iść, skoro już wdarła się do wnętrza klubu.

Przecisnęła się do łazienki, ale usłyszała jedynie nudne plotki o tej, której jakoby udało się dotrzeć do łoża w gabinecie Grahama, podobno przykrytego futrzaną narzutą. Kiedy wychodziła, poczuła dłoń na ramieniu. Torpeda.

Tak jak inni bramkarze, miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę, chyba szytą na zamówienie, żeby pomieściła potężny kark byłego piłkarza.

– Proszę ze mną.

Z wyjątkiem chudzielca z miller lite, któremu udzieliła rady damsko-męskiej, nie zrobiła nic, czym mogłaby zwrócić na siebie uwagę, i bardzo jej się to nie spodobało. Odwróciła się na niewygodnych obcasach i odezwała z brytyjskim akcentem:

– O mój Boże! Ale dlaczego?

– Sprawdzamy dowody.

– Ojejku! Przecież pokazywałam przy wejściu! Bardzo mi miło, ale naprawdę mam już trzydzieści trzy lata.

– Rutynowa kontrola.

Żadna rutynowa kontrola. Coś było nie tak. Już miała odmówić bardziej stanowczo, kiedy skinął głową w kierunku schodów, tym samym dając jej niespodziewanie szansę, by zbliżyć się do VIP roomu. Posłała mu promienny uśmiech.

– A więc dobrze. Załatwmy to jak najszybciej.

Sapnął.

Już widziała brązowe kolumny przy wejściu do VIP roomu na antresoli, ale zanim do nich doszli, złapał ją za ramię i wepchnął do pomieszczenia po lewej stronie.

Był to ciasny kantorek. Drewniane okiennice zasłaniały dolne części okien. Telewizor zawieszony na ścianie pokazywał bezgłośnie kanał ESPN. Na biurku stojącym naprzeciwko dwuosobowej sofy leżał iMac, a nad nim, na ścianie, wisiała oprawiona jak obraz koszulka Chicago Stars z nazwiskiem Coopera Grahama. Złoto-niebieskie logo Starsów zawsze wydawało jej się dziewczyńskie i głupie w porównaniu z poważnym, sensownym logo jej ukochanych Chicago Bears.

– Proszę tu poczekać. – Drań wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Od VIP roomu dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Policzyła do dwudziestu i wyciągnęła rękę do klamki.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Zachwiała się i do tego stopnia skoncentrowała na odzyskaniu równowagi, że w pierwszej chwili nie zorientowała się, kto wszedł do środka. A potem z wrażenia zaszumiało jej w uszach.

Cooper Graham we własnej osobie.

Czuła się, jakby trafił ją grom z jasnego nieba, i była na siebie wściekła. Śledziła go już od sześciu dni i powinna być na to lepiej przygotowana. Ale co innego widzieć go z daleka, a zupełnie co innego – z odległości trzech metrów.

Pochłaniał całe powietrze w pomieszczeniu. Po kumpelskim uśmiechu, którym obdarzał gości, nie było śladu. Taki wyraz twarzy miał dawniej na boisku. Jedno było pewne. Jeśli Graham Cooper chce z nią rozmawiać, nie chodzi o dokumenty.

W myślach analizowała wszelkie możliwe powody, dla których ją zatrzymano. Żaden się jej nie podobał. Powtarzała sobie jednak, że nie tylko Graham wie, jak zwodzić przeciwnika. Tyle że ona, w przeciwieństwie do niego, miała wszystko do stracenia.

Choć serce waliło jej tak bardzo, że bała się, że to zauważy, starała się wyglądać tak, jakby to była najwspanialsza chwila w jej życiu.

– Cudownie! Jestem pod wrażeniem, szczerze mówiąc.

Mierzył ją bystrym spojrzeniem oczu o ton ciemniejszych niż włosy. Widział jej perukę, sztucznie uniesione piersi i niezłe nogi. Nie była pięknością, ale też nie paskudą i gdyby miała w sobie choćby odrobinę próżności, jego wyraźna pogarda zabolałaby ją dotkliwie. Ale nie miała, więc nie zabolała.

Wbiła obcasy w wykładzinę. On tymczasem wszedł głębiej do pomieszczenia. Gęste brązowe włosy były zmierzwione. Nie modnie potargane – naprawdę zmierzwione, jak u faceta, który nie zawraca sobie głowy strzyżeniem co dwa miesiące i nie ma w łazience półki uginającej się od kosmetyków.

Spokojnie. Skoncentruj się.

Bez słowa ostrzeżenia wyrwał jej torebkę. Syknęła gniewnie.

– O choroba! – krzyknęła o ułamek sekundy za późno.

Wpatrywała się w jego wielkie dłonie – dwadzieścia pięć centymetrów od kciuka do małego palca. Wiedziała to, bo przygotowała się solidnie. Wiedziała też, że te wielkie dłonie zaliczyły ponad trzysta przyłożeń. I te same dłonie w tej chwili wyjmowały z torebki jej podrobioną zieloną kartę.

– Esmerelda Crocker?

Dobry prywatny detektyw musi umieć improwizować; im więcej poda szczegółów, tym bardziej będzie przekonująca.

– Wszyscy mówią do mnie Esme. Lady Esme. Esmerelda to imię rodowe.

– Coś takiego. – Komentarz spłynął z jego ust jak głęboka woda po spalonej prerii Oklahomy.

Pokręciła niespokojnie głową.

– Przekazywane z pokolenia na pokolenie, na cześć drugiej żony piątego earla Conundrum. Biedulka zmarła w połogu.

– Wyrazy współczucia. – Ponownie zajrzał do środka. – Żadnych kart kredytowych?

– Są bardzo prostackie, nie uważasz?

– Pieniądze nigdy nie są prostackie – stwierdził przeciągle.

– Jakie to amerykańskie.

Dalej buszował w jej torebce, co nie zajęło mu dużo czasu, bo portfel zostawiła w samochodzie – a w nim nowiutką licencję prywatnego detektywa i pół tuzina wizytówek.

Agencja Detektywistyczna DOVE
Rok zał. 1958
Prawda przynosi pokój

Na pierwszych napis brzmiał: „Prawda przynosi pokuj”. Dziadek był może świetnym detektywem, ale z ortografią był na bakier.

Graham pachniał sławą i pieniędzmi. Nie, żeby znała dobrze te zapachy, ale coś takiego poznajesz, kiedy to czujesz, tak samo jak wiedziała, że przyszłość jej firmy zależy od jej kolejnego kroku. Wciągnęła tych kilka atomów tlenu, których nie spaliła jego bliskość.

– Nie, żeby mi jakoś szczególnie przeszkadzało, że buszujesz w mojej torebce, ale czego właściwie tam szukasz?

Oddał jej torebkę.

– Czegoś, co wytłumaczy, dlaczego mnie śledzisz.

A tak bardzo się starała! Myślała gorączkowo. Co ją zdradziło? Jaki idiotyczny błąd pogrążył jej szanse? Tyle pracy na darmo – spała w samochodzie, odżywiała się sieciowym jedzeniem, sikała do Tinkle Belle, a co najgorsze, odkupiła Agencję Detektywistyczną Dove od wrednej, kłamliwej macochy. Agencja Detektywistyczna Dove – firma, którą założył jej dziadek, a ojciec rozwinął i która należała jej się od urodzenia, gdyby ojciec nie był tak cholernie uparty. Całe jej poświęcenie pójdzie na marne. Będzie musiała wrócić do ciasnego biura, i to ze świadomością, że pokonał ją rozpuszczony mięśniak pokroju Coopera Grahama.

Żółć podeszła jej do gardła. Zmarszczyła czoło w udawanym zdziwieniu.

– Śledzę cię?

Stał na tle oprawionej koszulki Chicago Stars wiszącej na ścianie za jego plecami. W niebieskiej koszuli jego i tak imponujące ramiona wydawały się jeszcze szersze. Podwinięte rękawy odsłaniały umięśnione ręce. Ciemne dżinsy – w sam raz, ani za luźne, ani za obcisłe – uwydatniały długie, silne nogi, które Bóg zaprojektował tak, by były mocne i szybkie, na nieszczęście Chicago Bears.

Miał wzrok ponury jak zima w Illinois.

– Widziałem cię pod moim mieszkaniem, siłownią, a teraz tutaj. Chcę wiedzieć dlaczego.

A jej się wydawało, że była taka przebiegła i kreatywna w kwestii maskowania. Jakim cudem ją przejrzał? Nie ma sensu zaprzeczać. Osunęła się na kanapę i myślała gorączkowo.

Czekał. Skrzyżował ręce na piersi. Stał za linią boiska i czekał, aż obrona przeciwnika legnie w gruzach.

– Cóż… – Przełknęła ślinę. Spojrzała na niego. – Bo widzisz… – Głośno wypuściła powietrze z płuc. – Jestem twoją stalkerką.

– Stalkerką?

Poczuła przypływ adrenaliny. Nie podda się bez walki. Poderwała się z kanapy.

– Ale nie niebezpieczną, na miłość boską. Tylko troszkę walniętą.

– Na moim punkcie. – Nie pytanie, stwierdzenie faktu. To nie jego pierwszy raz.

– Nie mam w zwyczaju śledzić wszystkich. Sytuacja… wymknęła mi się spod kontroli. – Nie miała pojęcia, jakim cudem ta taktyka miała jej w czymkolwiek pomóc, ale dzielnie brnęła dalej. – Nie jestem totalnie rąbnięta, wiesz, tylko trochę… niezrównoważona.

Przechylił głowę. Cóż, przynajmniej jej słuchał. Właściwie czemu nie? Wariaci zawsze są fascynujący.

– Zapewniam cię, jestem tylko trochę szurnięta – dodała szybko. – I całkiem nieszkodliwa. Nie musisz się obawiać przemocy z mojej strony.

– Tyle tylko, że mam stalkerkę.

– Chyba nie pierwszą, ośmielę się zauważyć. Facet twojego pokroju… – urwała, nie chcąc się zakrztusić. – Boski…

Pochlebstwo bynajmniej nie sprawiło, że z jego oczu zniknął twardy błysk.

– Nie chcę cię więcej widzieć koło siebie, jasne?

Jasne, a jakże. Koniec. Finito. Ale nie mogła poddać się bez walki.

– To niestety nie jest możliwe… Dopóki nowe leki nie zaczną działać.

Kiedy zacisnął usta w wąską kreskę, dołek w jego podbródku pogłębił się.

– To, co robisz, jest wbrew prawu.

– Że już nie wspomnę, że także krępujące. Nie masz pojęcia, jaki to wstyd. Nic nie boli tak bardzo jak… nieodwzajemniona miłość. – Ostatnie słowa wychrypiała z trudem, bo wszystko w nim budziło jej sprzeciw. Postawa, uroda, ale przede wszystkim arogancja – skutek tego, że ludzie od dzieciństwa całowali go w tyłek tylko dlatego, że urodził się utalentowany.

Nie okazał jej nawet cienia sympatii.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek cię tu zobaczę, wezwę policję.

– Ro… rozumiem. – Już po niej. Właściwie od początku to była beznadziejna sprawa. Chyba że… Skinęła głową z udawanym współczuciem. – Rozumiem, że musi ci z tym być bardzo ciężko.

Ledwo zauważalnie odchylił się do tyłu na obcasach kowbojskich butów.

– Nie tak bym to nazwał.

– Bzdura! – Może jednak znalazła rysę w jego męskiej zbroi. – Boisz się, że nieoczekiwanie rzucę się na ciebie, kiedy będziesz szedł ulicą. Że będę miała w dłoni jeden z tych idiotycznych pistoletów, które wy Amerykanie nosicie ze sobą równie chętnie, jak żujecie gumę. – Takich jak glock w jej bagażniku. – Nigdy bym tego nie zrobiła. Na miłość boską, skądże znowu! No tak, ale nie wiesz tego na pewno i jak byś się bronił w takiej sytuacji?

– Chyba dałbym sobie z tobą radę – odparł sucho.

Udało jej się zrobić zdziwioną minę.

– Skoro tak, co ci przeszkadza, że taka nieszkodliwa wariatka jak ja czasami cię śledzi?

Już nie był taki wyluzowany.

– Bo mi się to nie podoba.

Usiłowała wydać się zarazem troskliwa i zachwycona.

– Tak bardzo się boisz.

– Nie mów tak!

– Rozumiem. To musi być dla ciebie straszny dylemat.

W jego oczach pojawiły się groźne złote błyski.

– Żaden dylemat. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Brnęła dalej.

– Cóż, jak już wspominałam, to nie takie proste, dopóki moje leki nie zaczną działać. Lekarze mówią, że to już niedługo. Ale na razie, jestem bezradna. Może jakiś kompromis?

– Nie ma mowy.

– Najwyżej tydzień. W tym czasie po prostu udawaj, że mnie nie ma, jeśli znowu mnie gdzieś

zauważysz. – Zatarła dłonie. – I po sprawie.

Nie kupił tego. Nic dziwnego.

– Poważnie mówiłem o policji.

Załamała ręce z nadzieją, że nie wygląda to tak teatralnie, jak się jej wydawało.

– Słyszałam straszne rzeczy o chicagowskich więzieniach…

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś mnie nękać.

Może to efekt wielu nieprzespanych nocy, a może nadmiaru cukru w jej krwi od śmieciowego jedzenia, przede wszystkim jednak strach, że straci wszystko, na co tak ciężko pracowała. Pochyliła głowę, zdjęła okulary i pocierała suche oczy rękami, jakby płakała, choć tego nie robiła nigdy, bez względu na to, jak straszne rzeczy się działy.

– Nie chcę iść do więzienia – chlipnęła. – W życiu nie dostałam nawet mandatu. – To akurat kłamstwo, ale jest świetnym kierowcą, a ograniczenia prędkości na autostradzie są chyba dla debili. – Co mi tam zrobią?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Mimo ostrych słów wyczuła wahanie i od razu ruszyła tym tropem.

– W takim razie może zadzwoń od razu, bo choćbym nie wiem jak się starała, nie zdołam nad sobą zapanować.

– Nawet tak nie mów.

Czyżby był minimalnie poruszony? Po mistrzowsku pociągnęła nosem i otarła oczy palcem wskazującym.

– Doprawdy nikomu nie życzę tak bolesnej miłości.

– To nie miłość – poprawił z niesmakiem. – To obłęd.

– Tak, wiem. To bzdura. – Otarła suchy nos wierzchem dłoni. – Jak możesz kochać kogoś, kogo dopiero co poznajesz?

– Nie możesz.

Dopóki jej nie wyrzuci, nie zamierzała dawać za wygraną.

– A nie mógłbyś spróbować? Tak przez tydzień, dopóki dzięki nowym tabletkom nie odzyskam rozumu?

– Nie.

– No oczywiście, tak myślałam. I naprawdę chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie zniosłabym myśli, że kulisz się ze strachu, że boisz się wyjść z domu w obawie, że mnie zobaczysz.

– Nie kulę się…

– Myślę, że jakoś sobie poradzę w więzieniu. Jak sądzisz, na ile mnie wsadzą? Czy mogłabym liczyć, że… Zresztą nieważne. Nie mogłabym cię prosić, żebyś odwiedzał mnie w więzieniu.

– Zupełnie oszalałaś.

– Fakt. Ale jestem niegroźna. I pamiętaj, to tylko chwilowe. – Dotarła już tak daleko. Równie dobrze może iść na całość. – Gdybym ci się podobała… Ale tak nie jest, prawda?

– Nie!

Jego wybuch wyraźnie ją uspokoił.

– W takim razie nie zaproponuję, że… zadowolę cię seksualnie. – Fuj! Kiedy będzie po wszystkim, chyba wyszoruje sobie usta mydłem.

– Lecz się – warknął.

Podszedł do drzwi i zawołał swojego pomagiera. Chwilę później znalazła się na ulicy.

I co teraz?

Rozdział 2

Cooper poznał w życiu wielu świrów, ale ta wariatka miała tak nierówno pod sufitem, że jej głowie przydałby się generalny remont. Chociaż jedno trzeba jej przyznać – waliła prosto z mostu. Obnosiła swoje szaleństwo na widoku, proszę bardzo, kto chce, niech widzi.

Powinien wrócić na dół, do klubu, ale został za biurkiem. Po dwóch miesiącach gabinet nadal pachniał dziwnie. Nie gumą i potem, nie środkami przeciwbólowymi i chlorem z jacuzzi. Nie, pachniał papierem i farbą, nową tapicerką i tuszem do drukarki. Jednak bez względu na to, jak bardzo brakowało mu znajomych zapachów, nie chciał kurczowo czepiać się przeszłości. Klub Spiral to znak dla świata, że Cooper Graham nie będzie kolejnym żałosnym byłym sportowcem, którego nie stać na nic więcej niż stanowisko komentatora sportowego opowiadającego o meczach, w których sam nie może już uczestniczyć. Scena klubowa to dla niego nowe terytorium, a Spiral to dopiero początek. Chciał stworzyć imperium. I podobnie jak w sporcie, klęska nie wchodziła w grę.

Pochylił się nad komputerem i wpisał w wyszukiwarkę Google: Esmerelda Crocker. Z zielonej karty zapamiętał, że ma trzydzieści trzy lata, ale wyglądała o wiele młodziej. Przeglądał kolejne strony i wreszcie znalazł ją na liście absolwentów londyńskiego Middlesex University. Nic więcej. Ani jednej fotografii tych wariacko szerokich ust, silnie zarysowanego podbródka i przede wszystkim tych oczu barwy jagodowego dżemu – oczu, które zaklinały, żeby wraz z nią wyruszył w podróż przez świat obłędu.

Gdyby nie był tak cholernie wściekły, roześmiałby się, słysząc jej propozycję, że go „zadowoli seksualnie". W jego życiu było dość szaleństwa. A poza tym, po ośmiu latach stałej obecności w brukowcach, chwilowo robił sobie przerwę od kobiet.

Nie chciał popaść w kolejny stereotyp – jeszcze jeden rozgrywający w łóżku z hollywoodzką ślicznotką. I może by mu się udało, gdyby poprzestał na jednej. Ale kiedy pierwszy związek rozpadł się przez zbyt napięte grafiki, brak prywatności i wątpliwą wierność, poznał następną piękną aktorkę. A potem jeszcze jedną. I jeszcze jedną.

Trzeba przyznać, że wszystkie cztery były nie tylko piękne, ale i mądre. Podobały mu się bystre kobiety sukcesu o olśniewającej urodzie, zresztą komu nie? A dzięki karierze sportowej miał dostęp do crème de la crème. Teraz jednak całkowicie pochłaniał go nowy pomysł – imperium klubowe. Kobiety oznaczają zbyt wielki dramat, za dużo uwagi mediów, za dużo perfum. Gdyby był panem świata, zakazałby tego świństwa. Kobieta powinna pachnieć jak kobieta.

Esmerelda nie używała perfum. Ciekawe, jakie naprawdę ma włosy? Do tego intrygująca twarz i świetne nogi. A jednak przez to zamieszanie swędział go kark, tak samo jak tuż przed zwodem.

Piper zdjęła perukę. Wracała do domu z klubu Spiral, a w jej głowie wirowały kolejne plany, jeden bardziej szalony od drugiego. Nowe podejście. Lepsze przebranie. Ale nie, szybko ją przejrzy. Jeśli zaraz

czegoś nie wymyśli, znajdzie się na najlepszej drodze z powrotem do pracy za biurkiem, przy komputerze. Nawet nie chciała o tym myśleć. Poprzednia praca – specjalistki strategii internetowych w firmie sprzedającej części samochodowe – początkowo jej się podobała, ale po dwóch latach pojawiła się nuda, a po pięciu marzyła o inwazji zombi.

Ojciec pozbawił ją kariery, która była jej pisana – pracy u jego boku w Agencji Detektywistycznej Dove – a nawet szans na pracę w konkurencyjnych firmach, dopilnował, żeby do tego nie doszło. Znali go wszyscy, a Duke Dove nie owijał w bawełnę: „Każdy, kto da mojej córce zlecenie inne niż praca przy komputerze, będzie miał ze mną do czynienia”.

Tylko że teraz Duke nie żył, a ona została właścicielką firmy, której chciał ją pozbawić. Firmy, za którą przepłaciła macosze tylko po to, by się przekonać, że lista klientów Duke’a żałośnie się skurczyła, a księgowość w wykonaniu macochy była jeśli nie kreatywna, to, delikatnie mówiąc, dość swobodna. Piper kupiła nazwę i niewiele ponad to, ale ta nazwa była bliska jej sercu i nie chciała poddać się bez walki na śmierć i życie.

Zanim zasnęła, podjęła decyzję. Będzie się trzymała walniętej Esmereldy Crocker i oby coś z tego wyszło.

Następnego ranka umyła się, włożyła dżinsy i koszulkę i przeczesała krótkie włosy palcami – peruka nie będzie jej potrzebna. Napiła się kawy, zjadła kawałek pizzy sprzed trzech dni i wyszła z mieszkania na drugim piętrze budynku w dzielnicy Andersonville. Już wkrótce nie będzie jej na nie stać. Wsiadając do samochodu, do którego zdążyła już wrzucić torbę i wstawić przenośny kubek z kawą, rozważała, czy tego wieczoru skończy w więzieniu. Była gotowa zaryzykować.

Graham zajmował dwupiętrowy apartament w dawnym seminarium w dzielnicy Lakeview, przy ocienionej drzewami uliczce. Nie była to najdroższa dzielnica Chicago, ale na pewno jedna z lepszych, pełna sklepów, modnych knajpek, z dostępem do jeziora i Wrigley Field. Wcisnęła swój samochodzik w wąskie miejsce do parkowania naprzeciwko mikroskopijnego parku, wbiła zęby w pizzę, upiła łyk kawy. Czasy porannych wizyt w Starbucksie to już przeszłość.

Bawiła się kosmykiem swoich prawdziwych włosów, krótkich, niestarannie ostrzyżonych, kasztanowych – tego samego koloru, jak zapewniał Duke, co włosy jej mamy, zanim padła ofiarą mordercy w napadzie rabunkowym. Piper, która miała wtedy cztery lata, prawie jej nie pamiętała. Ale brutalna śmierć matki wywarła ogromny wpływ na to, jak Duke wychowywał córkę.

Chciał, żeby była twarda. Zapisywał ją na kolejne kursy samoobrony i sam uczył wszystkich sztuczek, jakie poznał przez lata pracy. Powtarzał, żeby musi być silna, i nawet kiedy była mała, karcił ją za łzy. Nagrodą za twardość była nauka strzelania i wypady na mecze, wieczory w knajpie za rogiem i jego śmiech, gdy klęła. Ale żadnych łez. Żadnego narzekania. I żadnych odwiedzin u rówieśników, dopóki nie sprawdził rodziny.

Na tym polegał paradoks jej wychowania. Z jednej strony chciał, żeby była silna, z drugiej był przerażająco nadopiekuńczy – co okazało się nieustającym źródłem konfliktów między nimi, gdy zaczęła dorastać, a on stanął okoniem między nią a jej ambicjami. Wychował ją na twardzielkę, a potem usiłował owinąć w bibułkę.

Zawinęła resztki pizzy w papier i wcisnęła do przepełnionej torby ze śmieciami przy tablicy rozdzielczej. Wiele razy błagała ojca, żeby pozwolił jej z nim pracować, ale zawsze odmawiał.

– To nie jest robota dla kobiety. Nie po to wydałem majątek na twoje wykształcenie, żebyś siedziała godzinami na czatach i fotografowała jakiegoś dupka, który zdradza żonę.

Poczuła bolesny ucisk w gardle. Brakowało jej ojca. Dziwaczne połączenie szorstkości i opiekuńczości stanowiło niekończące się źródło awantur, sprawiało, że czuła się niewystarczająco dobra. Nigdy jednak nie wątpiła, że Duke ją kocha, i cały czas spodziewała się, że usłyszy jego głos w słuchawce, upominający, żeby nie włóczyła się sama po mieście po nocy albo nie wsiadała do taksówki, zanim nie sprawdzi, czy kierowca ma ważną licencję.

Doprowadzałeś mnie do szału, tato, ale bardzo cię kochałam.

Zmusiła się, żeby przełknąć łyk kawy przez ściśnięte gardło, i starała się skoncentrować na tyle, żeby przepisać do laptopa wczorajsze ręczne notatki, a nie rozmyślać o chciwej macosze, która teraz za jej pieniądze mościła się w nowym domu w Bonita Springs. Minęła godzina. Chętnie napiłaby się jeszcze kawy, ale to oznaczałoby skorzystanie z Tinkle Belle.

Już zaczynała wątpić, czy Graham w ogóle się pojawi, gdy jego samochód – tesla za sto tysięcy, niebieski metalik – wyjechał z uliczki prowadzącej do garażu. Zamiast jednak włączyć się do ruchu, stanął. Słońce odbijające się w przedniej szybie ograniczało Piper widoczność, ale zaparkowała tak, że sama była doskonale widoczna. Nie mógł jej nie zauważyć.

Chwila prawdy. Zadzwoni po policję czy nie?

Opuściła szybę i pomachała mu radośnie, a potem uniosła kciuk. Liczyła, że dzięki temu Esmerelda wyda się Grahamowi szalona, ale nie groźna, więc zignoruje ją i zajmie się swoimi sprawami.

Nadal nie ruszał się z miejsca. Nie widziała, czy sięgał po komórkę. Jeśli teraz ona odjedzie, uniknie aresztowania, ale zarazem się podda, a to nie w jej stylu.

Ruszył. Odpaliła sonatę i pojechała za nim w stronę centrum. Cały czas nasłuchiwała dźwięku syreny policyjnej. Trzymała się na bezpieczną odległość trzech samochodów; nie starała się ukryć, ale też nie chciała, by poczuł się osaczony. Tesla zjechała gwałtownie na prawy pas i ostro skręciła w wąską uliczkę. Piper wykonała ten sam manewr.

Wzdłuż chodników stały samochody, mężczyzna w pomarańczowej koszulce kosił skrawek trawnika przed domem. Kilka ulic dalej wypatrzyła teslę w przecznicy po prawej. Kolejny skręt – i już go nie było. Graham najwyraźniej chciał dać do zrozumienia, że kiedy tylko zechce, zniknie jej z oczu. Może i dobrze, że nie wiedział, że Piper uczęszczała na niezliczone kursy samoobrony, zajęcia sztuk walki i kursy szybkiej jazdy – kosztowne, ale, jak liczyła, przydatne w jej branży. Zbyt agresywna Esmerelda to niewłaściwy komunikat, więc została z tyłu. Poza tym domyślała się, dokąd Graham zmierza.

I rzeczywiście, wkrótce zjawił się pod siłownią. Pomachała mu z przeciwnej strony ulicy. Łypnął na nią groźnie. W odpowiedzi uniosła palce ułożone w symbol pokoju. Rąbnięta, ale niegroźna. Wszedł do budynku.

Jeździła za nim przez resztę dnia. Trzymała się z daleka, żeby nie czuł się za bardzo skrępowany. Graham omijał szerokim łukiem niebezpieczne dzielnice, w których widziała go dwukrotnie pogrążonego w rozmowie z ulicznymi dilerami. Trudno uwierzyć, że musi kupować towar na ulicy, ale na wszelki wypadek zapisała każde spotkanie, żeby pokazać zleceniodawcy.

Po południu zniknął w przeszklonym wieżowcu na North Wacker, siedzibie dużej grupy inwestycyjnej. Wiedziała, że Graham szuka sponsorów – chciał zbudować sieć drogich klubów nocnych firmowanych przez znanych sportowców. Ponieważ miał więcej forsy niż roczny budżet stanu Illinois, mógłby wyłożyć większość gotówki, ale chciał też wkładu od ludzi biznesu. Intrygowało ją, co motywuje go do działania. Dlaczego nie kupi sobie tropikalnej wyspy, żeby leniuchować tam do końca życia, przypalając trawkę?

W końcu wyszedł. Kiedy zmierzał w stronę parkingu, słońce mieniło się w jego włosach, w przeszklonej fasadzie odbijała się jego silna, pewna sylwetka. Nie podobało jej się, że zwraca uwagę na te rzeczy w facecie o tak wielu cechach wątpliwej jakości: zarozumiały, uprzywilejowany, nieprzyzwoicie bogaty.

Na ulicach zaczynał się popołudniowy ruch. Znał chicagowskie skróty niemal równie dobrze jak ona i wracał do Lakeview bocznymi uliczkami. Bez specjalnego powodu zwolnił niemiłosiernie na jednokierunkowej, kilka przecznic od Ashland. Nagle wysunął rękę przez okno i rzucił coś, co wyglądało jak mały granat, prosto na kawał jałowej ziemi między lombardem a salonem kosmetycznym. Powtórzył to trzykrotnie i odjechał. Zapisała to w raporcie, nie wiedziała jednak, co właściwie zrobił. Jego niby-granaty pozostaną niezauważone, chyba że ktoś będzie ich specjalnie szukał.

Już miała zawrócić i przyjrzeć się im dokładniej, gdy usłyszała za plecami wycie syreny policyjnej.

Zerknęła w boczne lusterko i zobaczyła radiowóz. Był coraz bliżej. Zjechała na prawy pas, żeby go przepuścić, ale trzymał się tuż za nią i migał światłami. Czyli chodziło o nią.

Klnąc pod nosem, zjechała na parking przed małym centrum handlowym. Drań! Bawił się z nią w kotka i myszkę! Od samego początku chciał wezwać policję.

Wóz patrolowy zjechał za nią na parking, omiatając światłami koguta wejście do metra i gabinetu dentystycznego. Powaga sytuacji dotarła do niej z pełną siłą. To już koniec. Graham złożył na nią doniesienie. Wydała całe oszczędności i nie miała żadnych zaskórniaków ani choćby jednego zamożnego klienta na miejsce tego, którego wkrótce straci.

Miotając pod nosem wszelkie przekleństwa, które poznała na ojcowskich kolanach, wyjęła prawo jazdy – prawdziwe. Fałszywka leżała bezpiecznie w schowku. Ale nie glock. Co prawda w Illinois można mieć broń, ale na wszelki wypadek kopnęła spluwę głęboko pod siedzenie i modliła się o cud.

Gdy policjant sprawdzał jej numery, wyjęła ze schowka dowód rejestracyjny i kartę ubezpieczenia. W końcu podszedł i zobaczyła, że jest mniej więcej w jej wieku, koło trzydziestki. Jeden z tych umięśnionych bogów, który mógłby zostać Misterem Stycznia w kalendarzu „Nadzy policjanci z Chicago". Uchyliła okno i zapytała z najmilszym, najbardziej niewinnym uśmiechem:

– O co chodzi, proszę pana?

– Dokumenty wozu, proszę.

Podała mu je. Gdy studiował jej prawo jazdy, przez otwarte okno poczuła zapach jego wody kolońskiej i doszła do wniosku, że najwyraźniej coś z nią nie tak, bo w jej głowie rozległy się dźwięki piosenki *It's raining men*. Ciekawe, czy ma mundur na rzepy.

– Zdaje sobie pani sprawę, że nie wolno zalepiać zbitego reflektora taśmą klejącą?

A więc chodziło o reflektor? Graham jej nie zgłosił? Zrobiło jej się słabo ze szczęścia.

– Widzę, że już w sierpniu dostała pani upomnienie, ale nie naprawiła defektu – zauważył.

Zarzucająca włosami blondynka z klubu Spiral pewnie zdołałaby jakoś się wyłgać, ale Piper była tak szczęśliwa, że nawet nie próbowała.

– Nie było mnie na to stać, choć wiem, że to żadne wytłumaczenie. Nie mam zwyczaju lekceważyć zasad bezpieczeństwa ruchu drogowego. – Oczywiście poza ograniczeniami prędkości, ale skoro policjant sprawdził jej prawo jazdy, już to wiedział, tak jak to, że ma pozwolenie na broń.

– Kierowanie niesprawnym pojazdem stanowi zagrożenie – pouczył. – Nie tylko dla pani, ale także dla…

Nie usłyszała reszty wykładu, bo na parking wjechała tesla za sto tysięcy dolarów, niebieski metalik. Samochód stanął pod gabinetem dentystycznym, a Piper poczuła nowy przypływ niepokoju. Policjant wiedział, jak się naprawdę nazywa. Głupia sprawa z reflektorem lada chwila przerodzi się w klęskę kosmicznych rozmiarów.

Nie tylko ona wypatrzyła byłego sportowca wysuwającego się zza kierownicy jak miejski drapieżnik. Policjant przestał mówić. Nabrał powietrza w płuca. Po jego opanowaniu nie było śladu, gdy Cooper podszedł, wyciągnął rękę i się przedstawił, jakby to było potrzebne:

– Cooper Graham.

– Oczywiście! Jestem pana wielkim fanem! – Przystojniak w mundurze pompował dłoń Grahama jak ręczny szyb z ropą. – Strasznie szkoda, że w tym roku już nie gra pan w Starsach.

– Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. – Akcent rodem z prerii Oklahomy. Niemal oczekiwała, że lada chwila włoży w usta źdźbło trawy, żeby podtrzymać wrażenie nieszkodliwego prostaka.

– Jezu, tamten mecz z Patriotsami w zeszłym roku…

– Dzięki. Było nieźle.

Gawędzili sobie w najlepsze o podaniach i taktyce, jakby jej tam wcale nie było. Funkcjonariusz Ciacho nie był drobiazgowy, gdy chodziło o przestrzeganie procedur.

Graham miał własny plan. Przyjrzał się jej krótkim włosom, wczoraj niewidocznym pod peruką.

– Co zrobiła? – zwrócił się do policjanta.

– Zbity reflektor. Zna ją pan?

Cooper skinął głową.

– Jasne. To moja stalkerka.

Policjant natychmiast się sprężył.

– Stalkerka?

Graham przeszył Piper wzrokiem.

– Irytująca, ale nieszkodliwa.

W funkcjonariuszu Ciacho obudził się służbista.

– Proszę wysiąść z samochodu – polecił ostro.

Z trudem powstrzymała przekleństwa, które cisnęły jej się na usta. Policjant słyszał, jak mówiła, wie, że nie ma brytyjskiego akcentu. A jeśli Graham usłyszy jej akcent rodem ze środkowego zachodu, straci wszelkie szanse, żeby doprowadzić to do końca.

– Ręce do góry.

Zacisnęła usta, żeby nie powiedzieć o jedno słowo za dużo. Ciacho nie kazał Grahamowi odejść od auta, choć powinien. No, ale znani sportowcy mogą robić, co im się żywnie podoba.

Na szczęście policjant ograniczył się do oględzin. Dopóki nie zwrócił uwagi na podejrzany pakunek w kieszeni jej dżinsów.

– Muszę panią przeszukać.

Nie mogła powiedzieć nawet słowa na swoją obronę, nie, kiedy Graham stał tuż obok z wyrazem sadystycznej satysfakcji na twarzy. Zacisnęła zęby, gdy Ciacho ją obmacywał.

Był bardzo profesjonalny, dotykał jej tylko wierzchem dłoni, ale i tak było to upokarzające. Stała jak sierota zdana na pastwę dwóch bardzo męskich facetów, z których jeden naprawdę ją dotykał, a drugi równie dobrze mógłby to robić, zważywszy, z jak małej odległości ją obserwował.

Policjant wyjął z kieszeni Piper paczkę orzeszków ziemnych, obejrzał dokładnie i podał jej.

– Nie ma to jak policjanci, którzy dbają o bezpieczeństwo obywateli. – Robiło jej się niedobrze, gdy słyszała kukurydzianą szczerość w głosie Grahama.

– Od dawna pana nęka? – zainteresował się Ciacho.

– Trudno powiedzieć. Zorientowałem się dopiero kilka dni temu. Ten reflektor ją zdradził. – Piper przeklinała się w myślach za głupotę, a Graham zaciskał pętlę na jej szyi. – Kiedy wczoraj z nią rozmawiałem, usta jej się nie zamykały, ale teraz ma chyba niewiele do powiedzenia.

Funkcjonariusz Ciacho ponownie skupił się na Piper.

– Pozwoli pani, że przeszukam samochód?

Znała prawo. Nie mógł tego zrobić bez poważnej przyczyny, lecz słowa Grahama stanowiły aż nadto wystarczający powód. Ale czy Cooper nadal będzie uważał, że jest niegroźna, kiedy zobaczy pistolet? Zanim policjant zajrzy do auta, musi mu powiedzieć o broni.

Zaczęła kasłać, uderzała się pięścią w mostek, krztusiła się, żeby brak brytyjskiego akcentu pozostał niezauważony.

– Niech on odejdzie. – Kolejny napad kaszlu. – A potem może pan sprawdzać.

Udawany kaszel przeszedł w prawdziwy. Policjant wziął jej słowa za pozwolenie, ale był zbyt rozanielony bliskością jednego z najpopularniejszych sportowców w mieście, żeby kazać mu odejść. Natomiast Piper polecił wsiąść do radiowozu.

Przez smugi na szybie patrzyła z rosnącym przerażeniem, jak pod wzrokiem Grahama otworzył drzwi od strony pasażera. Nie minęło dziesięć sekund, a znalazł glocka. Graham spojrzał w jej stronę. Nawet przez brudne okno widziała jego wściekłość.

Ciacho otworzył jej bagażnik i tym samym odsłonił torbę pełną przebrań. Zdumiony podniósł Tinkle Belle. Panowie ucięli sobie dłuższą pogawędkę, aż w końcu wymienili uścisk dłoni i Graham zawrócił

do tesli, ani razu nie spojrzawszy w jej stronę.

Funkcjonariusz Ciacho, który naprawdę nazywał się Eric Vargas, w końcu potwierdził tożsamość pracodawcy Piper i po trzech godzinach mogła wreszcie wyjść – z kolejnym mandatem za zbity reflektor. Zazwyczaj oddychała z ulgą, wracając do ciasnego mieszkanka o wysokich sufitach, zaokrąglonych oknach i jasnym parkiecie, ale dziś było inaczej. Kiedy wyjmowała z lodówki puszkę piwa Goose Island, rozległo się pukanie do drzwi.

– Piper? Piper, skarbie, jesteś tam?

Chociaż uwielbiała swoją sąsiadkę z dołu, osiemdziesięcioletnią „Berni" Berkovitz, ostatnimi czasy u starszej pani pojawiły się pierwsze oznaki demencji, a Piper była zbyt zmęczona i załamana, żeby poświęcić jej tyle uwagi, ile potrzebowała. Tyle że właściwie nie miała wyboru. Berni była samotna, ale wzrok miała dobry i wiedziała, że Piper już wróciła.

Podeszła do drzwi.

– Cześć, Berni.

Berni nie czekała na zaproszenie, od razu weszła do środka. We wściekle pomarańczowych włosach sąsiadki pojawiły się siwe odrosty, brakowało także jej znaku rozpoznawczego – szkarłatnej szminki na ustach. Przed śmiercią męża nosiła ekstrawaganckie kreacje, ale teraz zamiast szarawarów, koszuli z żabotem czy kloszowej spódnicy miała na sobie stary sweter i spodnie od dresu.

Piper uniosła piwo.

– Napijesz się?

– Po Dniu Pracy? W życiu. Ale nie odmówię szklaneczki wódki. Z lodem.

Piper miała w domu resztkę stolicznej z dawnych, dobrych czasów, więc podeszła do lodówki.

– Twoje pokolenie umiało pić.

– Nie lada powód do dumy.

Piper uśmiechnęła się z wysiłkiem. Pod pewnymi względami Berni nadal była taka jak przed ostatnim rejsem, podczas którego Howard dostał zawału u wybrzeży Włoch. Piper wolałaby, żeby wszystko było jak dawniej, ale z drugiej strony chciałaby, żeby wiele spraw potoczyło się inaczej, niż się na to zapowiadało.

– Ostatnio ciągle cię nie ma, prawie cię nie widuję – poskarżyła się Berni.

– Wkrótce znowu zaczniesz. – Piper wrzuciła kostki lodu do szklanki i zmusiła się, by powiedzieć to na głos. – Sknociłam dużą sprawę.

Berni nie znała szczegółów, ale wiedziała, że Piper dostała pierwsze poważne zlecenie.

– Och, skarbie, tak mi przykro. Ale nie martw się, jesteś bystra, wszystko się ułoży.

Piper bardzo chciała w to wierzyć, ale prawda była taka, że jutro musi powiedzieć zleceniodawcy, że Graham ją zidentyfikował, i po przykrym spotkaniu zostanie bez pracy.

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi – czysta formalność, bo Jen, inna sąsiadka, weszła, nie czekając na zaproszenie. Nie przebrała się jeszcze po pracy i nadal miała na sobie szmaragdową sukienkę bez rękawów, ciasno opinającą jej idealną figurę. Ciemne włosy opadały na ramiona. Makijaż był równie nieskazitelny jak rano, gdy go nakładała.

– Jutro będzie padać – oznajmiła ponuro. – Deszcz jest nam potrzebny, więc dobrze, ale pyłki dadzą się wszystkim we znaki. – Pociągnęła nosem, jakby już poczuła to na własnej skórze.

Dziewiętnaście lat temu Jennifer MacLeish była nową twarzą wśród chicagowskich pogodynek, ale teraz miała czterdzieści dwa lata i obawiała się, że nowy szef jej stacji wymieni ją na młodszy model.

– Howard bardzo cierpiał przez alergie – poinformowała Berni. – Ciekawe, czy nadal tak jest.

Jen i Piper wymieniły spojrzenia. Jen podeszła do kanapy, stukając obcasami beżowych szpilek.

– Posłuchaj, skarbie, Howarda już nie ma. Wiemy, że bardzo za nim tęsknisz, ale…

Berni zbyła ją machnięciem ręki.

– Wiem, wiem, obie uważacie, że nie żyje, ale to nieprawda. Mówiłam wam, widziałam go w zeszłym tygodniu, na samym środku Lincoln Square. Miał na głowie wielki piankowy ser, jak fani Green Bay Packers, tylko że Howard nie znosił tej drużyny, więc nie pojmuję, czemu założył sobie ser na głowę.

Jen błagalnie spojrzała na Piper. Już kilka razy słyszały tę historię, ale że obie były na pogrzebie Howarda Berkovitza, nie bardzo mogły uwierzyć w jego zmartwychwstanie – zwłaszcza jako fana Green Bay Packers.

Piper nalewała właśnie Jen resztkę wódki, gdy rozległo się kolejne pukanie do drzwi, tym razem bardzo nieśmiałe. Berni westchnęła.

– To ona.

– Wejdź, Amber! – zawołała Piper. Bo właściwie czemu nie? Gdyby była sama, pogrążyłaby się w rozpaczy.

Amber Kwan, sąsiadka z dołu, weszła do środka z wahaniem.

– Mogę? Wiem, że mnie nie zapraszałaś, ale…

– Ich też nie – zauważyła Piper.

Amber miała dwadzieścia siedem lat, lekką nadwagę, porcelanową cerę, lśniące ciemne włosy i wrodzoną nieśmiałość, która znikała tylko na scenie, gdy śpiewała w chórze chicagowskiej Lyric Opera. Ponieważ większość dawnych przyjaciół Piper wyprowadziła się z miasta, była wdzięczna losowi za tę trójkę.

– Pani Berkowitz, jak się pani miewa?

Berni zacisnęła usta w wąską kreskę i skinęła głową. Nie lubiła Amber za koreańskie pochodzenie. Amber jednak uważała, że zaawansowany wiek daje staruszce prawo do uprzedzeń rasowych i nie zgadzała się, by Piper czy Jen zwróciły Berni na to uwagę.

– Nie mam już wódki – uprzedziła Piper. – Piwa?

Amber przysiadła na krawędzi kanapy.

– Nie, dziękuję, przyszłam tylko na chwilkę. – Wprowadziła się ponad rok temu, ale wciąż czuła się jak intruz w ich grupie, choć i Piper, i Jen powitały ją z otwartymi ramionami. – Chciałam tylko zapytać, czy nadal szukasz podnajemcy – wyjaśniła przepraszająco.

– O nie! – zawołała Berni. – Piper, nigdzie się nie wyprowadzasz! Amber, czemu w ogóle poruszasz ten temat?

– Wcale nie chcę, żebyś się wyprowadzała – zaznaczyła Amber pospiesznie. – Ale mówiłaś, że będziesz musiała, a mój znajomy będzie miał wykłady na DePaul i szuka mieszkania do wynajęcia.

Wyprowadzka z ukochanego gniazdka będzie jak cios w serce, lecz w przeciwieństwie do Berni, która chciała ożywić martwego męża, Piper była realistką.

– Prześpię się z tym i jutro dam ci odpowiedź.

Właściwie nie miała się nad czym zastanawiać. Nie było jej stać na spłacanie kredytu za mieszkanie, na które czekała od lat, a nie chciała narzucać się przyjaciółkom, chociaż wszystkie proponowały, że może się u nich zatrzymać. Jeśli wynajmie swoje mieszkanko, a sama wprowadzi się do pokoju w suterenie koszmarnej kuzynki Diane, uda jej się, przynajmniej chwilowo, uniknąć widma sprzedaży i jednocześnie nie nadwerężyć więzów przyjaźni.

– Obcy mężczyzna to ostatnie, czego nam tu trzeba – orzekła Berni. – Nie zgadzam się.

Jen milczała. Zdawała sobie sprawę, że dla Piper to ostatnia deska ratunku.

– To przyjaciel Amber – zauważyła. – A więc nikt obcy.

– Chodziłam na jego zajęcia w Eastman – dodała Amber. – To bardzo miły człowiek.

– Nic mnie to nie obchodzi – burknęła Berni. – Niepotrzebny nam tu mężczyzna.

Najwyraźniej jednopłciowi nowożeńcy z dołu się nie liczą.

– Lepiej, żeby Piper wynajęła swoje mieszkanie, niż gdyby miała je sprzedać – powiedziała Jen. – A

wiecie, że nie wprowadzi się do żadnej z nas. Tylko na jakiś czas, dopóki nie postawi firmy na nogi. – Skrzyżowała długie nogi. – Niestety, gdy do tego dojdzie, to ja będę bez pracy. Powinnyśmy się martwić o mnie, nie o nią. Jest ode mnie twardsza. I młodsza.

Nie było to tak egoistyczne, jak mogło się wydawać. Jen ściągała na siebie uwagę, żeby dać Piper chwilę oddechu.

– Dobrze znam świat mediów – ciągnęła. – Im młodsza i bardziej blond, tym bardziej chcą ją zatrudnić. A Dupek preferuje dwudziestki. – Od tak dawna mówiła o nowym szefie Dupek, że Piper już zapomniała, jak się naprawdę nazywa.

Jen upiła łyk wódki.

– Meteorologia to nowy trend uniwersytecki wśród maturzystek, które cokolwiek kojarzą. Na każdym uniwersytecie mają teraz taki kierunek.

– Talent jest ważniejszy niż uroda – zapewniła Amber i dodała pospiesznie: – Co, oczywiście, nie znaczy, że nadal nie jesteś piękna.

Przywykła, że jest oceniana jedynie przez pryzmat głosu – sopranu koloraturowego – stąd jej naiwność w ocenie branży telewizyjnej. Piper starała się dodawać Jen otuchy, ale jako córka Duke'a Dove'a wiedziała wszystko o seksizmie w męskim wydaniu. Jen traktowano inaczej niż facetów w tej branży i rzeczywiście miała powody do obaw.

Berni poderwała się z kanapy.

– Już wiem, co zrobię!

– Wynajmiesz cyngla, żeby załatwił Dupka? – mruknęła ponuro Jen.

– Zatrudnię Piper, żeby znalazła Howarda!

Piper spojrzała na nią niespokojnie.

– Berni, to nie jest…

– Zapłacę ci. Już od dawna zastanawiałam się, na co wydać zwrot podatku, a to naprawdę fantastyczny pomysł.

– Berni, nie mogłabym przyjąć od ciebie ani centa. Howard miał…

Znowu rozległo się pukanie do drzwi, bardziej stanowcze niż poprzednie. Kto to może być? Nikt nie korzystał z domofonu na dole, a sąsiadki były już w mieszkaniu. Odstawiła piwo, podeszła do drzwi i przekręciła klamkę.

Wypełniał sobą całą framugę: silne mięśnie, szerokie ramiona, potężna klatka piersiowa.

– Witaj, Esmereldo.

Rozdział 3

Hannibal u bram. Żołądek podszedł Piper do gardła.

– Jakim cudem wszedłeś do budynku?

Patrzył na nią złotobrązowym wzrokiem wilka szykującego się do ataku – nie dlatego, że jest głodny, tylko dla samej przyjemności polowania.

– Sąsiedzi z dołu to fani Starsów.

Nie tylko oni. Berni zagdakała, jakby dopiero co zniosła jajko.

– Cooper Graham! – Poderwała się z kanapy żwawo jak nastolatka. – O Boże! Szkoda, że Howarda z nami nie ma. O rany!

Cooper skinął jej głową.

– Dzień dobry szanownej pani.

– Co prawda Howard był fanem Bearsów, jak Piper – wyznała Berni – ale ja urodziłam się w zachodniej części miasta, kiedy mało kto tam mieszkał. Berni Berkovitz. To znaczy Bernadette. Od samego początku byłam fanką Starsów. A Howard trzymał za nich kciuki. Chyba że akurat grali z Bearsami – zaznaczyła.

– Całkiem zrozumiałe. – Wcielenie wdzięku; czekał cierpliwie, aż skończy paplać.

Jen, założywszy nogę na nogę, zalotnie kołysała szpilką, odrzuciła ciemne włosy na ramię i czekała, aż ją zauważy. Amber była całkiem zbita z tropu. Znała wszystkich kompozytorów w historii, ale chyba nie wiedziała nawet, że w Chicago są zawodowe drużyny sportowe.

Berni paplała dalej.

– O rany, Piper, kiedy mówiłaś, że masz ważnego klienta, nawet przez myśl mi nie przeszło, że…

– Nie jestem klientem pani Dove. – Wypowiedział jej nazwisko z pogardą, jakby rozgniatał karalucha. – Jestem osobą, którą miała obserwować.

Wielkie dzięki, funkcjonariuszu Ciacho.

Berni zabulgotała i skierowała na Piper przerażone spojrzenie.

– Naprawdę? Ale właściwie dlaczego obserwowałaś Coopera?

Kiedy Piper zmagała się z nagłym szczękościskiem, Jen wdzięcznie wstała z kanapy.

– Jennifer MacLeish, pogoda w Ósemce. Poznaliśmy się w zeszłym roku na balu dobroczynnym, ale pewnie mnie nie pamiętasz.

– Oczywiście, że pamiętam. – Jej dłoń zniknęła w jego ręce. – Co za miłe spotkanie. Czego niestety nie można powiedzieć o twojej towarzyszce.

Amber rzuciła się do drzwi.

– Już wychodzę.

– Nie chodzi mu o ciebie, Amber – uspokoiła ją Jen – tylko o Piper.

Graham skinął głową.

– To prawda.

Piper upiła łyk piwa i pożałowała, że to jednak nie wódka.

Berni nie mieściła się w głowie ignorancja Amber.

– Amber, to jest Cooper Graham, jeden z najsłynniejszych sportowców na świecie. Chyba nawet ty o nim słyszałaś.

– Chyba tak – mruknęła, choć wcale nie była tego taka pewna.

– Amber śpiewa w operze – wyjaśniła Jen. – Jest nieziemska i zarazem nieświadoma.

– Na pewno panią słyszałem – zapewnił szarmancko.

Akurat, pomyślała Piper. Szansa, że Graham zaszczycił swoją obecnością operę, jest mniej więcej taka jak prawdopodobieństwo, że nie przyjmie prostego rzutu.

– Drogie panie, bardzo mi miło panie poznać, ale chciałem porozmawiać z panią Dove. – Kolejny rozdeptany karaluch. – W sprawach służbowych.

Amber, która już szła do drzwi, zatrzymała się i spojrzała na Piper. Jen także.

– Może możemy w czymś pomóc? – zapytała.

Przyjaciółki powinny trzymać się razem i żadna z nich nie zamierzała wyjść, dopóki Piper nie da znać, że mogą. Berni dołączyła do nich z wyraźnym oporem. Stanowiły jedną całość: energiczna pogodynka z telewizji, koreańska śpiewaczka operowa o anielskim głosie i największa fanka Starsów na świecie. Jezu, ale jej życie jest pokręcone, skoro ma takie przyjaciółki.

– W porządku – mruknęła. – Dam sobie radę.

– Na pewno? – spytała Amber, nagle onieśmielająca jak wagnerowska Brunhilda.

Nie, ale Piper i tak kiwnęła głową.

– To sprawa służbowa – potwierdziła.

– Założę się, że to zwykłe nieporozumienie – zauważyła Berni i po chwili dodała scenicznym szeptem: – Wrzucę ci czek do skrzynki. Tak to się robi, prawda?

– Żadnych czeków, Berni. Pogadamy jutro. – Po dzisiejszym jeszcze jedno wyzwanie to dla niej pestka.

– Piper? – odezwała się Jen.

Choć Piper bardzo sobie ceniła ich troskę, nie mogła pozwolić, by Graham postrzegał ją jako osobę słabą. Z udawanym luzem skinęła w stronę drzwi.

– Później pogadamy.

Berni zmierzyła Grahama wzrokiem.

– Piper to bardzo dobry człowiek.

– Było mi miło panią poznać, pani Berkovitz – odparł.

Dotknęła jego ramienia.

– Robię pyszną pieczeń. Gdyby miał pan ochotę na pieczeń, proszę dać mi znać.

Posłał jej olśniewający uśmiech dla fanów.

– Z całą pewnością to zrobię.

– Albo jeśli lubi pan słodycze, ciasto krówkowe.

Uśmiechnął się, ale gdy za kobietami zamknęły się drzwi, uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. Jedyną obroną Piper był atak.

– Działałam legalnie – uderzyła. – Owszem, wchodząc do klubu, zapuściłam się w szarą strefę, ale Spiral to miejsce publiczne i musiałbyś udowodnić, że moja obecność wywołała u ciebie ogromny stres emocjonalny. A wątpię, żeby jakikolwiek sędzia w to uwierzył.

Górował nad nią – metr dziewięćdziesiąt pięć kontra metr sześćdziesiąt pięć.

– Kto cię zatrudnił?

Wyprostowała się, jakby chciała w ten sposób dodać sobie choć centymetr.

– Nie mogę powiedzieć, ale zapewniam, że ta osoba nie życzy ci źle.

– Ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie pociesza.

– Bo to prawda.
– A prawda to twoja specjalność, Esmereldo?
Starała się zachować spokój.
– Nikt nie chce być robiony w balona, rozumiem. Ale takie miałam zadanie.
– Nie robi to na mnie wrażenia. Dla kogo pracujesz?
– Jak powiedziałam: dla osoby, która ci źle nie życzy.
– O tym sam zdecyduję.
– Nie mam ci nic do powiedzenia.
– Czyżby? – Świdrował ją wzrokiem. – Ujmę to tak: Albo powiesz mi teraz, albo skontaktuje się z tobą mój prawnik.
Musiał się domyślać, że proces rozłożyłby ją na łopatki. Wyobraziła sobie bogatą panią prezes.
– Proces to taka strata czasu.
– Więc powiedz mi, co chcę wiedzieć.
Nie mogła tego zrobić, ale musiała coś wymyślić, coś innego niż padnięcie na kolana i błaganie, żeby jej nie pozywał.
– Mam propozycję – oznajmiła. – Odpuść mi, a powiem, kto ci naprawdę źle życzy. I nie jest to mój zleceniodawca.
Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. Czekał. Walczyła z duszącym przekonaniem, że znowu pochłonął cały tlen w pomieszczeniu.
– Ta modelka, na którą zwróciłeś uwagę – zaczęła. – Blondynka, duże cycki, wąskie biodra i nienaturalnie długie nogi. Tak, wiem, to tylko myszka na kongresie sera, ale ta myszka ma na imię Vivian, a ty sporo z nią gadałeś.
– Co z nią?
– Po kilku niuchach w damskiej toalecie rozpowiada na prawo i lewo, że chce cię złapać na ciążę. Szukasz kogoś, kto ci naprawdę zagraża? To ona.
– Nikt niczego nie niucha w toalecie – warknął. – Od tego mam ochronę.
– Za dużo im płacisz.
– A ty to wszystko wymyślasz.
– Czyżby? Czy twoi tak zwani ochroniarze zorientowali się, że co najmniej jeden z pracowników klubu kręci na boku własne lody? I to twoim kosztem?
– Jakie lody?
– Obiecaj mi, że odwołasz orły Temidy, a ci powiem.
– Już dzwoniłem do prawnika.
Przełknęła ślinę.
– Jak chcesz. Ale dobrze ci radzę, zrób inwentaryzację alkoholu osobiście, zamiast to komuś zlecać. A kiedy stan ci się nie zgodzi, przypomnij sobie naszą rozmowę.
– Blefujesz.
Ruszył do drzwi i wiedziała, że musi dać mu coś więcej.
– Miej oko na rudego barmana. A potem zadzwoń do mnie z przeprosinami.
Zatrzymał się w pół kroku, wyraźnie rozgniewany.
– Keith? Bzdura. Wybrałaś sobie niewłaściwego kozła ofiarnego. – Wycelował w nią palec. – Masz dwadzieścia cztery godziny, żeby podać mi nazwisko zleceniodawcy, albo odezwie się do ciebie mój prawnik.
Wychodząc, trzasnął drzwiami.

Cooper piekli się przez całą drogę do klubu. Kłamczucha, i to po dziesięćkroć. Keith Millage to jeden

z jego najstarszych kumpli. Grali razem w piłkę podczas studiów. Powszechnie wiadomo, że barmani oszukują swoich szefów, i Cooper specjalnie ściągnął go z Tulsy, żeby mieć u boku kogoś zaufanego. A jeśli chodzi o Vivian… Nie interesowały go klientki klubu, a gdyby nawet, w przeciwieństwie do kolegów z drużyny, nigdy nie narażał się na ryzyko tak zwanej przypadkowej ciąży.

Teraz nurtowało go najważniejsze pytanie. Kto zatrudnił prywatną detektyw, żeby go obserwowała? I dlaczego? Owszem, na chicagowskiej scenie klubowej panuje ostra konkurencja, ale co ktoś chciał przez to osiągnąć? Czego się dowiedzieć?

Dotarł do klubu i usiadł za biurkiem. Nie lubił tajemnic, zwłaszcza w czasie, gdy szukał inwestorów. I to nie byle jakich. Liczył na najlepszego inwestora w mieście. Jedyną osobę, z którą chciał pracować.

Czas zejść do gości. Był magnesem przyciągającym klientów. Inni znani właściciele klubów pokazywali się w nich rzadko, on grał o wszystko, nawet jeśli to oznaczało zaczepki przesadnie entuzjastycznych fanów i dyskusje z samozwańczymi ekspertami, którym się tylko wydawało, że mają pojęcie o grze.

Z niesmakiem złapał się na tym, że obserwuje Keitha, któremu ufał jak bratu. Niechęć do Piper Dove przybrała na sile. Zanim zajął się otaczającą go grupką kobiet, podjął decyzję. Nie wygrywa się mistrzostw, odpuszczając przeciwnikowi. Zniszczy i ją, i jej miniagencję detektywistyczną.

W poniedziałkowy ranek Piper ubrała się na czarno, spodziewając się, że czeka ją najgorsze spotkanie w jej krótkiej karierze właścicielki agencji detektywistycznej. Czarny sweter i czarne wełniane spodnie. Wypolerowała wiekowe czarne buty, wygrzebała skądś srebrne kolczyki. Skoro już ma upaść, niech przynajmniej jakoś przy tym wygląda.

Noah Parks, prawa ręka Deidre Joss i jej zastępca, czekał na Piper w recepcji siedziby Joss Investment Group. Miała się kontaktować właśnie z nim, więc zadzwoniła do niego z ponurą wieścią, że Cooper Graham ją zdemaskował. Choć Noah skończył elitarny uniwersytet na Wschodnim Wybrzeżu, włosy na jeża, krzywy po licznych złamaniach nos i kwadratowa szczęka sprawiały, że wyglądał jak były komandos. Skinął jej głową.

– Deidre chce z panią osobiście porozmawiać.

Minęli przeszklone drzwi i znaleźli się w zalanym światłem korytarzu, w którym kremowy marmur kontrastował z ciemnym parkietem. Noah otworzył drzwi na końcu korytarza i wprowadził ją do gabinetu pani prezes.

Wysokie okna i proste nowoczesne meble składały się na wizję elegancji w najczystszej postaci. Ale tablica na ścianie dowodziła, że to miejsce pracy, a nie pokój wystawowy. Pani prezes siedziała za ogromnym biurkiem pod olejnym portretem swojego ojca, Clarence'a Jossa III. Poszła w ślady ojca podobnie jak Piper, ale nie musiała wykupywać firmy od macochy. A chociaż była zaledwie o trzy lata starsza od Piper, wyrafinowaniem i doświadczeniem przewyższała ją, jakby dzieliły je całe pokolenia.

Wysoka, bardzo szczupła, miała mahoniowe włosy, pociągłą twarz o ciemnych, lekko skośnych oczach i długi patrycjuszowski nos. Przypominała raczej primabalerinę niż prezeskę wielkiej firmy. Była ubrana na czarno, jak podczas ich poprzedniego spotkania, w dzianinową sukienkę ozdobioną pojedynczym sznurkiem pereł. Rok wcześniej jej mąż zginął w wypadku na skuterze śnieżnym i Piper nie wiedziała, czy czerń to żałoba po nim, czy po prostu oznaka świetnego gustu.

Deidre wyszła zza biurka i podała jej rękę.

– Mam nadzieję, że nie było dużych korków. – Wskazała kanapę i fotele. – Proszę usiąść.

Noah stał przy drzwiach. Piper usiadła na fotelu obitym szarą skórą, Deidre zajęła sąsiedni. To zlecenie było dla Piper niezmiernie ważne, chciała za wszelką cenę wykonać je idealnie, żeby Deidre dawała jej kolejne. Teraz czuła się jak zła uczennica w gabinecie dyrektorki.

– Proszę powiedzieć, co się stało. – Dyrektor Deidre skrzyżowała nogi dość długie, by wykonać grand

jeté.

Piper opowiedziała o wszystkim, pominęła tylko Esmereldę Crocker.

Deidre nie uznawała owijania w bawełnę.

– Jestem rozczarowana.

Piper nie miała nic na swoją obronę.

– Przykro mi – odparła. – Trzymałam się za blisko. Nie powtórzę tego błędu, ale też nie cofnę czasu.

Mogła dodać, że sama Deidre kazała jej trzymać się blisko obiektu, ale to nie zabrzmiałoby najlepiej.

– Ma pani być pod jego domem – mówiła prezes podczas ich pierwszego spotkania. – Śledzić go w ciągu dnia i wieczorem w klubie. Chcę wiedzieć, ile pije. Z jakimi kobietami się spotyka i ile ich jest. Zanim zdecyduję się na inwestycję, muszę wiedzieć, z kim mam współpracować.

Noah stanął za krzesłem Deidre.

– Graham na pewno pytał, kto panią zatrudnił – rzekł.

– Tak, ale mu nie powiedziałam.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Zgodnie z prawem stanu Illinois – odparła Piper – tylko nakaz sądowy może mnie zmusić do podania nazwiska klienta.

Nie wspomniała, że to bardzo prawdopodobne. Miała wokół siebie dość aligatorów, żeby nie martwić się tymi w bagnie. Z drugiej strony chciałaby, żeby Deidre pozwoliła jej ujawnić tę informację. Rozważała podjęcie współpracy z Grahamem, więc na pewno by zrozumiał, że postanowiła najpierw go sprawdzić, zarówno pod kątem zawodowym, jak i prywatnym.

Ale Deidre na nic nie pozwoliła.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedziała tylko.

– Wezmę dokumenty. – Noah wyciągnął rękę, a Piper podała mu je.

Nie spała prawie całą noc, chcąc mieć pewność, że o niczym nie zapomniała. Do raportu dołączyła wykaz poniesionych wydatków. Miała nadzieję, że chociaż nie dokończyła zlecenia, otrzyma przynajmniej zwrot kosztów.

Deidre dotknęła pereł na szyi.

– Zatrudniłam panią, bo kiedyś współpracowałam z pani ojcem, a poza tym chcę pomagać kobietom budującym własne firmy. Szkoda, że tak to się skończyło.

Wydawała się naprawdę przejęta. Piper była tak na siebie zła, że nie miała siły walczyć dalej.

– Przykro mi, że nie spełniłam pani oczekiwań.

Noah, zdecydowanie mniej empatyczny niż jego chlebodawczyni, wskazał Piper drzwi. Ruszyła za nim korytarzem, a przy każdym kroku czuła, że jej kariera legła w gruzach.

Przez kolejne dni zmuszała się, żeby chodzić do biura, a nie leżeć w łóżku z głową pod kołdrą. Była połowa września; zanim nadejdzie Halloween, będzie całkiem spłukana, chyba że zdarzy się cud. Ale ma jeszcze trochę czasu. Musi zdobyć nowe zlecenia.

Za czasów jej ojca Agencja Detektywistyczna Dove zajmowała cały jednopiętrowy budynek, który ojciec kupił w latach osiemdziesiątych. Teraz właścicielką gmachu była jej macocha, a Piper wynajmowała tylko klitkę, w której dawniej mieściła się księgowość.

Kiedy zaczynała, pokoik był obskurny jak kantorek powieściowego prywatnego detektywa. Piper zainwestowała w oliwkowozielony dywan w czarne wzory, żeby zakryć wyblakłe linoleum, pomalowała na kremowo ściany i powiesiła kiczowate reprodukcje starych okładek pisma „True Detective”. W sklepie ze starociami wyszperała biblioteczny stolik, który służył jako biurko, gdy uszlachetniła go czarną emalią. Do tego dodała niezłe oświetlenie i chromowane krzesła dla klientów.

Na poczcie głosowej była wiadomość od prawnika Grahama – domagał się spotkania w przyszłym

tygodniu. Skasowała ją i włączyła komputer. Sprawdziła, czy w sieci jest coś nowego o Cooperze Grahamie. Nic.

Obdzwoniła kolejne kancelarie prawnicze, oferując swoje usługi, i rozesłała broszurę agencji.

AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA DOVE
Rok zał. 1958
• Prawda przynosi pokój
• Usługi dla kancelarii prawniczych, korporacji i urzędów
• Sprawy ubezpieczeniowe i śledztwa prywatne
• Poszukiwanie osób zaginionych
• Sprawdzanie wiarygodności

Rozważała, czy nie zrezygnować ze starego motta „Prawda przynosi pokój". Uznała jednak, że stanowi część rodzinnej historii, która zaczęła się od dziadka, i usunięcie go oznaczałoby wyparcie się dziedzictwa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyła, ale zamiast nowego klienta do pokoiku weszła Berni. Ogarnęła się na tyle, że zawiązała na pomarańczowych włosach hipisowską chustę, a na dres włożyła kamizelkę z frędzlami.

– Słuchaj, Piper, zanim cokolwiek powiesz… Wiem, że nie wierzysz, że widziałam Howarda na Lincoln Square. Sama nie mogłam w to uwierzyć. Ale przeżyłam z nim pięćdziesiąt osiem lat i dobrze wiem, co widziałam. – Usadowiła się na krześle przed biurkiem, otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę. – Tu jest zaliczka. Sto dolarów. – Położyła kopertę na biurku.

– Berni, nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy.

– To sprawa zawodowa, nie osobista. Potrzebuję prywatnego detektywa, a ty jesteś najlepszą osobą w tej branży, jaką znam.

Piper spróbowała z innej beczki.

– Doceniam twoją wiarę w moje umiejętności, ale ja nie byłabym obiektywna. Powinnaś zlecić tę sprawę komuś innemu.

– Ktoś inny uznałby mnie za starą wariatkę – odparła Berni i spojrzała na Piper wyzywająco, prowokując ją, żeby zaprotestowała.

Piper nie zrobiła tego, ale nie miała ochoty uganiać się za duchem.

– Przeanalizujmy fakty – powiedziała. – Byłaś z Howardem w kajucie, kiedy miał zawał, więc…

– Ale nie kiedy umarł – przerwała jej Berni. – Mówiłam ci. Wyszłam na chwilę do toalety, a gdy wróciłam i ten nieszczęsny znachorzyna powiedział mi, że Howard umarł, zemdlałam. Bóg jeden wie, co było w trumnie, która wróciła do Stanów.

Gdyby nie biurokratyczne zamieszanie, przez które Berni nie widziała męża, zanim go skremowano, Piper miałaby teraz spokój.

– No dobrze. – Zrozumiała, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Sięgnęła po notes. – Mam do ciebie kilka pytań.

Berni uśmiechnęła się szeroko.

– A tak przy okazji, ładnie dziś wyglądasz. Powinnaś częściej malować usta. I włosy masz takie, jakbyś je uczesała. Rozumiem, że teraz są modne te wszystkie postrzępione fryzury, ale dobry bob jest o wiele bardziej kobiecy.

– Jezu, Berni, czy ja kiedykolwiek chciałam być kobieca?

– No nie, ale i tak podobasz się mężczyznom. Chociaż nie zwracasz na to uwagi. Nie mieści mi się w głowie, że masz już trzydzieści trzy lata, a jeszcze nigdy nie byłaś zakochana.

– Miłość to bzdura i strata czasu.

– Miłość nigdy nie jest stratą czasu – zapewniła Berni. – Słuchaj, już od dawna chciałam cię o to

spytać… Jesteś lesbijką?

– Chciałabym.

– Rozumiem. Kobiety są znacznie ciekawsze od mężczyzn.

Piper skinęła głową. Nawet w czasach, gdy jeszcze chciała mieć faceta, przyjaciółkom ufała bardziej niż byłym chłopakom. No, ale ta rozmowa nie pomoże Berni uporać się z jej obsesjami.

– Kiedy i gdzie widziałaś mężczyznę z serem na głowie?

– Howarda? Czwartego września. Dokładnie szesnaście dni temu. W dniu meczu Packersów. Wyszłam z księgarni i on tam był. Siedział na ławce w parku i obserwował gołębie.

– Z serem na głowie…

Berni nagle spoważniała.

– Tego właśnie nie pojmuję. Dlaczego zagorzały fan Bearsów włożył sobie ser na głowę? Co innego, gdyby to był kapelusz Starsów. Howard lubił ich prawie tak samo jak Bearsów.

W przypadku męża, który wrócił z zaświatów, wybór nakrycia głowy nie powinien być aż tak palącą kwestią, pomyślała Piper.

– Widział cię?

– Pewnie, że mnie widział. Zawołałam go po imieniu. Odwrócił się i cała krew odpłynęła mu z twarzy.

Piper bawiła się długopisem.

– Byłaś na tyle blisko, że to zobaczyłaś?

– No dobrze, może mi się tylko tak wydawało. Ale jedno wiem na pewno. Rozpoznał mnie, bo wstał od razu i uciekł. Chciałam iść za nim, ale z moim biodrem nie mogłam dotrzymać mu kroku – skrzywiła się. – Dlaczego to zrobił? Dlaczego przede mną uciekał?

Piper udała, że nie słyszała pytania, i zadała kolejne, jakby sprawa była najnormalniejsza w świecie.

– Czy podczas rejsu pojawiły się między wami jakieś napięcia? Kłótnie?

– Sprzeczaliśmy się. Która para tego nie robi? Dziad nie chciał o siebie dbać. Żałuj, że go nie widziałaś na tym statku, jak wsuwał bekon i słodycze. Wiedział doskonale, co o tym myślę. Ale bardzo się kochaliśmy. I dlatego tak boli, że już go nie ma.

Choć Piper nie była romantyczką, nie wątpiła w uczucie Berni i Howarda. Ale wcale im nie zazdrościła. Mężczyźni to mnóstwo pracy. Kiedy jej poprzednie związki wypaliły się, nie była ani trochę podłamana. A potem ojciec zachorował i interesowało ją już tylko jedno – praca. W jej życiu było dość komplikacji, nie musiała dodawać jeszcze faceta.

Zadała Berni jeszcze kilka pytań i obiecała, że zajmie się tą sprawą. Widząc wdzięczność starszej pani, poczuła się jak oszustka i żeby pozbyć się wyrzutów sumienia, wracała do domu okrężną drogą, przez Lincoln Square.

Na placyku jak zawsze kręciły się dzieciaki, pary, młode matki z wózkami i kilku seniorów, lecz żaden z nich nie miał na głowie piankowego sera i żaden ani odrobinę nie przypominał Howarda Berkovitza. Czuła się głupio, że w ogóle go szuka, ale chciała porozmawiać z Berni z czystym sumieniem. A jeśli chodzi o te sto dolarów… No cóż, zaprosi ją na pyszną kolację.

Następnego dnia zadzwoniła koleżanka koleżanki Jen. Podejrzewała, że chłopak ją zdradza. Piper bardzo się ucieszyła z nowego zlecenia, ale niestety chłopak był głupi i jeszcze tego samego wieczoru sfotografowała go, jak wchodzi do motelu z inną. Sprawa załatwiona w niecałe dwadzieścia cztery godziny. Klientka załamana, pieniędzy na koncie minimalnie więcej.

W środę wieczorem, sześć dni po tym, jak Graham ją zdemaskował, jego prawnik zostawił kolejną wiadomość na sekretarce. Kto mówi, że wyparcie jest złe?

Parkowała przy skromnym zielono-czarnym szyldzie Agencji Detektywistycznej Dove wiszącym nad drzwiami. Tuż za nią zatrzymał się dodge challenger i wysiadł z niego mężczyzna. Bardzo przystojny

mężczyzna w dżinsach i koszulce opinającej wspaniały sześciopak mięśni na brzuchu. Rozpoznała go, dopiero kiedy uniósł okulary przeciwsłoneczne. Lustrzane, ma się rozumieć.

– Dzień dobry, Piper.

– Witam, panie władzo.

Funkcjonariusz Ciacho. Przyglądała mu się czujnie.

– Eric.

– Dobra, niech będzie Eric.

Oparł się biodrem o maskę i skrzyżował ręce na idealnej klatce piersiowej.

– Może skoczymy na kawę?

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? Podobasz mi się. Jesteś intrygująca.

Przynajmniej nie powiedział, że jest słodka. Nie znosiła tego.

– Miło to słyszeć – mruknęła. – Ale ty mi się jakoś szaleńczo nie podobasz.

– Ej, wykonywałem tylko swoje obowiązki.

– Podlizywanie się Cooperowi Grahamowi do nich należy?

Uśmiechnął się.

– Hej, przyznaj, to było super. No, zgódź się. Na dwadzieścia minut.

Przemyślała to. W przeciwieństwie do ojca nie miała znajomości w policji i jeśli jakimś cudem udałoby jej się zostać w branży, warto mieć kilku zaufanych funkcjonariuszy. Energicznie skinęła głową.

– Dobra, chodźmy. Pojadę za tobą moim wozem.

Kawa, jak się okazało, trwała prawie godzinę. Wyraźne zainteresowanie Erica nie było dla niej specjalnym zaskoczeniem. Od początku studiów interesowali się nią przystojni faceci. Początkowo ją to dziwiło, ale potem doszła do wniosku, że przyciąga ich jej brak zainteresowania. Jeden z chłopaków, z którym się przez krótki czas spotykała, powiedział kiedyś, że czuje się z nią jak z kumplem.

– Lubisz sport i masz w nosie, czy facet przynosi ci kwiaty i inne duperele. A do tego jesteś niezłą laską.

Nie była laską i nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zakochać się w jednym z nich. Może dlatego, że każdy przelotny związek budził w niej wcześniej czy później uczucie pustki, jakby otwierała się w niej dziura, o której istnieniu nie miała pojęcia. W tej chwili niechęć do związku była jej atutem. O jedną komplikację mniej w i tak wystarczająco poplątanym życiu.

Ciacho był w porządku. Fajnie opowiadał anegdoty z pracy. Odpłynął tylko raz, gdy koło ich stolika przechodziła fantastyczna brunetka w obcisłej bluzce, ale skoro zauważyła ją nawet Piper, nie mogła mieć do niego pretensji. Zaprosił ją na kolację w przyszły weekend, jednak dostała od Amber bilet do opery właśnie na ten wieczór, więc powiedziała, że ma już inne plany.

Zaskoczyło go, że wybiera operę, nie jego.

– Jesteś dziwna – stwierdził.

– A ty fajny, ale nie chcę się teraz z nikim umawiać.

– Dobra, nie umawiajmy się. Ale bądźmy kumplami.

Fajnie opowiadał, a ona potrzebowała kontaktów w policji.

– Okej. Kumple. Żadnych randek. I nie pójdę z tobą do łóżka.

Widziała po jego minie, że jej nie uwierzył.

Kolejnego wieczoru Piper oddała się najbardziej depresyjnemu zajęciu pod słońcem, czyli decydowaniu, co spakować, a co wyrzucić. Musiała podnająć mieszkanie, to nie podlegało żadnej dyskusji, i znajomy profesor Amber wprowadzał się następnego dnia. Zapłaci jej tyle, że wystarczy na ratę kredytu i czynsz, dzięki czemu przynajmniej na razie nie musiała sprzedawać mieszkania. Powtarzała

sobie, że nie wprowadza się do sutereny kuzynki Diane na całe życie. Do okropnej nory bez osobnego wejścia, z grzybem w łazience i przede wszystkim z Diane, która wiecznie na coś narzekała. No i ta dwójka jej rozpuszczonych bachorów… Piper podejrzewała, że kuzynka zaproponowała tak śmiesznie niski czynsz z nadzieją, że wykorzysta ją jako opiekunkę do dzieci, co było jeszcze bardziej deprymujące niż wizja mieszkania w suterenie.

Większość rzeczy zostawiła do dyspozycji profesora, spakowała jednak kilka pudeł osobistych drobiazgów, między innymi wiekowego pluszowego prosiaczka, którego odkryła w dolnej szufladzie. Kwik, teraz postrzępiony i wytarty, był towarzyszem jej dzieciństwa. Jej matka dostała go, jeszcze zanim urodziła Piper.

Kiedy Piper skończyła pięć lat, Duke stwierdził, że Kwik musi odejść.

– Tylko maluchy targają ze sobą pluszaki. Chcesz, żeby wszyscy mieli cię za mięczaka?

Powiedziała wtedy, że ma w nosie, co ludzie sobie pomyślą, Kwik zostaje i już.

Mimo nacisków ojca wytrzymała do siódmych urodzin, bo wtedy łobuz z sąsiedztwa przewrócił ją i doprowadził do łez. Duke był wściekły – nie na chłopca, tylko na nią, że płakała.

– W tej rodzinie nie ma miejsca dla mięczaków. Wracaj na dwór, skop mu tyłek i nigdy więcej nie rycz.

Już nie pamiętała, co zrobiła Justinowi Terminiemu, który później został jej pierwszym chłopakiem, ale pamiętała koszmarną świadomość, że zawiodła Duke'a. Jeszcze tego samego wieczoru chwyciła Kwika, rzuciła ojcu w twarz, a potem sama wyniosła prosiaczka do śmieci. W nagrodę dostała niedźwiedzi uścisk, wyprawę na lody i pochwały – że jest twarda jak chłopak. Duke nigdy się nie dowiedział, że w nocy wykradła się przez okno, zsunęła po dachu ganku i wygrzebała Kwika ze śmietnika. Ukryła go na resztę dzieciństwa.

Kwik już dawno stracił swój urok, ale nie potrafiła się go pozbyć i schowała w pudle z bluzami. Potem zrobiła sobie kanapkę i podeszła do wykuszowego okna. Patrzyła na uliczkę, nad którą zapadł zmierzch, i nagle zobaczyła, jak na parking wjeżdża tesla, niebieski metalik. Dłoń z kanapką zastygła w połowie drogi do ust, bo drzwiczki samochodu otworzyły się i wysiadł z niego Cooper Graham. Całkiem straciła apetyt. Lekceważyła telefony od jego prawnika i oto przyjechał po nią osobiście.

Nowożeńcy z dołu wybierali się na spacer. Widziała jednego z nich w bluzie Starsów, więc Graham bez trudu namówi ich, żeby wpuścili go do budynku. Za niecałą minutę zabębni w jej drzwi. Albo go zignoruje, albo stanie oko w oko z bestią.

Decyzja była oczywista. Wystarczająco dużo ostatnio przeszła. Nie otworzy mu.

Nie potrafiła jednak tchórzliwie chować się w mieszkaniu i po trzecim pukaniu podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

– Czego chcesz?

Rozdział 4

Wszedł do saloniku, a wraz z nim wdarła się fala złej energii.

– Keith mnie okrada.

– Rudy barman? Tak, wiem.

Dwa metry urażonej męskiej dumy stały pośrodku jej dywanika.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Dumnie uniosła głowę.

– Jak to nie? Powiedziałam!

– Nie tak, żebym ci uwierzył!

Wytrzymała jego spojrzenie i przez chwilę mierzyli się wrogim wzrokiem.

On pierwszy uległ. Przeczesał włosy palcami. Niesfornie wróciły na to samo miejsce.

– No dobra, może nie do końca chciałem cię słuchać.

Postanowiła zamknąć drzwi, zanim wszyscy sąsiedzi zbiegną się zaintrygowani hałasem.

– Wątpię, czy kiedykolwiek chcesz słuchać.

– Jak to?

Frustracja dawała się jej we znaki.

– Tak przywykłeś do poczucia, że jesteś najlepszy, że zapominasz, że inni mogą wiedzieć coś, o czym nie masz pojęcia.

Oparł silną dłoń na biodrze.

– O co ci właściwie chodzi? Niepowodzenie boli tak bardzo, że warczysz na każdego, kto odniósł sukces?

– Nie. Może. Nie wiem. Odczep się.

Roześmiał się. Szczerze, z rozbawieniem, co chyba zaskoczyło go tak samo jak ją.

– Jak się domyśliłaś?

„Nie pozwól, żeby jakikolwiek facet czuł się od ciebie lepszy, pouczał ją Duke. Poza twoim starym, oczywiście”.

– Zwykły zmysł obserwacji. – Sięgnęła po kanapkę, chociaż i tak nie mogłaby jej przełknąć. – Coś, w czym jestem dobra.

Uniósł brwi.

– Wytłumacz mi.

– Zapłać mi – odcięła się.

Pokręcił głową, ale raczej tak, jakby wytrząsał wodę z ucha. Rozejrzał się po mieszkaniu, zauważył walizki z ciuchami i pudło z zawartością lodówki: płatki śniadaniowe, zupy w puszkach, makaron. Umiała gotować, tylko po prostu nigdy nie miała na to czasu.

– Wyprowadzasz się – stwierdził. – Szkoda, to fajne mieszkanko.

– Jest w porządku. – Było więcej niż w porządku. I nadal będzie jej, jeśli da sobie spokój i wróci do starej pracy. Nie chciała jednak promować w sieci oleju napędowego i użerać się ze złą recenzją tylko dlatego, że klientowi nie zapalił samochód. Taka praca wysysała z niej całą energię.

Sięgnął po Kwika.

– Fajna świnka.

Z trudem opanowała odruch, by mu go wyrwać.

– Szkolna maskotka.

Nie czekając na zaproszenie, z Kwikiem w ręce rozsiadł się na czekoladowej kanapie. W porównaniu z funkcjonariuszem Ciacho, ślicznym jak z obrazka, był bardziej surowy, nieociosany. Ogorzała twarz, blizna na czole i na brodzie. Dołek w podbródku. Twardy jak skała, mimo prosiaczka w dłoniach. Podczas wojny stanąłby na czele armii. W czasach pokoju prowadził drużynę do zwycięstwa. Krótko mówiąc, facet, z którym się nie zadziera.

– Przyjaźnię się z Keithem od studiów – mruknął. – Ufałem mu jak bratu.

– I to był twój błąd. – Coś w potężnych, zwieszonych ramionach, jakiś cień w wilczym spojrzeniu chwytały ją za serce.

„Nie dawaj się nabierać, pouczał Duke. Każdy dupek ma w zanadrzu łzawą historyjkę”.

Zgniotła kanapkę i wyrzuciła nietkniętą do śmieci.

– Nie jesteś pierwszym szefem, którego oszukuje zaufany pracownik. Historia stara jak świat.

Zacisnął dłoń na kostce.

– Powinienem był się domyślić, co się dzieje.

– Nie tyle ty, ile twoi tak zwani spece od bezpieczeństwa. Po to ich zatrudniasz. Ale pewnie on też im coś odpala.

Gwałtownie podniósł głowę. Najeżył się.

– To pierwszorzędni fachowcy.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Taki bogaty, a taki głupi. – Cudownie widzieć coś, czego on nie dostrzegał. – Prawda jest taka, że do tego stopnia przywykłeś, że wszyscy cię podziwiają i chwalą, że nie pojmujesz, że większość ludzi pokazuje ci się tylko z najlepszej strony. Zapominasz, ilu drani chodzi po ulicach. Sława mydli ci oczy i jeśli chodzi o prawdziwy świat, jesteś jak dziecko we mgle.

Spodziewała się sprzeciwu, on tymczasem odłożył prosiaczka i wbił w nią wzrok.

– Kto kazał ci mnie obserwować?

Zebrała się w sobie.

– To tajemnica służbowa. Nie odpowiem na to pytanie.

Wstał z kanapy.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Nasłałem na ciebie najlepszych prawników w mieście, twoja miniagencja ledwo zipie – tak, też się trochę rozejrzałem – a mimo to nie podasz mi nazwiska klienta?

Musiała wytrwać, choć bardzo ją kusiło, żeby mu ulec.

– Czy słowo „nieetyczne” jest dla ciebie za trudne?

– Nie jest, zapewniam. Spróbujmy więc inaczej. Podaj mi to nazwisko, a sam cię zatrudnię.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Ale po co?

– Bo jestem bystry i szybko się uczę. Widzę, że przyda mi się w klubie dodatkowa para oczu. Na kilka tygodni. Ktoś, kto dostrzeże to, co mi umyka. Ktoś, kto sprawdzi moje zabezpieczenia, że tak powiem.

To była praca jej marzeń. Dokładnie to, czego w tej chwili potrzebowała – klient z pieniędzmi, oferujący zlecenie zarazem ciekawe i trudne. Kręciło jej się w głowie. Był tylko jeden haczyk. I to niemały.

– Jedyne, co muszę zrobić, to…

– Podać mi nazwisko klienta.

W tej chwili całym sercem nienawidziła Deidre Joss. Przez jej głupi upór i chęć pozostania anonimową Piper straci wszystko. Powinna być z nim szczera.

Ale nie mogła. Podeszła do drzwi, walcząc z bólem w sercu.

– Było mi bardzo miło, ale nic z tego nie będzie.

– Nie zrobisz tego?

Tak bardzo chciała dać mu, czego się domagał, że musiała z całej siły zagryźć usta.

– Nie mam co prawda pieniędzy, władzy czy sławy, ale mam zasady. – Zasady. W tym momencie nienawidziła tego słowa.

„Kiedy raz złamiesz zasady, znajdziesz się na równi pochyłej, zapamiętaj to sobie", zwykł mawiać Duke. Miał na myśli seks, ale faktem jest, że gdyby teraz uległa Cooperowi, może zapomnieć o szacunku do samej siebie, a z tego w życiu nie zrezygnuje.

Graham był coraz bliżej. Machał jej przed nosem pozłacaną marchewką.

– Pomyśl, ile mogłabyś u mnie zarobić…

– Uwierz mi, cały czas o tym myślę! – Otworzyła drzwi na oścież. – Oddałam ci przysługę, a teraz ty zrób to samo i idź już, żebym mogła skończyć pakowanie, wprowadzić się do nory w suterenie mojej kuzynki i pomyśleć, co zrobić, żeby ocalić firmę i nie sprzedać duszy diabłu.

Sadystyczny drań uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zatrudniam cię.

– Ogłuchłeś czy co? Nie powiem ci, kto mnie zatrudnił.

– I dlatego masz tę robotę. Spotkamy się u mnie, jutro o dziesiątej. Zakładam, że wiesz, gdzie mieszkam.

I tyle.

Następnego dnia Piper obudziła się o świcie. Nadal kręciło jej się w głowie na myśl o wszystkim, co się wydarzyło. Wypiła duszkiem dwie kawy i wybrała strój na dziś. Zdecydowała się na spódnicę khaki, zgniłozieloną koszulkę z czerwonym skorpionem na piersi i buty do kostek. Niby profesjonalnie, ale nie tak, żeby pomyślał, że chce mu zaimponować.

Była na miejscu za wcześnie, więc żeby zabić czas, zajechała na Lincoln Square, gdzie zajrzała do kilku sklepów i knajpek. Tak jak przewidywała, nikt nie rozpoznał Howarda na zdjęciu, które dała jej Berni. Jasne. Bo Howard nie żyje.

Zgodnie z prognozą Jen, jak na wrzesień było zaskakująco ciepło i aż do Lakeview jechała przy otwartym oknie. Dokładnie za dwie dziesiąta zaparkowała na jednym z trzech miejsc dla gości za domem, w którym mieszkał.

Budynek z czerwonej cegły, gdzie dawniej mieściło się seminarium, przerobiono na trzy luksusowe apartamenty. Graham zajmował dwupoziomowy penthouse, pozostałe dwa należały do potentata w branży nieruchomości i hollywoodzkiego aktora, który pochodził z Chicago.

Wzdłuż alejki prowadzącej do drzwi rosły paprocie. Znalazła się w małym holu z nowoczesnym systemem wideo, o którym chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej. Sztuczny metaliczny głos kazał jej wsiąść do windy, która od razu zawiozła ją do penthouse'u. Drzwi otworzyły się i znalazła się w ogromnym pomieszczeniu o ścianach z czerwonej cegły i wielkich oknach. Wysoki sufit pokrywała plątanina rur pomalowanych na czarno. Bambusowy parkiet w geometryczny wzór nadawał wnętrzu nowoczesnej elegancji. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się regały z książkami, których, była gotowa się założyć, nikt nigdy nie otwierał.

Na kanapie trzy razy większej niż standardowe sofy siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich – ten, do którego tu przyjechała – miał na sobie biały szlafrok frotté, drugi – niebieską koszulę i ciemne spodnie. I

właśnie on wstał, obszedł kanapę i wyciągnął do niej rękę.

– Heath Champion – przedstawił się.

Heath Champion, znany także jako Pyton, to chicagowska legenda i zarazem jeden z najbardziej znanych agentów sportowych w kraju. Reprezentował dwóch wielkich byłych rozgrywających drużyny Stars, Kevina Tuckera i Deana Robillarda, a także jej świeżo upieczonego klienta. Był bardzo przystojny i uprzejmy, ale Piper od razu wyczuła drapieżnika i nie zamierzała ani na chwilę tracić czujności.

– To zapewne nieprzekupna pani Dove – odezwał się Champion.

– Piper.

Graham nawet nie wstał, tylko skinął głową.

– Kawa w kuchni.

– Dzięki – mruknęła.

– Proszę.

Champion wskazał kanapę.

– Może usiądziesz?

Wbiła wzrok w okno, żeby tak od razu nie patrzeć na nowego zleceniodawcę. Trzy piętra niżej rozciągał się przyjemny, opleciony bluszczem dziedziniec. Żółte kwiaty rozjaśniały monotonię zieleni. Brązowiejące liście paproci i suche gałązki w fontannie zdradzały, że jesień jest coraz bliżej.

Zmusiła się, by spojrzeć na kanapę. Graham siedział na środku, z nogami na stoliku ze szklanym blatem w kształcie latającego spodka. Biały szlafrok rozchylił się na tyle, że odsłonił nagie łydki i bliznę na prawym kolanie. Inna, mniejsza, przecinała kostkę. Ile ich miał? I co miał na sobie pod szlafrokiem?

Fala gorąca wściekła ją. Za dużo kofeiny.

Postawiła na stoliku szarą torbę konduktorkę. Kanapa była głęboka, zaprojektowano ją z myślą o potężnych facetach, a nie kobiecie średniego wzrostu. Jeśli usiądzie, nie sięgnie nogami ziemi i będzie wyglądała jak mała dziewczynka. Przysiadła na skraju.

Zobaczył skorpiona na jej koszulce.

– Logo firmowe?

– Nadal nie mogę zdecydować: albo to, albo uśmiechnięta buźka.

Poły białego szlafroka rozchyliły się na tyle, że widziała ciemne włosy na jego piersi. Niechętnie musiała zaliczyć na jego korzyść to, że ich nie goli.

Uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach.

– W jaki sposób chcesz poprawić ochronę w klubie? Wiem, że coś ci chodzi po głowie.

Nie pozwoli, żeby półnagi klient zbił ją z tropu.

– Zanim otworzyłam agencję detektywistyczną, zajmowałam się ochroną reputacji i strategią internetową chicagowskiej sieci salonów samochodowych.

– Ochroną reputacji? Co to znaczy, do cholery?

– Byłam internetowym psem stróżującym. Sprawdzałam, czy nie piszą o nas źle w prasie branżowej i mediach społecznościowych. Zajmowałam się pozycjonowaniem. Gasiłam internetowe pożary i dbałam o naszą stronę.

Graham szybko kojarzył.

– I to będzie twoje alibi?

– Tak będzie najprościej. Choć półmózg na bramce może mnie rozpoznać.

– Nie sądzę.

– Czas na mnie – mruknął Champion. Dostrzegła obrączkę na jego dłoni i wyobraziła sobie jego żonę – nieziemsko piękną blondynkę ze sztucznym biustem i ustami nadmuchanymi jak materac.

– Chcecie z Annabelle wyskoczyć z miasta na romantyczny weekend? – domyślił się Graham.

Piper miała nadzieję, że Annabelle to jego żona, a nie nielegalna towarzyszka z łóżka.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – mruknął Champion.

– Weź sobie trochę pomidorów. – Graham skinął głową w stronę otwartej kuchni urządzonej w stali i szkle. – Bierz, co chcesz.

– Nie powiem „nie”. – Champion otworzył przeszklone drzwi i wyszedł do kolejnej zabawki bogatych tego świata – ogrodu na dachu. Ciekawe, ile Cooper płaci ogrodnikowi.

Teraz, kiedy zostali sami, loft nagle nie wydawał się już taki wielki. Musiała przejść do rzeczy.

– Jak się domyśliłeś, że Keith robi cię w balona?

– Posłuchałem twojej rady i przeprowadziłem inwentaryzację alkoholu.

– I wyszły niezgodności.

– Nie tylko. – Wstał z kanapy i ruszył do kuchni. – Sukinsyn nie nabijał wszystkich zamówień. A do tego rozdawał darmowe drinki i zgarniał za to spore napiwki.

– Podstawowy błąd niedoświadczonego menedżera – mruknęła. – Pozwalać, by pracownicy sami decydowali, kto dostaje coś za darmo. A kiedy pudełko na napiwki jest tak blisko kasy, tylko ułatwiasz im zadanie.

Odstawił kubek do zlewu i przez przeszklone drzwi spojrzał na ogród. Nie chciała siedzieć, kiedy on stał, więc podniosła się i dopiero wtedy zobaczyła coś, co wcześniej umknęło jej uwagi. Metalowe schody po przeciwnej stronie prowadziły do sporej sypialni na antresoli. Ciekawe, ile dziewczyn łamało sobie obcasy na metalowych ażurowych stopniach?

Sądząc po wyglądzie kuchni, nie używano jej do niczego więcej poza parzeniem kawy, co potwierdzało, że ogród na dachu to tylko kaprys.

– Z tego, co widziałam – zaczęła – a pamiętaj, że kiedy byłam w Spiral, obserwowałam ciebie, nie twoich ludzi – twój kumpel Keith kręci na boku własny biznes z co najmniej kilkoma kelnerami. Wystarczy powiedzieć, że klient zwraca drinka; anulujesz sprzedaż i chowasz gotówkę do kieszeni. Prosta sprawa.

– Którzy kelnerzy?

Nie chciała nikogo wskazywać palcem bez konkretnych dowodów.

– Po to mnie zatrudniasz, żebym to ustaliła.

Z ogrodu wrócił Heath Champion z siatką, z której wystawała zielona nać marchwi.

– Nie znam nikogo oprócz ciebie, kto uprawiałby brukselkę. Pomidory? Rozumiem. Papryczki jalapeño – oczywiście. Ale brukselka?

– Masz z tym problem?

Zapomniała wyciszyć komórkę i nagle rozległa się melodia z serialu *Buffy, postrach wampirów*.

Graham uniósł brew.

– Co za profesjonalizm.

Wyjęła komórkę z torby. Dzwonił funkcjonariusz Eric. Odrzuciła połączenie i ponownie zajrzała do konduktorki.

– Mam standardowy kontrakt agencyjny…

Graham spojrzał na Championa.

– Daj mu, a ja się ubiorę.

Szedł w stronę schodów i przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, że stoi pod nimi i patrzy w górę. Szybko podała dokumenty Championowi.

Odłożył warzywa i wziął umowę. Obserwowała niespokojnie, jak ją czytał. Oparła się pokusie, żeby podnieść swoją stałą stawkę, ale i tak obawiała się, że uzna, że jest za droga.

Champion wyjął z kieszeni koszuli długopis i pstryknął nim głośno.

– Wiesz, że stać go na więcej.

Usiłowała zrozumieć, co powiedział.

– Nie powinieneś działać w jego interesie?

Champion tylko się uśmiechnął.

Graham zjawił się kilka minut później, w dżinsach i obcisłej koszulce z logo Stars, która fantastycznie podkreślała jego szerokie ramiona. Agent podał mu kontrakt. Graham przeczytał go uważnie, uniósł pytająco brwi, zerkając na Championa, aż w końcu spojrzał na nią.

– Pięćset mniej, a będziesz mogła zamieszkać w mieszkaniu nad klubem, zamiast wprowadzać się do tej sutereny, o której mówiłaś.

– Skąpiradło – stwierdził agent z zadowoleniem.

– Nad klubem jest mieszkanie? – zdziwiła się Piper.

– Dwa – odparł Graham. – Jedno jest zajęte, drugie nie. Oczywiście w godzinach otwarcia klubu jest tam głośno, ale zawsze możesz zainwestować w zatyczki.

– Trzysta mniej – odezwał się Champion. – I ani centa niżej.

Świetnie. Czyli dostanie tyle, ile chciała na początku, a do tego jeszcze miała gdzie mieszkać.

Graham łypnął na agenta.

– Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego właściwie nadal cię zatrudniam?

– Bo musisz mieć sumienie.

Graham chyba się nie obraził. Wrócił wzrokiem do Piper.

– Możesz się wprowadzić, kiedy tylko chcesz, ale już dzisiaj będziesz mi potrzebna w klubie. – Wziął pęk kluczy z kuchennego blatu i rzucił w jej stronę. – Przedstawię cię na zebraniu personelu. Punkt ósma.

Miała pracę, miała mieszkanie, i to nie w suterenie kuzynki. Składając dokumenty, miała też ochotę pocałować Heatha Championa. Ale coś jeszcze chodziło jej po głowie.

Wbiła wzrok w punkt między ciemnymi brwiami Grahama.

– Czy to znaczy, że mnie nie pozwiesz?

Nie spodobał jej się krokodyli błysk jego zębów.

– Do tego jeszcze wrócimy.

– Czegoś tu nie rozumiem – mruknął Heath, gdy za Piper Dove zamknęły się drzwi windy.

Coop oglądał zawartość torby z warzywami z większym zainteresowaniem, niż na to zasługiwała.

– Jak to?

– Dlaczego zaproponowałeś jej mieszkanie?

– Im bliżej klubu, tym więcej zobaczy.

Heath sięgnął po torbę.

– Mam nadzieję, że tylko o to ci chodzi. To nie jest jedna z twoich aktoreczek.

– Zdążyłem zauważyć. Poza tym, jak chyba widziałeś, nie przepadam za nią.

– Rozumiem.

– A ona mnie po prostu nienawidzi.

– Cóż, na pewno nie jest twoją fanką.

– Owszem, ale ma jaja i klasę.

– Nie tylko. Fantastyczne oczy, interesującą twarz i bardzo ładne nogi.

– Nie jestem zainteresowany.

– Za mało paparazzi wokół niej?

Coop nie chciał słuchać kolejnych przytyków, ani o byłych partnerkach, ani o Piper Dove.

– Spadaj stąd, idź w końcu do żony.

– Już idę.

Heath wyszedł, a Coop przez kuchnię udał się do ogrodu, najukochańszego miejsca na ziemi. Zawsze lubił uprawiać rośliny i nie widział powodu, żeby to zmienić, chociaż mieszka w mieście. Jego wielki taras otaczał wysoki murek, na tyle wysoki, że osłaniał ogród od wiatru, i tym samym było to idealne miejsce do uprawy roślin. Sam zbudował wszystkie grządki. Własnymi rękami taszczył każdy worek

ziemi, każdą sadzonkę, każdą donicę.

W sezonie futbolowym zapach ziemi pozwalał mu zapomnieć o bolesnych urazach. Nieważne, czy akurat przycinał kwiaty, dodawał nawozu czy zbierał warzywa, które później trafiały do spiżarki, tu nie słyszał brzęku kasków, jęku pokonanych, wrzasku tłumów, który unosił się nad stadionem jak nadciągająca fala. Tutaj zapominał o adrenalinie, którą daje kluczowa rola w brutalnym tańcu, jakim była każda rozgrywka NFL.

Teraz, kiedy już nie grał, przychodził tu, żeby uciec od siebie, od hałasu w głowie, ilekroć myślał o przyszłości. Ale dzisiaj nawet ogród nie pomagał. Minął tydzień od ostatniego spotkania z Deidre Joss i od tego czasu nie odezwała się do niego. Wspominała wprawdzie, że musi upłynąć trochę czasu, zanim podejmie decyzję, ale Coop nie umiał czekać. Za kilka miesięcy Spiral wyjdzie na zero i wtedy będzie gotów przejść do kolejnej fazy projektu – budowy sieci klubów nocnych wraz z innymi znanymi sportowcami, zbyt zapracowanymi albo zbyt głupimi, aby zająć się tym osobiście.

Piper Dove okazała się miłą rozrywką, choć jednocześnie strasznie działała mu na nerwy. Ale też go intrygowała. Mimo kłamstwa o Esmereldzie była w niej uczciwość, która wyjdzie mu na dobre. Ciekawe, jak pogodzi wyraźną antypatię do niego z tym, że bardzo potrzebowała jego zlecenia.

Na jej nieszczęście jego wrodzona uprzejmość wobec kobiet znikała bez śladu, ilekroć zjawiała się w pobliżu. A co gorsza, prowadzenie klubu nocnego zaczynało go nudzić. Szukał rozrywki i Piper Dove doskonale nadawała się do tej roli.

Później tego wieczoru Piper wsunęła klucz do dziurki w metalowych drzwiach w zaułku za klubem Spiral. Ciasny przedsionek o ścianach szarych jak pokład okrętu pachniał frytkami, ale był czysty. Przeciwległe drzwi prowadziły chyba na zaplecze klubu, schody po prawej – na górę.

Ruszyła na trzecie piętro, zadowolona, że ma ze sobą niewiele rzeczy. W końcu dotarła na górę.

Wszystko działo się błyskawicznie.

Postać wyskakująca z cienia… Lufa wycelowana prosto w nią… Ukłucie w skroni.

– Nie żyjesz!

Rozdział 5

Piper zareagowała instynktownie. Chwyciła napastnika za bark, podcięła i powaliła na ziemię z głuchym odgłosem. Dopiero gardłowy jęk bólu ofiary uświadomił jej, że groźny okrzyk wydano nie męskim, lecz kobiecym głosem.

Na podłodze leżała nastolatka. Trzymała się za ramię. Obok niej poniewierał się karabin na piankowe naboje; jeden z nich, ten, którym strzeliła do Piper, zatrzymał się przy poręczy.

W żyłach dziewczyny płynęła krew Amerykanów różnego pochodzenia; śniada skóra, bursztynowe oczy, długie, kręcone ciemne włosy i zapowiedź wielkiej urody, gdy dorośnie.

– O Boże! Przepraszam! – zawołała, odsłaniając srebrne klamry na zębach.

Piper osunęła się na kolana.

– Nic ci nie jest?

– Myślałam, że jesteś jednym z asasynów!

– Wielu ich tutaj? – Piper uważnie oglądała ramię dziewczyny.

– Nic mi nie jest. – Nastolatka usiadła.

Piper, chociaż cieszyła się, że dziewczyna nie złamała sobie ręki, była na nią mocno wkurzona.

– Co to miało być, do cholery?

– Myślałam, że to kto inny. – Dziewczyna sięgnęła po karabin na pianki, podrasowany tak, że kulki wyskakiwały z lufy z większą siłą.

– Masz na to pozwolenie? – zapytała Piper.

– Tak, wiem, to głupie, nawet nie wiesz, jak się czułam, kiedy je kupowałam.

– Je?

– No tak, jedna nie wystarczy. To taka gra. Ale na poważnie. – Wstała z podłogi. Była bardzo zgrabna, choć, jak to nastolatka, sama pewnie uważała, że jest za gruba. – Pewnie jesteś naszą nową sąsiadką. Coop mówił mamie, że ktoś się wprowadzi, ale na śmierć o tym zapomniałam. Jestem Jada.

– Piper. Więc o co chodziło z tym atakiem?

– Chodzę teraz do Świętego Piusa. – Piper skojarzyła nazwę jednej z katolickich szkół w mieście. – Należę do Asasynów świętego Piusa.

– Co na to papież?

– Zabawna jesteś. – Powiedziała to z powagą, jakby starała się zaklasyfikować Piper i teraz wiedziała, do jakiej kategorii ją przypisać. – Przeprowadziłyśmy się tu z Saint Louis tuż przed początkiem roku szkolnego, więc dzięki tej grze mogę, no wiesz, poznać innych uczniów.

I starać się odnaleźć swoje miejsce, dodała Piper w myślach.

– Pokażę ci mieszkanie – zaproponowała Jada. – Mniejsze niż nasze, ale też w porządku. – Wskazała jedne z trojga drzwi w małym kwadratowym holu. – Te prowadzą do klubu. Dawniej na miejscu Spiral była włoska knajpa. – Spojrzała na środkowe drzwi. – Tu mieszkam z mamą. W Saint Louis miałyśmy

ładniejszy dom, ale mama chciała stamtąd wyjechać i Coop zaproponował nam to mieszkanko. Mój tata zginął w wypadku samochodowym, kiedy miałam dziewięć lat. Był trenerem personalnym i bardzo się przyjaźnili z Coopem. Coop zapłacił za pogrzeb i w ogóle.

– Pewnie było ci ciężko. Ja też straciłam mamę, jak byłam mała.

– Coop też. A tu mieszkasz ty. – Z karabinem u boku podeszła do ostatnich drzwi i nacisnęła klamkę. Były otwarte.

Mieszkanie nie było duże, ale przyzwoicie urządzone: musztardowe ściany, na podłodze parkiet z lat siedemdziesiątych i małe okna wychodzące na zaułek za klubem. Biały blat oddzielał aneks kuchenny od saloniku z zieloną kanapą i fotelem, dębowym stolikiem i kilkoma lampami.

– Najlepsza jest sypialnia. – Jada zniknęła za przeciwległymi drzwiami.

No, fakt. Piper stanęła w progu i rozglądała się ciekawie. Większość pokoju zajmowało gigantyczne łoże z miękkim wezgłowiem i kremową narzutą. Na ścianie wisiał wielki płaski telewizor, na stoliku przy posłaniu stał nowoczesny sprzęt muzyczny, z sufitu zwieszały się nowoczesne żyrandole w kształcie stożków.

– Wow.

– Coop czasami tu nocuje.

Już nie, pomyślała Piper.

– Lubi komfort – dodała Jada.

– Coś takiego – mruknęła Piper. Przysiadła na materacu i poczuła pod sobą sprężystą gładkość drogiego posłania.

Jada, z zakłopotaniem zdrapująca z paznokci resztki czarnego lakieru, spojrzała tęsknie na iPada w stacji dokującej.

– Coop jest naprawdę bogaty.

– Bogactwo jest przereklamowane – zapewniła Piper, choć było to kłamstwo czystej wody.

– Może.

– Opowiedz mi o Asasynach świętego Piusa.

– Zaczęliśmy kilka dni temu. – Jada założyła kosmyk włosów za ucho. – Taka jakby gra integracyjna dla drugoklasistów.

– Czego to te zakonnice nie wymyślą.

– Nauczyciele nie są zachwyceni, ale nie mogą nic zrobić, jeśli nie przychodzimy z bronią do szkoły. Każdy, kto chciał brać udział, musiał wpłacić pięć dolarów. Ze stu dwudziestu dzieciaków dziewięćdziesiąt dwie osoby się zapisały.

– A celem jest…

– Być ostatnim żywym zawodnikiem.

– Jak w *Igrzyskach Śmierci*. – Piper zaczynała rozumieć.

– I wygrać czterysta sześćdziesiąt dolarów. – Jada zebrała ciemne loki w kucyk i zaraz je puściła. – Naprawdę potrzebuję tej kasy, bo mój telefon to koszmar. Nic nie mówię mamie, ale i tak wie i jest jej głupio, bo nie stać nas na lepszy. – Schyliła głowę. – Nie powinnam ci tego mówić. Mama powtarza, żeby nie rozmawiać o pieniądzach.

Piper pękało serce.

– Na czym polega ta zabawa?

– Nie wolno strzelać do siebie na terenie szkoły i podczas lekcji ani z samochodu, bo coś się może komuś stać.

– Pocieszające.

– Nie wolno nikogo zabijać w autobusie czy metrze w drodze do szkoły, ale poza tym – wszystkie chwyty dozwolone.

– Domyślam się tylko, jak pasażerowie zareagowaliby na piankowe kule. Zwłaszcza w Chicago.

Macie szczęście, że nikt nie zaczął do was strzelać z ostrej broni.

– Mamy okazywać innym szacunek.

– I jak ci to wychodzi? – Nie powstrzymała się od odrobiny złośliwości.

Jada skrzywiła się.

– Słuchaj, naprawdę bardzo cię przepraszam. Chodzi o to, że nie wolno też atakować nikogo w domu, chyba że zostało się zaproszonym do środka. A gdyby ktoś ze szkoły pojawił się na dole i powiedział, że przyszedł do mnie, ktoś z ochrony albo obsługi mógłby go wpuścić.

– Więc z nimi o tym pogadaj.

– Mama mi nie pozwala. Coop pozwala nam tu mieszkać za darmo i w sumie jesteśmy jego dłużnikami, więc mama nie chce sprawiać kłopotu.

Za darmo? Podejrzliwa z natury Piper zaczęła się zastanawiać, czy za wielkodusznością Coopa nie kryją się bardziej przyziemne motywy.

– Słuchaj, jeśli to się powtórzy, mogę zrobić ci krzywdę.

– To było super. Jesteś naprawdę szybka.

Teraz, kiedy już wiedziała, że nie zrobiła dziewczynie krzywdy, musiała przyznać, że w gruncie rzeczy była z siebie dumna.

Jada myślała intensywnie.

– Może ustalimy kod. No wiesz, pukasz trzy razy, dwa szybko i raz wolno, na dole, zanim wejdziesz. Wtedy będę wiedziała, że to ty. Naprawdę potrzebuję tej kasy.

– Pomóż mi rozładować samochód. Przemyślę to.

Jada poszła przodem. Uniosła piankową broń i rozejrzała się czujnie, zanim wyszła na dwór.

Piper zmieściła swój dobytek w dwóch walizkach i kilku pudłach. Jada chwyciła jedną z walizek, cały czas rozglądając się bacznie. Piper sięgnęła po drugą.

– Naprawdę myślisz, że ktoś się tu na ciebie zaczai?

– A jak ci się wydaje? – Jada spojrzała na nią jak na idiotkę. – To fantastyczne miejsce na zasadzkę. Trzeciego dnia szkoły Daniel i Tasha schowali się za samochodem Coopa. Pracowali razem.

– Spryciarze.

– Już nie żyją – stwierdziła Jada z widoczną satysfakcją. – Proponowałam Tashy, żebyśmy połączyły siły, ale to jedna z bardziej lubianych dziewczyn. No i Daniel się jej podoba.

– Kolejna kobieta, której facet zasłania cały świat.

Jada westchnęła jak doświadczona przez życie weteranka związków.

– No właśnie. W przyszłości zajmę się psychologią.

– Nie wydaje mi się, żeby osoby karane za morderstwo z premedytacją mogły na to liczyć, ale jasne, łap marzenia.

Jada uśmiechnęła się tak promiennie, błyskając srebrnymi klamrami, że Piper darowała jej zasadzkę.

Tony, menedżer klubu, miał zaraźliwy śmiech, tubalny głos i poczucie humoru, ale Piper i tak postanowiła mieć go na oku, co nie będzie łatwe, zwłaszcza że Graham powiedział mu szczerze, na czym polega jej zadanie. Na spotkaniu z personelem przedstawił ją jako specjalistkę od kontaktów z mediami społecznościowymi. Dowiedziała się, że Torpeda ma na imię Jonah. Był szefem ochrony i dawnym zawodnikiem Clemson. Chociaż chyba jej nie rozpoznał, przyglądał się jej niechętnie – albo dlatego, że taki już był, albo uznał, że nie nadaje się do pracy w Spiral. Pozostali ochroniarze też wyglądali jak byli sportowcy. Wkrótce okazało się, że instynkt jej nie mylił.

Tony przypomniał kelnerom i kelnerkom o drogich trunkach, które tego wieczoru były w promocji. Piper zaintrygowało, że Coop włączył się pod koniec i podkreślił, żeby nie naciskali zbytnio na gości. Po zebraniu skomentowała:

– Stąpasz po cienkiej linie.

– Chcę rozwijać klub, dlatego że ludzie się tu świetnie bawią, a nie zalewają w trupa.

– Może lepszą branżą byłby minigolf?

– Zabawne.

O dziewiątej zaczęli schodzić się goście – długowłose kobiety w kusych spódniczkach, obcisłych sukienkach, jedwabnych bluzeczkach i nieziemskich butach. Faceci w sportowych marynarkach i koszulach bez krawatów albo w drogich T-shirtach podkreślających ich muskulaturę. I wszyscy starali się zwrócić na siebie uwagę kowboja z Oklahomy, który trafił do Chicago przez Miami i okrył miasto chwałą. Otaczali go jak pszczoły, nachalni, rozgadani. A ochroniarze na wszystko pozwalali.

Minęła ją kobieta w skórzanych szortach i druga w fioletowej sukience z odkrytym brzuchem. W szafie Piper była tylko jedna kreacja odpowiednia do tej pracy – skromna mała czarna, którą miała na sobie tamtego wieczoru przed ośmioma dniami, gdy ją zdemaskowano. Jedyną zaletą pracy w biurze było to, że mogła nosić dżinsy. Strojenie się do pracy to koszmar.

Już podczas obchodu zauważyła, że nowe zasady obsługi weszły w życie od razu. Ale jej uwagę przykuła Taylor, szczupła ciemnowłosa kelnerka. Poprzednim razem Piper zauważyła, że chyba coś ją łączy z barmanem Keithem.

Kiedy Taylor podeszła do baru po zamówienie, Piper skorzystała z okazji, żeby się przedstawić, i rzuciła:

– Może fajnie byłoby przedstawiać na stronie część personelu? No wiesz, fotka i kilka szczegółów. Co ty na to?

Zdążyła już zauważyć, że większość personelu jest zadowolona z pracy. Dobre zarobki, przyzwoity pakiet socjalny, no i nikt nie oczekiwał od kelnerek umizgiwania się do klientów, żeby sprzedać kolejną butelkę. Ale Taylor raczej nie podzielała ogólnego zachwytu.

– Może być – rzekła, ustawiając szklanki z napojami na czarnej lakowej tacy. – Zrobią wszystko dla Coopa.

Czyżby w jej głosie pojawiła się ostra nuta?

– Oni? Ty nie?

– Ja też, jasne. To świetna praca.

Jej entuzjazm wydawał się fałszywy i Piper postanowiła mieć ją na oku.

Coop zniknął w tłumie łowców autografów i żaden z ochroniarzy nawet nie drgnął, żeby go osłaniać. Doceniała, że nie wyglądają jak więzienni klawisze, trochę jednak przesadzali ze swobodą. Każdy gość chciał się znaleźć jak najbliżej Grahama i chociaż dzisiaj wszyscy byli przyjaźnie nastawieni, to się mogło zmienić. No, ale pilnowanie go to nie jej zadanie. Była w ciągłym ruchu, to chwilę postała przy barze, to podeszła do parkietu, a co pewien czas zaglądała do damskiej toalety.

Parę minut przed północą wybrała się do VIP roomu. Jonah zastąpił jej drogę przy schodach.

– Nie możesz tam iść.

Miała już kontakt z takimi dupkami. Wiedział, że tu pracuje, ale chciał dać jej jasno do zrozumienia, kto tu rządzi. Wysokie obcasy dodawały jej wzrostu i wykorzystała każdy dodatkowy milimetr.

– Mogę iść, gdzie mi się żywnie podoba. Jeśli masz z tym problem, zwróć się do pana Grahama. Tylko się nie popłacz, bo narobisz sobie wstydu.

Minęła go i ruszyła do VIP roomu. Pierwsza noc w pracy, a już narobiła sobie wrogów.

VIP room, podobnie jak cały klub, był utrzymany w brązach i czerni, ale tutaj ażurowe parawany oddzielały przytulne kąciki i imponujący złoty bar w rogu. Kelnerki nosiły takie same stroje jak te na dole – seksowne, ale nie wyzywające. Czarne minisukienki na ramiączkach krzyżujących się na plecach, wykończone czarną koronką. Niektóre miały czarne kozaki na szpilkach, inne – sandały rzymianki, ale wszystko wydawało się sto razy wygodniejsze niż to, co sama miała na nogach.

Mężczyzna, w którym rozpoznała nowego rozgrywającego Starsów, siedział z kilkoma graczami z

Bearsów i przewidywalnie oszałamiającym kwartetem długowłosych dwudziestolatek. Podeszła do baru, zamieniła parę słów z barmanem i rozejrzała się dookoła. Tutaj większość gości skupiała się na osobach przy swoim stoliku, zamiast błądzić wzrokiem po całym pomieszczeniu, jak na dole. Najwyraźniej VIP-y uważają, że to oni są najważniejsi.

Weszła do niewielkiej damskiej toalety na tyłach VIP roomu i zobaczyła piękną brunetkę, w której jak przez mgłę rozpoznała aktorkę z jednego z seriali kryminalnych, osadzonych właśnie w Chicago. Kobieta siedziała na miękkim pufie przed owalnym lustrem, wpatrzona w swoje odbicie, a po jej policzkach spływały czarne od tuszu łzy.

Piper zatrzymała się w progu.

– Wszystko w porządku?

– Moje życie jest do bani – wybełkotała aktorka, cały czas wpatrzona w swoje odbicie.

Sądząc po wielkości brylantów w jej kolczykach i drogiej niebieskiej sukience na jedno ramię, aż tak bardzo do bani nie było.

– Faceci są do bani. Wszytko jest do bani. – Czarne łzy płynęły w najlepsze.

Piper rozważała, czy nie wycofać się dyskretnie, ale od wielu godzin była na nogach i bardzo bolały ją stopy. Przysiadła na sąsiednim pufie i zdjęła szpilki.

– Masz dzisiaj ciężką noc? – zagaiła.

– Ciężkie życie. Wszystko jest do bani.

– Rzuć go. To tylko taka sugestia.

Aktorka uniosła na Piper zdumione niebieskie oczy.

– Ale ja go kocham.

Boże drogi… ile głupich kobiet mieści się na jednej planecie? Piper usiłowała wykrzesać z siebie maksimum współczucia.

– Nie odbieraj tego, co powiem, za bardzo zen, ale może siebie powinnaś kochać bardziej.

Aktorka sięgnęła po chusteczkę i otarła czarne zacieki z tuszu.

– Nie rozumiesz. On potrafi być cudownie słodki. No i mnie potrzebuje. Ma problem.

– Każdy je ma. Niech sam zajmie się swoimi.

Idealnie kształtne nozdrza rozdęły się wrogo.

– Od razu widać, że nie masz pojęcia, jak to jest kochać z całego serca, z głębi duszy.

– Fakt. Chyba że chodzi o nachos o smaku sera.

Aktorka nawet się nie uśmiechnęła. Pochyliła się, a wraz z nią nadpłynął obłok nieziemsko drogich perfum.

– Kim jesteś?

– Nikim. Pracuję tu. Zajmuję się mediami społecznościowymi dla klubu.

Kobieta zmierzyła wzrokiem jej przeciętną sukienkę, bardzo nie na miejscu w tym wyrafinowanym otoczeniu, i wstała, niezbyt zręcznie.

– Żal mi cię. Nie masz pojęcia, co tracisz.

– Litość? – zapytała Piper najspokojniej, jak umiała.

Aktorka wybiegła.

Piper ponuro wpatrywała się w swoje odbicie. To tyle, jeśli chodzi o potencjalną karierę w coachingu.

Nie przywykła do zarwanych nocy, więc zwilżyła jeden z czarnych ręczników dla gości zimną wodą. W tej chwili otworzyły się drzwi i do łazienki weszła najładniejsza z tlenionych blondynek, które flirtowały ze sportowcami.

– Ty też? – mruknęła, widząc, jak Piper przykłada okład na karku. – Muszę się stąd wyrwać. Padam z nóg, a za dwa tygodnie mam ustne.

– Ustne?

Blondynka pochyliła się do lustra i palcem wskazującym starła z zębów ślad szminki.

– Robię doktorat ze zdrowia publicznego.

Długowłosa, śliczna i mądra.

– To nie fair – mruknęła Piper.

– Słucham? – Kobieta przechyliła głowę.

– Brzmi poważnie.

– Cóż, na pewno lepiej wchodzi do głowy, kiedy się człowiek wyśpi. – Blondynka ruszyła w kierunku toalety.

Wychodząc z VIP roomu, Piper upomniała się, że dobry prywatny detektyw nie wyciąga pochopnych wniosków, jak ona, kiedy pogardliwie myślała o farbowanych blondynkach.

Następnego ranka obudził ją dzwonek z *Buffy, postrach wampirów*. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Po omacku szukała telefonu, zrzuciła go na podłogę, panicznie szukała go ze zwieszoną głową.

– Halo.

– Otwieraj, Esmereldo. Musimy pogadać.

– Teraz?

– Teraz.

Z jękiem opadła na miękki materac. Łóżko było niebiańsko wygodne i nie miała najmniejszej ochoty z niego wstawać, zwłaszcza w chwili, gdy nie była sobą na tyle, by zmierzyć się z nowym zleceniodawcą. Zaspana zerknęła na zegarek – wpół do dziesiątej. Położyła się po trzeciej. Dzięki Bogu, że klub jest czynny tylko kilka nocy w tygodniu. Chociaż cztery razy to i tak za wiele.

Spała w koszulce z logo Chicago Bears i w majteczkach. Naciągnęła dżinsy, szybko zapięła suwak i boso przebiegła przez salonik. Otworzyła drzwi, nawet na niego nie patrząc.

– Dopóki nie umyję zębów, z nikim nie rozmawiam.

Odwróciła się, pobiegła do malej łazienki, wyszorowała zęby, załatwiła się, ogólnie wzięła się w garść.

Zastała go na kanapie. Założył nogę na nogę i popijał kawę z kubka z logo Starbucks. Rozejrzała się w nadziei, że zobaczy gdzieś drugi, ale nie.

– Pracujesz dopiero od wczoraj – zaczął – a już miałem na ciebie skargę.

Nie musiała się długo zastanawiać, żeby skojarzyć, od kogo, ale udawała niewiniątko.

– Nie może być.

– Zdenerwowałaś Emily Trenton.

– Emily Trenton?

– Aktorkę z serialu *Z premedytacją*.

– Koszmarny gniot – orzekła. – Nie wiem, jak ty, ale mam już dosyć oglądania kobiet z poderżniętymi gardłami, ilekroć włączam telewizor. Czy nikt już nie wierzy w wyobraźnię widza? Już nie powiem, co myślę o scenach z prosektorium. Jeśli jeszcze raz zobaczę, jak…

– Miałaś obserwować personel, a nie wkurzać gości.

Chciała zaprotestować, ale ugryzła się w język.

– Masz rację. To się więcej nie powtórzy.

Chyba go zdziwiło, że nie chciała dyskutować, ale zdawała sobie sprawę, że posunęła się za daleko w rozmowie z aktorką, i nie było sensu temu zaprzeczać.

Upił łyk kawy i spojrzał na nią uważnie.

– Właściwie co jej powiedziałaś?

– Że powinna rzucić faceta, przez którego tak bardzo cierpi.

– Jeden z najwredniejszych typów w sporcie zawodowym – prychnął Graham z niesmakiem. – Nie ma takiego faulu, którego koleś by nie popełnił. On spowodował jedną z moich kontuzji.

– A jednak wpuszczasz go do klubu.

Wzruszył ramionami.

– Gdybym zabraniał wstępu wszystkim, którzy mnie wściekają, musiałbym zamknąć interes.

– Właściwie zupełnie nie rozumiem, po co go otwierałeś. To branża na pograniczu półświatka – nie twierdzę, że akurat twój klub, ale ogólnie. Do tego koszmarne godziny pracy… A ty masz tyle kasy, że mógłbyś sobie kupić mały kraj. Albo wyspę. Ja kupiłabym wyspę.

– Taniocha.

Z braku kofeiny plecie, co jej ślina na język przyniesie.

– Nie podobasz mi się. – Zaraz jednak się poprawiła. – Żeby wszystko było jasne: nie podoba mi się twoja arogancja, poczucie, że wszystko ci się należy, ale jako twoja pracownica jestem wobec ciebie w pełni lojalna. Gdyby przyszło co do czego, zasłoniłabym cię własną piersią.

– Dobrze wiedzieć.

Zważywszy, że dał jej pracę i dach nad głową, przesadziła, nawet jak na nią. Zwłaszcza że nie miał do niej specjalnego żalu za wczorajszy incydent z aktorką.

– Przepraszam. Kiedy rano nie napiję się kawy, bywam nieznośna.

– Tylko wtedy?

– W innych sytuacjach też.

– Czyżby? – Przesunął wzrok na jej piersi i to w końcu sprawiło, że w pełni oprzytomniała. Zapomniała, że pod koszulką z logo Bearsów nie ma stanika. Skuliła się odruchowo, a on się uśmiechnął. Phi. Widział w życiu najdroższe cycki tego świata, a jej są niezłe, ale zwyczajne. Mimo to sprawił, że nagle straciła całą pewność siebie.

– Ekspres jest na blacie – rzucił.

Już szła do kuchni, gdy przypomniała sobie, że nie zrobiła zakupów.

– Nieważne, zapomniałam wejść do sklepu.

– Młynek i ziarna są na dole. Otworzę klub.

– Ale najpierw włożę buty.

Nie tylko buty. Włożyła też stanik, a kiedy wyszła, Graham uważnie oglądał Kwika.

– Właściwie jakiej to szkoły maskotka?

– Uniwersytetu stanowego. Na prowincji.

– Hm. – Rzucił go w jej stronę szybkim ruchem, przekonany, że nie złapie. Ale złapała.

Kiedy schodzili na parter, rozkoszowała się tym małym zwycięstwem. Zamiast do kuchni w klubie, otworzył drzwi na zewnątrz.

– Poczekaj chwilę, dobrze? – Wyszedł.

Wyjrzała i zobaczyła, że podczas wczorajszej burzy wiatr porozrzucał po zaułku zalane alkoholem pudła. Graham był niezadowolony.

– Mieli to posprzątać. – Podniósł mokry karton, cisnął do kontenera na śmieci i schylił się po kolejny.

Przyznała Cooperowi dodatkowe punkty za to, że nie boi się brudnej roboty, i ruszyła mu pomóc.

Z obrzydzeniem podnosząc nasiąknięty błotem kawał tektury, zobaczyła Jadę. Wypchana siatka z zakupami sugerowała, że ciążyły na niej obowiązki nieznane wielu jej rówieśnikom. Jada pomachała, Piper odpowiedziała tym samym i schyliła się po kolejny karton.

Zza rogu wyskoczył nastolatek z pistoletem na pianki w dłoni.

Piper zesztywniała, odwróciła się, zawołała Jadę.

Dziewczyna sięgnęła za pazuchę po broń, ale przeszkadzała jej siatka z zakupami. Nastoletni piankowy zabójca chwycił rękojeść jak policjanci w telewizji. Jada zaraz zginie. O nie, dopóki Piper ma tu coś do powiedzenia.

Skoczyła i z całej siły pchnęła na linię strzału pierwsze, co wpadło jej w ręce.

Coopera Grahama.

Rozdział 6

Graham zachwiał się – nie od kuli, która odbiła się od jego barku, nie robiąc najmniejszej krzywdy, tylko dlatego, że z całej siły pchnęła go bez ostrzeżenia.

Kolejna kula przecięła powietrze z przeciwnej strony. Jada wkroczyła do akcji.

– Nie żyjesz! – zawołała.

– To nie fair! – zaprotestował nastolatek.

– Jak najbardziej fair! – odcięła się Jada.

Graham tymczasem upadł pośrodku zaułka biodrem w błotnistej kałuży.

– Co, do cholery?

Ofiara Jady zniknęła za rogiem. Dziewczyna sapnęła głośno, widząc, co spotkało Grahama. Piper podbiegła do niego. Błoto spływało po jego ciuchach i skórze, pojedyncza grudka trafiła nawet do słynnego dołeczka w brodzie. Miał brudne dżinsy i dłonie. Uklękła przy im.

– O Boże! Wszystko w porządku?

Jada biegła alejką.

– Coop? Nie mów mamie, błagam! – Spojrzała na Piper. – Gdyby nie ty, zginęłabym!

A teraz ona zginie z ręki Grahama. I nie zabije jej piankowa kulka, o nie. Narzędziem zbrodni będą, sądząc po jego minie, te wielkie, brudne dłonie.

Piper przykucnęła, czując, jak woda przesiąka przez dżinsy na kolanach.

– Jada, wracaj do domu.

Dziewczynie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Spojrzała błagalnie na Grahama i zniknęła w budynku, zabierając ze sobą siatkę z zakupami i karabin.

Piper została w zaułku sama z facetem, którego kariera opierała się między innymi na tym, że sam radził sobie z naporem przeciwników. Wstał z kałuży i z jego buta zsunęła się wyschnięta skórka od grejpfruta.

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj. – Wstał z gracją i zarazem agresją leoparda. Czy ktoś by się dziwił, gdyby zachwiała się na nogach, wstając? Zacisnął zęby i powtórzył: – Nigdy więcej. Jasne?

Morderczy błysk w jego oczach budził co najmniej lekki niepokój.

– Tak jest… szefie.

Lodowata wściekłość przerodziła się w płonący gniew.

– Co cię ugryzło, do cholery?

– Jestem świetnie wyszkoloną maszyną do walki? – Zabrzmiało to jak pytanie, nie stwierdzenie, ale i tak nie były to właściwe słowa, bo nachmurzył się jeszcze bardziej.

– Zareagowałam odruchowo – tłumaczyła. – Stałeś mi na drodze, a chciałam chronić Jadę.

– Przed piankową kulą!

– No tak… wiem… ale… – Nie był to odpowiedni moment, by wtajemniczać go w Asasynów

świętego Piusa, ograniczyła się więc do skróconej wersji. – To taka gra. Chodzi o pieniądze i akceptację w nowej klasie.

– Nie wiem, jakim sposobem to umknęło twojej uwagi, ale ja w nic nie gram.

– Nie umknęło. Gdybyś nie stał tam, gdzie stałeś, wzięłabym kule na siebie.

Zmrużył oczy.

– Zaledwie dziesięć minut temu deklarowałaś się, że zasłoniłabyś mnie własną piersią. I co z tego wyszło?

– Cóż.. – Głośno przełknęła ślinę. – Teraz już wiesz, jaka jestem szybka. To chyba pocieszające? Jak myślisz, ile osób na ziemi reaguje tak błyskawicznie?

Ojoj. Niewłaściwy dobór słów. Widziała, jak gotuje się ze złości.

– To nie była reakcja, to był atak!

– Dzielisz włos na czworo, ale rozumiem, o ci chodzi. – Choć sam nie zauważył strużki krwi na swojej dłoni wartej miliony dolarów, ona ją widziała. Rzuciła się przytrzymać drzwi.

– Wejdźmy do środka, doprowadzisz się do porządku, a ja dostanę tę obiecaną kawę. – Gorączkowo szukała w myślach czegoś, co go ułagodzi. – I przy okazji pogadamy o interesach. Usłyszysz pierwsze sprawozdanie.

O dziwo, to go trochę uspokoiło, choć i tak wyrwał jej klamkę i bez zbytnich ceregieli wepchnął do środka. Dopiero wtedy zobaczył krew na ręce. Zaklął pod nosem.

– To tylko zadrapanie. – Wyprzedziła go i otworzyła drzwi do kuchni. – Zaraz cię opatrzę.

– Akurat.

– Potrzebuję tylko apteczki.

– I licencji do zabijania. – Minął ją. – A może już ją masz?

– Dowcipny i inteligentny. Szczęściara ze mnie, że u ciebie pracuję.

– Zamknij się. – Ale w jego głosie było już mniej jadu.

W małej, nieskazitelnie czystej kuchni była lada ze stali nierdzewnej, piec, frytkownica i grill, niezbędne do przygotowania potraw z ograniczonej oferty kulinarnej klubu – miniburgerów, frytek i darmowej przekąski o drugiej nad ranem – ciastek z burbonem. Graham płukał rękę pod zlewem, Piper tymczasem znalazła apteczkę w spiżarni. Wyrwał jej pudełko z ręki.

– Dawaj to. Może przesadzam, ale wolałbym zachować tę rękę.

– Obrażasz mnie.

Kiedy uniósł plastikowe wieczko, dostrzegła drobinki żwiru w jego dłoni.

– Naprawdę bardzo mi przykro. – To chyba nie wystarczy, żeby go udobruchać. – Mam dla ciebie dobre wieści. Z tego, co widziałam, obsługa w VIP roomie jest rewelacyjna, co powinno być oczywiste, biorąc pod uwagę ich napiwki, ale dobrze, że tak jest naprawdę. – Chyba nie udało jej się go ułagodzić. Jeszcze nie. To nieodpowiednia chwila, by rozwodzić się na temat leniwych ochroniarzy, a na razie nie miała żadnych dowodów nieuczciwych poczynań kelnerki Taylor. Miała więc małe pole manewru. – Powiem ci coś, co bardzo cię ucieszy. Osobiście zaopiekuję się fanpage'em klubu.

Buszował w apteczce.

– Mam ludzi, którzy to robią.

– Tak, ale w przeciwieństwie do nich, wiem, czym się różni czasownik od rzeczownika. – Po jego przegubie spływała strużka krwi. Urwała kawałek papierowego ręcznika i podała mu, wolała jednak nie informować, że w dołku w brodzie nadal ma odrobinę błota. – W Chicago jesteś dzisiaj gwiazdą, ale jak myślisz, jak długo tak będzie, jeśli nie zainwestujesz w media społecznościowe? Spędziłeś w Starsach tylko trzy sezony, nie jak Bonner, Tucker czy Robillard, którzy związali z tą drużyną całą karierę. Sława przemija, więc jeśli chcesz, żeby firma się rozwijała, musisz trzymać rękę na pulsie.

Nie podobało mu się to.

– Zawsze daję z siebie sto procent. Powinnaś to wiedzieć.

Chciała go uspokoić, nie rozjuszyć. Uzbroiła się w cierpliwość.

– Przez najbliższe tygodnie będę też monitorować recenzje klubu i odpisywać na wiadomości. – Dokładnie to, przed czym uciekła z poprzedniej pracy. – A to, mój przyjacielu, jest warte kilku kropel błota z kałuży.

Wyjął cążki.

– Mów dalej.

– Chcesz jeszcze?

Wzruszył ramionami.

– Daj mi to. – Wyrwała mu cążki z dłoni.

Chyba nie miał do niej żalu; kiedy oddawał jej cążki, był nie tyle zły, ile zaintrygowany.

– Zdajesz sobie sprawę, że idziesz jak taran?

– Tylko przy tobie.

– Niby dlaczego?

Bo trzymał w garści jej przyszłość.

– Bo jesteś chodzącą legendą.

– Musisz się bardziej postarać, Esmereldo.

– Ja jestem tylko człowiekiem. – Przetarła cążki chusteczką dezynfekującą. – A ty… nadczłowiekiem.

– Chyba nie chcesz mi znowu wciskać tego kitu, że jestem bogiem?

Właśnie taki miała zamiar.

– Skądże. Zwracam tylko uwagę na fakt, że jestem nerwowa w twoim towarzystwie, bo ja jestem zwykłą śmiertelniczką, a ty nie.

– Zachowałabyś spokój w gnieździe grzechotników. – Rozjaśniła się, słysząc komplement, ale Graham brnął dalej: – Podlizujesz mi się, bo wypisuję ci czeki, a potrzebujesz pieniędzy, żeby utrzymać się w branży.

Zacisnęła zęby.

– Gorzka pigułka do przełknięcia. Nie ruszaj się teraz. – Zabrała się za czyszczenie ranki. Pewnie bolało jak diabli, ale Kapitan Ameryka jest z wibranium i nawet się nie skrzywił. Ani nie spuścił z niej wzroku.

– Opowiedz mi o sobie – powiedział, jakby naprawdę go to interesowało. – Bez ściemy.

Starała się nie zagłębiać w szczegóły.

– Jestem jedynaczką. Kiedy miałam cztery lata, moją mamę zamordowano w napadzie ulicznym. Zostałam sama z ojcem. Czasem traktował mnie jak syna, którego tak naprawdę chciał mieć, to znów był nadopiekuńczy. To się dopiero nazywa schizofrenia.

– Teraz wiem, dlaczego jesteś taka pokręcona.

– Nie radzę obrażać kobiety z cążkami w ręku. – Wyjęła z ranki kolejne ziarenko żwiru. – Skończyłam dwa fakultety, informatykę i socjologię na University of Illinois i przez jedenaście lat pracowałam za biurkiem, czego pod koniec z całego serca nienawidziłam. Rozważałam, czy nie przyprawić staruszka o zawał, wstępując do policji, ale tak naprawdę wcale nie chciałam nosić munduru, tylko pracować na własny rachunek. Przewijamy do przodu… Po śmierci ojca kupiłam Agencję Detektywistyczną Dove od macochy. – Za żadne skarby świata nie powie mu, jak bardzo przepłaciła.

– Kupiłaś?

Jedno ziarenko żwiru wbiło się szczególnie głęboko i starała się je wyciągnąć najdelikatniej, jak umiała.

– Miałam do wyboru albo to, albo ją zamordować. Bardziej mi się podobała ta druga możliwość, ale za coś takiego można trafić do więzienia.

– Fakt. Hetero czy LGBT?

– Ja czy macocha z piekła rodem?

– Ty.

Wyjęła ostatnie ziarenko i przetarła rankę środkiem dezynfekującym.

– Hetero. Niestety.

– Dlaczego?

Zdezynfekowała cążki i schowała z powrotem do apteczki.

– Właściwie – choć od tej reguły są wyjątki – wolę kobiety od mężczyzn. Są ciekawsze. Bardziej złożone. I lojalne. Jedną z rzeczy, których najbardziej w życiu żałuję, jest brak pociągu do przedstawicielek mojej płci.

Uśmiechnął się.

– Zdaje się, że trafił ci się jeden kiepski chłopak za dużo.

– I mówi to facet, który spotykał się z połową Hollywood. Jak ci się podobało na ceremonii rozdania Oscarów?

– Straszne nudy. – Poruszył palcami, jakby chciał się upewnić, że mu ich nie ukradła. – Masz teraz kogoś?

– Twój kumpel z policji się stara, ale nic z tego nie będzie.

– Mój kumpel z policji?

– Eric Vargas. Funkcjonariusz Ciacho.

Graham roześmiał się.

– Żartujesz. Nie chcę cię urazić, ale… – błysk w złotych oczach zdradzał, że bardzo chce ją urazić – czy to aby nie za wysokie progi na twoje nogi?

Uśmiechnęła się.

– Można tak pomyśleć, co? Ale zawsze się podobałam przystojnym facetom.

Spoważniał, zaskoczony, że jego złośliwość nie przyprawiła jej o łzy.

– Masz jakąś teorię na ten temat?

– Mam. – Przyłożyła gazik do wnętrza jego dłoni. – W ich oczach jestem jedną z nich i dlatego dobrze się ze mną czują. Aż w końcu orientują się, że ich wykorzystuję. Nie jakoś bezczelnie, nie lubię tego. Ale litości, kto traktuje poważnie facetów hetero?

Przechylił lekko głowę, jakby nie wierzył własnym uszom.

– A ty wykorzystujesz ich tylko do?…

– A jak myślisz?

I znowu go pokonała. Znowu nie wiedział, co powiedzieć. Była zachwycona. Nie miał pojęcia, jak krótko trwały jej związki i jak samotna czuła się wtedy, w łóżku z prawie nieznajomym facetem.

– Czyli jesteś femme fatale? – rzucił.

– Bez przesady, nie jestem aż tak seksowna.

Już miał coś powiedzieć – czyżby zaprotestować? – ale ugryzł się w język, a Piper zamknęła apteczkę i zajęła się szukaniem kawy.

Coop odprowadzał ją wzrokiem, gdy zniknęła w spiżarni. Nie była piękna, tylko… Jaka właściwie? Jedno słowo przychodziło mu do głowy – irytująca. I może jeszcze – intrygująca. Spojrzał na swoje dżinsy pochlapane błotem. Na podarty rękaw marynarki. Na zabandażowaną dłoń. Irytująca, intrygująca i odrobinę niebezpieczna. Błyskawiczny refleks, ciemne włosy pocięte jakby żyletką, bystre błękitne oczy i grube, długie rzęsy; szerokie usta i szczęka prawie tak kwadratowa jak jego. I jeszcze jej ciało. Żadnych sterczących kości. Zaokrąglone we wszystkich właściwych miejscach.

Ale kiedy tylko będzie po robocie, zniknie z jego życia. Nie miał teraz czasu na nieprzewidywalne osoby wokół siebie, choć akurat Piper sprawiała, że czuł… może nie przypływ adrenaliny, ale odbierał wszystko ze wzmożoną świadomością. Była nieprzewidywalna, a to oznaczało, że musiał mieć się na

baczności.

Nie, to nie do końca tak.

Powinien być wobec niej czujny, ale nie zamknięty w sobie. Wręcz odwrotnie, szczerze mówiąc. Nie używał pięści. Nigdy nawet nie przyszło mu to do głowy. Był zawsze uprzejmy, nawet wobec kobiet, które działały mu na nerwy, jednak przy niej zachowywał się jak szkolny łobuz, który sprawia dziewczynie przykrość tylko po to, by zobaczyć, jak płacze. Tyle że Piper Dove nie płacze. Była twarda.

Wyszła ze spiżarni. Nie sposób skończyć dwóch fakultetów na University of Illinois, będąc idiotką, i jej inteligencja stanowiła kolejny powód jego irytacji. Ironia losu, że pociągają go mądre kobiety, zważywszy jego mizerne dokonania akademickie. No, ale jego kiepskie stopnie to skutek niezliczonych godzin na boisku, a nie braku bystrości.

Piper sama uruchomiła ekspres. Na pewno kłamała w kwestii swoich podbojów. Albo i nie, bo faktem jest, że ma coś w sobie. I zanim nalała sobie kawy, wiedział już co.

Wyzwanie.

Chodziło o jej podejście, o to, jak sięgała po to, czego pragnie. Rzucała się na życie, nie czekała, co jej podsunie na tacy. A fakt, że traktowała go obojętnie, budził w nim idiotycznie prymitywny instynkt zdobywcy. I właśnie to widzieli w niej inni faceci. Była papierkiem lakmusowym ich męskości.

Podejrzewał, że sama nie zdaje sobie z tego sprawy. Zresztą nawet gdyby było inaczej, chyba świadomie nie grałaby tą kartą. Nie zależało jej na przystojnych facetach na tyle, żeby udawać niezdobytą. Sednem jej życia była praca, a faceci to tylko nieunikniona komplikacja. I dlatego…

I dlatego ją dopadnie.

Sam nie wiedział, skąd właściwie wzięła się ta myśl… choć może od samego początku czaiła się gdzieś na dnie świadomości. Mógłby ją wziąć już teraz. Opartą o zlew. O blat. Rozebrać ją i przypomnieć, jak to w życiu jest. Facet górą.

Pieczenie w dłoni ściągnęło go na ziemię. Brzydził się sobą. Skąd mu to w ogóle przyszło do głowy, do cholery?

Odstawiła kawę.

– Co znowu zrobiłam?

Wiedział, że się krzywi.

– Oddychasz.

– Bardzo przepraszam. – Uniosła kubek w toaście, niewzruszona jego obcesowością. – Bardzo szlachetnie pan dzisiaj postąpił, panie Graham, czy pan tego chciał, czy nie. Ocalił pan Jadę przed przedwczesną śmiercią. Karma to panu wynagrodzi.

– Nie nazywaj mnie panem Grahamem. – Nie flirtował z pracownicami. Nigdy. Nie musiał. Z Esmereldą też nie będzie. Na razie. Dopóki dla niego pracuje. Ale kiedy skończy, będzie miał wolną rękę. Zanim ich drogi się rozejdą, okaże się, które z nich ma większe jaja.

Piper ziewnęła i wyszła do holu z kubkiem termicznym w dłoni. Był niedzielny poranek, pracowała do trzeciej, ale nie mogła sobie pozwolić na leniwe przedpołudnie. Musiała wracać do biura.

Otworzyły się drzwi mieszkania Jady i w progu stanęła szczupła ciemnowłosa kobieta z plecakiem.

– Nasza nowa sąsiadka – domyśliła się na widok Piper.

– Piper Dove.

– Karah Franklin.

Pewnie matka Jady, choć wyglądała raczej na jej starszą siostrę. Ciemne kręcone włosy opadały na ramiona. Skóra o przyjemnym oliwkowym odcieniu nie potrzebowała nawet odrobiny makijażu. Była piękna i Piper podejrzewała, że Coop pozwolił jej mieszkać tu za darmo nie ze względu na pamięć jej nieżyjącego męża, ale dlatego, że byli kochankami. Była na tyle podobna do Kerry Washington, że

spokojnie można by ją uznać za kochankę-celebrytkę.

Karah zarzuciła sobie plecak na ramię.

– Jada mówiła, że się wprowadziłaś. Powiedz, gdyby za bardzo dawała ci się we znaki.

Piper przypomniała sobie Coopa leżącego w kałuży w zaułku poprzedniego ranka.

– Nie ma o czym mówić. To wspaniała dziewczyna.

– Czy aby na pewno mówimy o tej samej osobie?

Piper uśmiechnęła się.

– Mamy umowę.

– Pracuję i jednocześnie studiuję rachunkowość, więc nie mogę poświęcać jej tyle uwagi, ile bym chciała. – Poczucie winy miała wypisane na twarzy. – Teraz też biegnę do biblioteki.

Piper dostrzegła jej zmęczone oczy. A więc nie jest kochanką Coopa; gdyby była, nie pozwalałby jej tak ciężko pracować.

– Nie jest ci łatwo.

– Mogło być gorzej. Miło cię poznać.

– Wzajemnie.

Kiedy Piper dotarła do biura, dopiła letnią kawę i zadzwoniła do Jen, żeby pogadać o Berni. Odpaliła komputer. Praca w Spiral to tylko jednorazowe zlecenie i musiała dalej reklamować swoje usługi. Od dawna umieszczała w sieci wskazówki na temat samoobrony, ostrzegała przed oszustwami finansowymi, pouczała, jak reagować w trudnych sytuacjach. Teraz chciała część tych wskazówek umieścić w ulotkach, które wykorzysta jako dodatkową reklamę swojej firmy.

Zależało jej na ważnych klientach – kancelariach prawnych, dużych firmach ubezpieczeniowych. Na razie jednak najszybciej mogła zarobić, grając kartą podejrzliwości. Zaczęła pisać:

„Skąd wiesz, że cię nie zdradza?

Czy aby na pewno wyszła z przyjaciółkami?”

Zaczęła spisywać oznaki, że partner cię zdradza – zbyt wiele wieczorów w pracy, tajemnicze głuche telefony, zaskakujące zainteresowanie pielęgnacją ciała. Rozda ulotki osobiście w salonach fryzjerskich, kafejkach, na siłowniach – wszędzie, gdzie jej na to pozwolą. A na każdej będzie jej logo i numer telefonu.

Który znowu zadzwonił. I znowu Jen.

– Nie uwierzysz, kto przyjeżdża! – zawołała. – Jakieś księżniczki z jednego z imperiów naftowych. Ze świtą. Ponad pięćdziesiąt osób! I muszą mieć kobiety kierowców!

– Skąd wiesz?

– Od Dupka. Słyszałam przed chwilą, jak rozmawiał o tym z jednym z dziennikarzy. Zdaje się, że księżniczki postanowiły przepuścić kilka miliardów na Mag Mile, a nie na Rodeo Drive. Domyślasz się chyba, że dają niezłe napiwki!

– Wchodzę w to! – oznajmiła Piper.

Skontaktowała się ze starym znajomym ojca, który załatwił jej numer telefonu firmy wynajmującej limuzyny VIP-om odwiedzającym Chicago, i tym sposobem wkrótce miała dodatkową pracę. Jeszcze nie bardzo wiedziała, jak pogodzi wożenie jej książęcej mości ze zleceniem Coopera Grahama, ale na pewno coś wymyśli.

We wtorek rano siedziała na lotnisku O’Hare za kierownicą czarnego SUV-a. Nigdy nie wyobrażała sobie siebie w roli szofera, ale praca wydawała się ciekawa, pieniądze niezłe, a perspektywa sowitego napiwku sprawiała, że tego zlecenia nie mogła nie przyjąć. Po południu miała spotkać się z Grahamem i pogadać o stronie klubu, ale do tego czasu zdąży przewieźć tajemniczą pasażerkę z lotniska do hotelu Peninsula.

Rodzina królewska, jak się dowiedziała, liczyła koło piętnastu tysięcy osób, ich książęcych mości o różnych tytułach, zależnie od tego, czy byli w kolejce do tronu, czy nie. W podróżach zawsze towarzyszyła im świta: inni krewni, ochrona, służba i, jak wieść niesie, walizki pełne gotówki. Miała nadzieję, że kiedy już będzie po wszystkim, trochę tej gotówki trafi do niej w postaci napiwku.

Przyleciały prywatnym boeingiem 747 i jako VIP-y nie musiały stać w kolejkach do urzędników imigracyjnych. Przed budynkiem czekał sznur SUV-ów i furgonetek. Kiedy orszak wynurzył się z terminalu, tradycyjne stroje miały na sobie tylko służące. Księżniczki – co najmniej tuzin, w różnym wieku, od nastolatek po pięćdziesiątki – wystroiły się w kreacje od najdroższych projektantów. W słońcu lśniły brylanty, szpilki od Louboutina stukały na asfalcie, torebki od Hermèsa kołysały się w dłoniach.

Najbardziej rozpieszczone księżniczki Bliskiego Wschodu zjechały do Chicago.

Rozdział 7

Piper przytrzymała drzwiczki pięknej kobiecie po czterdziestce w wielkich okularach przeciwsłonecznych od znanego projektanta wsuniętych w burzę kruczoczarnych włosów. Miała na sobie jaskrawofioletowy żakiet od Chanel, krótką czarną mini i szpilki na niebotycznie wysokich obcasach, które wyglądały jak śmiercionośne rakiety.

Ledwie ruszyły, kobieta wyjęła komórkę i zaczęła mówić coś szybko po arabsku. Piper miała do niej setki pytań, ale poinstruowano ją, że nie wolno jej odzywać się do arystokratek. Wielka szkoda. Kobieta nawet na nią nie spojrzała, co jednak nie oznaczało, że jest wrogo nastawiona. Piper była dla niej po prostu niewidzialna.

Zanim kawalkada dojechała do hotelu Peninsula, Piper bolała szczęka od zaciskania ust. Szóste miejsce w kolumnie limuzyn wskazywało, że jej pasażerka nie stała zbyt wysoko w królewskiej hierarchii. Księżniczka wysiadła, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem, i zniknęła w drzwiach hotelu. Jeden z ponurych ochroniarzy podszedł do samochodu i kazał Piper poczekać.

Więc czekała. Minęło pół godziny. Godzina. Strażnik warknął na nią jak pies, gdy wyskoczyła z limuzyny, żeby skorzystać z toalety.

– Masz czekać!

– Zaraz wracam! – Biegnąc przez foyer, przypomniała sobie, że w ojczyźnie księżniczek niewolnictwo zniesiono dopiero w 1962 roku.

Kiedy wróciła, na tylnym siedzeniu siedziała służąca. Młodziutka, o okrągłej buzi i smutnych ciemnych oczach. W przeciwieństwie do arystokratek miała na sobie tradycyjną szarą abaję i granatowy hidżab. Piper przeprosiła, że kazała jej czekać. Dziewczyna była wyraźnie zaskoczona.

– Nic nie szkodzi.

Piper kamień spadł z serca, że mówi po angielsku, a ponieważ nikt jej nie zabronił rozmawiać ze służbą, przedstawiła się.

– Mam na imię Piper.

– A ja Faiza – odparła dziewczyna nieśmiało. – Jej Wysokość Księżniczka Kefaya kazała mi kupić te buty. – Podniosła kartkę wyrwaną z francuskiego czasopisma o modzie. Na fotografii były skórzane sandałki na wysokim obcasie. – Zawieź mnie do nich.

– Jasne. Dokąd jedziemy?

– Tam, gdzie mają takie buty.

– Znasz nazwę sklepu?

– Jej Wysokość mi nie powiedziała.

– Nie możesz zadzwonić i zapytać?

Faiza była autentycznie przerażona.

– O, nie. Tak nie wolno. Musisz mi pomóc znaleźć te buty.

Piper wyciągnęła rękę po kartkę. Dostrzegła logo YSL. Sięgnęła po telefon i wyszukała butik Yves'a Saint Laurenta w hotelu Waldorf kilka przecznic dalej.

– Lubisz swoją pracę? – zagadnęła, gdy skręcały w Rush.

Dziewczyna była wyraźnie zbita z tropu.

– Praca to praca. – A potem, jakby uznała, że udzieliła niewłaściwej odpowiedzi, dodała: – Jej Wysokość Księżniczka Kefaya nigdy mnie nie bije. Mam dobrze, bo dzielę łóżko z tylko jedną służącą.

Sądząc po jej głosie, wcale nie było tak dobrze. Piper domyślała się, że rozmowa o pracodawczyni może wpakować Faizę w kłopoty, ale nie mogła zignorować smutku w ciemnych oczach dziewczyny, gdy ta obserwowała Amerykanki na chodnikach, z modnymi plecakami i pewną siebie postawą.

Dlatego – chociaż zamierzała krążyć wokół hotelu Waldorf, kiedy Faiza będzie załatwiać sprawunki – nie miała serca odmówić błagalnej prośbie dziewczyny, żeby weszła z nią do środka. Niechętnie oddała kluczyki parkingowemu i weszła z nią do hotelu.

Elegancki butik z białą marmurową posadzką, wysokim sufitem i różnorodnością drogich produktów zupełnie nie przypominał sieciówek, w których zazwyczaj ubierała się Piper. Powietrze wypełniał zapach perfum i luksusu. Faiza podała Piper kartkę z czasopisma.

– Jej Wysokość chce te buty we wszystkich dostępnych kolorach.

– We wszystkich kolorach?

Piper jeszcze usiłowała to ogarnąć, gdy podeszła do nich młoda, zadbana sprzedawczyni, zdecydowanie bardziej zainteresowana tradycyjnym strojem Faizy niż uniformem Piper, który składał się z białej bluzki, czarnych spodni i ciemnego żakietu, wyszperanego dzień wcześniej w second-handzie. Uniżoność ekspedientki zdradzała, że w Chicago już rozeszła się wieść, że najbogatsze kobiety świata przyjechały na zakupy.

Ale nawet entuzjastycznie nastawiona sprzedawczyni załatwiła im tylko dwie pary z pięciu poszukiwanych. Biedna Faiza zdenerwowała się tak bardzo, że ręce jej drżały, gdy otwierała plastikową torebkę z plikiem banknotów studolarowych. Zapewne były to drobne w rękach rodziny szacowanej na bilion dolarów.

Po zakończeniu transakcji Faiza schowała resztę gotówki do torby i starannie złożyła paragon. Kiedy wychodziły ze sklepu, przyciskała torbę do piersi. Na jej twarzy malowała się troska, niepasująca do tak młodej buzi.

Piper ponownie sięgnęła po telefon i trzy kwadranse później pomogła Faizie kupić identyczne czerwone buty w Barneys. Ale i to nie wystarczyło.

– Nie rozumiesz. – Faiza nerwowo splatała dłonie na uchwycie torebki. – Nie mogę zawieść Jej Wysokości. Musi je mieć we wszystkich kolorach.

Piper zatrąbiła na bezczelnego kierowcę.

– Nie uważasz, że pięć par to i tak pełny wypas?

Faiza nie zrozumiała. Może to i lepiej.

Piper miała się spotkać z Grahamem dopiero za trzy godziny, uznała więc, że zdąży pojechać do Nordstroma na przedmieściach – ustaliła, że mają tam dwie brakujące im pary – odwieźć Faizę do Peninsula i dotrzeć na czas do Spiral. Uśmiechnęła się z trudem.

– Jedziemy.

Im bardziej oddalały się od centrum, tym bardziej Faiza przypominała nastolatkę, którą tak naprawdę była. Piper wspomniała o pracy u Grahama, Faiza zrewanżowała się opowieścią o sobie. Pochodziła z Pakistanu i była muzułmanką. Jako czternastolatka przyjechała do królestwa na pielgrzymkę – żeby pomodlić się w świętym miejscu za zmarłych rodziców i siostrę – i w poszukiwaniu pracy. Skończyła jako służąca, czy raczej współczesna niewolnica, bo harowała niemal bez chwili odpoczynku i bez paszportu, który odebrano jej pierwszego dnia i od tego czasu nie widziała go na oczy.

Faiza gorączkowo sprawdzała, czy ma wszystkie paragony. Piper słyszała, że arystokratom zdarza się

bić służących, i wolała nie myśleć, co czeka biedaczkę, gdyby rachunki się nie zgadzały.

Nordstrom, w którym mieli upragnione buty księżniczki, znajdował się na zachodnich przedmieściach, na terytorium Starsów. Czas płynął, a ekspedientka ruszała się jak mucha w smole, ale jeśli bogowie korków będą łaskawi, Piper powinna zdążyć.

Nie byli. Wypadek na autostradzie sparaliżował ruch, a że Graham nie podał jej swojego numeru, nie mogła do niego zadzwonić, mogła się tylko wściekać.

Samochody posuwały się w ślimaczym tempie. Piper była tak spięta, że bolały ją całe plecy. Oddychała głęboko, powtarzając sobie, że nie ma sensu się denerwować, bo to niczego nie przyspieszy. Skupiła się na pasażerce.

– Faiza, gdybyś mogła zrobić wszystko, co zechcesz, co byś wybrała?

Długo czekała na odpowiedź.

– Marzenia to głupota w przypadku kogoś takiego jak ja – usłyszała wreszcie.

Uświadomiła sobie, że jej pytanie było okrutne.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

Faiza odetchnęła głęboko.

– Wyjechałabym do Kanady i poszła do szkoły dla pielęgniarek. Chciałabym opiekować się wcześniakami, takimi jak moja siostra. Ale to nie jest mi pisane. – Mówiła spokojnie, rzeczowo, nie oczekiwała współczucia.

– Dlaczego akurat Kanada?

– Mieszka tam siostra mojego ojca. To moja jedyna krewna. Nie widziałam jej od dzieciństwa.

– Utrzymujecie kontakt? Przez telefon?

– Nie mam własnego telefonu. Nie rozmawiałam z nią od prawie dwóch lat.

– Może zadzwonisz z mojej komórki? – zaproponowała Piper spontanicznie.

Faiza gwałtownie zaczerpnęła tchu.

– Pozwoliłabyś mi?

– Jasne. – Piper i tak tkwiła po uszy w długach, kilka dolarów więcej na rachunku za telefon nie sprawi różnicy. – Znasz jej numer?

– Tak, nauczyłam się go na pamięć. Ale gdyby ktoś się o tym dowiedział…

– Nie ode mnie. – Rzuciła komórkę na tylne siedzenie i wytłumaczyła Faizie, jak z niej korzystać.

Ciotka chyba odebrała, bo po chwili Piper słuchała radosnej rozmowy w, jak się domyślała, języku urdu. Kiedy wreszcie wróciły na Eisenhower, Faiza oddała jej telefon.

– Khala bardzo się o mnie martwi – mówiła przez łzy. – Chce, żebym do niej przyjechała, ale ja nie mam pieniędzy na podróż i nie mam pojęcia, jak się tam dostać.

Odezwała się komórka Piper. Podczas pracy nie powinna odbierać rozmów prywatnych, ale tej nie mogła zignorować, więc włączyła zestaw głośnomówiący.

– Ciekawe – odezwał się znajomy męski głos. – Siedzę w biurze na spotkaniu, które miało się zacząć dziesięć minut temu, ale ciągle jestem sam.

– Korki. – Zanim zbeształ ją bardziej, zaatakowała: – Gdybyś podał mi swój numer, uprzedziłabym cię.

– Korki to żadna wymówka. To dowód złego planowania czasu.

– Wyślę tę złotą myśl do telewizji, może Oprah ją wykorzysta.

– Wolałem, kiedy udawałaś, że się we mnie kochasz.

– Leki już zadziałały.

Tylko prychnął.

Zagryzła dolną wargę i spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej.

– Gdybym miała twój numer…

– Przecież ci mówiłem. Chcesz się ze mną skontaktować? Dzwoń do mojego agenta.

– Myślałam, że żartujesz.
– Ja nigdy nie żartuję.
– Nie do końca prawda, ale… będę za trzydzieści pięć minut.
– Wtedy będę już na siłowni.
Piper rozłączyła się, a Faiza zapytała z wyraźnym niedowierzaniem:
– W ten sposób rozmawiałaś ze swoim szefem? Tym sportowcem? Tak bez szacunku?
– Zdenerował mnie.
– Na pewno cię ukarze.
Na pewno. Ale nie tak, jak to sobie wyobrażała Faiza.
– Tutaj pracodawca może ci zrobić tylko jedno – wyrzucić z pracy.
– Bardzo dziwny, bardzo wspaniały kraj. – W Faizie była dobroć, którą Piper mogła tylko podziwiać. Smutek w jej głosie chwytał za serce.
W końcu dotarły do hotelu. Faiza dotknęła jej ramienia.
– Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Jesteś dobrą przyjaciółką. Co wieczór będę się za ciebie modliła.
Lekka przesada, ale Piper nie gardziła żadnymi modlitwami w jej intencji.

– Kiedy powiedziałem, że będę na siłowni, wcale nie chciałem cię tu zaprosić.
Coop musiał przekrzykiwać norweski zespół blackmetalowy, który ryczał na całe gardło z głośników. Kiedy wymierzył potężny cios workowi treningowemu, z jego szczęki spadła kropla potu. Piper w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie poinformować go, że pastwienie się nad workiem treningowym jest nie tylko w złym guście, ale przede wszystkim mało efektywne.
Siłownia Pro Title Gym była mekką zawodowych sportowców – ascetyczne wnętrze, czarne gumowe maty, zardzewiała metalowa siatka na ścianach, a na jednej z nich amerykańska flaga i pożółkły plakat z cytatem z filmu *Fight Club*: „Słuchajcie, robaki, nie jesteście wyjątkowi”. Powietrze przesycał zapach potu i gumy. Tu nie było baru ze świeżo wyciskanymi sokami ani modnych ciuchów. Pro Title to miejsce drogie, ekskluzywne i hardcorowe.
– Jak tu weszłaś? – Coop nie tyle zapytał, ile warknął jak rottweiler.
– Przespałam się z kolesiem z recepcji – odcięła się, przekrzykując zawodzenie gitar.
– Bzdura. – Lewy sierpowy w worek.
Tak naprawdę wystarczyło powiedzieć, że pracuje u Coopa. Strój szoferski dodawał jej wiarygodności, której nie dałaby obcisła mini typowa dla fanek futbolu.
– To moja sprawa. Mówię to, co chcę powiedzieć.
Kolejny morderczy cios.
– Spadaj.
Bardzo chętnie. Nie spodziewała się rozmowy o pracy w takim miejscu, chciała mu tylko udowodnić, że poważnie traktuje swoje obowiązki. Nie ruszyła się jednak od razu. Nie była w stanie. Nie teraz, gdy przy każdym ciosie mięśnie pod przepoconą koszulką Coopa falowały jak woda na wietrze. Musi z tym skończyć. Tu i teraz, bo jeśli nie, jeszcze postanowi utlenić włosy! Odwróciła się na pięcie.
– Chwileczkę! – Znowu odezwał się w nim rottweiler. – Co ty masz na sobie? Wyglądasz jak pracownica zakładu pogrzebowego.
Uspokoiła się na tyle, żeby mu powiedzieć, kogo wozi.
– Tylko za dnia – zapewniła, przekrzykując muzykę. – To mój uniform szoferski.
– Paskudny. – Miażdżący cios w worek.
– Tak jak twój nastrój.
Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Czy ciebie w ogóle obchodzi, jak wyglądasz?
– Nie bardzo.
Przestał znęcać się nad workiem treningowym i spojrzał na nią krytycznie.
– Odkąd zaczęłaś pracę w klubie, zawsze masz na sobie tę samą sukienkę.
– I kto to mówi? Facet w kowbojkach.
– To mój znak rozpoznawczy – odciął się. – Idź, kup sobie jakieś ciuchy. Psujesz mi opinię.
Obserwowała, jak po jego szyi spływa kropelka potu. Pachniał dobrym, zdrowym potem faceta, który zawsze ma na siłowni czyste ubrania. Do tej pory nawet nie wiedziała, że jest coś takiego jak dobry pot. A teraz, gdy już sobie to uświadomiła, wolałaby nie wiedzieć, bo myślenie o czymkolwiek związanym z jego ciałem to obszar, w który nie chciała się zapuszczać.
– Mój budżet nie przewiduje zakupów odzieżowych.
Ponownie skupił się na worku treningowym.
– Wyślij mi rachunek. Musisz odpowiednio wyglądać.
Niby miał rację, ale…
– Nie kupię niczego, w czym będzie mi niewygodnie.
– Czyli, jak się domyślam, w czym będziesz nieźle wyglądać? O tak, to byłoby straszne.
– Spróbuj być kobietą, a potem pogadamy.

Coop nie mógł się do tego przyzwyczaić. Z nią żadna rozmowa nie przebiegała normalnie. Przestał pastwić się nad workiem, sięgnął po hantle i skoncentrował się na treningu, nie na niej. Czuł napięcie w bicepsie. Ostry trening zawsze dobrze mu robił, ale dzisiaj potrzebował go bardziej niż kiedykolwiek, po kolejnej długiej nocy, którą spędził uwięziony w klubie.
Nie, nie uwięziony. Przecież uwielbia Spiral, swoje kolejne wyzwanie. Po prostu nie przywykł do spędzania tylu godzin w zamkniętym pomieszczeniu.
Zerknął na swojego Sherlocka. Chyba nie była do końca odporna na modę, bo odpięła górny guzik bluzki. Szkoda, że tylko jeden.
Poczuł skurcz w ręce. Pot zalewał mu oczy. Przerzucił hantle do drugiej ręki.
– Jedziemy na zakupy! – Podniósł głos, żeby przekrzyczeć muzykę, ale akurat w tej chwili utwór się skończył i jego słowa odbiły się echem od betonowych ścian.
Rozgrywający z White Sox z sąsiedniej maty spojrzał na niego. Tak jak Piper, tymi niebieskimi oczami, przed którymi nic nie mogło się ukryć. Czy naprawdę z własnej nieprzymuszonej woli zaproponował, że wybierze się z kobietą na zakupy?
– Supcio – skomentowała z ironią, którą obiecał sobie zetrzeć z jej twarzy, gdy tylko znajdą się w łóżku. – I jeszcze skoczmy na manikiur i pedikiur. I zabierzmy nasze koleżaneczki. Jak szaleć, to szaleć.
Załatwiła go, ale powstrzymał się od uśmiechu i odpowiedział spokojem na jej sarkazm.
– Nie wierzę w twój gust.
– Ale w swój tak?
– Znam się na modzie.
– Jasne, ale stringi i cekiny nie bardzo nadają się do pracy.
Załatwiła go znowu i zrobiła to z wielką satysfakcją.
Zdobył się na pogardliwe prychnięcie.
– Do końca tygodnia jestem zajęty, postaraj się wytrzymać do tego czasu. Spotkamy się w BellaLana na Oak Street.
Teraz ona prychnęła.
– Nie kupuję na Oak Street. Masz pojęcie, jakie tam są ceny?
– Umiarkowane.

Zagotowała się – co oczywiście przewidział. Odłożył ciężarek.

– Spadaj stąd, muszę dokończyć trening. – I kilka razy walnąć się w łeb za to, że pozwolił, by zalazła mu za skórę.

Mimo wszystko jej propozycja nie była tak całkiem bez sensu. Sherlock potrafiła być w całym klubie jednocześnie i fajnie było wiedzieć, że jego spraw pilnuje dodatkowa para oczu – oczu, którym mógł zaufać. O Sherlocku można wiele powiedzieć – przede wszystkim, że zupełnie nie szanuje pracodawcy – ale w kwestii etyki była śmiertelnie poważna.

Nie, żeby zamierzał jej powiedzieć, jak wartościowa się okazała. Tak jak nie planował informować jej, co z nią zrobi, gdy w końcu zaciągnie ją do łóżka.

Następnego dnia Piper wypatrzyła Della, jednego z ochroniarzy, przy barze. Blondyn w typie surfera z wytatuowanym jaguarem na szyi miał za sobą krótką karierę w drużynie Bears i cieszył się dużą popularnością wśród damskiej części klienteli. Tak dużą, że czasami kompletnie zapominał, że jest w pracy.

Nie mogła tego tolerować. Odciągnęła go od grupki adoratorek pod pretekstem wywiadu na stronę internetową. W rzeczywistości chciała mu pokazać grupkę otaczającą Coopa w przeciwległym końcu pomieszczenia.

– Kobiety wokół Coopa są pijane i coraz bardziej nachalne. Zwłaszcza ta ruda. Wiesza się na nim co chwila. Mógłbyś tam podejść i odwrócić jej uwagę, żeby złapał chwilę oddechu?

Dell popatrzył na nią jak na komara, którego zaraz zmiażdży.

– Mówisz mi, jak mam wykonywać moją robotę?

– Tak, jest w tym coraz lepsza. – Podszedł do nich Jonah i teraz obaj oddzielali ją od reszty sali murem mięśni i urażonej męskiej dumy.

– Panowie, ja tylko sugerowałam, że powinniście lepiej pilnować Coopa.

Jonah uśmiechnął się krzywo.

– A ja ci przypominam, że to nie twój zasrany interes. Bo czym się właściwie zajmujesz? Pisaniem głupich wiadomości i wrzucaniem zdjęć na stronę?

Ochrona to nie jej sprawa; powinna była trzymać gębę na kłódkę, ale czy kiedykolwiek to robiła?

– Dzięki za przypomnienie. Mam takie, na którym robisz dzióbek do lustra.

Przez najbliższe dni woziła mniej znaczące księżniczki i ich służące do sklepów. Kolumna liczyła po pięć, sześć limuzyn i co najmniej dwie furgonetki na to wszystko, co zostało kupione – za gotówkę. Ale Piper już im nie zazdrościła; raczej współczuła, zwłaszcza nastolatkom. Czasami widziała w ich oczach tę samą tęsknotę co w oczach Faizy. Tęsknotę za czymś, czego nie zastąpi choćby sto wypraw do najdroższych sklepów. Pragnienie, żeby iść chodnikiem, beztrosko i swobodnie jak Amerykanki, które bajecznie bogate księżniczki mogły tylko obserwować zza zaciemnionych szyb swoich limuzyn.

Piper dotarła do BellaLana spóźniona o dziesięć minut, bo księżniczka, którą woziła tego dnia, spędziła u kosmetyczki dobrych kilka godzin. Coop opierał się o regał z biżuterią i gawędził z ekspedientkami. Gdyby Piper miała skłonność do alergii, dostałaby wysypki po jednym spojrzeniu na kosmicznie drogie ciuchy na wieszakach.

Biało-czarno-srebrny wystrój nawiązujący do pop-artu sprawiał, że w sklepie panowała atmosfera dekadencji pomieszanej z luksusem, zupełnie jakby klientom rzucano wyzwanie: Niech no który nie uzna tego za eleganckie!

Ze wszystkich ciuchów, których Piper w tej chwili nie chciała mieć na sobie, uniform szofera był na

pierwszym miejscu, zwłaszcza że spociła się pod pachami, kiedy biegła z parkingu.

Cooper podniósł wzrok. Uśmiechał się, ale jego oczy zdradzały, że nie jest zachwycony, że po raz kolejny kazała mu na siebie czekać. Sprzedawczynie przyglądały się jej z mniej lub bardziej skrywanym niedowierzaniem, nie pojmując, jakim cudem takie dziwadło towarzyszy najbardziej pożądanemu kawalerowi w Chicago.

– Drogie panie, to jest Piper – odezwał się Coop. – Porzuciła pracę w branży cmentarnej, ale trudno jej się rozstać z zawodową modą.

Piper powstrzymała śmiech.

– Trafiła pani idealnie – zapewniła rudowłosa ekspedientka w najmodniejszych ciuchach. – Branża grabarska musi być bardzo deprymująca.

– Niekoniecznie – odparła Piper. – Właśnie tam poznałam Coopa. Grzebał swoją karierę.

Cooper prychnął pod nosem. Louise, bo takie imię widniało na identyfikatorze rudej, zrozumiała, że gra w nie swojej lidze, i zaprowadziła Piper do przymierzalni.

– Nic ekstrawaganckiego! – zawołał Coop za nimi. – I bez tego jest szalona.

Sukienka w kolorze mchu była obcisła jak druga skóra i tak krótka, że ledwie zakrywała pośladki. Na szczęście Piper ogoliła nogi, ale mimo wszystko…

– Nie w moim stylu.

– Wolisz spodnie bez rozporka?! – zawołał Cooper spod przymierzalni.

No dobra, Piper musiała się roześmiać.

Louise była wyraźnie zbita z tropu.

– To najnowszy trend.

Piper skrzywiła się do lustra.

– Chyba wolę starsze trendy – odparła. Najlepiej w H&M, bo tam jest jej miejsce.

– Pokaż się – zażądał Coop.

Ekspedientka otworzyła drzwi przymierzalni. Coop siedział na wielkiej czarno-srebrzystej kanapie koło luster. Piper nerwowo obciągnęła skraj sukienki.

– Wyglądam w niej jak sosna.

– Ze świetnymi nogami – zauważył Heath Champion od drzwi. Wszedł do sklepu i rozsiadł się na kanapie obok Coopa. – Podoba mi się.

– Mnie nie – mruknął Cooper. – Zbyt konserwatywna.

Piper wybałuszyła na niego oczy.

– W jakim wszechświecie to jest konserwatywna sukienka?

Pokręcił głową.

– Pamiętaj, że już nie jesteś grabarzem.

Heath uśmiechnął się szeroko.

Piper spojrzała na agenta.

– Co ty tu robisz? Nie, żebym się nie cieszyła na twój widok, ale dlaczego tu jesteś?

– Coop mnie o to prosił, więc co miałem robić? Zarobiłem dzięki niemu miliony.

– Chciałem usłyszeć obiektywną opinię – mruknął Cooper. – Heath ma większe doświadczenie w kupowaniu kiecek niż ja.

Wróciła Louise z naręczem sukienek. W ciągu następnej półgodziny Piper zaprezentowała panom czerwoną kreację z odkrytym brzuchem, granatową z odkrytym biustem i złote coś, w czym wyglądała jak puchar piłkarski.

– Jestem detektywem, nie czirliderką – syknęła do mężczyzn.

– Ona mi się naprawdę podoba – mruknął Heath z uśmiechem.

– Wiadomo dlaczego – burknął Coop.

Piper nie wiedziała, ale inne sprawy wydawały się jej ważniejsze.

– To bez sensu – oznajmiła, gdy Louise poszła po kolejne kreacje, których nie chciała nawet przymierzyć. – Zamarznę w czymś takim na śmierć. Już nie wspomnę, że nie mogę spokojnie pracować, kiedy cały czas się obawiam, że mi… bufet wypadnie.

Obaj parsknęli śmiechem i Piper uznała, że najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce.

– Louise, musimy porozmawiać…

Rozdział 8

Po licznych przepychankach Piper kupiła jeżynową sukienkę z dzianiny, która sięgała jej prawie do kolan i miała długie, obcisłe rękawy. Z przodu była skromna, ale głębokie wycięcie na plecach oznaczało, że nadaje się do klubu nocnego. Coop nalegał, by wzięła też kobaltową mini, która nie wyglądała jak strój roboczy prostytutki tylko dzięki czarnej szyfonowej narzutce. Piper spojrzała na rachunek i zakręciło jej się w głowie.

– W H&M kupiłabym piętnaście za cenę jednej z tych kiecek.

– Popełniasz błąd, nie pozwalając mu kupić więcej – zauważył Heath, gdy wyszli ze sklepu na słoneczne październikowe popołudnie.

Mężczyzna koło Starbucksa rozpoznał Coopera.

– Ej, Coop, jesteś najlepszy!

Coop pomachał mu odruchowo.

– Musi jeszcze mieć buty – stwierdził Heath.

– Ale kupi je sama, bo nie wytrzymam dłużej jej marudzenia. – Coop zachowywał się, jakby wcale nie stała obok niego. – W życiu nie spotkałem kobiety z takimi oporami do wydawania moich pieniędzy.

Piper westchnęła.

– W przeciwieństwie do was, bogaczy, muszę wracać do pracy.

– Tylko nie zapominaj, jakie jest twoje główne zadanie – rzucił Coop. – A jeśli jeszcze raz się spóźnisz, odliczę ci to z pensji.

– Tak jest, proszę pana – odparła i ruszyła w stronę parkingu.

Mężczyźni odprowadzali ją wzrokiem. Heath pokręcił głową.

– Nie ma pojęcia, co?

– Nie – potwierdził Coop.

Zerknął na wystawę sklepu z męską odzieżą, który właśnie mijali. Królowały na niej spodnie w grubą kratę. Pomyślał, że w życiu nie włożyłby takich portek. Jesienne liście odcinały się od biało-czarnej markizy sklepu, inne szeleściły im pod nogami jak banknoty pięćdziesięciodolarowe.

– Omotuje cię nie wiadomo kiedy – stwierdził Heath. – Wszystko przez te nogi.

Nie tylko nogi, cały zestaw. Zaokrąglona tam, gdzie trzeba, ale bez przesady, wszystko na miejscu. No i te jej oczy. I bezceremonialność. I ta przyzwoitość kryjąca się pod maską twardości.

– Przypomina mi Annabelle z początku naszej znajomości – mruknął Heath.

Coop doskonale wiedział, o co mu chodzi. W Annabelle dostrzegał tę samą zadziorność. Ale i ogromną różnicę między nimi.

– Annabelle jest słodka. Piper to żmija.

– Najwyraźniej nie najlepiej znasz moją żonę. – Heath zerknął na komplet bielizny na wystawie butiku Agent Provocateur.

– Oby tylko nigdy się nie spotkały – mruknął Coop.

– Mogłoby być zabawnie.

Coop aż się wzdrygnął. Co prawda lubił Annabelle, ale nie to, jak wtykała nos w jego sprawy.

– Dopilnuj, żeby nigdy do tego nie doszło.

– Postaram się, ale niczego nie obiecuję. A tak na marginesie… Właściwie czemu chciałeś, żebym przyszedł?

Coop trochę za długo zwlekał z odpowiedzią.

– Jak powiedziałem, masz większe doświadczenie z kobiecymi ciuchami.

Heath nie dotarłby tam, gdzie był, nie mając oleju w głowie, więc Coop spodziewał się, że zaraz wytknie mu kłamstwo, ale on tylko się uśmiechnął.

– I pomyśleć, że nigdy nie była na żadnej okładce – powiedział. – Robi się coraz ciekawiej. – Poklepał Coopa po ramieniu i wszedł do butiku z bielizną.

– Rany! – Przez ulicę przebiegło dwóch nastolatków, którzy o tej porze powinni być w szkole. Przybili z Coopem piątkę. Nie miał nic przeciwko temu. Ściągnął Heatha do sklepu, ale spotkanie nie poszło po jego myśli. Był święcie przekonany, że agent będzie się nudził. Oczywiście Heath nie okazałby tego, był na to zbyt układny, ale przez cały czas pisałby esemesy. I to by wystarczyło. Gdyby Coop mógł spojrzeć na Sherlocka zblazowanym wzrokiem agenta, odzyskałby jasność myślenia. Przypomniałby sobie, że są kobiety piękniejsze, zdolniejsze, bardziej w jego stylu. Tyle że Heath ani razu nie sięgnął po komórkę. No cóż, zawsze podobały mu się dziwne kobiety. Weźmy taką Annabelle. Ich związek – agenta sportowego i swatki – to historia jak z romansu.

Coop wiedział wszystko o kobietach na łowach – jak się zachowują, jak wyglądają, jak pachną – i w Sherlocku nie dostrzegał żadnej z tych cech. Nie podrywała go. Chciała tylko pracy, a kiedy zlecenie się skończy, będzie dla niej równie nieistotny jak kiecki, które jej kupił.

Musi sobie wszystko starannie zaplanować. A strategia to jego mocna strona.

Tego wieczoru, na swój czwarty dyżur w klubie, Piper włożyła kobaltową mini. Ale nowa kiecka, zamiast pomóc jej wtopić się w tłum, tylko ściągała na nią uwagę. Kilku gości chciało postawić jej drinka, a PhairoZ, didżej na gościnnych występach w Spiral, postanowił spędzić z nią swoją przerwę.

PhairoZ – naprawdę Jason Schmidt – przypominał wytatuowanego gwiazdora piłki nożnej. Coop był bystrym przedsiębiorcą. Zdawał sobie sprawę, że za pierwszym razem gości przyciągnie on sam, ale jeśli mają wrócić, musi oferować coś więcej, zatrudniał więc najlepszych didżejów i przystojnych kelnerów. Bo tam, gdzie są kobiety, zjawią się i mężczyźni.

– Wyskoczymy gdzieś, kiedy skończę? – PhairoZ oparł się dłonią o ścianę za jej głową.

– Dzięki, ale szczerze mówiąc… – spojrzała na niego, jak miała nadzieję, z odrobiną zawstydzenia – jesteś dla mnie za przystojny.

– Od nadmiaru głowa nie boli.

Stłumiła ripostę, która cisnęła jej się na usta.

– Jestem zbyt nieśmiała – powiedziała tylko, poklepała go po ramieniu, schyliła się, żeby przejść pod jego ręką, i odeszła.

Zeszła do piwnicy i zaczaiła się za gigantyczną termą. Chowała się tu już trzeci wieczór z rzędu. Nad jej głową personel krzątał się, zamykając klub na noc – czy raczej na dzień, bo było już po trzeciej. Ziewnęła. Wcześniej rozdzieliła walczące kobiety w damskiej toalecie, nakryła Della, bramkarza od siedmiu boleści, i dopilnowała, by kilka zalanych w pestkę dziewczyn wsiadło do taksówki. A za pięć godzin miała być w hotelu Peninsula, żeby zawieźć jedną ze starszych księżniczek do chirurga

plastycznego, więc bardzo chciała jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Oprzytomniała, gdy usłyszała odgłos kroków. Wyjrzała zza termy i zobaczyła kobietę w kozakach na szpilkach i z plecakiem na ramieniu. Takim samym, z jakim co wieczór przychodziła do pracy Taylor. Kelnerka rozejrzała się i skręciła w stronę składu alkoholi.

Zamek zmieniono; do nowego klucze miały tylko dwie osoby – Coop i Tony, menedżer klubu, uczciwy facet, któremu Piper w pełni ufała. To na jej polecenie dostał ten klucz.

Trzask zamka. Piper uniosła aparat, ustawiła ostrość i zaczęła pstrykać.

Dwa dni później Taylor zniknęła. Okazało się, że ona i jej chłopak Keith, do niedawna barman w Spiral, dorabiali na boku, sprzedając na lewo najdroższe alkohole z zapasów klubu. Piper pracowała u Coopera Grahama od zaledwie sześciu dni, a już na siebie zarobiła.

Koło jedenastej do klubu weszła Deidre Joss w towarzystwie Noaha. Coop chyba na nią czekał, bo podszedł do nich od razu i zaprosił Deidre do VIP roomu. Noah Park wypatrzył Piper i został na dole.

Deidre zastąpiła czarny biurowy kostium wspaniałą czarną sukienką wyszywaną koralikami, ale on miał na sobie konserwatywny garnitur i krawat.

– Zdziwiłem się, widząc cię tutaj – zaczął.

– Coop chciał, żebym zajęła się jego kontami na portalach społecznościowych.

Noah przyglądał się jej z kamienną twarzą.

– Zapewne mu powiedziałaś, kto był twoim zleceniodawcą.

– Obiecałam, że tego nie zrobię, i dotrzymałam słowa – odparła sucho.

– Chcesz powiedzieć, że mu nie powiedziałaś?

– Tak, właśnie to chcę powiedzieć. I proszę łaskawie przypomnieć o tym Deidre, gdy następnym razem będzie chciała zatrudnić prywatnego detektywa.

Upił łyk drinka i spojrzał na nią z namysłem.

– Imponujące.

Chwilę później poczuła na sobie nieprzyjazne spojrzenie Jonaha z drugiej strony parkietu. Podejrzewała, że byłoby jeszcze mniej przyjazne, gdyby wiedział, że zamierza doprowadzić do zwolnienia jego kumpla Della. Od samego początku coś w jego zachowaniu budziło jej podejrzenia, a dzisiejszego wieczoru zauważyła, jak stojąc na bramce, przyjął łapówkę w postaci paczuszki białego proszku od pijanego gościa, który za wszelką cenę chciał dostać się do środka.

Poszła na górę zobaczyć, jak wygląda sytuacja w VIP roomie. Noah dołączył do Deidre i Coopa, który jednak widział tylko panią Joss. W rozmowach z Piper rzadko wspominał o swoich planach stworzenia sieci klubów, ale poznała go na tyle, by wiedzieć, że ciągłe zwlekanie ze strony Deidre doprowadza go do szału – choć, rzecz jasna, zupełnie tego nie okazywał. Mógłby szukać innych możliwości, ale Deidre cieszyła się nienaganną reputacją, a Coop, jak to Coop, chciał pracować tylko z najlepszymi.

Roześmiał się i pochylił nad Deidre. Interesy interesami, ale Coop naprawdę ją lubił. Piper poczuła ukłucie zazdrości. Nie z powodu sympatii Coopa. Była zazdrosna, bo Deidre miała wszystko – sukcesy w pracy, majątek na koncie, inteligencję, urodę, pewność siebie – a do tego Coop wyraźnie ją lubił.

Najchętniej z całej siły walnęłaby się w głowę. Była zazdrosna! Zazdrosna, bo chciała, żeby ją też lubił. Idiotyczne. Coop to jej pracodawca. Najważniejsze, żeby podobała mu się jej praca.

Lata praktyki u boku Duke’a sprawiły, że była mistrzynią w tłumieniu niechcianych uczuć, więc błyskawicznie zamaskowała pogardę do samej siebie kilkoma ciepłymi ciastkami z kuchni.

Deidre i Noah w końcu wyszli. Piper przeciskała się w stronę parkietu. Instalacje wideo kładły się barwnymi plamami na tłumie tańczącym w rytmie elektronicznych bitów didżeja PhairoZ. Coop był niedaleko, jak zawsze otoczony grupką wielbicieli.

Potężny facet w ciuchach od Gucciego – widziała logo na pasku – robił, co w jego mocy, by przycisnąć Coopa do ściany. Nie zachowywał się jak fan, był pijany i agresywny. Był też tego samego wzrostu co Coop i o jakieś dwadzieścia kilo cięższy. Gestykulował przesadnie, co w stroboskopowych światłach

wyglądało wręcz groteskowo. Rozejrzała się w poszukiwaniu ochroniarzy. Jak zwykle nie było ich widać. Wściekła, że nie zmieniła szpilek na balerinki, przeciskała się przez tłum. I wtedy drań zacisnął pięść.

Coop położył mu dłoń na piersi. Facetowi to się nie spodobało. Zamachnął się, gotowy do ciosu. Rzuciła się w przód i złapała go za ramię, zanim uderzył. Przesunęła się, walnęła go w splot słoneczny i powaliła na ziemię.

Tancerze rozpierzchli się na boki. Facet cuchnął jak gorzelnia. Usiłował wstać. Kobaltowa kiecka pękła, kiedy Piper siadła na nim okrakiem. Dostrzegła niedowierzanie na twarzy Coopa, zanim podeszli Jonah i Ernie i zasłonili jej widok. Patrzyli na nią z takimi minami, jakby to była jej wina.

– Zabierzcie go stąd – sapnęła. Posłuchali, choć twarz Jonaha pałała żądzą krwi.

– Wszystko w porządku? – Podbiegła do niej jedna z kelnerek.

– Jasne, że tak – rzucił ponuro Coop. – To człowiek z żelaza.

Tyle, jeśli chodzi o wdzięczność.

PhairoZ zmienił muzykę na ostre techno. Ktoś złapał Piper i bez przesadnej delikatności sprowadził z parkietu. Kiedy Coop ciągnął ją za sobą przez tłum, zdała sobie sprawę, że pękła jej sukienka, odsłaniając mało seksowne białe majtki na biodrze.

Prowadził ją do kuchni i dalej, do ciemnego korytarzyka. Dopiero tam ją puścił. Znała go już na tyle dobrze, by wiedzieć, co się zaraz wydarzy, i nie miała na to najmniejszej ochoty, więc zaatakowała, nim zdążył się odezwać.

– W przeciwieństwie do twoich ochroniarzy, nie mam zamiaru stać bezczynnie i patrzeć, jak szef obrywa.

Poczerwieniał. Urażone ego najwyraźniej zabolało.

– Nikt mnie nie atakował – warknął. – Nigdy więcej nie próbuj mnie chronić.

– Ktoś musi to robić. – W końcu była profesjonalistką. Starała się zachować spokój. – Ochroniarze muszą być bliżej ciebie. Ten pijany koleś chciał cię uderzyć.

– Nie zdążyłby.

– Może tak, może nie.

– Zatrudniłem cię, żebyś miała oko na mój personel, nie na mnie.

Stali tak blisko siebie, że czuła zapach proszku do prania z jego swetra.

– Wiesz, że nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, gdybym była jednym z zatrudnianych przez ciebie facetów.

– Ale nie jesteś. I nie wyjeżdżaj mi tu z seksizmem!

– Wyjeżdżam z tym, co mi wpadnie w ręce. – Piper z trudem panowała nad sobą. – Gdyby jeden z ochroniarzy go odciągnął, zamiast flirtować z klientkami, nie musiałbyś sobie w ogóle zawracać tym głowy.

Zmrużył czujnie oczy. Już myślała, że go ma, ale nie poddawał się tak łatwo. Podszedł jeszcze bliżej, tak że przez podartą sukienkę czuła ciepło jego ciała.

– Nikt nie musi mnie chronić.

Profesjonalizm szlag trafił, teraz była tak samo zła jak on.

– Doprawdy? A co, jeśli będzie dwóch na jednego? Co wtedy zrobisz?

– Zwłaszcza wtedy – odparł z krzywym uśmiechem.

Stali nos w nos. To znaczy staliby, gdyby była o głowę wyższa.

– A trzech na jednego?

– Umiem o siebie zadbać.

Nie chciała się wycofać.

– A jeśli napastnik będzie uzbrojony? Co wtedy? – Zaczerpnęła głęboko tchu i przy tym niestety dotknęła piersiami jego klatki piersiowej.

Uniósł się jeszcze bardziej, napierał na nią jeszcze większą powierzchnią ciała.

– A może powinienem zapytać – co ty byś zrobiła?

– Ja mam odpowiednie przeszkolenie, ty nie!

– Wiesz, co masz? Talent do irytowania ludzi – rzucił, bez uprzedzenia przyciągnął ją do siebie, pochylił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem.

Tak ją zaskoczył, że rozchyliła wargi, co natychmiast wykorzystał.

Przejął kontrolę. Był wymagający i władczy. Jego dłoń odnalazła pęknięcie w sukience. Dotykał nagiej skóry na jej biodrze. Jego palce były jak ogień. Czuła, jak każda komórka jej ciała budzi się do życia.

Stłumiła jęk. Jego dotyk. Jego smak. Jego dłoń zawędrowała głębiej w rozcięcie sukienki. Czuła jego kolano między udami. Chciała tego. Chciała tego tak bardzo, że była gotowa zapomnieć o wszystkim innym. Chciała tego…

– Nie! – Odepchnęła go z całej siły. – Odczep się!

Była wściekła na niego, ale przede wszystkim na siebie.

– Jeszcze raz zrobisz mi taki numer, a wylądujesz na ziemi… jak twój pijany wielbiciel. – Odwróciła się i pobiegła na górę.

Dyszał ciężko, jakby przed chwilą skończył morderczy trening. Co się dzieje, do cholery? Czyżby stawał się kolejnym durnym karkiem, który uważał, że tylko dlatego, że uprawia sport, ma prawo rzucać się na kobiety? Oparł się o ścianę, wściekły na siebie, i usiłował wziąć się w garść. To kobiety całowały jego, nie odwrotnie. To one wspinały się na palce, zarzucały mu na szyję perfumowane ramiona, otwierały usta i przechodziły do ataku. Zupełnie oszalał. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Słyszał nieraz, że niełatwo mu będzie pogodzić się ze sportową emeryturą, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Był od niej dwa razy większy i choć uważała się za Xenę, wojowniczą księżniczkę, mógłby ją bez trudu zmiażdżyć.

Ależ była wściekła. Powinna była kopnąć go w jaja.

Ale tego nie zrobiła.

Bo była wściekła, ale nie przerażona. Gdyby poczuła się zagrożona, choćby odrobinę, Coop teraz kuliłby się z bólu.

A może po prostu szukał usprawiedliwienia dla swojego zachowania, poczucia, że to, co zrobił, było w porządku. Tyle że atakowanie bezbronnej kobiety nigdy nie jest w porządku.

No nie, nie była bezbronna. Mimo wszystko…

Cholera!

Lubił, gdy była w pobliżu. Nie znosił, gdy była w pobliżu. Przez nią nie mógł się skoncentrować. Ale też odwalała kawał świetnej roboty. Byłby prawdziwym sukinsynem, gdyby ją teraz wylał, zwłaszcza że wina leżała po jego stronie.

Musi wymyślić na nią inny sposób – taki, dzięki któremu nie znajdzie się na aucie.

Komórka Piper rozdzwoniła się cztery godziny później. Miała się stawić w hotelu Peninsula wcześniej, niż planowała. Jechała, trąbiąc wściekle na wszystkie samochody dokoła. Dlaczego Coop ją pocałował? Dlatego że w kłótni była górą, ot co, a on nie znosił przegrywać. Zwykła przepychanka. O wiele grosza była jej reakcja. Oczywiście to zauważył. I teraz będzie musiała jeszcze bardziej się starać, żeby nie poczuł się mocniejszy niż w tej chwili.

Jeden ze strażników poinformował Piper, że księżniczka Kefaya chce ją widzieć. Nie miała pojęcia dlaczego.

Starsza służąca czekała na nią w foyer. Razem wsiadły do windy, wjechały na górę i poszły korytarzem

wyłożonym czarnym marmurem do przestronnego apartamentu z narożnym salonikiem. W pokoju nie było ani jednej z setek toreb z zakupami. Wiedziała już, że zajmują osobny apartament, za który rodzina królewska płaciła tysiąc dolarów za dobę.

Księżniczka Kefaya wyszła z jednego z przyległych pomieszczeń. Mimo wczesnej pory była już w pełnym rynsztunku – eleganckiej fioletowej tunice i wąskich szarych spodniach. Na jej przegubach połyskiwały złote bransoletki, w uszach migotały wielkie brylantowe kolczyki.

Faiza szła za księżniczką. Od ich wspólnej wędrówki po sklepach Piper widziała ją tylko przez chwilę, ale często o niej myślała. Faiza została przy drzwiach ze wzrokiem wbitym w dywan. Co to za życie, dzień za dniem tylko praca, bez nadziei na lepszą przyszłość?

– To ty pracujesz u amerykańskiego futbolisty? – zapytała księżniczka.

– Tak.

– Mój brat, Jego Wysokość Książę Aamuzhir, jest fanem futbolu amerykańskiego. Dzisiaj wieczorem przyprowadzisz tu swojego szefa. Jego Wysokość zatrzymał się na osiemnastym piętrze.

– Nie mogę tego zrobić.

Księżniczka, nieprzywykła, by jej czegokolwiek odmawiano, uniosła brwi jak koci grzbiet.

– Faiza! Dopilnujesz osobiście, żeby szoferka załatwiła sprawę i wszystko było tak, jak trzeba.

Faiza skinęła, nie podnosząc głowy. Odprowadziła Piper do windy. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, Piper bezradnie rozłożyła ręce.

– Faizo, nie mogę zmusić Coopa do niczego, a już na pewno nie do tego.

– Ale księżniczka kazała – odparła prostodusznie dziewczyna.

– Więc księżniczkę czeka rozczarowanie.

Faiza zmarszczyła brwi.

– Nie możesz go przekonać?

– Jesteśmy w Ameryce – tłumaczyła Piper najdelikatniej, jak umiała. – Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale nas tu nie obchodzi, czego chcą cudzoziemskie księżniczki.

Obserwowała, jak zmienia się wyraz twarzy Faizy: rozpacz, strach, rezygnacja. Nie mogła tego znieść.

– To nie twoja wina. Wytłumaczę księżniczce.

Faiza patrzyła na nią ze smutkiem.

– Nie przejmuj się. To mój problem – powiedziała. – Gdybym nie wspomniała mojej przyjaciółce Habibie, że pracujesz u znanego amerykańskiego sportowca, nic by się nie stało. Habiba ma dobre intencje, ale czasami za dużo mówi.

– Ale to ciebie spotka kara.

Piper wiedziała, że ma rację, i niesprawiedliwość tej sytuacji doprowadzała ją do szału. Ale jeszcze bardziej rozjuszyło ją coś innego. Kiedy drzwi windy się otworzyły i znalazły się w jaskrawo oświetlonym holu, dostrzegła coś, co wcześniej umknęło jej uwagi. Nawet ciemnofioletowy hidżab nie zdołał całkiem zakryć sińca na policzku Faizy.

Ogarnęła ją wściekłość. Przy drzwiach windy stało dwóch strażników o posępnych twarzach. Złapała Faizę za ramię.

– Słabo mi. Pomóż mi dojść do łazienki.

Dziewczyna spojrzała na Piper niespokojnie, ale ponieważ przywykła do usługiwania innym, bez słowa poprowadziła ją do damskiej łazienki, obok ponurych ochroniarzy. Pomieszczenie było puste.

– Kto cię uderzył? – zapytała Piper. – Księżniczka?

Faiza uniosła dłoń do policzka.

– Nie. Aya. – Rozgoryczenie, z jakim wypowiedziała to imię, mówiło samo za siebie. – Aya nadzoruje służbę Jej Wysokości. Lubi, kiedy wszystko jest zrobione natychmiast, a ja się ociągałam.

– A księżniczka pozwala jej was bić?

– Niczego nie zauważa.

– A powinna! – Choć były same, Piper odruchowo ściszyła głos. – Ta ciotka w Kanadzie… Przygarnęłaby cię, gdybyś do niej pojechała?

– Oczywiście. Sama mi to mówiła. Ilekroć przyjeżdżamy do Stanów, marzę, że do niej jadę, ale to niemożliwe. Nie mam jak tam pojechać, a nawet gdyby… Gdyby mnie przyłapano… – W jej ciemnych oczach malowała się pustka, jak w spojrzeniu staruszki czekającej na śmierć. Pokręciła głową. – Do szczęścia musi mi wystarczyć świadomość, że *khala* nosi mnie w sercu.

– To nie wystarczy. – Księżniczki miały wyjechać następnego dnia. Piper zawahała się. – A gdyby dało się… wywieźć cię do Kanady?

Szaleństwo. Piper nie miała pojęcia, w jaki sposób odebrać Faizę pracodawcom i przeszmuglować przez granicę.

Na twarzy dziewczyny malowały się najróżniejsze uczucia, od nadziei po rozpacz. Wygrała rozpacz.

– Oddałabym za to wszystko, ale to niemożliwe, przyjaciółko. Twoja dobroć wiele dla mnie znaczy.

Dobroć to za mało. Przez całą drogę do domu Piper kombinowała, jakby tu pomóc Faizie. Nie będzie łatwo, ale da się zrobić.

Tylko że będzie potrzebowała pomocy…

Rozdział 9

Co, przepraszam, mam zrobić? – Cooper Graham wyjął z ust wiśniowego lizaka.

Dopadła go w ogrodzie na dachu, gdzie osłaniał ogórki, zanim pokona je pierwszy przymrozek. Choć nadszedł już październik, wysokie ogrodzenie sprawiało, że ogród był oazą spokoju. Na grządkach zieleniły się jesienne warzywa, którym niestraszne niskie temperatury: por, szpinak, buraki, rzepa, brokuły. W kolorowych donicach pyszniły się cynie i rozmaryn, pietruszka i dalie, margerytki i trawa cytrynowa. Nie podobało jej się odkrycie, że stworzył ten ogród własnymi rękami, bo już nie mogła myśleć o nim tak źle, jak by chciała.

– Jesteś uzależniony od adrenaliny – zauważyła, rozgniatając między palcami listek mięty. – To coś akurat dla ciebie.

– Ty naprawdę powinnaś się leczyć. Na głowę! – Wsunął lizaka do ust i ponownie skupił się na ogórkach.

– Uwłaczający komentarz, ale wzniosę się ponad to. – Pociągnęła nosem.

– Proszę bardzo.

Przesunęła doniczkę z papryką, żeby podejść bliżej, i wtedy to zobaczyła. Na stoliku za drewnianą kratką oddzielającą kącik do siedzenia od reszty ogrodu. Podeszła i przyjrzała się uważnie.

– Co to jest? – Uniosła kulę z gliny czy błota, jedną z kilku leżących na stole.

– Bomba nasienna. W przeciwieństwie do ciebie nie mam żadnych skrupułów.

– Czyli?…

– Uprawiam partyzantkę ogrodniczą. Glina, mech i nasiona zbite w kulę. To wystarczy.

Zaczynała rozumieć.

– Jesteś miejskim Johnnym Appleseedem. Ciskasz te bomby zieleni na puste działki.

– Lada dzień będzie już za zimno, najlepszy okres to wiosna i początek jesieni. Przy odrobinie szczęścia i deszczu we właściwym momencie martwy skrawek ziemi zaczyna kwitnąć. – Pochylił się nad sadzonkami i oberwał kilka pożółkłych liści z krzaczka pomidora. – Dzwonki, stokrotki, trawa preriowa. I już.

– Od dawna to robisz?

– Od dwóch, trzech lat, nie pamiętam.

– A ja myślałam, że pierzesz pieniądze z handlu narkotykami.

Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zapędziła go w kozi róg.

– Nie wierzę.

– No, nie do końca, ale… – Owszem, to wszystko bardzo interesujące, nie zapomniała jednak, o co jej chodziło. – Może zacznę od początku.

– Może jednak nie. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że demonstracją dżu-dżitsu spaliłaś swoje alibi w klubie? Już nikt nie uwierzy, że jesteś ekspertką od mediów społecznościowych.

Sama zdążyła do tego dojść. W oddali rozdzwoniły się kościelne dzwony. Brnęła dalej.

– Ma na imię Faiza i zaledwie dziewiętnaście lat. Pracuje od czternastego roku życia. Jest inteligentna i urocza i marzy o czymś, co dla nas jest oczywiste. O szansie na wolność.

Wbił wzrok w kłącze fasolki.

– Marzy o szkole pielęgniarskiej, bo chce pomagać wcześniakom, chociaż w tej chwili jest właściwie niewolnicą.

Wyrwał kłącze, rzucił je na ziemię i rozgryzł resztki lizaka. Piper nie dawała za wygraną.

– Proszę cię, Coop. Dzisiaj niedziela. Klub jest zamknięty. Wystarczy, że pójdziesz do hotelu i utniesz sobie męską pogawędkę z księciem. Potraktuj to jako jedyną w swoim rodzaju okazję, żeby zobaczyć z bliska, jak żyją przedstawiciele innej kultury.

Cisnął patyczek po lizaku do kompostownika.

– Wystarczy mi kultura, w której sam żyję. Z wyjątkiem nieuczciwych kelnerek…

Zobaczyła okruszek lizaka w kąciku jego ust i nagle przypomniała sobie ten idiotyczny pocałunek. Odruchowo oblizała wargi.

– Większość kelnerów jest w porządku. A gdyby wszyscy myśleli tak jak ty, na świecie zapanowałby pokój i wzajemne zrozumienie.

– Wielkie dzięki, Miss World.

– Podkreślam tylko, jak bardzo jesteś ograniczony.

Pogroził jej palcem ubrudzonym ziemią.

– Ja przynajmniej myślę. I szczerze wątpię, czy fakt, że spędzę wolny wieczór z arabskim szejkiem, wspominając dni chwały, przyczyni się do światowego pokoju. A co do reszty twojego planu… – Wzdrygnął się. – Robiłem w życiu wiele rzeczy, które nie napawają mnie dumą, ale to, co proponujesz, przyprawia mnie o dreszcz.

– To bohaterstwo! Szansa zmazania grzechów przeszłości! – Takich jak tamten pocałunek, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Choć Coop chyba też o tym myślał. Nie wiedziała, skąd takie przeświadczenie. Intuicja? A może chodziło o coś innego… Błysk w jego oczach. Jakaś przebiegłość… Co on kombinuje?

Pochylił głowę, dotknął brwi kciukiem.

– Gdybym miał to zrobić… czego się oczywiście nie podejmuję… oczekiwałbym nagrody. Co proponujesz?

– A czego chcesz?

– Dobre pytanie.

Przeszywał ją wzrokiem. Przenikał idiotyczny uniform szoferki. Zdejmował w myślach każdy obrzydliwy element. I wcale się przy tym nie spieszył. Może nie we wszystkim się orientowała, ale w tym – owszem. Przewróciła oczami.

– Daruj sobie. Możesz mieć każdą gwiazdę filmową, a teraz tylko się ze mną drażnisz. Jak wczoraj. Ale wiesz co? To na mnie nie działa.

– Jesteś pewna? – Słowa spływały z jego ust miękko i uwodzicielsko jak jedwab.

– Jestem totalnie nieporuszalna.

– Czyżby? – Podrapał się w podbródek i zostawił na szczęce ciemną smugę. – Mówiłem ci, jakim kiepskim byłem kochankiem, kiedy stawiałem pierwsze kroki?

Jedno musiała mu przyznać: był nieprzewidywalny. Z niepojętych dla niej przyczyn kierował ich na niebezpieczne wody. Musiała się wycofać, ale nie mogła, nie po tym, jak wczoraj zareagowała. A więc czas przejść do ataku.

– Nie wierzę – odparła.

– Słyszałem tyle skarg, że musiałem nad tym popracować. Potraktować jak zadanie do wykonania.

– I dużo trenować, co?

– Otóż to. Kiedy sobie przypomnę tamte błędy…

– Pewnie umierasz ze wstydu.

– Ale cały czas widziałem cel przed sobą.

– Jeden? Dziwne. Cóż, mam nadzieję, że nie masz kompleksów w związku z brakiem doświadczenia. Pewnie…

– Zrozumiałem, o co w tym właściwie chodzi, kiedy miałem…

– Trzydzieści sześć lat?

– Osiemnaście. Szybko się uczyłem. Wiesz, te wszystkie doświadczone kobiety, które chciały wziąć nieopierzone pisklę pod swoje skrzydła…

– Błogosławieni niech będą litościwi. Ale… – Teraz ona uśmiechnęła się przebiegle. – To wszystko bardzo ciekawe, ale oboje wiemy, że ja cię nie interesuję. Gramy w całkiem różnych ligach.

Wydawało się, że w pierwszej chwili docenił, że dostrzegła ten niezaprzeczalny fakt, zaraz jednak spochmurniał.

– Chwileczkę. W zeszłym tygodniu podawałaś się za istną femme fatale.

– Są granice. Jesteś zupełnie inny niż wszyscy funkcjonariusze Ciacha tego świata. Daleko poza moim zasięgiem.

Wydawał się autentycznie przygaszony.

– Właściwie dlaczego tak o sobie mówisz? Gdzie twoja duma?

– Stoi twardo na ziemi. Ty sypiasz z gwiazdami, a popatrz na mnie. Mam trzydzieści trzy lata. W najlepszym wypadku wyglądam przeciętnie, a…

– Zdefiniuj „przeciętnie”.

– Mam okropne stopy i co najmniej pięć kilo nadwagi.

– Jasne, w porównaniu z kościotrupem.

– I mam w nosie, co noszę i jak wyglądam.

– To akurat prawda. A co do reszty… Słyszałaś chyba o przerwach w dostawie prądu. Wystarczy, że zgaszę światło.

Powiedział to z teatralną przesadą, jak czarny charakter z kiepskiej sztuki. Gdyby sprawa nie była poważna, parsknęłaby śmiechem. Ale była, więc zamiast się roześmiać, podeszła do niego i powiedziała:

– Tu chodzi o ludzkie życie. Musisz mi pomóc. Twoje lepsze ja, zakładając oczywiście, że w ogóle istnieje, też chce, żebyś to zrobił.

Przywykł już do jej zagrywek i nie połknął przynęty.

– Dobra próba, Sherlocku, ale nie trafiłaś.

Wyczerpała argumenty. Oparła się o murek.

– Masz lepszy pomysł?

– A jakże. Pilnuj własnego nosa.

Odetchnęła głęboko i wolno pokręciła głową.

– Nie mogę.

Coop włożył do ust miniaturowy żółty pomidorek. Wiedział, że nie będzie mu smakował po słodkim lizaku, ale grał na zwłokę. Piper miała rację. Drażnił się z nią. Chciał, żeby ten nieszczęsny pocałunek wydawał się tak nieistotny, jak powinien być.

Spojrzał na nią. Była tak cholernie zawiedziona. I to nim. Jakby przyłapała go na znęcaniu się nad kociakiem. Chociaż nie miała prawa prosić go o to, o co poprosiła, czuł się jak kompletny dupek. Ostatnio czuł się tak, gdy był jeszcze na studiach i jego trener, całkiem słusznie zresztą, zmieszał go z błotem za zbyt intensywne imprezowanie.

– Proszę tylko o godzinę – powtórzyła. – Najwyżej dwie.

Nigdy nie dawał zapędzić się w kozi róg, ale ona to właśnie zrobiła. Uważała się za cholerną damską wersję rycerza w lśniącej zbroi i oczekiwała, że dołączy do jej krucjaty. A to ona u niego pracuje, do cholery. To on rządzi na boisku, ona nie ma nic do powiedzenia.

– Prosisz o dużo więcej – odparł.

Nie dawała za wygraną.

– Czy życie młodej kobiety nie jest warte chwili twojego czasu?

Odpowiedział zimną logiką na próbę szantażu emocjonalnego.

– Jej życiu nic nie zagraża.

Spojrzała w dal, na klon o pożółkłych liściach. Nie wiedział, czy mówi szczerze, czy nim manipuluje.

– Sam fakt, że urodziliśmy się w tym kraju, daje nam możliwości, jakich nie mają ludzie w innych częściach świata – powiedziała. – Wszystko zależy od tego, gdzie się urodzisz. Od ślepego losu.

Urodził się biedny jak mysz kościelna, ale… Cholera. Zrobi to dla niej. Zresztą może nie dla niej. Może wyzwaniem było to, czego chciała.

Książę śmierdział wodą kolońską, która kosztowała pewnie kilka szybów naftowych, ale od której Coopowi zrobiło się niedobrze. Miał farbowane czarne włosy i mały fryzjerski wąsik. Nosił dziwaczne okulary, w górnej części zabarwione na niebiesko, w dolnej – przezroczyste. Nosił zachodni strój – szyty na miarę garnitur, który leżał idealnie na jego drobnym ciele, i szare oksfordy, które Coop mógłby nosić może jako dziesięciolatek. Cooper nie miał nic przeciwko niskim facetom, ale rozbuchane ego księcia Aamuzhira działało mu na nerwy.

– Zanim sprzedam jacht, musimy się razem wybrać na morze. To jeden z największych tego typu jachtów na świecie, ale basen umieszczono na rufie, a ja pływam tylko w słońcu. – Mówił czystą angielszczyzną z nienagannym brytyjskim akcentem. – Mając drugi basen na dziobie, będę mógł się kąpać bez względu na to, w jakim kierunku płyniemy. – Chichot. – Zapewne nie rozumie pan, dlaczego zakup nowego jachtu jest dla mnie tak ważny. Większość ludzi tego nie rozumie.

Coop był w kiepskim humorze. Spotykał się już z dupkami pokroju księcia – bogatymi facetami, którzy budowali poczucie własnej wartości, otaczając się sportowcami i traktując ich z góry. Mimo to posłusznie skinął głową.

– Co tam ja, ja jestem tylko emerytowanym futbolistą. A Wasza Wysokość… Wasza Wysokość jest człowiekiem światowym, z klasą. Od razu to widać.

Sherlock dobrze się przygotowała.

– Niektórzy książęta to porządni goście – poinformowała go. – Wykształceni przemysłowcy i ministrowie. Jeden jest pilotem myśliwca. Niestety, książę Aamuzhir się do nich nie zalicza. Większość czasu spędza za granicą, na przyjęciach z bardzo drogimi prostytutkami.

Książę wydmuchał kłąb dymu. Coop za wszelką cenę starał się go nie wdychać.

– Może zaprosi pan kolegów na mój jacht – zaproponował. – Dean Robillard. Kevin Tucker. Nie miałem przyjemności ich poznać.

Jasne. Robillard i Tucker wyrzuciliby go za burtę tego jachtu z jednym basenem. I to bez namysłu.

– Zadzwonię do nich – obiecał. – Zobaczymy, czy zdołają się wyrwać.

Upił łyk bardzo starej szkockiej z ciężkiej kryształowej szklanki. Nie sądził, by takie naczynia znajdowały się na stanie hotelu Peninsula. Już kilkakrotnie był w tym apartamencie, ale nigdy nie widział ani złotej fontanny w rogu, ani inkrustowanych klejnotami popielniczek, ani haftowanych jedwabnych puf.

Książę usiadł przy szezlongu obok fortepianu i skrzyżował nogi w kostkach, odsłaniając nieskazitelnie czyste podeszwy butów, które prawdopodobnie założył po raz pierwszy i ostatni.

– Powiedz mi, przyjacielu… – Wypuścił kolejny kłąb dymu. – Jak sądzisz, jak skończyłby się mecz, w którym zmierzyłbyś się z Joem Montaną albo Johnem Elwayem? – Zadał to pytanie, jakby sam je

wymyślił, jakby Coop nie słyszał go z ust każdego początkującego dziennikarza sportowego w kraju.

Cooper udawał, że się zastanawia, upił kolejny łyk szkockiej i udzielił standardowej odpowiedzi:

– To byli moi idole. Żałuję, że nie miałem takiej okazji. Wiem jedno; bez względu na to, przeciwko komu grałem, dawałem z siebie wszystko.

Książę przełożył nogi.

– Z moich obserwacji wynika, że rozgrywający często traci cierpliwość i niewłaściwie interpretuje reakcje obrony.

Coop skinął głową, jakby książę był wybitnym analitykiem sportowym, a nie egoistycznym dupkiem, który o niczym nie ma pojęcia.

Aamuzhir spojrzał na dłoń Coopa.

– Nosisz pierścień Super Bowl.

O pierścieniach Super Bowl nie da się powiedzieć, że są skromne. Ten Starsów był kiczowaty, tak nafaszerowany brylantami, że starczyłoby ich dla całej sali debiutantek. Cooper zerknął na swój palec.

– Piękny, prawda?

– Wyjątkowo.

Coop niemal widział, jak facet się ślini.

– A niech tam… Właściwie nigdy nikomu nie pozwalam włożyć tego pierścienia. Za bardzo się natyrałem, żeby go zdobyć, ale Wasza Wysokość… A co tam… – Zdjął pierścień. – Wasza Wysokość rozumie futbol jak mało kto. Proszę się przekonać, jakie to uczucie mieć go na palcu.

Nie pofatygował się, żeby wstać, tylko wyciągnął rękę, więc książę musiał dźwignąć się z szezlongu, by dorwać pierścień w chciwe łapy.

Wsunął go na pulchny palec i wpatrzył się w niego takim wzrokiem, jakby nie chciał go nigdy zdjąć.

– Wspaniały. – Nie spieszył się, podziwiał pierścień, podszedł nawet do stolika o szklanym blacie, bo tam było lepsze światło. – Wkrótce zjawią się dziewczęta. Niech pan zostanie i wraz ze mną cieszy się ich towarzystwem – zaproponował.

Nadeszła chwila, na którą Coop czekał i której jednocześnie się obawiał.

– Takiego zaproszenia nie mogę nie przyjąć. – Wstał, wyjął komórkę. – Mam spotkanie z ludźmi od PR, ale postaram się wykręcić.

Podszedł do drzwi na ogromny taras i zadzwonił do Piper, która czekała w samochodzie tuż za rogiem.

– Roy? Tu Coop – zagaił, ledwie odebrała. – Słuchaj, zmiana planów, nie dotrę dzisiaj na Union League. Załatwisz to?

– Nadal z nim jesteś? – zapytała.

Zerknął na księcia przez ramię. Bawił się pierścieniem.

– Tak, wiem, podpisałem umowę, ale naprawdę nie dam rady.

– Słuchaj, pamiętam, że ty jesteś najważniejszy. – Wydawała się przejęta. – Wiedziałam, że może się zrobić gorąco. Jeśli chcesz, żebym tam przyszła, zaraz będę.

– Nie, do cholery! – Ostatnie, czego mu trzeba, to Piper Dove ze złotym lassem i magiczną bransoletką. – Nie mówiłeś, że tam będzie aż tylu dziennikarzy.

– Jesteś boski.

– No dobra, przyjdę. – Rozłączył się i wsunął telefon do kieszeni. – Niech to szlag! Nie mogę się wykręcić. Muszę iść. – Westchnął, jakby właśnie tracił okazję życia. – Rzadko spotyka się kogoś, kto tak jak Wasza Wysokość umie naprawdę cieszyć się życiem. – Kolejne westchnienie. A teraz najtrudniejsze.

Podszedł bliżej, żeby odebrać pierścień.

– Cóż, jest coś, o czym chciałem pogadać, ale… No cóż… – Wyciągnął rękę.

Pierścień nadal tkwił na palcu księcia.

– Ależ bardzo proszę powiedzieć, co ma pan na myśli.

– To trochę krępujące. – Raczej przerażające. – Ale my… Wasza Wysokość i ja… jesteśmy

światowymi mężczyznami, prawda? Znamy się na tym, co dobre. Obaj wiemy… czego chcemy.

– W rzeczy samej. – Książę gładził pierścień opuszką palca.

– Znam jedną z szoferek księżniczek. Wie, że lubię kobiety… młodsze. Cóż, który facet takich nie lubi, prawda? Pracuje u Waszej Wysokości taka jedna… Faiza. Szoferka mi o niej opowiadała.

– Och! – Książę się rozpromienił. – Masz na nią ochotę?

– Jest w moim typie. Autentycznie młodziutka. Wygląda na jakieś trzynaście lat. – Następne słowa z trudem przeszły mu przez gardło: – Uwielbiam takie kobiety.

– Ach, tak.

Coopera przeszył dreszcz.

– Jak Wasza Wysokość myśli… czy dałoby się przekonać księżniczkę, żeby pozwoliła tej małej… pracować u mnie? Na stałe? – Zaakcentował ostatnie słowa i znacząco zawiesił głos, żeby książę sam się domyślił, jaką pracę miał na myśli. – Cholera, niepotrzebnie pytałem. – Ponownie wyciągnął rękę po pierścień. – Cieszę się, że się podoba Waszej Wysokości. Czas na mnie. Życzę miłego wieczoru.

– Chwileczkę. – Książę odsunął się o kilka kroków. – Niewykluczone, że to okaże się możliwe. Ale księżniczka oczekiwałaby rekompensaty.

– Oczywiście. Zaraz wypiszę czek. Ile ta mała jest warta? Kilka tysięcy?

– Pieniądze wśród przyjaciół? O nie. Ale może drobny upominek jako dowód przyjaźni?

Sherlock myślała, że Coopowi uda się przekonać księcia, żeby po prostu oddał mu dziewczynę, on jednak wiedział, że nie pójdzie tak łatwo.

– Przez dowód przyjaźni rozumie Wasza Wysokość…

Książę musnął pierścień.

– Cóż, skoro ta mała jest dla ciebie tak ważna…

– Twardy z Waszej Wysokości biznesmen, ale… jej dokumenty? Paszport? Nie chciałbym oddać pierścienia, a potem bezradnie patrzeć, jak wymyka mi się z rąk.

– Ależ oczywiście. To kwestia jednego telefonu.

Książę uśmiechnął się oślizgle i sięgnął po komórkę. Coop udawał, że patrzy w okno, gdy ten odbywał krótką, szczekliwą rozmowę po arabsku. A więc dobił z księciem targu.

Za wszelką cenę chciał stąd wyjść, ale bez dziewczyny nie odda pierścienia. Wiedział, jak grać na czas. Dopił drinka i przerwał obrzydliwą opowieść księcia o seksualnych igraszkach własną historią – o ubiegłorocznym meczu Giantsów. A potem razem jechali windą do hotelowego foyer.

Jeden ze strażników stał przy recepcji i przeglądał stertę paszportów, które zapewne wyjął z hotelowego sejfu. Ze względu na swobodny ruch graniczny między Stanami a Kanadą Coop usiłował przekonać Piper, że paszport nie jest konieczny, ale ona nie chciała o tym nawet słyszeć.

– Bez paszportu nie będzie mogła się starać o statut uchodźcy – tłumaczyła. – Nie będzie mogła iść na studia, nie dostanie ubezpieczenia. Zrozum, Coop, odebrali jej tożsamość. Paszport to symbol tego, co jej zostało. Obiecaj, że przynajmniej spróbujesz.

Niczego nie obiecywał, ale chwile spędzone z księciem umocniły go w postanowieniu.

Służący podał paszport księciu. Pod ścianą stała drobna kobieca postać w kapturze. Tuliła do siebie małą torbę podróżą. Zwiesiła głowę, więc Coop nie widział jej twarzy. Nie miała pojęcia, co ją czeka, i pewnie była przerażona.

Książę nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem – była w końcu tylko kobietą – ale oddał Coopowi jej paszport. Cooper otworzył go niedbale, spojrzał na fotografię, podszedł do dziewczyny i odchylił jej głowę do tyłu. Jakby kupował niewolnicę.

To ona, bez dwóch zdań. Ciemne brwi, okrągła twarz i brązowe oczy pełne przerażenia. W tej chwili nie mógł nic na to poradzić.

Schował paszport do kieszeni i wrócił wzrokiem do księcia.

– Oby pierścień dobrze służył Waszej Wysokości. Lombardi pośrodku to czysta platyna.

W oryginalnym pierścieniu, bezpiecznym w sejfie w jego sypialni, Lombardiego otaczały brylanty, a nie cyrkonie, jak w kopiach. Zamówił ich pół tuzina i przekazywał na aukcje charytatywne. Choć kupujący wiedzieli, że to podróbki, kupowano je chętnie.

– Idziemy – rzucił do dziewczyny. Miał nadzieję, że okaże się posłuszna i nie będzie musiał przerażać jej jeszcze bardziej, zmuszając ją, by z nim wyszła.

Skuliła się, jakby chciała się bronić przed kolejnym koszmarem, który, jak się obawiała, właśnie się zaczynał, ale ruszyła za nim.

– Naciesz się nią! – zawołał za nimi książę.

Coop zastanawiał się, ilu strażników rzuciłoby się na niego, gdyby dał draniowi w zęby, ale za dobrze nad sobą panował, by ulegać takim impulsom. Nie oglądając się za siebie, wyprowadził zastraszoną służącą z hotelowego foyer. Podróbka pierścienia zwycięzcy Super Bowl. Tyle było warte jej życie.

Wyszli przez frontowe drzwi. Dopiero za zakrętem, gdy zbliżali się do samochodu, w którym czekała Piper, Coop odezwał się do dziewczyny:

– Witamy w Ameryce, pani Jamali.

Uznał, że warto było, kiedy patrzył na ich powitanie. Piper promieniała, Faiza szlochała. Piper usiadła z nią na tylnym siedzeniu, więc Coop zajął miejsce kierowcy. Podczas jazdy Piper trzymałą Faizę za rękę i tłumaczyła, co się wydarzyło. Dziewczyna nie była w stanie wykrztusić słowa, ale aż nadto wymowny był entuzjazm, z jakim zarzuciła Piper rękę na szyję.

Piper uznała, że najbezpieczniejszym miejscem dla Faizy będzie na razie mieszkanie Berni Berkovitz. Berni, mistrzyni pieczeni i ciasta krówkowego, miała na sobie dziwaczny strój – czerwone rajstopy i obszerny męski sweter. Radośnie machała rękami na powitanie, wołając:

– Ależ to ekscytujące! Wspaniałe!

W jej mieszkaniu było ciasno, duszno i lekko śmierdziało naftaliną, ale Coop przyznał Piper rację – było to lepsze schronienie niż klub.

– Nie mam pojęcia, co jadają muzułmanie – zaczęła Berni od progu. – Ale mam ciasto czekoladowe. Religia ci na to pozwala?

– Och, tak – zapewniła Faiza. – Ale teraz nie przełknę ani kęsa. Tyle się wydarzyło!

Musiał porozmawiać z Sherlockiem w cztery oczy. Wkroczył do akcji.

– Pani Berkovitz, może pokaże pani Faizie, gdzie może się rozpakować, a my z Piper zastanowimy się, co dalej. Faiza pewnie chce zadzwonić do ciotki.

Na twarzy dziewczyny odmalował się niepokój.

– Nowe problemy? Nie chcę stwarzać wam kłopotów po tym wszystkim, co dla mnie zrobiliście.

– Wszystko jest w porządku. – Uśmiechnął się z otuchą, choć w rzeczywistości książę w każdej chwili mógł się zorientować, że go oszukano. Najlepiej, żeby Faiza była już daleko, zanim do tego dojdzie. – Pani Jamali. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął jej paszport. – O ile mi wiadomo, to należy do pani.

Podeszła powoli, ze wzrokiem wbitym w dokument w jego dłoni. Zatrzymała się, ale nie wzięła paszportu, tylko dotknęła opuszkami palców zielonej okładki.

– Proszę go wziąć – zachęcił.

Zrobiła to i przez chwilę trzymała paszport w wyciągniętej dłoni, jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę jest jej. Potem przycisnęła rękę do serca i skłoniła się nisko.

– *Shokran jazeelan* – powiedziała zdławionym głosem. – Dziękuję.

Jezu. Jeszcze chwila i on też będzie płakał jak bóbr. Ale nie Piper. Mógłby się założyć, że nawet puszka gazu pieprzowego nie zmusi jej do łez.

Ledwie Faiza poszła za Berni do sypialni, Piper rzuciła mu się na szyję. Gdyby nie jego błyskawiczny refleks, mogłaby znowu go powalić. Nie, żeby za pierwszym razem jej się to udało, ale kto zdoła jej to

wytłumaczyć?

– Jesteś najlepszy! – zawołała. – Najwspanialszy facet na świecie!

Zarzuciła mu ręce na szyję, wsunęła głowę pod jego podbródek – i nagle zupełnie zapomniał o taktycznych ciosach. Choć różnili się wzrostem, pasowała do niego idealnie. Jej piersi przywarły do jego klatki piersiowej, jej biodra opierały się o jego uda. Odruchowo ją objął. Uścisnęła go mocno, a on w odpowiedzi nabrzmiał jak napalony nastolatek przy pierwszej macance.

Podniosła na niego wielkie niebieskie oczy pełne wdzięczności, totalnie nieświadoma tego, jak na niego działa. Wiele go kosztowało, żeby nie zacisnąć dłoni na jej pośladkach, ale po wczorajszym wiedział, że jeśli to zrobi, dostanie pięścią w żołądek. Albo jeszcze gorzej.

Kiedy właściwie balans sił tak się zmienił? Obejmowała go jak najlepszego kumpla. Jakby do pocałunku w korytarzu wcale nie doszło. Jakby o nim zapomniała, do cholery!

Wziął się w garść, złapał ją za ramiona i odsunął zdecydowanym gestem. Cały czas modlił się, żeby przypadkiem nie spojrzała w dół i nie zobaczyła, jak na niego działa.

Myślał, że zrobi jej się choć trochę przykro, że ją odepchnął, ona jednak myślała tylko o jednym.

– Wiedziałam, że to zrobisz! Jezu, Coop, zmieniłeś jej życie o sto osiemdziesiąt stopni!

Łypnął na nią groźnie.

– Nie wierć się i powiedz, jak chcesz ją stąd wywieźć.

Jego fochy nie robiły na niej wrażenia.

– Dam jej kilka dni, żeby oswoiła się z sytuacją i skontaktowała z ciotką. A potem…

– Kiepski pomysł. – Odsunął się od Piper i opowiedział jej o księciu i pierścieniu. – Ten dupek ma gigantyczne ego i niewiele mniejszą armię do swojej dyspozycji. Niewykluczone, że dopiero po latach zorientuje się, że został oszukany, ale możliwe, że wie to już teraz. Najrozsądniej będzie wsadzić ją do pierwszego samolotu, który wylatuje z Chicago. A jeszcze lepiej – z Milwaukee. Niewiele dalej niż O'Hare, a nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować.

– Nie wsadzę jej do samolotu.

– Ależ owszem. Ja płacę.

Zbyła go.

– Nie ma bezpośrednich lotów, a ona już wystarczająco dużo przeszła. Thunder Bay jest niedaleko granicy, na północ od Minnesoty. Zawiozę ją.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – jęknął.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był najbardziej żałosną formą życia na ziemi. I znowu to samo. Poczucie, że nie jest wystarczająco męski, by sprostać wymaganiom, które istniały tylko w jej głowie.

– Bo tak należy – odparła.

Burzył się i protestował, i coraz bardziej czuł się jak idiota. W końcu skapitulował.

– Dobra! – prychnął jak nadąsany nastolatek. – Niech ci będzie!

Ale jeszcze w progu wiedział, co zrobić.

Rozdział 10

Jej samochód nie chciał odpalić! Dlaczego musiało się to stać akurat dzisiaj? Faiza siedziała w fotelu pasażera, tuliła do piersi torebkę z bezcennym paszportem i nerwowo zerkała na samochody przejeżdżające koło bloku Piper. Gdyby nie Coop i jego fałszywy pierścień Super Bowl, byli pracodawcy Faizy pewnie zlekceważyliby jej zdradę. Nie mogła jednak mieć do niego pretensji o to, co zrobił. Łudziła się, że status gwiazdy sporu wystarczy, by książę dał mu Faizę w prezencie, ale Coop najwyraźniej wiedział lepiej od niej, jak myśli bogaty egoista. Przeliczyła się, a to niedobrze.

Faiza nerwowo zagryzała dolną wargę, a Piper uniosła maskę sonaty, ale źródło problemu dostrzegła, dopiero gdy sprawdziła bezpieczniki. Kilku nie było. Kto, do cholery?!

Podjechał do niej samochód z opuszczoną szybą.

– Wsiadaj.

Coop za kierownicą srebrnego audi wyglądał jak król miasta.

– To ty! – wykrzyknęła. – Gdzie moje bezpieczniki?!

– Oddam ci, kiedy uznam, że to odpowiednia chwila – odparł przeciągle.

Wysiadł, otworzył drzwiczki sonaty od strony pasażera.

– Dzień dobry, pani Jamali. Zawiozę panie do Kanady.

– Nie! – zaprotestowała Piper. Nie wytrzyma kilku godzin z nim samochodzie. Nie chciała, żeby był w porządku. Chciała, żeby nadal był samolubnym, aroganckim, bezczelnym dupkiem, którego sobie wymyśliła, gdy po raz pierwszy zaczęła go obserwować.

Ale Faiza ucieszyła się na jego widok i ochoczo zmieniła samochód, więc Piper nie miała wyjścia, musiała także się przesiąść. Nie zważał na protesty Faizy i posadził ją na przednim siedzeniu, a Piper musiała usiąść z tyłu. Ostentacyjnie zapięła pas.

– Po pierwsze, mogłabym spokojnie sama zawieźć nas do Minnesoty. Po drugie, prowadzę o wiele lepiej od ciebie.

– Skąd ta pewność? – zapytał, odpalając silnik.

– Śledziłam cię, zapomniałeś? Ostro hamujesz, kiedy jesteś wściekły, dajesz gaz do dechy, w ogóle jeździsz bardzo agresywnie. A ja skończyłam kursy bezpiecznej jazdy, kontrolowanego poślizgu, unikania ogona i jazdy ofensywnej.

– Imponujące, ale ja i tak nie dostaję żadnych mandatów. Czego o tobie nie można powiedzieć.

– Tylko dlatego, że żaden gliniarz w stanie Illinois nie wlepi mandatu wielkiemu Cooperowi Grahamowi. Ciekawe, czy w Wisconsin będą równie wyrozumiali, gdy znajdziesz się na terytorium Green Bay Packers?

– Tam też – zapewnił dumnie. – Ktoś tak znany jak niżej podpisany może sobie pozwolić właściwie na wszystko.

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – burknęła. – Gdzie tesla?

– W garażu. Trzeba ją ładować co mniej więcej czterysta kilometrów, więc taka wyprawa wymaga starannego planowania.

– Czyj to wóz?

– Mój.

Z trudem poluzowała zaciśniętą szczękę.

– Ile ich masz?

– Tylko dwa. No i jeszcze półciężarówkę.

– Po co ci półciężarówka?

– Do wożenia różnych rzeczy. Każdy facet powinien mieć pikapa.

Westchnęła tylko i zaczęła skubać kłaczki wełny na swoim swetrze.

Zbliżali się do granicy stanu Wisconsin. Faiza opowiadała o wczorajszej rozmowie z ciotką. Coop uruchomił cały swój urok, którego nigdy nie marnował na Piper. Faiza, ciągle skromna, nie patrzyła na niego, ale była wyraźnie oczarowana. Kiedy rozmowa zeszła na temat polityki, ożywiła się.

– Słowo „islam" znaczy pokój, czystość, poddanie i posłuszeństwo – tłumaczyła. – Co to wszystko ma wspólnego z terroryzmem?

Rozmawiali o Bliskim Wschodzie, o jedzeniu i muzyce. Niedaleko Madison zjedli lunch w Burger Kingu dla zmotoryzowanych. Faiza była zachwycona samym pomysłem jedzenia podawanego do samochodu. Coop nie chciał od Piper ani pieniędzy, ani tego, żeby zmieniła go za kierownicą.

– Jeśli upaprzesz mi siedzenie keczupem, wysadzę cię na środku drogi – ostrzegł.

Faiza potraktowała jego słowa poważnie i obiecała, że będzie ostrożna.

– Nie ty, Faizo – zapewnił. – Ona.

– Nie lubisz Piper? – Faiza była wyraźnie poruszona.

– To skomplikowane – mruknął. – Bo widzisz, Piper jest we mnie do szaleństwa zakochana. Muszę trzymać ją na odległość.

Piper prychnęła gniewnie.

– Nie, nie, nie! – zawołała Faiza. – Piper nie jest szalona. Jest bardzo mądra.

Na co Coop wdał się w długi wykład o amerykańskim slangu i zanim minęli Wisconsin Dells, Faiza wiedziała już, że są sformułowania, których nie można rozumieć dosłownie.

Chichot dziewczyny był dla Piper jak najpiękniejsza muzyka, więc sama była zaskoczona, słysząc swój gderliwy komentarz:

– Amerykański slang nie bardzo jej się przyda w Kanadzie.

– Mają tam amerykańską telewizję – zauważył Coop.

Piper zrobiło się głupio. Fakt, że czuła się odstawiona na boczny tor, nie usprawiedliwiał takiego zachowania.

Cooper, jak większość mężczyzn, nie znosił stawać po drodze. Wytknęła mu, że mierzy im czas, kiedy pobiegły z Faizą do łazienki na stacji benzynowej.

– To, że patrzyłem na zegarek, wcale nie znaczy, że mierzyłem wam czas – obruszył się.

Łypnęła na niego spode łba.

– Jak długo nas nie było?

– Sześć minut i trzydzieści dwie sekundy.

Czasami strasznie ją wkurzał, ale potrafił też ją rozbawić.

– Zapiąć pasy, moje panie – mruknął. – Startujemy.

Po południu dojechali do Duluth i dopiero wtedy pozwolił Piper usiąść za kierownicą – choć właściwie postawiła go przed faktem dokonanym, bo kiedy sam poszedł do łazienki, po prostu zajęła jego miejsce.

– Pięć minut pięćdziesiąt dwie sekundy – oznajmiła. – Spowalniasz nas.

Faiza zachichotała na tylnym siedzeniu.

– Kłamiesz. Maksimum cztery – odparował, ale bez protestu usiadł na miejscu pasażera.

Większość Amerykanów nie ma pojęcia o dzikiej urodzie północnego wybrzeża Lake Superior w Minnesocie, ale Piper dobrze znała te okolice. W dzieciństwie Duke często zabierał ją tu pod namiot i pokochała skaliste urwiska, kamieniste plaże i zapierające dech w piersiach widoki. Kiedy mijali szyldy reklamujące smażone i wędzone ryby, nagle zatęskniła za ojcem, za jego wadami i za jego miłością. Coopa zachwyciły reklamy domowych ciast.

– Zjedź tutaj! – zawołał, gdy mijali drogowskaz do miasteczka o złowrogiej nazwie Castle Danger.

Zatrzymała się przy małej knajpce przy autostradzie. Po chwili Cooper wyszedł z niej, niosąc trzy kawałki ciasta.

– Szarlotka z orzechami i karmelem.

Nie bardzo mogła jeść, prowadząc samochód krętą dwupasmówką, zadowoliła się więc smakowitym cynamonowym zapachem, gdy Coop wydawał przesadne okrzyki zachwytu i generalnie ocierał się o granice pornografii, opisując kruchy spód i bajeczne nadzienie.

– Co ty na to, Faizo? – zapytał. – Jadłaś kiedyś lepsze ciasto?

– Pyszne – szepnęła. Im bliżej byli granicy kanadyjskiej, tym bardziej się denerwowała. Przełknęła zaledwie kilka kęsów.

Ostatnim większym miasteczkiem przed przejściem granicznym Grand Portage jest Grand Marais. Tuż przed granicą Piper poprosiła Faizę, żeby zdjęła hidżab z głowy, tylko dopóki nie wjadą do Kanady.

– Jesteśmy dziwną grupą – tłumaczyła. – Wprawdzie nasze dokumenty są w porządku, ale tak będzie łatwiej.

Faiza zagryzła wargę i spojrzała na Coopera na przednim siedzeniu.

– Nie mogę tego zrobić – wykrztusiła.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – powiedział Coop. – Sherlocku, zjedź na pobocze, a pokażę ci, jak to się robi.

– Masz pojęcie, jak bardzo jesteś bezczelny?

– Według ciebie bezczelny, według reszty świata – czarujący i przystojny.

Z uśmiechem zjechała na pobocze.

Funkcjonariusz na granicy od razu rozpoznał gwiazdora sportu; po chwili rozmowy o futbolu i złożeniu kilku autografów ruszyli dalej.

Ciotka Faizy mieszkała w skromnym białym domku przy górzystej uliczce, z której rozciągał się widok na port w Thunder Bay. Czekała na nich i wybiegła na zewnątrz, jeszcze zanim samochód się zatrzymał.

Faiza rzuciła się jej na szyję. Obie kobiety płakały. Z domu wysypali się krewni i przyjaciele. Wielu z nich otoczyło Piper i dziękowało jej za to, co zrobiła. Kobiety ją całowały, mężczyźni obejmowali Coopa. Tak wylewne podziękowania wprawiły ją w zakłopotanie. Po długim, łzawym pożegnaniu z Faizą i zapewnieniach o szczerych modlitwach od wszystkich obecnych Piper uprzedziła Coopa i zajęła miejsce kierowcy. Ruszyli w drogę powrotną.

Mieli za sobą długi dzień. Zaczęło się ściemniać. Nie przewidziała tego i nie zaplanowała noclegu, ale Coop poinformował, że zarezerwował im pokoje w Two Harbors, miasteczku o trzy godziny drogi stąd. Była ledwie żywa, wykończona wydarzeniami ostatnich dni, i wolałaby coś bliżej, ale Coop obstawał przy swoim.

– Słyszałem o tym pensjonacie i chciałbym go zobaczyć.

– Drogi?

– Dla ciebie – za drogi. Zwrócisz mi nadgodzinami.

Rzucał jej kłody pod nogi dla samej przyjemności, ale zaraz się zrehabilitował.

– Przyznaję, początkowo ten pomysł nie przypadł mi do gustu, ale cieszę się, że dałem ci się namówić. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

– Ty też – mruknęła.

W samochodzie zapadła niezręczna cisza. Ulżyło jej, gdy włączył radio.

Kiedy tankowali, zmienili się za kierownicą. Koło dziesiątej Cooper zjechał z dwupasmówki w miejscowości Two Harbors. Na północnym brzegu nie było wielu hotelowych sieciówek, ale nie spodziewała się, że skręci w szutrową drogę prowadzącą wzdłuż portu przemysłowego.

W nocy portowe dźwigi wyglądały niesamowicie, metalowe szkielety przywodziły na myśl antyutopijne wizje postapokaliptycznej rzeczywistości. Dostrzegła frachtowiec, na który ładowano rudę z pobliskiej kopalni. Blask gigantycznych reflektorów spowijał wszystko niesamowitą poświatą.

Nad ich głowami, wysoko na urwisku, wznosiła się latarnia morska i wąski słup światła kładł się smugą na wodzie. Coop dojechał szutrówką do budynku z czerwonej cegły. Wąskie okna, białe wykończenia – gdyby nie latarnia morska, wyglądałby jak staroświecka szkoła.

– Tu nocujemy? – spytała Piper.

– Tak – potwierdził. – Słyszałem od znajomych, że to najstarsza czynna latarnia morska nad Lake Superior. Jakiś czas temu towarzystwo historyczne urządziło w niej pensjonat.

Złapała za klamkę w drzwiach samochodu.

– Spoko, o ile ma co najmniej dwa pokoje.

– Chwileczkę! – Zablokował zamek, nagle wściekły nie wiadomo dlaczego. – Chyba nie myślisz, że chciałbym zaciągnąć cię do łóżka?

Zaskoczyła ją jego reakcja. Westchnęła teatralnie.

– Nie sądziłabym, gdyby nie ten beznadziejny pocałunek, a ponieważ przyciągam najróżniejszych facetów, kto wie?

– Mnie nie przyciągasz.

– Nie? Więc co znaczył ten pocałunek?

– Ratował ci życie. – Wymachiwał jej przed nosem długim, silnym palcem. – Wyjaśnijmy coś sobie, Sherlocku. Nie interesujesz mnie jako kobieta. W ogóle. Ani trochę. Nic. Zero. Nul. Pocałowałem cię tylko po to, żeby nie zrobić tego, na co naprawdę miałem ochotę – czyli cię udusić. Koniec tematu.

Otworzył drzwi i wysiadł z wozu.

Co go ugryzło? Najwyraźniej brak snu dawał się jej we znaki, skoro zirytowało ją, że zlekceważył jej seksapil, na co nie zwróciłaby uwagi w wykonaniu jakiegokolwiek innego faceta. Była tak wściekła, że chciała to skomentować, ale na progu stanęła kobieta w średnim wieku. Przedstawiła się jako Marilyn.

– Pan Smith? Witamy.

Pan Smith? Nic lepszego nie mógł wymyślić?

Otworzył bagażnik i wyjął małą torbę podróżną. Piper sięgnęła po swój plecak i ruszyła za Coopem do staroświeckiej kuchni, gdzie na podłodze leżał chodniczek do wytarcia nóg, a pod ścianą przycupnął porcelanowy zlew i staroświecki piec gazowy. Białe zazdrostki przesłaniały dolną część wąskich okien. Na parapecie stał młynek do kawy. Na drewnianej komodzie leżała złożona w trójkąt amerykańska flaga.

Kuchnię wypełniał smakowity zapach, który unosił się z dwóch kawałków czekoladowego placka na talerzykach na stole. Jedne drzwi prowadziły na schody, drugie do staroświeckiej jadalni, w której Piper dostrzegła parowy grzejnik, ciemny dywan w kwiaty, dębowy stół i kolekcję porcelanowych figurek. To w tym pokoju dawniej mieszkał latarnik, wyjaśniła Marilyn.

Coop przedstawił Piper jako swoją masażystkę Ingrid.

– Piper Dove – poprawiła. – Jego sponsorka. Dbam o trzeźwość pana Smitha.

– Niech Bóg to pani wynagrodzi. – Marilyn uśmiechnęła się promiennie. – Mój drogi, to nie wstyd przyznać, że potrzebuje się wsparcia.

Piper poklepała Coopa po ramieniu.

– To samo mu powtarzam.

Zły humor, który doprowadził do wybuchu w samochodzie, chyba minął, bo nie pociągnął dalej tematu. A ją nadal bolało, że nie jest nią zainteresowany. Nie znała siebie od tej strony i wcale jej się nie

podobało to, co odkrywała.

Marilyn zaprowadziła ich do ciemnego korytarza i schodami na piętro, aż znaleźli się w kwadratowym holu z pięciorgiem drzwi. Troje prowadziło do pokoi gościnnych, jedne do łazienki, a ostatnie – na latarnię.

– Dzisiaj jesteście państwo naszymi jedynymi gośćmi, więc nie musicie z nikim dzielić łazienki – oznajmiła Marilyn.

„Pan Smith" uniósł brew. Nie przyszło mu do głowy, że miałby z kimkolwiek dzielić łazienkę. Piper natomiast oddałaby wiele za innych gości.

Pokoje były bardzo przytulne – łóżka o drewnianych wezgłowiach, urocze narzuty, szklane abażury na lampach i wszędzie firanki. Na ścianach wisiały oprawione fotografie staroświeckich barek do transportu rudy.

Gospodyni, która zdążyła przedstawić im w skrócie historię latarni, wskazała latarki w pokojach gościnnych – dla śmiałków, którzy chcieli zwiedzić cały budynek.

– Mamy tu ducha, choć mało kto go widzi. – Wyszła na korytarz. – Bardzo proszę, zamknijcie za mną drzwi.

Wychodzi? Piper właściwie nie wiedziała, czemu tak bardzo ją to poruszyło. No dobra, wiedziała, ale… Choć od miasteczka dzieliło ich zaledwie kilka przecznic, latarnia morska wydawała się oddalona od cywilizacji jak bezludna wyspa. Bez dorosłych, którzy mieliby na nich oko.

– Zajrzę tu jutro rano – obiecała Marilyn. – Śniadanie o ósmej trzydzieści. – Zniknęła na schodach, a po chwili zamknęły się za nią drzwi.

Mamoooo! Nie wiesz, że dzieci nie powinno się zostawiać samych?

Cooper odstawił torbę podróżną – prosty gest, który zużył cały tlen w pomieszczeniu. Przez to, jak zareagowała na jego słowa w samochodzie, musiała stąd natychmiast wyjść.

– Jesteś bardzo płochliwa – zauważył, gdy ruszyła do drzwi.

Odwróciła się na pięcie.

– Skądże. Jestem głodna.

Zmrużył oczy.

– Nie licz, że coś z tym zrobię. Już ci mówiłem, nie jestem zainteresowany.

– Ciasto! Mamy ciasto czekoladowe, które nam przyniosła. Jezu, co z tobą nie tak? – Najeżyła się i jednocześnie walczyła z odruchem, żeby zerwać z siebie sweter i stanik i przekonać się, czy wtedy będzie równie obojętny.

Zbiegła do kuchni po swój kawałek ciasta. Jedząc, przeszła przez jadalnię do saloniku, który wyglądał jak żywcem wyjęty z babcinego domku. Fotel z wysokim oparciem i niebieska kanapa, a na nich koronkowe narzutki. Staroświecki gramofon obok doniczki z afrykańskim fiołkiem na kredensie, kwiaty na parapecie. Wyobraziła sobie, jak latarnik z żoną przesiadują tu w dawnych czasach, przed odkryciem elektryczności. Czytali, szyli, rozmawiali o pogodzie. A potem szli na górę do sypialni…

Podniosła dziennik dyżurów ze stolika i otworzyła. Przeczytała zachętę, by podczas pobytu goście brali na siebie obowiązki latarnika; rano i wieczorem trzeba wciągnąć flagę na maszt, a później ją zdjąć, spisywać nazwy statków zawijających do portu i dwa razy dziennie sprawdzać, czy reflektor świeci.

Ciasto Coopa nadal czekało na stole. Wstawiła swój talerzyk do zlewu i wróciła na górę. Przebrała się w spodnie od piżamy i koszulkę z logo Chicago Bears, ale nie chciało jej się spać. Skoro już tu jest, może warto poczuć ducha tego miejsca? Zdjęła latarkę z haczyka, wsunęła stopy w klapki i wyszła na korytarz, żeby zabawić się w latarnika.

W wieży było ciemno i lodowato zimno. Z wielkiego reflektora nad głowami nie docierał tu ani jeden promień. Włączyła latarkę i na ścianach zatańczyły dziwaczne cienie. Wąskie schody pomalowane brązową farbą prowadziły na samą górę, do kantorka latarnika. Małe okienko na półpiętrze wychodziło na port, ale po ich przyjeździe opadła gęsta mgła i Piper widziała tylko zarysy portowych zabudowań.

Weszła na schody. Chłód przenikał koszulkę i spodnie od piżamy. Przytrzymywała klapki palcami, żeby nie stukały o drewniane stopnie. Mroczne cienie, ciemność, żywej duszy w pobliżu… To wszystko było cudownie mroczne. Wyobrażała sobie, że oto znalazła się w jednej z powieści, które z zapartym tchem pochłaniała jako mała dziewczynka. Piper Dove i morderca z latarni morskiej.

Dotarła do kolejnego półpiętra. Na tym znajdowało się okno, okrągły bulaj. Zgasiła latarkę, żeby lepiej widzieć jezioro, ale gęsta mgła bardzo ograniczała widoczność.

Za to coś usłyszała.

Szczęk otwieranych drzwi. Cichy odgłos kroków na schodach.

Morderca z latarni morskiej przyszedł za nią aż tutaj.

Wiedziała, kim jest, a on wiedział, że ona wie. Nie mógł pozwolić jej ujść z życiem.

Nikt nie pospieszy jej na ratunek.

Mogła liczyć tylko na siebie.

Sama w opuszczonej latarni morskiej z szalonym mordercą, który miał krew na rękach… i chciał dalej zabijać.

Piękne życie.

Przywarła do ściany za rogiem, bezszelestnie, z latarką zwieszoną wzdłuż ciała. Poruszał się z wdziękiem pantery. No ale niczego innego się nie spodziewała.

Był blisko. Coraz bliżej.

Wszedł na półpiętro.

Zaatakowała z wrzaskiem:

– Yeeeeeeeeeeooooooooo!

Sapnął. Upuścił latarkę. Zatoczył się na ścianę.

Przyciskał ręce do piersi. Przeraziła się, że może posunęła się za daleko.

– Hej. Co jest? – spytała.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?! – ryknął.

– Ja… chciałam się powygłupiać. Może mnie trochę poniosło.

Mruknął ochryple. A potem rzucił się na nią. Złapał ją za ramiona. Potrząsnął z całej siły. I pocałował. Znowu.

Wyczuwała jego gniew, gdy rozsuwał jej usta, wyczuwała napięcie w ciele. Przyciągnął ją do siebie, sprawił, że czuła się mała i bezbronna.

„Nie interesujesz mnie jako kobieta. W ogóle. Ani trochę. Nic. Zero. Nul”.

Jeszcze się przekonamy.

Upuściła latarkę i przywarła do niego.

Zdążył już stwardnieć.

Nie tylko on lubił wyzwania, więc zamiast się wycofać, zarzuciła mu ręce na szyję. Cooperze Graham, dupek z ciebie. Przechyliła głowę. Rozchyliła usta. Wydaje mu się, że taki z niego twardziel? Pan i władca wszystkich kobiet? Cóż, nie tej. Zdjęła klapek i stanęła mu na stopie, żeby wspiąć się wyżej i pogłębić pocałunek. Upewnić się, że zrozumiał.

Zrozumiał, a jakże. Rozchylił miękkie wargi i ich języki się spotkały. Wplotła mu palce we włosy. Czuła, jak zaciska dłonie na jej pośladkach. Oplotła nogą jego udo, czując, jak ciepło jego dłoni przenika przez cienki materiał jej piżamy. Jak ci się teraz podobam?

Chyba bardzo. Walka języków trwała w najlepsze.

A ona rozpływała się. Topniała i płonęła jednocześnie. Miękły pod nią kolana. Plecy wyginały się w łuk. Spieszyła się, chciała więcej i więcej.

Uniósł ją silnymi rękami sportowca, oparł o ścianę, jakby nic nie ważyła. Pocałunek żył własnym szalonym życiem. Jej dłonie zawędrowały pod jego koszulkę, wpiła palce w twarde mięśnie jego pleców.

Odsunął się gwałtownie, złapał ją za ramiona i pchnął przed siebie, na schody. Po chwili znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu. Odwróciła się od niego, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Zamknij się – warknął, zanim zdążyła się odezwać. – Mnie też się to nie podoba, tak samo jak tobie.

Nie mógł powiedzieć nic lepszego. Nie było już Piper i Coopa, tylko ludzie spragnieni spełnienia. Bez osobowości. Seks w czystej, prymitywnej postaci.

Weszli do jego pokoju. Podszedł do torby podróżnej, szukał czegoś po omacku. Dałaby sobie rękę uciąć, że widziała, jak drżą mu ręce, ale była zajęta ściąganiem koszulki z logo Bearsów i dlatego niewiele widziała. Stała tylko w spodniach od piżamy i patrzyła, jak się rozbiera. I to był wspaniały widok. Potężne mięśnie, napięte ścięgna, opalona skóra, jaśniejsze blizny. Chciała pieścić je językiem, każdą po kolei, ale jednocześnie potrzebowała anonimowości, więc zgasiła światło i spowiła ich ciemność.

Słyszała, jak opada ostatnia warstwa jego ubrań, i zanim się obejrzała, leżała na łóżku, ciągle w spodniach od piżamy, przygnieciona jego ciężarem. Przytrzymywał jej nogi swoimi i skoncentrował się na jej piersiach.

Drgnęła, czując nacisk jego palców i pieszczotę języka. Pchnęła go tak mocno, że stracił równowagę, przewrócił się na plecy i wtedy przetoczyła się na niego. Kaloryfer na brzuchu pozwolił mu unieść się do pozycji półleżącej i nadal rozkosznie znęcać się nad jej piersiami. Odrzuciła głowę do tyłu, ujeżdżała go. Jęknął i nagle znowu leżała na wznak, a on ściągał z niej spodnie od piżamy.

Znowu zamknął jej usta pocałunkiem. Wychodziła mu naprzeciw. W ciemności nic nie widział, ale czuł. I to jak.

Kiedy otwierał ją palcami, w pierwszej chwili trochę zabolało, ale tylko przez moment, a potem już nic nie bolało… Napierała na jego dłoń, nie myślała, zatracała się, była ciałem, bez tchu, bez rozumu. Rozpadała się na kawałki.

Dał jej chwilę. A potem znowu po nią sięgnął. Dręczył ją. Ciągle go nie dotknęła, nie tak, jak chciała.

Nienawidziła ciemności. Chciała widzieć. Poruszył się. Sięgnął po coś. Po prezerwatywę.

Musiała go dotknąć. Mięśnie i skóra. Zamknęła go w dłoni.

Krzyknął ochryple. I nagle było po wszystkim.

Zanim się na dobre zaczęło.

Rozdział 11

Coop zerwał się z posłania. Nie mógł w to uwierzyć. Co za koszmar. Gorzej niż koszmar. Totalne upokorzenie. Seksualna apokalipsa.

Wybiegł z pokoju. Ostatnio coś takiego zdarzyło mu się, gdy miał szesnaście lat. I ze wszystkich możliwych kobiet musiało się to stać akurat z Piper Dove!

Zamknął się w łazience. We wspólnej łazience. Dzięki Bogu teraz jej tu nie było, bo chciał być sam.

Syrena przeciwmgielna zawyła żałośnie. Zapalił światło, ale nie mógł spojrzeć na swoje odbicie. Ten pensjonat to był koszmarny pomysł.

Łazienka była staroświecka jak wszystko inne; kaloryfer pod oknem i żeliwna wanna na nóżkach w kształcie lwich łap za białą zasłonką. Odkręcił wodę i jakimś cudem wszedł do wanny. Prysznic sięgał mu do piersi, zasłonka oblepiała go jak gigantyczna ośmiornica.

– Wszystko zalewasz – rozległ się ponury głos zza zasłony.

– Wyjdź stąd!

– Siku mi się chce! Nie patrz.

– Jasne, tylko o tym marzę.

Rozległ się szum spuszczanej wody i jednocześnie chlusnął na niego wrzątek. Odskoczył odruchowo i potknął o skraj wanny. Mokra zasłonka otoczyła go jak macki. Z drugiego końca łazienki dobiegł tłumiony śmiech.

Tak to jest, kiedy porzucasz plan meczu. Przegrywasz. I to na własnym boisku.

Woda w końcu odzyskała normalną temperaturę, ale wtedy Piper rozkręciła kran nad umywalką i znowu chlusnął na niego wrzątek. Odskoczył kolejny raz.

Przedwczesny wytrysk. Sam dźwięk tych słów przyprawiał go o dreszcz. Jest sportowcem, do cholery. Maratończykiem. Pływał na długie dystanse. Wytrzymałość to jego chluba. Ta kobieta rozwaliła mu życie, zburzyła wszystko, ale nie sądził, że dojdzie aż do tego.

Przekręcił kurek na zimną wodę. Niech lodowaty strumień przywróci mu spokój ducha. Jeśli zacznie myśleć jak nieudacznik, wkrótce się nim stanie, a Cooper Graham nie przegrywa. Musi wymyślić logiczne wytłumaczenie dla tego, co się stało, coś, co pozwoli mu zachować twarz. Może jej powie, że to kwestia choroby. Że bierze go grypa. Stara kontuzja. Albo zachowa się jak ostatni fiut i obwini ją. O co? Że jest zbyt seksowna? Nie czas na szczerość.

Sięgnął po ręcznik. Jedno jest pewne. Musi z nią porozmawiać. Może zwali wszystko na rozpacz. Tak, to niezła myśl. Powie jej, że właśnie się dowiedział, że zmarł jego dziadek. Nie musiała wiedzieć, że sukinsyn nie żyje od dwudziestu lat. Wymówka doskonała.

Nie było jej w jego pokoju, a drzwi jej sypialni były zamknięte. Włożył dżinsy i zapukał. Nie odezwała się, więc nacisnął klamkę, ale nie drgnęła.

Dławiła go rozpacz. Tak, to będzie dobre. Właśnie stracił ukochanego dziadka.

– Otwieraj!

– Nie przejmuj się – odezwała się zza drzwi. – To się zdarza każdemu.

Wielkoduszna w chwili triumfu. Cholernie wielkoduszna. Gdyby władzę na świecie przejęły kobiety jej pokroju, mężczyźni staliby się niepotrzebni.

– Nie przejmuję się – usłyszał własny głos. – To się ciągle zdarza.

Jezu, co on najlepszego powiedział?

– Naprawdę? – zainteresowała się. – Tobie?

Brnął dzielnie dalej.

– No, tak. – Tyle, jeśli chodzi o zmarłego dziadka.

Otworzyła drzwi z błyskiem w oczach.

– I jesteś z tego dumny?

– Nie myślę o tym za dużo.

Nadal miała gołe nogi, ale włożyła tę cholerną koszulkę Bearsów.

– Straszny z ciebie dupek, wiesz?

Oparł się o framugę i wpasował idealnie w jej oczekiwania.

– Musisz pamiętać, Sherlocku, że moje życie to jedna wielka uczta przy stole zasłanym kobietami. Robię, co chcę i kiedy chcę.

Nadal miała usta opuchnięte od jego pocałunków. W oczach koloru jagodowego dżemu błyszczał gniew.

– Jezu, ty tak serio? A może jesteś postacią z kreskówkowej wersji moich koszmarów?

Zupełnie niechcący trafił na idealną linię obrony i natychmiast poszedł tym tropem.

– Większość kobiet nie ma nic przeciwko temu, a jeśli nawet… – Wzruszył ramionami.

Wzięła się pod boki.

– Tego kwiatu jest pół światu, tak?

Ziewnął i przeciągnął się.

– Tak, pewnie powinienem się wstydzić.

– Ale się nie wstydzisz?

– Wystarczy, że powiedzą „nie”.

– Ale nigdy tego nie robią.

– I kto zrozumie kobiety?

Była niebezpiecznie bystra. Jej oburzenie stopniowo przeradzało się w coś, co przypominało rozbawienie. Wcale mu się to nie podobało, więc wytoczył cięższe działa.

– Przypomnij mi, Sherlocku, nie powiedziałaś „nie” czy słuch mi szwankuje?

Zacisnęła usta.

– Nie szwankuje. Mówiłam już, że mam w zwyczaju wykorzystywać mężczyzn.

– Mówiłaś też, że masz ich dość.

– Ale nie mówiłam, na jak długo. – Zanim zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, zadała ostatni cios: – Dobranoc, strażaku.

Piper obudziła flaga trzepocząca za oknem. W nocy dopadło ją rozczarowanie. Ze wszystkich sił starała się z niego otrząsnąć. Dla niego klapa to katastrofa, ale dla niej – zbawienie. Sprawy i tak posunęły się zdecydowanie za daleko, nie potrzebowała jeszcze takiej bliskości i intymności.

Co ona sobie myślała? Problem w tym, że nic. Cooper Graham miał w sobie coś, co paraliżowało jej umysł. Jedno było boleśnie jasne: mimo przekomarzanek, mimo że mu się wyraźnie podobała, nie wejdzie drugi raz do tej samej rzeki, choć było bardzo dobrze. Właściwie prawie fantastycznie. Jego twarde, napięte ciało pod jej dłońmi. Te dłonie, które doskonale wiedziały, gdzie jej dotykać. Zadrżała.

Przy śniadaniu – truskawkowe babeczki i pyszny omlet z szynką i serem, który ledwie skubała – właściwie nie rozmawiali. Piper obawiała się wielogodzinnej podróży. Gdy wyruszyli z Two Harbors, była napięta jak sprężyna.

Zamiast złościć się na siebie o to, co zaszło, powinna puchnąć z dumy, że przez nią wielki Cooper Graham stracił panowanie nad sobą. Ale nie czuła satysfakcji. Miała tylko nadzieję, że nie wspomni o minionej nocy, bo wtedy musiałaby znowu zagrać kartami twardej suki, a nie do końca wiedziała, ile ich jeszcze ma w rękawie.

Ledwie zostawili za sobą port, zachichotał diabolicznie.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Sherlocku. Łatwizna z ciebie. Wystarczy, że ściągnę koszulę, i już po tobie.

Znowu byli w punkcie wyjścia. Głupkowate żarciki.

– Fakt – przyznała. – Zawsze miałam słabość do męskiej klaty. Doprawdy, Coop, jeszcze trochę mięśni, a zaczniesz wsuwać banany i walić się w piersi jak goryl.

– Nie zawracaj sobie tym głowy, lepiej się zastanów, jak mi pomóc.

– Doskonały pomysł. Zamknij się na najbliższe sześćset kilometrów, to może coś wymyślę.

Kolejny chichot. Jeśli o nią chodzi, niech mu będzie, pod warunkiem że nie będą rozmawiać.

Powinien był rzucić ją z powrotem na łóżko i pieprzyć do nieprzytomności, aż błagałaby go, żeby pozwolił jej skończyć. Ale był zbyt przerażony, żeby myśleć logicznie, i wdał się w pojedynek. Wygrywanie miał we krwi. Nie znosił poczucia klęski, a jeszcze gorsza była świadomość, że Piper tak go postrzega. Nie mógł zjechać na pobocze i wziąć jej na tylnym siedzeniu, jak tego pragnął, ale milczenie w aucie działało mu na nerwy. Tak czy inaczej musiał jej udowodnić, że nadal to on rządzi drużyną.

– Myślałem o naszej wczorajszej rozmowie – zaczął. – I doszedłem do wniosku, że chyba masz trochę racji.

– Jak zawsze.

Rozluźniła pas bezpieczeństwa na tyle, że udało jej się podkulić nogę. Gdyby miała na sobie szorty, a nie dżinsy, widziałby wewnętrzną stronę jej uda. Uda, które – co już wiedział – było jędrne, gładkie i kształtne. Szybko podjął przerwany wątek.

– Może coś mi ucieka, bo nie poświęcam kobietom w moim życiu więcej uwagi?

Skrzywiła się komicznie.

– Jakie to smutne. Tyle biednych kobiet przekonanych, że twój problem to ich wina. Może powinnam zająć się terapią.

Starał się nie roześmiać.

– Tak jest. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że masz rację. Mam problem z seksem.

– Na szczęście istnieje mnóstwo poradników na ten temat.

– Wiesz, rzadko czytam. Za dużo trudnych słów.

– Dziwne, widziałam u ciebie całe mnóstwo książek.

– Pewnie sprzątaczka je zostawiła. – Wygadywał bzdury, jak od samego początku ich znajomości. – Ale skoro to ty zdiagnozowałaś mój problem, właśnie ty powinnaś mi pomóc się z nim uporać. Jako partnerka w łóżku, rozumiesz. Nasza współpraca zawodowa nie ma tu nic do rzeczy.

Spojrzała na niego z udawanym żalem.

– Nie bierz tego do siebie, ale tak jakby straciłam zainteresowanie.

Niemożliwe, żeby kobieta, która reagowała na niego tak, jak ona wczoraj, straciła zainteresowanie, pomyślał Coop, ale tylko skinął głową.

– Rozumiem.

Milczeli przez dłuższy czas. Żeby rozładować napięcie, Piper zadzwoniła do Jady i spytała, jak idzie mordowanie. Świetnie, jak się okazało. Załatwiła pięć kolejnych osób. W końcu zatrzymali się na obiad i Piper usiadła za kierownicą. Kiedy dojeżdżali do granicy stanu Illinois, myślała, że barki pękną jej z bólu, tak bardzo się spinała, żeby wyglądać na odprężoną. Gorączkowo szukała neutralnego tematu, który pozwoliłby im przetrwać ostatni odcinek podróży.

– Tak się składa, że wiem, że z ciebie straszny mięczak, i to nie w znaczeniu erotycznym, choć…

Zakrztusił się colą.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Kiedy odwiedzasz pacjentów w szpitalu Lurie…

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Wiedział doskonale. Udało mu się odwiedzać dzieciaki w Lurie bez wiedzy mediów, jednak ona wykryła, że spędza sporo czasu z chorymi dziećmi.

– Nie wyobrażam sobie ciebie z dziećmi. – Kolejne kłamstwo. Z tego, co widziała, przy dzieciach był równie swobodny, jak w towarzystwie pięknych kobiet. – Powiedz prawdę. Chodzi o seksowne pielęgniarki, co?

– Peszysz mnie.

– Jednego tylko nie mogę pojąć. Nawet ja, z moim fantastycznym talentem detektywistycznym.

– Nie wierzę.

– Kiedy cię śledziłam, widziałam, jak kilka razy rozmawiałeś na podejrzanych ulicach z typami spod ciemnej gwiazdy. O co chodziło?

Dopił colę.

– Nudy i tyle.

– Nie wierzę. Możesz mi powiedzieć, jestem jak ksiądz w konfesjonale.

– W niczym nie przypominasz księdza. Jesteś…

– Nie zmieniaj tematu.

Wiercił się niespokojnie, teraz naprawdę speszony.

– Nie wiem. Ja… i tak nic z tym nie zrobię, więc nie ma sensu o tym mówić.

A jednak czuła, że chce o tym pogadać. Czekała więc.

Wbił wzrok w okno od strony pasażera.

– Miałem taki pomysł… Ale to wymaga mnóstwo czasu i wysiłku i nie daje żadnej gwarancji powodzenia. – Wrócił do niej spojrzeniem. – W mieście jest mnóstwo pustych działek, na których są tylko śmieci i chwasty.

Powoli zaczynała rozumieć.

– Chciałbyś zrobić coś więcej niż tylko rzucać bomby nasienne.

Wzruszył ramionami.

– Tyle ludzi bez pracy, bez przyszłości. I tyle ziemi leżącej odłogiem. Może to jest jakaś szansa.

– Ale nie dla ciebie.

– Jezu, nie. Teraz interesuje mnie tylko klub. – Wyjął komórkę i zadzwonił do Tony'ego.

Słuchała rozmowy o nowym ochroniarzu, którego Tony zatrudnił na miejsce Della, zwolnionego przed czterema dniami. Zastanawiała się, czy Coop zdaje sobie sprawę, że jej praca u niego dobiegła końca.

Przez sześć nocy w klubie zrobiła tyle, ile mogła. Personel był w porządku, razem z Tonym opracowała nowe procedury, dzięki którym wszystko powinno zostać na dobrej drodze. Dzięki pieniądzom od Coopa i temu, co zarobiła, wożąc księżniczki, na jakiś czas będzie zabezpieczona finansowo. Na jak długo, zależało od napiwku, jaki właściciel firmy przewozowej miał odebrać w jej imieniu, no i od tego, ile jeszcze zostanie w Spiral. A pracę w klubie już wykonała.

Powtarzała sobie, że musi myśleć jak rekin, nie jak harcerka. Pensja od Coopa to jej koło ratunkowe i nie powinna go puszczać. Tyle że już nic więcej nie mogła dla niego zrobić.

Co za szkoda, że Duke zaszczepił w niej zasady moralne. Tak samo jak nauczył ją strzelać, wędkować i żałować, że jest kobietą. Chociaż kasa od Coopa była jej bardzo potrzebna, nie miała sumienia jej od niego brać. Kiedy skończył rozmawiać z Tonym, zacisnęła dłonie na kierownicy i oznajmiła:

– Zrobiłam dla ciebie już wszystko, co mogłam.

Odstawił pusty kubek do stojaka i łypnął na nią, powiedzmy sobie szczerze, obleśnie.

– Jeszcze nie wszystko…

– Mówię o pracy – dodała szybko. – Zrobiłam to, do czego mnie zatrudniłeś. W tej chwili masz tylko jeden problem – z uporem maniaka nie zgadzasz się na osobistą ochronę.

– Nie potrzebuję niańki.

– Ciekawe, że wszyscy inni znani sportowcy przychodzą do klubu z ochroniarzami, ale ty nie, ty jesteś za dużym twardzielem.

– Sam mogę o siebie zadbać – warknął i dodał łagodniejszym tonem: – Naprawdę chcesz zrezygnować z pracy?

– To nie jest rezygnacja, bo nie mam tam już nic do roboty. W Spiral wszystko w porządku. Musisz jeszcze tylko zatrudnić dziewczynę do ochrony. Lepiej, żeby ochroniarze płci męskiej nie dotykali klientek, choćby zalanych w pestkę, bo któraś może wytoczyć proces o molestowanie seksualne za gigantyczne odszkodowanie.

– Super. Zatrudniam cię.

Właściwie spodziewała się tego i przez chwilę pozwoliła sobie nawet rozważać propozycję. Nie mogła jednak pracować cztery noce w tygodniu i jednocześnie prowadzić agencji, w każdym razie nie na dłuższą metę. Ani się obejrzy, a będzie dziewczyną z ochrony, nie detektywem, a nie po to zaszła tak daleko, żeby teraz zrezygnować z marzeń.

– Nie, dzięki. Jestem prywatnym detektywem. Poszukaj sobie kogoś innego.

– Chodzi o ostatnią noc, tak? Odchodzisz, bo…

– Bo poszłam do łóżka z pracodawcą? – Kolejny powód, dla którego nie mogła zostać.

Łypnął na nią groźnie.

– Totalny brak etyki! I to z twojej strony!

– Złóż zażalenie – mruknęła.

– Daruj sobie. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Coop, chciałabym, żebyśmy rozstali się w przyjaźni. – Starała się mówić spokojnie i rzeczowo. – Chyba przyznasz, że odwaliłam kawał dobrej roboty. Mam nadzieję, że będziesz polecał moje usługi znajomym.

– A jakże – warknął, opuścił daszek i sięgnął po komórkę.

Coop wmawiał sobie, że tak jest lepiej. Zrobiła to, po co ją zatrudnił – i to dobrze – a on czekał, aż skończy swoje zadanie, żeby móc wdać się z nią w romans. Ale kiedy przyszło co do czego, nie był pewien, czy Piper zechce pójść w tę stronę.

Udawał, że sprawdza coś w telefonie. Kilka tygodni w łóżku z Piper okazywało się ważniejsze, niż powinno. Może miało to coś wspólnego ze sportową emeryturą, z udowadnianiem samemu sobie, że nadal jest taki jak dawniej.

Piper była kompletnie nieprzewidywalna i jednocześnie twardo stąpała po ziemi. Nie traktowała go poważnie. Miała w nosie, ile meczów wygrał, ile miał pieniędzy, jak bardzo był znany. I wcale nie uważała, że nie można mu się oprzeć!

Irytowało go to. W porównaniu z kobietami, którymi zazwyczaj się otaczał, była jak facet. Facet w cholernie seksownym ciele. To zaś kontrastowało ze wszystkim, co sobie wmawiał na jej temat.

I dlatego nie mógł dopuścić, żeby Piper Dove zniknęła z jego życia. Pragnął jej, a ona jego nie. Nie

schlebiała mu, nie flirtowała z nim. I nie straciła dla niego głowy.

Chciał tego. Nie, żeby się w nim zakochała, nie tak naprawdę. Wystarczy, żeby straciła dla niego głowę.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – rzucił, gdy dojechali do jej wozu w mieście. – Jutro wieczorem w klubie.

Oddał jej bezpieczniki, które wyjął z sonaty, ale nie zaproponował, że umieści je z powrotem. Pewnie sama wie, jak to zrobić. Na sto procent. Jest prekursorką nowej cywilizacji, w której umiejętności byłych sportowców są do niczego niepotrzebne.

Zostawił ją z głową pod maską samochodu i wypiętym tyłeczkiem i ruszył do domu. Drzwi garażu otworzyły się bezgłośnie. Zaparkował koło tesli, wyjął z bagażnika torbę podróżną i wyszedł. Jarzeniówka przy drzwiach wypaliła się, więc uliczka była ciemna. Usłyszał szmer, a po chwili ktoś skoczył na niego z zarośli i zamierzył się czymś, co z daleka wyglądało jak lewarek. Coop odwrócił się odruchowo, uderzył mężczyznę barkiem w klatkę piersiową i chwycił za ramię.

Napastnik jęknął, ale nie upadł. Ponownie zamierzył się lewarkiem, ale Coop mocno trzymał go za ramię i teraz je wykręcił. Mężczyzna wierzgał nogami na oślep, trafił Coopa w chore kolano i ten stracił równowagę. Zatoczył się, ale dzięki wyćwiczonym odruchom nie upadł. Napastnik był potężny. Coop, nie zwracając uwagi na ból w kolanie, rzucił się za nim.

Walka była krótka i brutalna. Napastnik szybko miał dosyć. Wyrwał się Coopowi, krzyknął coś i uciekł. Coop już miał za nim pobiec, ale kolano odmówiło mu posłuszeństwa, a kiedy znowu pewnie stanął na nogach, drań już zniknął bez śladu.

Czuł pulsowanie w szczęce, kolano bolało jak cholera, otarte kłykcie krwawiły. Zamiast jednak wezwać policję albo iść po zimny kompres na twarz, pokuśtykał z powrotem do garażu i wsiadł do samochodu.

– Jezu, co ci się stało? – Kurczowo chwyciła się drzwi, szeroko otworzyła oczy z przerażenia.

Znowu miała na sobie tę cholerną koszulkę Bearsów. Ile ona tego ma?

Minął ją i wszedł do środka.

– Ty jesteś cholernym detektywem, więc ty mi to powiedz!

Zamiast wściekać się na niego, zatrzasnęła drzwi i ruszyła za nim. Zacisnęła usta w wąską linię.

– Kto ci to zrobił?

Ziała żądzą zemsty. Jakby osobiście chciała dopaść napastnika. Bo tak właśnie jest, zrozumiał po chwili.

Jej zapał sprawił, że sam ochłonął.

– Zaczaił się na mnie i zaatakował, kiedy wychodziłem z garażu. – Sięgnął po ściereczkę i lód.

Nawet nie przyszło jej do głowy bawić się w uroczą pielęgniarkę, jak wtedy w zaułku za klubem, gdy powaliła go na ziemię. Chwyciła notes.

– Zacznijmy od początku. Powiedz po kolei, co się działo.

– Zostałem napadnięty, ot co. – Przycisnął prowizoryczny kompres do twarzy.

– Opisz napastnika.

– Wysoki, tyle pamiętam. Było ciemno.

– Co miał na sobie?

– Garnitur na miarę od Brooks Brothers! Skąd niby mam wiedzieć? Mówiłem ci, że było ciemno!

– Kamery przemysłowe? Latarnie?

Pokręcił głową i zaraz tego pożałował.

– Przepaliły się.

– Bardzo wygodnie.

Wymusiła na nim w końcu, że opisał wszystko dokładnie, krok po kroku. Niewiele miał do powiedzenia i żałował, że w ogóle tu przyszedł. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Podniosła głowę znad notesu.

– Mówiłeś, że coś krzyczał, kiedy uciekał. Co?

– Nie pamiętam.

– Pomyśl.

Przeczesał włosy palcami.

– Jezu, nie pamiętam. Jakieś pogróżki. Dopadnę cię. Coś takiego.

– Dopadnę cię? Tak powiedział?

– Tak, chyba tak.

– Czyli nie wygląda to na zwykły napad rabunkowy. I dlaczego nie miał broni? W tym mieście spluwę kupuje się równie łatwo jak cukierki i szybciej niż lewarek.

– Oglądasz za dużo seriali kryminalnych.

Nie dawała za wygraną.

– Gdyby chciał cię okraść, miałby broń. Wygląda na to, że miał motyw osobisty. Ale jaki?

Łypnął na jej koszulkę.

– Bo jest fanem Bearsów?

– Mało śmieszne. – Machnęła ręką z długopisem. – Musisz jechać do szpitala.

– Siniak na szczęce i obite żebra. Dam sobie radę. I zanim coś powiesz, nie, nie zgłoszę tego na policji.

Zaskoczyło go, że nie zaprotestowała. Może zdawała sobie sprawę, że jeśli pójdzie na policję, sprawa trafi do mediów, prasa nie da mu spokoju, a bez nagrania policjanci i tak nic nie zdziałają. I skończy się tylko na złej prasie.

Wsunęła ołówek za ucho.

– Coś mi się tu nie podoba. Wolałabym, żebyś na razie nie wracał do domu. Dzisiaj śpisz tutaj.

Przyglądał się jej z niedowierzaniem. Chyba żartuje. Odłożył kompres.

– Prędzej piekło zamarznie, niż zacznę się chować za babską kiecką. A w twoim wypadku za paskudną koszulką.

Wybiegł, zanim zdążyła mu wygarnąć, że jest seksistą i tak dalej.

Bez problemu dotarł do domu. Szczęka bolała jak cholera i musiał się umyć, najpierw jednak wyszedł do ogrodu.

Jak zawsze zapach ziemi i roślin podziałał kojąco. Uwielbiał to miejsce.

Z zaułka za budynkiem oświetlały go reflektory samochodu. Tego samego, który jechał za nim przez całą drogę do domu. Zrezygnowany sięgnął po komórkę i wybrał numer.

– Idź się przespać, Sherlocku. Nigdzie się nie wybieram.

Rozdział 12

Następnego ranka Piper obudziła Della. Niedawno zwolniony bramkarz stanął w progu mieszkania tylko w bokserkach, zaspany i zarośnięty.

– O co chodzi, do cholery? – spytał, łypiąc na nią groźnie.

Dostała już to, po co przyszła, choć nie to, czego się spodziewała. Sądząc po wyglądzie Della, miał za sobą ciężką noc, ale nie widziała żadnych sińców czy ran. Ani śladu po obrażeniach, które Coop zadał napastnikowi. Bez względu na to, jak Dell spędził minioną noc, nie on zaatakował Coopa.

– Sprawdzałam, czy na pewno tu mieszkasz – odparła. – Tony wyśle ci czek z odprawą.

– Powiedz mu, gdzie może go sobie wsadzić.

– Powiem.

Odwracała się już, gdy wyszedł na korytarz. Wrogość w jego głosie ustąpiła śliskiej uprzejmości, tej samej, z jaką podrywał farbowane blondynki.

– A może wstąpisz na chwilę?

– Nie, ale dzięki za zaproszenie.

O jednego podejrzanego mniej. Teraz trzeba odnaleźć Keitha i Taylor. Bo jeśli książę Aamuzhir zorientował się, że dostał podróbkę pierścienia, i teraz dyszy żądzą zemsty… Cóż, sprawa bardzo się skomplikuje.

W drodze do Lincoln Park dumała o wiadomości od właściciela firmy przewozowej na temat napiwku od rodziny książęcej. Dostała połowę tego, co kierowcy płci męskiej. Pracowała ciężej niż większość z nich, ale w świecie bliskowschodniej arystokracji płeć jest najważniejsza. Właściwie mogła się tego spodziewać, ale taka niesprawiedliwość bolała.

Kobieta, która otworzyła drzwi rezydencji Heatha Championa w Lincoln Park, była od Piper niższa o kilkanaście centymetrów, miała kręcone kasztanowe włosy i przyjazny uśmiech. W niczym nie przypominała wystylizowanej plastikowej laluni, a tak właśnie Piper wyobrażała sobie żonę agenta sportowego z pierwszej ligi.

– Piper – powitała ją. – Wiele o tobie słyszałam. Jestem Annabelle.

– A zatem Amazonki się spotkały – rozległ się męski głos z głębi domu.

Annabelle roześmiała się, odsunęła od drzwi, żeby Piper mogła wejść, i wzięła od niej czarną kurtkę pilotkę.

Hol, wyłożony marmurem, z modernistycznym żyrandolem z brązu i schodami w kształcie litery S, onieśmielałby, gdyby nie fioletowy pluszowy psiak, kredki, bliżej nieokreślona budowla z klocków Lego i dziecięce buciki porozrzucane dookoła.

– Przepraszam, że nachodzę was tak wcześnie – odezwała się Piper.

Zza rogu wyszedł Heath. U jego boku dreptała mała dziewczynka w spódnicy baletnicy z różowego tiulu i niebieskiej piżamie.

– Co jest? Przez telefon byłaś bardzo tajemnicza.

Piper posłała Annabelle przepraszające spojrzenie i minęła postać z *Gwiezdnych wojen* poniewierającą się na ziemi.

– Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Heath wyjął telefon z rąk córeczki.

– Annabelle i tak to ze mnie wyciągnie, ledwie zamkną się za tobą drzwi.

– To akurat prawda – przyznała Annabelle z uśmiechem.

Heath także się uśmiechnął.

– Moja żona zbudowała swój biznes na tym, że potrafiła dotrzymać cudzych tajemnic. Jest swatką. Perfect For You. Może słyszałaś o jej firmie?

– Oczywiście. – Po pierwszym spotkaniu Piper chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Heacie i tym sposobem trafiła na fascynującą historię o tym, jak poznał Annabelle Granger.

Usiedli przy małym stoliczku pod rzędem okien wychodzących na jesienny ogród. Dziewczynka imieniem Lila zajadała jagody, a Piper opowiadała dorosłym o napadzie na Coopa. Oboje byli wyraźnie zaniepokojeni.

– Na pewno nic mu nie jest? – dopytywała Annabelle.

– Nie chciał iść do szpitala, ale wydaje mi się, że nie. – Podsunęła zabłąkaną jagodę małej. Lila uśmiechnęła się jagodową buzią. – Jego zdaniem to był przypadkowy napad, ale ja nie byłabym taka pewna. Miałam nadzieję, że może wy powiecie mi więcej o jego potencjalnych wrogach niż on sam.

– Nie ma ich zbyt wielu – przyznał Heath. – Może kilku zawodników ma do niego żal, ale to część tej gry. Pewien dziennikarz sportowy nienawidzi go z całego serca, bo Coop publicznie nazwał go głupcem. To rzeczywiście wyjątkowy kretyn. Zresztą nie sądzę, żeby tak długo zwlekał z zemstą.

– A kobiety?

Heath spojrzał na Annabelle. Zastanawiała się przez chwilę.

– Kilka z nich pewnie cierpiało, gdy z nimi zrywał, ale nigdy nie był draniem. Wątpię, żeby któraś chciała się mścić.

– Zdarzały się jednak wariatki – zauważył Heath.

– Ostatnio? – zainteresowała się Piper.

– Musiałabyś zapytać jego – odparł Heath.

– Coop to mój nowy projekt pro bono – oznajmiła Annabelle z szerokim uśmiechem.

– O czym sam zainteresowany nie ma pojęcia – podkreślił Heath, jakby Piper sama się nie zorientowała. – A co z tym ochroniarzem, którego zwolnił z klubu?

– Zajmuję się tym.

Do kuchni weszła miniaturowa wersja Heatha. Chłopczyk przyglądał się jej ciekawie.

– Kto to?

– To Piper – odparł Heath. – Jest detektywem. Piper, to jest Trev. Ma pięć lat.

– Pięć i pół – uściślił chłopczyk. – Masz odznakę?

W oczach dzieciaka, w tym samym odcieniu dolarowej zieleni co oczy jego ojca, pojawił się błysk zainteresowania.

– Nie – odparła. – Ale mam supermoce.

Przyglądał się jej bacznie, w jego oczach niedowierzanie walczyło z fascynacją.

– Umiesz latać?

– Jasne.

– Masz promienie rentgena w oczach?

– Bez tego nie miałabym co robić w tej branży.

Trevor poddał się bez walki.

– Telekineza?

Duże słowo jak na takiego małego dzieciaka. Piper zerknęła na jego ojca. Heath wzruszył ramionami.

– Ma umysł po mamusi.

– Telekineza jest trudna – odparła. – Ciągle nad tym pracuję.

– Tak myślałem – mruknął. – A niewidzialność?

– A widziałeś mnie, kiedy jadłeś śniadanie?

– Nie.

– No to masz odpowiedź.

Heath się roześmiał.

– Dobra, bracie, leć po plecak. Czas do szkoły.

Piper także chciała wstać, ale Annabelle ją zatrzymała.

– Napij się ze mną kawy.

– No i się zaczyna – mruknął Heath.

Annabelle łypnęła na niego groźnie.

– Masz coś do powiedzenia?

– Skądże. – Pocałował ją przelotnie, cmoknął córeczkę w głowę i wziął syna za rękę.

Kiedy obaj wyszli, Annabelle zmierzyła Piper badawczym spojrzeniem, uśmiechnęła się promiennie i zaczęła:

– No dobrze, a teraz opowiedz mi o sobie…

Wychodząc z domu Championów, Piper miała wrażenie, że znalazła nową przyjaciółkę, ale ponieważ Annabelle obracała się wśród możnych tego świata, a ona w ślepym zaułku, wolała na razie wstrzymać się z takimi stwierdzeniami.

Nie chciała pokazywać się Coopowi, zanim ten nie wypije co najmniej dwóch kaw, więc ruszyła na Lincoln Square. Poprzedniego wieczoru dzwoniła Berni, ciekawa, jak posuwa się sprawa Howarda. Nie wystarczyło jej, że Piper szukała go w komputerowych bazach danych.

– Nie myśl, że jestem taka głupia, Piper. Są też bazy danych osób… tych, no… zaginionych. Powinnaś go tam wpisać.

– To bazy danych osób, których oficjalnie nie uznano za zmarłe – zauważyła.

– Formalność.

Nie do końca, skoro Piper na własne oczy widziała, jak trumnę z ciałem Howarda spuszczano do grobu na cmentarzu Westlawn.

– Nie widziałam ciała – zastrzegła Berni. – Pamiętaj o tym.

– Oczywiście.

Piper wyprzedziła niebieską mazdę i wcisnęła się na miejsce parkingowe przy Lincoln Avenue. Ponieważ ranek był chłodny i pochmurny, na ławkach siedziało tylko kilka osób. Minął ją motocyklista. Usiadła na pustej ławce.

Wbiła ręce w kieszenie kurtki. Na asfalcie u jej stóp ktoś narysował pelikana. Cudownie było przez chwilę siedzieć bez ruchu. W nocy pracowała w Spiral, za dnia woziła księżniczki, planowała też porwanie Faizy; nic dziwnego, że czasami zapominała o oddychaniu.

W końcu zmarzła na tyle, że ruszyła z powrotem do samochodu, a po drodze ciekawie zerkała na witryny sklepowe. Odezwała się jej komórka. Dostała wiadomość. Zerknęła na wyświetlacz. Od Erica Vargasa.

„Zobaczymy się dzisiaj?”

Dumała nad odpowiedzią i w tej chwili zobaczyła, jak Lincoln Avenue w stronę Leland idzie starszy pan. Brzuszek, spodnie podciągnięte niemal pod pachy, białe adidasy, a na głowie – piankowy ser.

Puściła się biegiem. Niestety drogę zajechał jej autobus. Odczekała chwilę, wyminęła ciężarówkę UPS

i rowerzystę, ale gdy w końcu skręciła w Leland, mężczyzna zniknął. Szukała go wszędzie, zaglądała do zaułków i bocznych uliczek, ale nie było po nim śladu.

Nie przyjrzała się dobrze jego twarzy, ale Howard miał identyczny brzuch oraz słabość do białych adidasów i spodni podciągniętych pod same pachy. Był też podobnego wzrostu.

Z zadumy wyrwała ją melodia z *Buffy*. Dzwoniła Jen.

– Berni chce, żebym nagłośniła w mediach sprawę zaginięcia Howarda, a biedną Amber wkręciła w rozdawanie ulotek – oznajmiła. – Wszyscy uważają, że oszalała.

Piper patrzyła na budynki otaczające plac.

– Może wcale nie tak bardzo, jak nam się wydawało.

Umówiła się z Jen i Amber na piątek w Big Shoulders Coffee. Wolałyby coś bliżej domu, ale tego wieczoru Amber miała występ.

W drodze do Lakeview Piper planowała rozmowę z Coopem.

– Wpuść mnie – rzuciła, gdy w końcu usłyszała w domofonie jego głos.

– Masz jedzenie?

– Nie, ale robię pyszny omlet.

– Umiesz gotować?

– Pewne, że umiem. – Nie dodała, że tego nienawidzi. Duke oczekiwał, że będzie gotować i sprzątać, a jednocześnie będzie synem, którego tak naprawdę chciał mieć. Nic dziwnego, że jest ekspertką od dorastania w świecie kontrastów.

– Dobra, wchodź. Ale nie zadawaj mi pytań, na które nie znam odpowiedzi, jasne?

– Ależ oczywiście. Żadnych pytań. – Wiedział, że kłamie, więc nie miała wyrzutów sumienia.

Wysiadła z windy w jego lofcie i zastała go na kanapie, z lodowym kompresem na barku. Nie ogolił się jeszcze, a ciemne włosy były rozkosznie potargane. Mimo sińca na szczęce był taki… Kurczę, taka szorstka, oswojona męskość obudzi do życia każdą kobietę. Nawet martwą. Tacy mężczyźni rodzą się po to, by wygrywać mecze i płodzić dzieci.

Dzieci? Powinna się porządnie wyspać. Wprawdzie bardzo lubiła dzieci, ale nie chciała mieć własnych i zazwyczaj w ogóle o nich nie myślała.

Wstał z kanapy. Był bez koszuli, miał na sobie tylko szare spodnie od dresu, które nosił tak, jak inni faceci ciuchy od Hugona Bossa. Opadały mu nisko na biodra, odsłaniając płaski, umięśniony brzuch i smugę ciemnych włosów prowadzącą do…

Prosto do upadku, ot co.

Była na siebie wściekła. To się musi skończyć. Zadzwoni do Erica. Zdusi tę… tę potrzebę w zarodku, choćby miała uwieść funkcjonariusza Ciacho na tylnym siedzeniu radiowozu.

– Chciałam zapytać, jak się czujesz, ale to widać – wykrztusiła.

– Bywało gorzej.

– Nie powinieneś zabandażować żeber? – I to już, w tej chwili, natychmiast. Zabandażuj te mięśnie, żebym ich nie widziała.

– Już dawno się tego nie robi – odparł. – Bandaż utrudnia oddychanie.

Ciekawe w takim razie, czemu ona ledwo dyszy.

Zaczęła się autentycznie modlić, żeby coś na siebie włożył, i została wysłuchana, bo sięgnął po granatową bluzę na suwak i wsunął ręce w rękawy. Ale suwaka nie zapiął.

– Zdaje się, że mówiłaś coś o omlecie? – mruknął. – Zobaczmy, co jeszcze mam w ogrodzie.

Poły bluzy odchyliły się, odsłaniając jedno z arcydzieł matki natury, gdy wychodził do ogrodu na dachu. Zamiast skorzystać z wolnej chwili, by odzyskać panowanie nad sobą, pospieszyła za nim.

Wyciągał z ziemi coś, co w pierwszej chwili wzięła za cebulę, zorientowała się jednak, że to por. W ogrodzie Coop wydawał się o wiele bardziej na swoim miejscu niż w nocnym klubie. Tu był zrelaksowany. Uderzyło ją, jak bardzo praca w ziemi pasuje do jego wielkich, silnych dłoni.

– Bez sensu – mruknęła – że ktoś taki jak ty prowadzi klub nocny.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Farmer Coop ma farmerkę we krwi.

– Jeśli już, to ranczer Coop i ranczerkę we krwi. Pochodzę z Oklahomy, pamiętaj. I wyjazd stamtąd to najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Mimo chłodu był boso i ciągle nie zapiął bluzy, ale zimno chyba nie robiło na nim wrażenia. Zerknęła na przytulny zakątek przy drzwiach: okrągły stolik, szezlong, na którym spokojnie usiądą dwie osoby.

– Niewiele wiadomo o twoim dzieciństwie – zauważyła. – Tylko tyle, że dorastałeś na ranczu i że wcześnie straciłeś matę. Jakbyś nie istniał, dopóki nie zacząłeś grać.

Większość sadzonek pomidorów trafiła na kompost, ale parę jeszcze zostało. Zerwał kilka drobnych owoców i włożył jeden do ust.

– Dzierżawiliśmy ranczo. Ojciec i ja. Sześćdziesiąt akrów niezbyt dobrej ziemi. Hodowaliśmy krowy i świnie. Uprawialiśmy kukurydzę pastewną. Ojciec był weteranem wojny w Wietnamie, a wtedy jeszcze nikt nie mówił o PTSD, stresie pourazowym. Czasami radził sobie lepiej, czasami gorzej.

Domyślała się, co teraz usłyszy – że pił, bił i tak dalej. Żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

Ale Coop ją zaskoczył.

– Ojciec był bardzo wrażliwy i dlatego wojna odcisnęła na nim tak głębokie piętno. Bardzo często z niczym sobie nie radził, nie był w stanie nawet wstać z łóżka i wtedy wszystko było na mojej głowie. – Odchylił osłonę na doniczce z ziołami, które w ten sposób chronił przed zimnem. – Miałem mniej więcej siedem lat, gdy pierwszy raz prowadziłem pikapa. Nie zapomnę, jak układałem worki i deski, żeby dosięgnąć pedałów. – Roześmiał się, ale jej to jakoś nie bawiło. – Było kilka takich zim, kiedy więcej czasu spędzałem na ranczu niż w szkole.

– Nie powinno tak być.

Wzruszył ramionami i spojrzał na warzywa.

– Zwierzęta trzeba nakarmić i napoić, a ojciec nie zawsze był w stanie wyjść z domu.

– Trudne życie dla dziecka.

– Innego nie znałem.

Weszła za nim do środka. Wrzucił plony ogródka do zlewu i odkręcił wodę. Spodnie od dresu opadły mu tak nisko na biodra, że dziękowała Bogu, że stoi do niej tyłem.

– Pierwsze miasto, które zobaczyłem, nazywało się Norman – ciągnął. – Miałem szesnaście lat i wydawało mi się, że jestem w raju. Po śmierci ojca ani razu nie obejrzałem się za siebie.

Rzuciła kurtkę na oparcie krzesła.

– Idę o zakład, że w wiejskim życiu było coś, za czym tęsknisz, bo inaczej nie stworzyłbyś tak fantastycznego ogrodu na tarasie.

– Lubię uprawiać rośliny. Od zawsze. – Wrzucił liście szpinaku do durszlaka. – Kiedy zaczynałem studia na uniwersytecie stanowym w Oklahomie, zapisałem się na uprawę roślin i gleboznawstwo, ale potem okazało się, że musiałbym naprawdę chodzić na wykłady. Student sportowiec to sprzeczność sama w sobie. – Opłukał szpinak pod bieżącą wodą. – Uwielbiam miejskie życie, ale tak samo kocham zwierzęta, chociaż nie znosiłem ich hodować. Zwłaszcza świń. – Opłukał garść ziół i położył je na papierowym ręczniku. – Nie masz pojęcia, ile razy te łotry wydostawały się z zagrody i niszczyły mi grządki. Świnie to jedyne zwierzęta, których nie znoszę.

Przypomniała sobie Kwika.

– Świnie są słodkie!

– A, fakt. Przecież sypiasz ze świnką.

– Nie sypiam z…

Zerknął na nią przez ramię.

– Ciekawe, czy nadal uważałabyś, że są słodkie, gdybyś miała sześć lat i stukilowe wieprzki

szarżowałyby na ciebie, ilekroć wchodzisz do ich zagrody. Jeden niewłaściwy ruch i leżysz, i kończysz w ich paszczach. Zeżrą wszystko.

– Cóż, my też je zjadamy, więc…

– Nie twierdzę, że w grę nie wchodzi nadprzyrodzona sprawiedliwość, ale dzieci i świnie trzeba trzymać z daleka od siebie. – Wyjął nóż z szuflady. – Do dzisiaj mam o nich koszmarne sny.

– Żeby wszystko było jasne: ty, Cooper Graham, supergwiazda futbolu amerykańskiego, boisz się świń?

– Tak. – Zaczął siekać.

Roześmiała się, ale zaraz przypomniała sobie, że nie przyszła tu dla rozrywki.

– Byłam rano u Della. Nie ma ani jednego siniaka.

– Znowu do tego wracamy?

– Wiedziałeś, że twój przyjaciel Keith i jego ukochana Taylor wyprowadzili się, nie zostawiając nowego adresu?

Machnął w jej stronę ostrzem noża.

– Po raz ostatni ci mówię: to nie był żaden przemyślany zamach, tylko zwykły napad rabunkowy!

– Pewnie sam chcesz w to uwierzyć. Pomóż mi to wszystko poukładać, żebym przestała się tym zagryzać.

Podrapał się w zarośnięty policzek.

– Keith jest w gorącej wodzie kąpany, ale załatwiliśmy to już między sobą.

– Zanim Taylor wyleciała z pracy, prawda? – Znalazła jajka.

– Pułapka w krzakach nie jest w jego stylu.

– Najwyraźniej masz o nim lepsze zdanie niż ja. – Szukała sera. Znalazła kawałek cheddara z importu. – A skoro już o stylu mowa… – Spojrzał na nią znad kontuaru. Czemu nie zapnie bluzy? Nie podciągnie spodni? Nie wyłysieje? Tylko że nawet wtedy wyglądałby cudownie.

– Czy w twojej analizie nie brakuje kilku oczywistych elementów układanki? – Położył pory na desce do krojenia. – Poczynając od tajemniczego zleceniodawcy, który kazał ci mnie śledzić.

– Myślisz, że gdybym miała jakiekolwiek wątpliwości wobec mojego byłego zleceniodawcy, zostawiłabym sprawy własnemu biegowi? – Namierzyła patelnię i tarkę do sera. – Zapewniam cię, mój pracodawca nie sprawia ci kłopotów.

– Nikt nie sprawia i właśnie w tym rzecz. Byłem przypadkową ofiarą. Drobny złodziejaszek zaczaił się w alejce, licząc na łatwy łup.

Czuła, że na razie nic więcej z niego nie wyciągnie, więc chwilowo dała spokój.

– Jak idą sprawy z Deidre?

– Za wolno jak dla mnie, ale jeszcze się przekona.

– Jesteś tego pewien?

– Musiałaby być wariatką, żeby odrzucić moją propozycję. Mam genialny plan i odpowiednie koneksje, żeby go zrealizować.

Widziała w jego oczach determinację. Najwyraźniej uważał, że to, na co się zdecydował, już właściwie było faktem.

Pracowali ramię w ramię, rozmowa ograniczała się do „musisz zajmować cały zlew?” i „gdzie masz przyprawy?” Zeszkliła warzywa na oliwie, roztrzepała jajka, posypała wszystko posiekanymi przez Coopa ziołami i startym serem. On tymczasem wyjął z szafki zwykłe białe talerze i zrobił grzanki.

Kiedy wszystko było gotowe, rodzinna atmosfera sprawiła, że Piper poczuła się nieswojo. Właściwie dlaczego tak bardzo go polubiła? Ale czy można go nie lubić? Gdyby była mężczyzną, chciałaby być taka jak on. Abstrahując od pieniędzy i sławy, był bystry, znał wartość ciężkiej pracy i, choć uparty i apodyktyczny, był w gruncie rzeczy porządny.

– Wyjdźmy na dwór – zaproponowała, nalewając kawę. – Pod warunkiem że zapniesz bluzę. – Musiała

mu podać sensowny powód, bo prawda nie wchodziła w grę. – Te sińce nie wpływają najlepiej na apetyt.

– Twoje współczucie to miód na moje serce.

– Anioł ze mnie, wiem.

W kącikach jego oczu pojawiły się kurze łapki.

Nawet w chłodny październikowy ranek ogród na dachu był przytulny. Opleciona winoroślą drewniana kratka osłaniała od wiatru, fioletowe poduchy na krzesłach były miękkie i kuszące. Od dawna nie jadła nic równie pysznego jak puszysty omlet, który usmażyła z warzywami z jego ogródka. Była niemal… szczęśliwa.

Coop obserwował ją nad stołem. Piper nie grzebała bez celu w talerzu. Jadła małymi kęsami, ale błyskawicznie pochłonęła cały omlet. Kiedy jadła, angażowała się w to maksymalnie, jak we wszystko, co robiła. Jak ktoś tak twardy, tak zdeterminowany, z takimi jajami może być zarazem tak bardzo kobiecy?

Było za zimno na śniadanie pod gołym niebem, ale wewnątrz cały czas myślał o kuszącym posłaniu na antresoli, więc nie protestował, gdy zaproponowała, że zjedzą na tarasie. Idealne miejsce, żeby ochłonąć. Problem w tym, że mimo chłodu coraz bardziej się rozpalał.

Piper odłożyła sztućce na talerz. Zwrócił uwagę, jak drobne są jej dłonie, i zapamiętał sobie, żeby nigdy głośno tego przy niej nie powiedzieć.

Zauważył, jak patrzyła na jego klatkę piersiową. Początkowo sądził, że ogląda siniaki, ale przypomniał sobie, że akurat ta część jego ciała fascynowała ją szczególnie, i doszedł do wniosku, że wcale nie myśli o jego obrażeniach. Celowo nie zapiął bluzy i był to jeden z bardziej tandetnych ruchów w jego karierze. Z drugiej strony, wszystko, co daje mu przewagę, jest okej.

– Annabelle Champion nie sądzi, żeby któraś z byłych kochanek chciała cię skrzywdzić – oznajmiła.

– Dlaczego rozmawiałaś z Annabelle?

– Z ciekawości.

– Daj sobie wreszcie spokój. Rzuciłaś pracę u mnie, pamiętasz? Nie zatrudnię cię ponownie.

– A znasz kogoś, kto wyjaśni tę zagadkę? Annabelle wspomniała też, że było wokół ciebie kilka wariatek.

– Ostatnio Esmerelda Crocker.

– Nieszkodliwa.

– Czyżby? – Odchylił się z krzesłem do tyłu i chłonął ją wzrokiem. Miała twarz pełną życia. Za jasnymi oczami szalał cały świat. A te szerokie usta… Miał tyle pomysłów na te usta.

Zbyt długo trwało, zanim uciekła spojrzeniem. Uśmiechnął się. Nie była tak obojętna, jak udawała.

Zajrzała do torby, którą wszędzie ze sobą zabierała, i wyjęła notes.

– Od wielu lat jesteś w centrum zainteresowania opinii publicznej. Na pewno dotknął cię też hejt.

– Pocztę nadal sprawdza biuro Starsów. Daliby mi znać, gdyby trafili na coś naprawdę podejrzanego.

– Z kim mam porozmawiać?

– Z nikim. I odłóż ten nieszczęsny notes. To był przypadkowy napad. Rozpaczliwie szukasz kolejnego zlecenia.

– Potrzebujesz ochrony.

– Tak? Czemu w takim razie nie wspomniałaś o najbardziej oczywistym podejrzanym, moim kumplu Księciu Ciemności?

Bawiła się notesem.

– Dojdę do niego.

– Powoli. I wiem, dlaczego zwlekasz.

Skinęła głową.

– Tak. Czuję się odpowiedzialna.

– Nie jesteś, ale bardzo mi się to podoba. – Doceniał prostolinijność, z jaką podchodziła do wszystkiego, bez udawanej nieświadomości, za którą chowają się inni. Piper waliła prosto z mostu. Chyba że akurat zdecydowała inaczej.

Zmięła serwetkę.

– Skąd miałam wiedzieć, że dasz księciu podrobiony pierścień? Teraz jest w Londynie. Tak, sprawdziłam to. Choć to i tak bez znaczenia. I tak, znowu tak, martwię się. Użerać się z niezadowolonym byłym pracownikiem albo fanem drużyny Broncos, który ma do ciebie żal za faul sprzed sześciu lat, to jedno, a podpaść zagranicznemu dygnitarzowi to coś zupełnie innego. Przy czym podpaść ma naprawdę wiele znaczeń. Niewykluczone przecież, że to on nasłał tego drania.

– Słuchaj, Pipe, wiem, że masz serce po właściwej stronie, ale wszystko sprowadza się do tego, że jesteś panią detektyw bez pracy i chcesz ją sobie na siłę wynaleźć.

Od razu pożałował tych słów. Oczy jej pociemniały, usta zacisnęły się, choć tylko na chwilę. Ilekroć żartował z jej ciuchów i charakteru, przyjmowała to na klatę, z humorem, ale ściskało mu się serce, gdy widział, jak cierpi, bo podał w wątpliwość jej etykę.

Wstała.

– Muszę lecieć.

On też wstał i zablokował jej drogę.

– Poczekaj. Nie to miałem na myśli.

– A ja myślę, że właśnie to – odparła cicho.

– Nie, naprawdę. – Położył jej ręce na ramionach.

Nie odsunęła się, tylko podniosła głowę i patrzyła mu w oczy, prowokowała, żeby znowu ją obraził.

Miał jej ramiona pod palcami i czuł ich kruchość. Miała tak silną osobowość, że czasami zapominał, jak drobna jest przy nim.

– Pipe, uwielbiasz to, co robisz. Chciałem tylko powiedzieć, że… że może to wpływa na twój osąd.

Wydawało się, że naprawdę analizuje jego słowa. W końcu przecząco pokręciła głową.

– Nie. Ale przyjmuję przeprosiny.

Właściwie wcale nie przeprosił.

– Ale to ty źle oceniasz sytuację – ciągnęła. – Wmawiasz sobie, że napad był przypadkowy, i nawet nie chcesz brać pod uwagę innego scenariusza.

Miała dobre intencje, choć źle wybrała cel.

– Szkoda, że nie miałem cię w drużynie na boisku. Nikt nie tknąłby mnie palcem.

Uśmiechnęła się – szczerze i otwarcie. Nie potrafiła się długo dąsać.

Nie wiedział dokładnie, kiedy spotkały się ich spojrzenia, ale wiedział, że nadal trzymał dłonie na jej ramionach. Nagle zapomniał o bólu. Uniosła rękę i dotknęła sińca na jego podbródku tak delikatnie, że ledwie to poczuł. Powiew wiatru sprawił, że ciemny kosmyk opadł jej na policzek. Nie przywykł do takiego kontaktu. Do patrzenia tak długo. Do takiego widoku – nic, tylko wielkie oczy i szerokie, kuszące usta. Pocałować ją? Najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Gdyby chciała go powstrzymać, wystarczyłoby, żeby przekrzywiła głowę, ale tego nie zrobiła. Rozchyliła usta i wsunęła dłoń pod jego bluzę, żeby dotknąć nagiej skóry.

Pocałunek nabierał rumieńców. Poczuł, jak krew pulsuje mu żyłach. Ich ciała stopiły się w jedno. Pragnął tylko jednego – być w niej. Zaspokoić ją tak, jak jeszcze nikt nigdy tego nie zrobił. Chciał sprawić, żeby jęczała. Żeby pragnęła go tak bardzo, jak on jej.

Pomogła mu zdjąć bluzę, on uwolnił ją z koszulki. Pod spodem miała czarny stanik. Pociągnął ją na szezlong.

Fioletowe poduszki były bardzo miękkie, ale gdy osunął się na obolały bok, skrzywił się.

– Nie możemy – powiedziała. – Ty…

Zamknął jej usta pocałunkiem, przewrócił się na zdrowy bok i pociągnął ją za sobą. Przez dżinsy ściskał jej pośladki. Musiał je z niej ściągnąć. Pozbyć się wszystkich ciuchów.

Kiedy wsuwał palec pod pasek jej stanika, w jego głowie rozległ się szum. Wędrował ustami na jej bark. Szum narastał. Był coraz głośniejszy. Coraz bardziej natarczywy.

Odepchnęła go od siebie tak nagle, że mało brakowało, a spadłby z szezlonga.

Sięgnęła po coś.

Ten szum… Nie był tworem jego rozbujałego pożądania. Dobiegał znad ich głów.

W powietrzu zawisł srebrny dron. Coop zaklął pod nosem. Dron zataczał kółka nad jego ogrodem.

A potem eksplodował.

Na taras posypały się odłamki włókna szklanego, plastiku i metalu.

Piper stała pośrodku ogródka, w dżinsach i czarnym staniku, z podniesioną ręką. A w dłoni, która jeszcze przed chwilą go pieściła, widniał pistolet.

Jeden strzał. Tyle wystarczyło, żeby rozwaliła drona. Jeden celny strzał.

Ciężko oparł się o ceglany murek. Nie ma to jak kobitka ze spluwą, żeby zepsuć nastrój.

Rozdział 13

Ulica poniżej była spokojna, w zasięgu wzroku była tylko samotna biegaczka i mężczyzna z psem.

– Zostań tutaj! – krzyknęła Piper, naciągnęła koszulkę przez głowę i wpadła do środka przez otwarte drzwi.

– Ani mi się śni!

Przez najbliższą godzinę przeczesywali okolicę. Rozsądniej byłoby się rozdzielić, ale Piper wolała cały czas mieć go na oku. Żaden z przechodniów nie widział nikogo obsługującego drona, za to wszyscy chcieli porozmawiać z Coopem o jego karierze.

Kiedy wracali do apartamentu, zadał pytanie, które od dawna nie dawało mu spokoju.

– Zawsze masz przy sobie broń?

– W klubie nie, jeśli o to ci chodzi.

Fakt, właśnie o to mu chodziło. Wizja jednoosobowego oddziału komandosów w postaci Piper, chroniącej go przed wszystkim, co uznała za zagrożenie, nie dawała mu spokoju.

– Nie chcę widzieć broni – zdecydował, gdy skończyła zbierać szczątki drona z tarasu.

– Przecież wychowałeś się na ranczu – zauważyła.

– I umiem strzelać. Co nie znaczy, że pochwalam broń w mieście.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Musisz przyznać, że to był świetny strzał.

On by tak nie potrafił.

– Niezły.

Roześmiała się, sięgnęła po kurtkę leżącą na barowym stołku.

– Mam dla ciebie dobre wieści. Postanowiłam zostać w klubie, w ochronie.

Mógł się tego spodziewać.

– Zapomnij o tym. To już nieaktualne.

– A to dlaczego?

– Dlatego że chcesz podjąć się tej pracy, bo uważasz, że potrzebuję ochrony! Ja! W moim własnym klubie!

– Bzdura. Sam możesz o siebie zadbać.

Powiedziała to z głębokim przekonaniem – co nie znaczyło nic a nic. Coop był rozdarty. Potrzebował jej, pragnął, ale na swoich warunkach. Wymachiwał jej palcem przed nosem.

– Jeśli cię zatrudnię na bramce, będziesz pilnować tylko kobiet.

– Oczywiście.

– Ja nie potrzebuję ochroniarza.

– Jasne jak słońce.

– Dobra. Masz tę robotę.

– Super.

Piper wróciła do kuchni, a on nie mógł opędzić się od myśli, że teraz, do cholery, ma osobistą ochronę.

Włożyła kurtkę i oznajmiła:

– Żadnych kontaktów fizycznych między nami. Nie, dopóki u ciebie pracuję. Rozumiemy się?

On także umiał łgać w żywe oczy. Oparł się o lodówkę i odparł przeciągle:

– Ejże, skarbie… naprawdę wierzysz, że zdołasz utrzymać ręce przy sobie?

A potem wyrzucił ją za drzwi.

Piper muskała palcami połamane skrzydła drona. Poskładała szczątki na tyle, że zdołała odcyfrować model i producenta, ale gdy sprawdziła je w Internecie, okazało się, że sprzedano tysiące egzemplarzy. Najbardziej przerażające, że w tym modelu można transmitować obraz wideo na żywo. Czyli właściciel sprzętu widział, jak oboje z Coopem dali się ponieść emocjom.

Z posępną miną wpatrywała się w okno kantorka wychodzące na parking. To, do czego o mały włos dzisiaj nie doszło, było w pewnym sensie gorsze niż to, co zdarzyło się w latarni morskiej. Powinna była być na to przygotowana. Wiedziała, jak Coop na nią działa, a jednak znowu straciła głowę. Ale koniec z tym. Jego ciało jest zakazane. Upewniła się w tym, mocno klepiąc się w policzek.

Telefon wyrwał ją z ponurych myśli. Faiza, upojona świeżo odzyskaną wolnością, pełna historii, przy których Piper musiała się uśmiechnąć. Ledwie skończyły gadać, dostała wiadomość. Od Erica.

„Dostałaś poprzednią wiadomość? Kolacja? Dzisiaj?”

Eric to jej seksualny wybawiciel. Kombinowała już, dokąd pójdą, żeby skonsumować znajomość. Nie uśmiechała jej się myśl, że wiecznie czujna Jada zobaczy faceta znikającego za jej drzwiami. Ale Eric miał współlokatora, a Piper wyrosła już z czasów, gdy idzie z kimś do łóżka, gdy kumpel za ścianą gra na konsoli.

Ponownie zajęła się pracą. Rutynowa kontrola mediów społecznościowych, żeby się przekonać, czy pojawiło się coś nowego na temat Spiral. I strzał w dziesiątkę: na forum poświęconym klubom nocnym trafiła na post kogoś o pseudonimie Homeboy 7777.

„Spiral to najlepszy adres w całym Chicago, żeby kupić dobry towar, nie ryzykując, że się zaliczy kulkę albo nóż między żebra”.

Dałaby sobie rękę uciąć, że teraz, gdy Dell zniknął ze sceny, w Spiral nie dzieje się nic niezgodnego z prawem. Zarejestrowała się jako Wastoid69 i odpowiedziała wulgarnym postem, w którym wyzywała Homeboya 7777 od trolli, a Spiral nazwała „dragową pustynią, do której warto iść tylko po to, żeby podrywać najlepsze laski w mieście”.

W piątek o siedemnastej spotkała się z Jen i Amber w Big Shoulders. Była to ich ulubiona kafejka, z pyszną kawą, miłymi baristami i poezją Carla Sandburga na ścianach.

Piper nie widziała się z przyjaciółkami od dwóch tygodni, więc od rana czekała na to spotkanie. Niestety Jen była zadziwiająco jak na nią ponura.

– Dupek wezwał mnie do siebie i zapytał, co sądzę o liftingu twarzy.

Amber Kwan uderzyła otwartą dłonią w blat stolika z taką siłą, że filiżanka domowej mieszkanki herbacianej podskoczyła gwałtownie.

– Z twoją twarzą wszystko jest w porządku! – zapewniła. – Zapytaj go lepiej, co sądzi o procesie o molestowanie seksualne.

Szczere oburzenie w głosie spokojnej zazwyczaj śpiewaczki operowej rozbawiło Piper. Jen także się uśmiechnęła, lecz zaraz spoważniała.

– Jestem między młotem a kowadłem – stwierdziła. – Nie chcę stąd wyjeżdżać, ale jaka stacja zatrudni

pogodynkę w wieku czterdziestu dwóch lat?

Październikowe dni były coraz krótsze. Za oknem zapłonęły latarnie.

– Może powinnaś mu przypomnieć, ile kobiet po czterdziestce ogląda wiadomości – wtrąciła Piper. – Ciekawe, jak zareagują, kiedy się dowiedzą, jak cię traktuje.

– Jasne, to na pewno przyniesie pozytywne skutki – mruknęła Jen. – Dupek i tak odwróci kota ogonem i zatrudni nową, młodszą, ładniejszą i tańszą. A wątpię, żeby inne stacje w Chicago biły się o donosicielkę.

Fakt.

Amber oderwała przyjaciółkę od ponurych myśli najnowszymi ploteczkami z opery. Z dala od Berni i jej morderczych spojrzeń była dowcipna i rozluźniona. Piper obiecała sobie, że porozmawia ze starszą panią o jej zachowaniu, czy Amber sobie tego życzy, czy nie. A potem walnęła z grubej rury i powiedziała, co widziała na Lincoln Square.

Amber i Jen zasypały ją pytaniami, na które nie znała odpowiedzi, bo dwa dni wcześniej pozwoliła, by brzuchaty staruszek z piankowym serem na głowie rozpłynął się w tłumie.

Przerwała im *Buffy*. Dzwonił Coop. Piper odebrała.

– Co jest, szefie? – Szefie, nie skarbie.

– Logan Stray.

– Nastoletni gwiazdorek?

– Już nie nastoletni. Świętuje dziś dwudzieste pierwsze urodziny, a ty będziesz jego nianią.

– Pamiętasz, że nie pracuję w ochronie?

– Dzisiaj pracujesz. Bobasowi wartemu dziewięćdziesiąt milionów dolarów nie może spaść włos z głowy, nie w moim klubie.

– Nie ma własnej ochrony?

– Ochroniarze gwiazd popu nie umieją odmawiać nikomu, kto wypisuje im czek. Chcę mieć kogoś, na kim mogę polegać. Spiral nie potrzebuje złej prasy.

– Ale nie sposób jej całkiem uniknąć. – Powiedziała mu o wpisie, który odkryła po południu.

Był zły.

– Trzymaj rękę na pulsie. Nie chcę dać Deidre żadnego pretekstu, żeby mogła się wycofać.

– Dobra. Autorem wpisu jest pewnie ktoś, kogo nie wpuściliśmy do klubu, ale będę kontrolować sytuację.

Kilka metrów dalej ktoś włączył blender. Zatkała ucho, żeby słyszeć, co mówi Coop.

– Włóż dzisiaj tę niebieską sukienkę i staraj się wyglądać seksownie. Logan myśli, że jesteś hostessą.

– Robisz ze mnie dziwkę.

– Kiedy cię zobaczy, zorientuje się, że to nieprawda.

Sama nie wiedziała, czy to komplement, czy nie.

Logan Stray i jego świta zjawili się tuż po północy. Piosenkarz, wzrostu Piper, przy mocno zbudowanych ochroniarzach wydawał się jeszcze drobniejszy. Spod czarnej czapeczki wysuwały się ciemnoblond kosmyki, w tym samym odcieniu co malutka bródka. W półmroku VIP roomu okulary przeciwsłoneczne były zbędne. Stłumiła uśmiech, gdy wpadł na stolik. Może jest modny, ale na pewno nie mądry.

Trzy kobiety w jego świcie nosiły kreacje, przy których kobaltowa sukienka Piper była bardzo skromna. Towarzystwo rozsiadło się przy największym stoliku nad parkietem. Piper przedstawiła się pierwszemu z brzegu ochroniarzowi jako koordynatorka VIP-ów, bo brzmiało to lepiej niż hostessa. Przywitała się z Loganem. Zlustrował ją wzrokiem.

Zaraz polał się alkohol – zamówili kilka butelek armand de brignac, dwa litry grey goose, tequilę gran

patron platinum i mnóstwo red bulla. Coop nie spieszył się z powitaniem gwiazdora, a gdy się w końcu zjawił, Logan stanął na wysokości zadania i po męsku przywitał go klepnięciem w plecy. Od napadu na Coopa minęło zaledwie kilka dni i Piper widziała, jak się lekko skrzywił, ale kiedy chciała interweniować, posłał jej mordercze spojrzenie.

Coraz bardziej irytowała ją kreatywność, z jaką Coop trzymał ją z daleka od siebie. To była jej trzecia noc w klubie w nowej roli. Usiłowała zmusić pozostałych bramkarzy do reakcji, co tylko spotęgowało ich wrogość. Nie lubili jej już wcześniej, a teraz na dodatek dowiedzieli się, że początkowo Coop zatrudnił ją jako szpiega. Cały czas martwiła się o jego bezpieczeństwo. Spałaby spokojniej, gdyby wiedziała, gdzie podziali się Keith i jego dziewczyna.

Wieść, że Logan Stray jest w klubie, rozeszła się szybko i Spiral pękał w szwach. Coop towarzyszył mu przez jakiś czas, sączył lemoniadę i cierpiał w milczeniu, choć zachowywał się jak zwykle, więc może tylko jej się wydawało. Tak czy inaczej, była pewna, że prowadzenie nocnego klubu nie jest tym, czemu Coop powinien poświęcić życie.

Zatrzymała go, gdy wstał od stolika.

– Wszystko cię boli – szepnęła. – Wracaj do domu i odpocznij z nosem w książce, których jakoby nie czytasz. Twoje ciało musi odsapnąć.

Odpowiedział, przesadnie przeciągając sylaby:

– Chyba za często myślisz o moim ciele. A ja jeszcze nie zdecydowałem, czy je jeszcze kiedykolwiek zobaczysz.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Nie przejmuj się, umówiłam się z… – Musiała się chwilę zastanowić, żeby sobie przypomnieć, jak ma na imię. – Z Erikiem. Naszym kumplem z policji. Chcemy zrobić kolejny krok. – I może zrobią, jeśli kiedykolwiek odpisze na jego esemesy.

Coop zesztywniał na te słowa, ale odpowiedział swobodnie jak zawsze:

– To kobieciarz.

– No właśnie. Pasujemy do siebie.

Skrzywił się tylko i odszedł.

Chwilę później podszedł Jonah. Gdyby miał włosy, chyba stanęłyby mu dęba.

– Podobno znowu się czepiasz moich chłopaków i mówisz, jak mają wykonywać swoją robotę.

Za wszelką cenę starała się udawać rzeczową profesjonalistkę.

– Klub dzisiaj pęka w szwach. Sam wiesz, że kilka dni temu Coop oberwał. – Cooper tłumaczył swoje obrażenia jako skutek sparingu. – Chyba lepiej, żebyście dopilnowali, żeby goście nie rzucali mu się na szyję.

Przysunął się tak blisko, że widziała włoski w jego nosie.

– Jestem szefem bramkarzy, czyli twoim też. Więc bardzo proszę, schowaj jaja między nogi i pilnuj swoich spraw.

– Nie bądź dupkiem.

Rozjuszyła go.

– Od samego początku chcesz zająć moje miejsce. Wszyscy wiedzą, że Dell wyleciał przez ciebie.

Wyprostowała się na tych idiotycznie wysokich obcasach i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Dell był cholernym złodziejem, ale o tym pewnie wiedziałeś.

Zacisnął usta.

– Teraz zadzierasz nosa, ale kiedy szef przestanie cię posuwać, zapomni, że w ogóle istniejesz.

Ogarnęła ją furia. Dźgnęła go palcem w pierś.

– Ty draniu! Spotkamy się po pracy w zaułku i wtedy zobaczymy, kto ma większe jaja.

W końcu dotarło do niego, co powiedziała.

– Poważnie? Chcesz ze mną walczyć?

No, nie do końca. Ale to, że jest wielki, nie znaczy, że jest szybki, więc może los się do niej uśmiechnie. Pewnie nie, ale może. Skrzywiła się.

– Czemu nie?

Dumnie wydął pierś.

– Z laskami nie walczę.

– A co, boisz się, że zajdę w ciążę?

Cofnął się, jakby bał się, że go czymś zarazi.

– Walnięta jesteś, wiesz?

Odszedł. Odprowadzała go wzrokiem z uśmiechem na ustach. Niewykluczone, że miał rację.

Do trzech kobiet, które siedziały przy stoliku Logana Straya, dołączyły jeszcze dwie, obie młode i piękne. Ponieważ wcześniej Logan w ogóle jej nie zauważał, zdziwiła się, gdy przywołał ją gestem i zaproponował, żeby się do nich dosiadła. Nie miała ochoty, ale wysokie obcasy mocno dawały się jej we znaki, więc nie protestowała.

– Ile masz lat? – zapytał, kiedy usiadła. Mówił niewyraźnie; nic dziwnego, zważywszy, ile alkoholu zdążył w siebie wlać.

– Metrykalnie? Trzydzieści trzy.

– Metrykalnie? Co to ma znaczyć?

Zsunęła pantofle pod stołem. Siedziała tak blisko Logana, że dostrzegła pryszcz tuż przy jego koziej bródce.

– Nie zawsze postępuję tak, jak nakazuje wiek.

– Udajesz starszą czy młodszą? – zapytał, jakby to go autentycznie interesowało.

– Zależy od sytuacji.

– A teraz? Ile masz lat?

– Eee… Czterdzieści dwa.

– Naprawdę? – uśmiechnął się. – To fajnie. Kręcą mnie starsze kobiety. – W jego oddechu słodki zapach red bulla mieszał się z aromatem whisky. Koncentrował się z wyraźnym trudem. – Ludziom się wydaje, że moje życie to jedna wielka impreza, ale to nie tak. Muszę ciągnąć ten interes. Wiele osób na mnie polega.

Przez moment wyglądał jak samotny piętnastolatek i zrobiło jej się go żal. Swoje dwudzieste pierwsze urodziny obchodziła w knajpie w Boystown z grupą dobrych przyjaciół, którzy lubili ją taką, jaka była. Może Logan zdawał sobie sprawę, że bez sławy i pieniędzy byłby tu całkiem sam.

Dopił drinka.

– Chcę tańczyć – oświadczył.

Goście VIP roomu często schodzili na parkiet, ale tego wieczoru klub przepełniała dziwna energia, która budziła jej niepokój. Zbyt wiele osób, za duży hałas, ludzie się potrącają, kelnerki rozlewają drinki, odgłos tłuczonego szkła. Już doszło do jednej bójki. Ernie i Bryan interweniowali błyskawicznie i mało kto cokolwiek zauważył. Nie chciała, żeby sytuacja się powtórzyła.

– Porozmawiajmy – zaproponowała. – Strasznie tam dzisiaj ciasno.

– I dlatego jest fajnie. – Złapał ją za rękę. – Idziemy.

Dziewczyny bynajmniej nie były zachwycone, że odchodzi z nią, a nie jedną z nich, ale Piper musiała mieć go na oku. Poza tym Jen chętnie wysłucha tej opowieści.

Choć większość gości klubu Spiral była starsza niż fanki Logana, był rozpoznawalny i popularny, więc zaraz otoczyła go grupa wielbicieli. Jego ochroniarze przeciskali się przez tłum. Didżej puścił *Not Witch U Now*, jego ostatni przebój.

Piper tańczyła nieźle, ale Logan, nieważne, pijany czy trzeźwy, był w tym świetny. Nawet nie próbowała dotrzymać mu kroku, po prostu dała się ponieść. Na parkiet wychodziło coraz więcej osób, otaczali ich, byli coraz bliżej. Logan podszedł do stolika, wziął drinka od kogoś ze swojej świty i

wychylił duszkiem.

Muzyka przybierała na sile. Wiotkie farbowane blondynki odcięły Piper od Logana. Otaczały go, a ona oczami wyobraźni widziała trzy rekiny polujące na płotkę. Jedna zarzuciła mu ręce na szyję, druga objęła w talii. Chociaż był nieźle zalany, widać było, że mu się to nie podoba. Jego ochroniarze, a także Jonah i Bryan już przeciskali się przez tłum, lecz Piper widziała w kobietach determinację, która oznaczała kłopoty, gdy tylko mężczyźni ich dotkną. Wcisnęła się przed jedną z nich, ale była sama, a one trzy.

I jeden Coop Graham…

– Drogie panie… – Pochylił się nad dwiema z nich i jednocześnie dał Piper sygnał, żeby zajęła się Loganem. – O mnie już nikt nie pamięta?

Kobiety rzuciły się na większą zdobycz.

Logan stracił równowagę. Nie wiadomo, czy ktoś go popchnął, czy był za bardzo pijany, by ustać na nogach, ale zatoczył się i runął jak długi na parkiet. Okulary przeciwsłoneczne zsunęły mu się z nosa i zaraz zmiażdżyły je buty tańczących.

Jego pijani ochroniarze, którzy rzucili się na ratunek, przepychali się tak energicznie, że przewrócili dwie osoby. Jeden z mężczyzn upadł na Logana. Ochroniarze tymczasem brutalnie rozpychali grupkę kobiet, które blokowały im drogę. Piper odwróciła się na pięcie.

– Stop! Dość tego!

O dziwo, posłuchali jej. Coop pomógł wstać leżącemu mężczyźnie, poklepał go po ramieniu i zaprosił na drinka do VIP roomu. Trzy rekiny w kobiecej skórze parły do przodu, chcąc dopaść płotkę w postaci idola nastolatek. Coop zagrodził im drogę, zdecydowany uruchomić swój urok osobisty, choć pewnie wskutek tej przepychanki był bardzo obolały. Ochroniarze Logana znowu parli do przodu. Piper pomogła Loganowi wstać.

– Każ im spadać! – krzyknęła mu do ucha. – A spełnię wszystkie twoje marzenia.

Łypnął na nią z pijackim zachwytem.

– Serio?

– To będzie podróż do raju.

Uległ pokusie. Złapała go za ramię i pociągnęła w stronę kuchni.

Na kontuarze stał półmisek pełen czekoladowych ciastek z burbonem. Od rana prawie nic nie jadła, więc chciwie pochłonęła kilka ciepłych smakołyków.

– Idziemy na prywatne przyjęcie – zapewniła Logana.

Siłą i sprytem udało jej się wepchnąć go na schody i dalej, do siebie.

– Gdzie jesteśmy? – wybełkotał.

– W raju – odparła sucho.

Uśmiechnął się zawadiacko. Bez okularów jego oczy były małe, brązowe, nijakie.

– Co masz do picia? – zapytał i niezdarnie oparł się o kontuar oddzielający aneks kuchenny od saloniku.

Miała w domu tylko kilka kartonów z sokiem i piwo. Zdjęła buty. Podniosła talerzyk z dwoma nieco zgniecionymi mufinkami z burbonem.

– Ciasteczka z marychą! – Porwałby oba, gdyby błyskawicznie nie przejęła jednego dla siebie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Boso ruszyła w tamtą stronę.

– Kto tam?

– Policja. Otwieraj, bo wyważę drzwi.

– Bardzo śmieszne – mruknęła. Otworzyła drzwi i obdarzyła Erica zmęczonym uśmiechem.

– Właśnie skończyłem służbę i widziałem, że się u ciebie świeci.

Mógł to zobaczyć tylko z zaułka.

Opadł na kanapę, jakby chciał zostać dłużej. Logan tymczasem na widok funkcjonariusza w mundurze pochłonął ciastko najszybciej, jak umiał, oparł się ciężko o kontuar, rozłożył umazane czekoladą ręce i

zapewnił Erica:

– Fylko wykłe ciaftka, pnie włafo. Wszyftko w porządku.

Eric spojrzał na nią pytająco. Wzruszyła ramionami. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Coop, bez pukania.

Rozejrzał się: funkcjonariusz Ciacho rozparty na kanapie jak u siebie, ona boso, w sukience od znanego projektanta i pijany w sztok idol nastolatek z twarzą umazaną czekoladą.

Przez jego twarz przemknął uśmiech rozbawienia.

– Płacę ci za to wszystko?

– Za mało.

– Coop! Miło cię widzieć! – Eric poklepał go po plecach tak energicznie, że to musiało zaboleć.

Cooper odpowiedział z podobnym entuzjazmem.

– Wzajemnie.

Panowie klepali się po plecach i nikt nie zauważył, że Logan wymknął się na korytarz. Zorientowali się, kiedy było już za późno – gdy usłyszeli szmer, a potem krzyk:

– Nie żyjesz!

I zaczęło się…

Rozdział 14

Eric wyciągnął pistolet z kabury, Coop wyskoczył do holu. Za nim rzuciła się Piper, wyjrzała zza niego i zobaczyła Logana na ziemi, nieruchomego, z zamkniętymi oczami. Jada stała w progu, rozczochrana, w piżamie w kratę, z karabinem na pianki u boku.

– Zabiłam go – jęknęła.

Kroki na dole. Tony zadarł głowę.

– Coop? Możesz tu przyjść? Ktoś wezwał urząd imigracyjny. Zebrali wszystkich w kuchni i sprawdzają zielone karty.

Coop rozłożył ręce.

– Bomba, po prostu bomba. Zaopiekuj się bobasem, a ja zobaczę, czego od nas chcą. – Zmierzył wzrokiem Piper i Erica i zwrócił się do policjanta: – Może pójdziesz ze mną? Przyda mi się ktoś, kto za mnie poświadczy.

– Świetny pomysł – orzekła Piper. Widząc u boku Coopa funkcjonariusza w mundurze, nikt nie będzie się go czepiał. Była spokojna, bo wiedziała, że Tony zatrudniał tylko legalnych imigrantów, pytanie jednak, kto wezwał urzędników?

Eric schował broń, pochylił się, podniósł piankową kulę i spojrzał na Jadę.

– Zabieram do laboratorium.

Jada wybałuszyła przerażone oczy. Eric roześmiał się i rzucił w nią piankową kulką. Piper się uśmiechnęła. Może jednak pójdzie z nim do łóżka.

Coop i Eric zniknęli na dole. Logan poruszył się i spojrzał na Piper.

– Chcsz się przlcić moim smltem?

– Niestety, lotniku, muszę pracować.

– Niszkodzi. – Ponownie opadł na podłogę i zamknął oczy.

– O Boże! – pisnęła Jada. – Przecież to Logan Stray!

– Szkoda, że się nie zorientowałaś, zanim zaczęłaś strzelać – mruknęła Piper. – W środku nocy!

– Obudził mnie jakiś hałas, a Asasyni świętego Piusa są bardzo sprytni. – Uklękła na podłodze koło Logana. – Jezu, nie wierzę, że to on. Kiedyś go uwielbiałam.

W korytarzu stanęła jej matka. Zmierzwione włosy opadały na ramiona, rozpięta piżama odsłaniała skórę w odcieniu karmelu. Karah nawet w piżamie i bez makijażu była bardziej apetyczna niż tuzin wymalowanych kokietek. Dobrze, że Coop wrócił na dół.

– Jada, co ty tu robisz?! – zawołała Karah.

Piper nie widziała powodu, żeby wsypać nastolatkę.

– Przepraszam za to, bardzo hałasowaliśmy i chyba ją obudziliśmy.

Jada dyskretnie schowała karabin za nogę, żeby matka go nie dostrzegła.

Piper patrzyła na Logana.

– Skoro i tak nie śpicie, może pomożecie mi go przenieść?

– Oczywiście! – zawołała Jada.

Przeciągnęły Logana z powrotem do środka, na kanapę. Piper przyniosła z kuchni wiadro i postawiła koło posłania, tak na wszelki wypadek.

Jada nie odchodziła od jego boku.

– O rany! Jeśli zrobi mu się niedobrze, ktoś powinien nad nim czuwać. Mogę zostać? Błagam! Mogę spać na krześle? Mamo? Proszę!

– Nie ma mowy.

Piper pomyślała o tym, jak bardzo Jada pragnie akceptacji nowych kolegów, i wyobraziła sobie, ile splendoru przyniesie jej ta opowieść.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy – powiedziała. – Będę mieć ją na oku. A Jada zaliczy jedyną w swoim rodzaju lekcję o wadach i zaletach sławy.

Karah zgodziła się po chwili wahania – najwyraźniej doszła do tych samych wniosków co Piper.

– W razie jakichkolwiek kłopotów odeślij ją do domu.

Kłopoty? Jakie kłopoty? – pomyślała Piper, ale na wszelki wypadek nie powiedziała tego głośno.

Nie pozwoliła Jadzie spać w tym samym pokoju co Logan, nawet nieprzytomny, i wysłała ją do sypialni. Klub już zamykał podwoje, nie musiała więc wracać do pracy. Umyła się, przebrała w dres i skuliła na fotelu w saloniku.

Wydawało jej się, że ledwie zamknęła oczy, obudził ją słoneczny blask i pukanie do drzwi. Uniosła powieki. Po przeciwnej stronie pokoju Logan Stray leżał na brzuchu na kanapie, z której zwieszały się jedna noga i ręka. W sypialni nadal spała Jada.

Szyja jej zesztywniała, kręgi trzasnęły ostrzegawczo, gdy wstawała z fotela. Wściekła na tego, kto stał po drugiej stronie drzwi, człapała w ich stronę.

Do mieszkanka wtargnęły dwie kobiety o błyszczących oczach i uśmiechach przyklejonych do twarzy. Jedna trzymała nosidełko z kawami, druga – pudełko pączków. Piper chwyciła się klamki, żeby nie upaść.

– Zabiję was.

– Też nam miło.

– Jak tu weszłyście? – warknęła.

– Ekipa sprzątająca. – Jen postawiła pudełko z ciastkami na stole, Amber pozbyła się kawy.

– Idźcie sobie.

– Nie mogę – sapnęła Jen. – Dupek zaprosił mnie na randkę.

Amber prychnęła gniewnie.

– I ona bierze to pod uwagę, a przecież obie wiemy, że żeby utrzymać pracę, będzie musiała iść z nim do łóżka!

– Pewnie tak. – Jen otworzyła pudełko z pączkami i sięgnęła po ciastko z kremowym nadzieniem.

Piper ziewnęła.

– Która?

– Ósma – odparła Amber. – O tej porze jesteś już zwykle na nogach.

– Nie, kiedy nie śpię przez prawie całą noc!

Akurat w tym momencie Logan postanowił zmienić pozycję i ta jego część, która jeszcze leżała na kanapie, zsunęła się na podłogę. Nadal się nie obudził.

– Przecież to Logan Stray! – wykrzyknęła Jen. I po chwili: – Żyje?

Piper osunęła się na fotel.

– Chyba tak.

– Jeśli go zabiłaś, pomożemy ci ukryć zwłoki.

– Wiem, kim jest Logan Stray! – Amber miała taką minę, jakby znała odpowiedź na pytanie za milion.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Czy moglibyście wszyscy dać mi święty spokój?! – wrzasnęła Piper.

Ale Jen już była przy drzwiach i do środka wpadła Berni. Krótkie włosy okalały twarz pomarańczową burzą. Spod kolejnego swetra Howarda wystawały różowe dresy.

– Wiedziałam! Przyszłyście tu, żeby mnie obgadywać! – Zobaczyła Logana na podłodze. – Ej, Piper, czy on aby nie jest dla ciebie trochę za młody?

Piper ukryła twarz w dłoniach.

– Zabijcie mnie już, proszę.

Berni łypnęła na Amber.

– To twoja sprawka. Myślisz, że jestem za stara, żeby wierzyć własnym oczom! Ani się obejrzę, a wsadzisz mnie do domu starców!

Piper sięgnęła po kawę.

– Spokojnie, Berni – mruknęła Jen. – Nie wyżywaj się na Amber.

– Ja? A czemu jej nie powiesz, żeby przestała mi dokuczać?

Amber, niczym Tosca gotowa rzucić się z murów obronnych, zerwała się na równe nogi.

– Nigdy ci nie dokuczałam, nigdy! Za to ty od pierwszej chwili, gdy mnie zobaczyłaś, albo mnie ostentacyjnie ignorowałaś, albo…

– Zwracałaś się do mnie per „pani Berkovitz”!

– Albo byłaś zwyczajnie niegrzeczna. Wychowano mnie w szacunku do starszych, ale…

– No właśnie! – Berni oskarżycielsko wymachiwała palcem. – Słyszałyście, co powiedziała? Jak mnie nazwała? Słyszałyście?

Gniew spokojnej zazwyczaj Amber to niezapomniany widok.

– Nic nie tłumaczy uprzedzeń rasowych, nawet podeszły wiek!

Berni nadęła się komicznie.

– Jakie znowu uprzedzenia rasowe? Przestań w kółko zmieniać temat. I jak w ogóle możesz mówić o szacunku po tym, jak mnie traktowałaś?

Jen nadal nic nie rozumiała, ale do Piper powoli docierało, w czym rzecz.

– Zawsze odnosiłam się do ciebie z najwyższym szacunkiem! – krzyknęła Amber.

– Jasne, jakbym już leżała w trumnie! Otwierałaś mi drzwi, przynosiłaś gazetę, bo myślałaś, że sama nie dojdę do kiosku… Myślisz, że tego nie widzę? Nieprawda! Mam oczy! Piper nie jest taka. Ani Jen. I co, to ma być szacunek?

Amber otworzyła usta, ale zaraz znowu je zamknęła. Jen parsknęła śmiechem.

Ktoś tu musiał stanąć na wysokości zadania i zachować się jak osoba dorosła. Piper doszła do wniosku, że to jej zadanie.

– Amber – zaczęła – Berni nie nienawidzi cię dlatego, że pochodzisz z Korei…

– A co Korea ma z tym wspólnego? – zdziwiła się Berni.

– Nienawidzi cię, bo wychowano cię w szacunku do starszych – ciągnęła Piper. – A ona jest stara.

– Nie musiałaś tego dodawać – żachnęła się Berni. – I nieprawda, że jej nienawidzę.

Piper uśmiechnęła się do niej z fałszywą słodyczą.

– Berni jest za stara, żeby zmienić pewne nawyki, i za mało wygadana, żeby ubrać w słowa, co ją gryzie, więc najprościej będzie, jeśli od tej pory nie będziesz robiła dla niej nic miłego. Po prostu traktuj ją jak śmiecia. Może wtedy doceni cię tak jak ja i Jen.

– Nie wiem, po co to wszystko mówisz – burknęła Berni. – Amber to bystra dziewczyna. Sama to wie.

– Nie wiem! – krzyknęła Amber. – Niby skąd miałam wiedzieć?

Berni wygięła usta w coś, co podejrzanie przypominało podkówkę.

– Nie czuję się stara.

– Słusznie – stwierdziła Piper. – Bo zachowujesz się jak pięciolatka.

Koreańskie wychowanie Amber znowu dało o sobie znać.

– Piper, czy nie powinnaś… – Ugryzła się w język i głęboko zaczerpnęła tchu. – Berni, od tej chwili sama sobie chodź po gazetę.

Przez otwarte drzwi wszedł Coop. Popatrzył na kobiety, a potem na ciało na podłodze.

– Żyje jeszcze?

– Nie mam pojęcia – burknęła Piper. Po chwili dodała: – Czy ty w ogóle sypiasz?

– Sprawdzałaś tętno?

– Nie chciało mi się. – Piper westchnęła. W jej ciasnym saloniku tłoczyło się czworo nieproszonych gości, w jej łóżku spała nastolatka, a na podłodze leżał nieprzytomny celebryta. – Wynocha stąd, wszyscy!

– Jesteś jakaś nerwowa – zauważył Coop.

Berni podbiegła do niego.

– Cooper! Pan Graham! Miałam nadzieję, że się zobaczymy! W samochodzie mam blaszkę świeżutkiej szarlotki. Miałam zostawić ją Piper, ale zaraz przekażę panu osobiście.

Akurat w tej chwili Logan przewrócił się na plecy, spojrzał na nich i beknął.

Jen, choć stała najbliżej, nie zdążyła z miską.

Minęły nieskończenie długie sekundy, zanim Coop spojrzał na Piper.

– Tak. Chyba powinienem dać ci podwyżkę.

Berni, zachwycona, uniosła dłonie do twarzy.

– Och, Piper! Ależ ty masz cudowne życie!

Tego popołudnia Piper udało się odnaleźć przyjaciółkę Taylor, od której dowiedziała się, że ta wyjechała do Las Vegas i tam znalazła pracę w kasynie. Przyjaciółka nie miała pojęcia, gdzie jest Keith, wiedziała tylko, że Taylor zerwała z nim przed wyjazdem, bo, jak sama stwierdziła, „to nieudacznik". Rzecz jasna, Piper zamierzała to sprawdzić, ale historia brzmiała wiarygodnie i tym samym Taylor trafiła na koniec listy podejrzanych.

Tego wieczoru wyrzuciła z klubu dwie uczestniczki wieczoru panieńskiego, które w damskiej toalecie wciągały kokainę z karty kredytowej. W sieci było coraz więcej kłamstw na temat Spiral. Cooper nie musiał jej przypominać, że reputacja klubu musi zostać nienaruszona. Kiedy wróciła po załatwieniu sprawy z kobietami, podszedł od niej Jonah.

– Gdzie wczoraj byłaś?

Działo się tyle, że na śmierć zapomniała o idiotycznym pomyśle konfrontacji w zaułku.

– Miałam pełne ręce roboty, niańczyłam naszego gwiazdorka.

Skrzywił się drwiąco.

– Spoko, nikomu nie powiem, że stchórzyłaś.

– Zadziwiające. Czy to podróż w czasie? Wróciłam do piątej klasy?

Przyglądał się jej tępym wzrokiem. Rozważała, czy mu wszystko tłumaczyć, ale uznała, że to za dużo zachodu, i postanowiła wznieść się ponad to.

– Przyznaję, jesteś większy i silniejszy.

– To fakt.

Ten uśmieszek doprowadzał ją do szału.

– Ale ja jestem zwinniejsza i mądrzejsza.

– Gówno prawda.

– Czyli jednak musimy się przekonać. – Nienawidziła tego u siebie. Powinna była zwyczajnie odejść. Ale nie, nie ona. Nie potrafiła nadstawić drugiego policzka. – Ale po pracy muszę się przebrać, więc daj mi parę minut.

– Ile tylko chcesz.

Nie sądził, że się pojawi, ale tu się mylił. Przyjdzie i ta myśl psuła jej humor. Nie dlatego, że się bała. Chodziło o to, że wciąż chciała sprawdzać się w konfrontacjach z mężczyznami. Nawet z takimi durniami jak Jonah. Wielkie dzięki, Duke.

Świadomość, że winą za swoje wady obciąża ojca, który bardzo ją kochał, choć zarazem nie pozwalał okazywać najmniejszej słabości i dławił nadopiekuńczością, tylko pogarszała jej samopoczucie. Kiedy wreszcie dorośnie na tyle, że przestanie traktować wszystko jak kolejny egzamin do zdania, kolejny dowód, że jest coś warta? Cóż, na pewno nie dziś, bo dziś sama zapędziła się w kozi róg i nie była w stanie z niego wyjść.

Po zamknięciu klubu przebrała się w dżinsy i koszulkę z logo Bearsów, włożyła adidasy i, wściekła na siebie, zeszła na parter. Wyjrzała, upewniła się, że w zaułku nie ma wozu Coopa, i wyszła na zewnątrz.

Jonah już był, palił cygaro przy śmietniku. Ernie i Bryan, jego kumple z ochrony, stali obok. Pomachała im.

– O, Jonah, widzę, że przyprowadziłeś posiłki.

Nie spodziewał się, że przyjdzie. Cygaro zadrżało w kąciku ust. Kumple roześmieli się.

– Wcale się nie dziwię, że sam nie miałeś odwagi się ze mną zmierzyć. – Mówiła takim samym tonem co pewna jedenastolatka, która przed laty pobiła się z Duganem Finke'em, bo zadarł jej koszulkę. Dugan, dwa razy od niej większy, sprał ją na kwaśne jabłko, ale koszulki więcej nie ruszał.

Jonah był w kropce. Była kobietą, więc nie mógł dołożyć jej tak, jak chciał. Mógł tylko zdusić cygaro i łypać groźnie.

Piper naprawdę wierzyła w fair play i zrobiło się jej go żal. Podeszła bliżej z uśmiechem na twarzy położyła mu ręce na piersi, wysunęła nogę i powaliła go na ziemię.

Klnąc na czym świat stoi, zerwał się błyskawicznie, rozjuszony, gotowy do ataku. Przygotowała się, ale zanim ją dopadł, kumple złapali go za ramiona.

– Nie rób tego, J.

– Nie możesz jej uderzyć!

Jonah usiłował się uwolnić.

– Puśćcie mnie! Rozerwę ją na strzępy!

– Spróbuj tylko! – rzuciła.

Bluzgał dalej. Ponieważ nie mógł jej zaatakować, zamiast dalej go drażnić, prosiła jego kumpli, żeby go puścili. Pyskówka tak ich pochłonęła, że nikt nie zauważył, jak w zaułek skręciła tesla Coopa. Zahamował z piskiem opon.

Jonah akurat się uwolnił, gdy Coop rzucił się między nich.

– Co tu się dzieje, do cholery?!

Nie czekał na odpowiedź, zamachnął się i walnął Jonaha w szczękę z taką siłą, że ten zatoczył się na śmietnik.

– Zwalniam cię, dupku. Nigdy więcej nie chcę cię tu widzieć.

– To ona zaczęła! – Jonah masował obolałą szczękę.

Poziom adrenaliny już opadał i Piper nagle poczuła się zmęczona i smutna.

– Tak jakby – mruknęła.

Coop odwrócił się gwałtownie i wbił w nią wzrok. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos ociekał jadem.

– Tak jakby?

– Pierwsza go uderzyłam.

Ernie i Bryan skinęli głowami.

– Tak było, szefie.

– Nie umiem nad sobą zapanować – oznajmiła, jakby to nie było oczywiste. – I bardzo proszę, nie zwalniaj Jonaha.

Brwi Coopa uniosły się.

– Naprawdę? – wydukał Jonah, wyraźnie zbity z tropu.

– W każdym razie nie z mojego powodu – uściśliła.

Coop był wściekły.

– Może to ciebie powinienem zwolnić? Bo jak widać, nie można spuścić cię z oczu.

– Przepraszam, szefie, ale pozwolę sobie zaprotestować – wtrącił się Ernie. – Bardzo nam ułatwia robotę.

Nie wierzyła własnym uszom, gdy odezwał się Jonah, cały czas masując obolałą szczękę:

– Wszystko przez ten wieczór panieński. Dziewczyny trochę szalały, ale ona zapanowała nad sytuacją.

Coop był na granicy wybuchu.

– Wszyscy wynocha!

Z największą ochotą spełniłaby jego polecenie.

– Ty nie. – Wycelował w nią palec. – Nie ruszaj się.

Próbowała się sprzeciwić.

– Może jednak będzie lepiej, jeśli pójdę do siebie.

– Jedziesz do mnie. – Położył jej dłoń na głowie typowym policyjnym gestem i wepchnął na fotel pasażera. – Lepiej, żeby Jada i Karah nie słyszały, jak wrzeszczysz.

Bardzo, bardzo źle.

Ruszył tak energicznie, że żwir spod opon rozprysł się na boki. Nawet spokojny jeździł agresywnie, a teraz stał się prawdziwym piratem drogowym. Wdychała zapach jego zamszowej brązowej kurtki i wyliczała w myślach swoje cechy, z powodu których zawiodła ich oboje. Niedojrzała, nieprofesjonalna, w gorącej wodzie kąpana – cechy niepożądane zwłaszcza u prywatnego detektywa. A wszystko tylko dlatego, że nie było jej stać na to, by wznieść się ponad dziecięce lęki. Coop miał prawo się na nią wściec.

W okolicy garażu nie było żadnego zagrożenia – poza samym Coopem. Kiedy nie wysiadła dość szybko – bo do czego miała się spieszyć? – wyciągnął ją siłą. Ledwie stanęła na chodniku, oparł ją o samochód i obmacał, błądząc dłońmi po całym ciele. Zacisnął usta w wąską kreskę.

– Bez broni?

– Chciałam dać mu nauczkę, a nie zabić.

Przesunął dłonie na wnętrze jej ud, a potem wyżej, w stronę talii. Po chwili wyprowadził ją z garażu.

– Idziemy.

– Posłuchaj, Coop, rozumiem, że jesteś wściekły i nie mam do ciebie pretensji…

– O, nie. Nie jestem wściekły. Wściekły to za mało powiedziane. – Znowu złapał ją za ramię, nie tak, żeby sprawić jej ból, ale na tyle mocno, że nie mogła się wyswobodzić.

Zdecydowanie za szybko wrócili do jego apartamentu, tyle że teraz, gdy już ją tu ściągnął, nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Idealna okazja, by prysnąć do kuchni.

– Głodny? Może usmażę ci omlet?

– Nie jestem głodny – wycedził. – Zastanawiam się, czy zrobimy to łagodnie, czy na ostro.

Podniosła rękę.

– Głosuję za łagodnie.

– Nie masz prawa głosu. – Cisnął zamszową marynarkę na oparcie kanapy. – Żeby wszystko było jasne: to ty zaczęłaś tę bójkę, tak?

– Technicznie.

– Technicznie?

– No cóż, nie przepadamy za sobą, ale…

– Nie przepadacie za sobą? I uznałaś, że najlepszym sposobem, żeby załatwić to raz na zawsze, jest bić się z byłym napastnikiem Clemsonów w zaułku za klubem? Dobrze zrozumiałem?

– Nie wolno ustąpić ani o krok!

– To działa, jak masz dwanaście lat, do cholery!

Podszedł do niej, zanim zdążyła przyznać mu rację.

– Trzeba było przyjść do mnie, jeśli nie mogłaś się dogadać z Jonahem.

– Sama załatwiam swoje porachunki.

– Już nie, do diabła. Albo cię zwolnię, albo… albo… – Chyba nic straszniejszego nie przychodziło mu do głowy. Choć na jej liście utrata pracy zajmowała pierwsze miejsce. – Albo spuszczę ci lanie.

– Nie mówisz poważnie.

Chyba naprawdę brał to pod uwagę.

– Owszem – stwierdził po chwili namysłu.

Wyciągnął rękę, objął ją w talii, podniósł i podszedł do kanapy, a chwilę później przewrócił ją na brzuch i położył sobie na kolanach.

Zamrugała.

Jego dłoń opadła na najbardziej mięsistą część jej pośladka. Krew napłynęła jej do głowy.

– Au! Boże! Chyba żartujesz.

Kolejny klaps.

– A wyglądam, jakbym żartował? – Klaps.

– Jakbyś oszalał.

– W życiu nie czułem się równie zdrowy na umyśle. – Klaps. Klaps.

– To skandal, i to pod wieloma względami! Sama już nie wiem, od czego zacząć. Chociaż właściwie wiem! Dzwonię do prawnika!

– Nie masz prawnika. – Następny klaps. – Zresztą ostry seks to ostatni krzyk mody.

– Tylko jeśli oboje tego chcą! Przestań! Czy wyglądam, jakbym tego chciała?

– Gdybyś nie chciała, już by cię tu nie było.

Fakt. Nie była przecież bezradna. Pozwoliła, by wymierzył kolejnego klapsa, a potem zacisnęła zęby.

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Myśl o sobie.

Kolejny klaps. A potem jego dłoń znieruchomiała. Została na jej skórze. Gładziła. Masowała.

– Cooperze Graham! Obmacujesz mnie!

– Skądże.

Przesunął dłoń między jej uda, pieścił ją przez materiał dżinsów. Ochrypła nuta w jego głosie sprawiła, że robiło jej się słabo z pożądania. Najpierw dała się wciągnąć w rozgrywkę rodem z przedszkola, a teraz pozwoliła, by rozpaliło ją zachowanie w stylu jaskiniowca. Jest beznadziejna. I, co gorsza, wbrew wszystkiemu, co sobie powtarzała, nic jej to nie obchodziło.

– Moja wina – odparła równie ochryple jak on.

Wsunął dłoń pod jej koszulkę z Bearsami, wodził palcem po wypustkach kręgosłupa. Zatrzymał się przy staniku.

– Masz na sobie za dużo ciuchów…

Sama nie wiedziała, czy usiadła z własnej woli, czy jej pomógł, ale po chwili siedziała na nim okrakiem. Czuła, jak jej kolana zapadają się w miękkie poduszki przy jego udach.

Objął ją w talii. Zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała w twarz jak wykutą z granitu.

– Naprawdę to zrobimy?

Zmarszczył brwi.

– Na to wygląda.

Była tego samego zdania.

– A twoje opory? W końcu nadal u ciebie pracuję.

Pochylił się, skubnął wargami jej usta.

– Nie pracujesz, przeszkadzasz.

Dotknęła językiem dołeczka w jego brodzie.

– W czym?

– W tym, żebym odzyskał spokój ducha.

Doskonale to rozumiała.

Pocałował ją.

– A twoje skrupuły?

– Chwilowo nieobecne – mruknęła.

Znalazł kącik jej ust.

– Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Ba, nigdy mi to nawet przez myśl nie przeszło. A było super.

Opanowała odruch, by rozmasować pośladki.

– Wcale nie bolało.

Odsunął się na tyle, że patrzyła prosto w jego złotobrązowe oczy.

– Nadal jestem na ciebie wściekły – przypomniał.

– To jasne – zapewniła. – Jeśli to cię pocieszy, ja na siebie chyba jeszcze bardziej.

To go chyba usatysfakcjonowało, bo musnął ustami jej szyję.

– Obiecujesz, że nie będziesz się więcej biła z moimi ludźmi?

Odchyliła głowę, żeby ułatwić mu dostęp.

– Obiecuję. – Chyba że zawalą sprawę i nie będą cię należycie pilnować.

Zsunął ją z kolan.

– No dobra. Miejmy to już za sobą.

Była załatwiona. Na cacy. Złapała skraj jego swetra i ściągnęła mu przez głowę.

Wkrótce, oboje nadzy, wrócili na kanapę. Jej pożądanie nie osłabło nawet na chwilę, gdy sięgał po prezerwatywę. Chciała tego, chciała dzikiego seksu bez zahamowań i właśnie z tym mężczyzną. I może, tylko może, chciała, żeby stracił nad sobą panowanie, jak ostatnio.

On jednak nie miał na to ochoty.

– Ręce przy sobie, paniusiu – sapnął, gdy chciała go dotknąć.

– Ty też – mruknęła. – Chociaż nie, możesz robić wszystko, co chcesz.

I tak było.

Usiadła na nim okrakiem. W tej pozycji była jeszcze bardziej otwarta na jego pieszczoty. Oczy mu pociemniały, płonął w nich ogień pożądania, ale nie patrzyli na siebie. Żadne z nich nie chciało aż takiej bliskości.

Pochyliła się nad nim, pocałowała głęboko, mocno, aż miała wrażenie, że daje z siebie za dużo. Wplótł dłoń w jej włosy, przytrzymał ją. Zaczęła się walka ust, zębów i języków. Przesunęła rękę, żeby go objąć, ale jej na to nie pozwolił. Przewrócił ją na poduszki i rozchylił jej uda, chłonął ją wzrokiem, a potem wziął to, co mu tak ochoczo ofiarowała.

Nacisk jego kciuków na jej udach, słodka szorstkość jego ust, drażniąca, dręcząca… A potem zatracenie. Totalne, całkowite zatracenie… aż zmienił pozycję.

Tym razem nie sposób było pomylić tego z czymkolwiek innym. Mocne pchnięcie, słodko bolesne. Wbiła mu palce w plecy, mokre już od potu. Poczuła na sobie, w sobie, cudowny ciężar jego ciała. Głęboko, coraz głębiej, wspaniałe, całkowite wypełnienie.

Pod zamkniętymi powiekami świat rozpadł się na kawałki, trąba powietrzna wirowała coraz szybciej, aż wybuchła jak supernowa.

Poruszał się dalej, coraz szybciej. Rzucała głową na boki. Krzyknęła znowu. Wbił się głębiej. Znieruchomiał.

I w końcu… Milczący jęk nabrzmiałego karku. Skurcz napiętych mięśni. Drżenie całego ciała.

A potem spokój.

Kiedy znowu mogła oddychać, przesunęła się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji – wskutek czego razem znaleźli się na podłodze.

Przez dłuższą chwilę leżeli tak, wciśnięci między kanapę i stolik w kształcie latającego spodka. Błądził palcem po piersi, którą wcześniej zaniedbał, pochłonięty innymi częściami jej ciała.

– Jesteś ciasna jak dziewica.

– Minęło trochę czasu. – Oparła głowę o jego bark i od razu przeszła do rzeczy. – To nie może rzutować na pracę.

– Absolutnie – zgodził się skwapliwie.

– Bo jeśli tak…

– Nie i koniec. Jesteśmy na to za mądrzy. I oboje wiemy, że musiało do tego dojść. A teraz musimy to przeczekać.

– Kochankowie nago, partnerzy w interesach w ubraniu – podsumowała.

– Doskonale to ujęłaś. – Oparł się na łokciu. – Mówiłem już, jak bardzo cię lubię? Oczywiście poza tymi chwilami, kiedy chcę cię zamordować gołymi rękami.

Uśmiechnęła się.

– Ja ciebie też, w każdym razie przez większość czasu, a to się rzadko zdarza. Jestem zbyt krytycznie nastawiona wobec przedstawicieli twojej płci.

Muskał palcem jej sutek.

– Sądząc po tym, jak krzyczałaś, moja płeć czasami się do czegoś przydaje.

– Dzisiaj bardziej niż poprzednio, to fakt.

– Nie dasz mi o tym zapomnieć, co?

– Nie jestem aż tak porządna. – Pociągnęła go za włosy. – Ale na przyszłość nie radzę próbować tego numeru z klapsami, bo drugi raz nie ujdzie ci to płazem.

– Z tym większą czcią będę to wspominał.

Wędrowała palcami po jego barku.

– Chciałam cię poinformować, że zazwyczaj nie jestem taką egoistką. Uważam, że trzeba i brać, i dawać.

– Musisz mi to udowodnić. – Pocałował ją w szyję. – Chodźmy pod prysznic, zobaczymy, czy to tylko czcze przechwałki.

– Tak szybko?

– Jestem sportowcem. Stać mnie na więcej niż zwykłych śmiertelników.

Nie mogła temu zaprzeczyć. Pomógł jej wstać. Ruszyli w stronę schodów, ale zanim weszli na antresolę, musiała mieć pewność, że wszystko jest jasne.

– Zgadzamy się, tak? Żadnych gierek. Robimy to, dopóki nam się nie znudzi albo dopóki kolejna nieziemsko piękna gwiazda filmowa nie zapragnie mieć sportowca u boku.

Uśmiechnął się i ścisnął jej pośladki.

– Umowa stoi. I żadnych flirtów z policjantem.

– Dopiero kiedy skończę z tobą.

Jego kabina prysznicowa była większa niż jej łazienka – cztery razy. Marmurowe ściany, liczne głowice i przyciski stanowiły doskonałe pole do popisu dla ludzi kreatywnych w seksie. Jak oni.

– Zdecydowanie nie jesteś egoistką – sapnął Coop jakiś czas później. Opierał się o ścianę i głośno dyszał.

Egoistką nie, ale chyba idiotką, pomyślała. Odepchnęła od siebie tę myśl. W końcu wiedziała, co robi. Jasno wyznaczyła granice i otwarcie mówiła o tym, czego pragnie. A przede wszystkim była świadoma swoich wad, jeśli chodzi o związek z bogatym celebrytą, bogiem seksu, facetem tak bardzo poza jej zasięgiem, że dziwne, że w ogóle żyją na tej samej planecie. Nie jest ani piękna, ani wyrafinowana, nie ma pojęcia o makijażu i ciuchach i choćby miała włosy do pasa, nie umiałaby nimi zarzucać. Pociągała

go w niej inność. A inność z definicji z czasem powszednieje.

Dawała im dwa tygodnie, zanim wszystko szlag trafi. I nie miała z tym problemu. Dwa tygodnie boskiego seksu? Super. Ale kiedy otulała się miękkim ręcznikiem kąpielowym, spochmurniała, bo już przeczuwała, że gdy skończy się seks, straci przyjaciela. Jednego z najlepszych, jakich miała do tej pory.

Rozdział 15

W poniedziałkowy ranek zadzwonił właściciel sklepiku, który znalazł jej ulotkę. Chciał, żeby sprawdziła, czy jego były pracownik naprawdę doznał w pracy uszczerbku na zdrowiu, czy tylko go naciąga. Potencjalny oszust nazywał się Wylie Hill. Pojechała do południowej części miasta, żeby się rozejrzeć.

Pilsen to dzielnica zamieszkana głównie przez Latynosów, w której kwitnie południowoamerykańska tradycja i kultura. Dwaj mężczyźni oparci o mural przedstawiający Matkę Boską z Guadelupe odprowadzali wzrokiem przechodzących hipsterów. Starsza kobieta w kapciach zamiatała chodnik przed domem.

W końcu zjawił się i Wylie. Usiadł na progu domu, w którym wynajmował pokój, i palił. Była zadowolona, że ma nowe zlecenie, ale nie znosiła obserwacji. Po pierwsze, były nudne, po drugie, zostawiały zbyt wiele czasu na myślenie, zwłaszcza dzisiaj.

Niemal cały poprzedni dzień spędzili z Coopem w łóżku. Ani razu nie dopadło jej poczucie pustki, którego doświadczała wcześniej, ilekroć była z mężczyzną – przykra świadomość oddalenia, która kazała jej szukać wymówek, by odejść. Z Coopem było prawie tyle samo gadania co seksu. Opowiadała mu o najciekawszych sprawach Duke'a, a on – o życiu na ranczu i ogrodnictwie. Okazało się, że mają bardzo podobne poglądy polityczne i podejście do religii. Udało mu się nawet wydobyć z niej kilka opowiastek o jej schizofrenicznym dorastaniu – i akurat tego teraz żałowała. Za dużo gadania. Zbyt wiele tajemnic, których nie powinien znać. Obiecała sobie, że teraz będzie wychodzić, gdy tylko się ubiorą.

Wylie Hill albo naprawdę naciągnął sobie mięśnie, rozładowując dostawy, albo był największym leniem na świecie, bo przez większość czasu tylko siedział na progu. Późnym popołudniem, kiedy już nie mogła wytrzymać z nudów, pojechała do biura i popracowała trochę nad stroną internetową. Już miała zamknąć kantorek i wrócić na czaty, gdy jawił się Coop, a wraz z nim – fala testosteronu. Rozglądał się, podziwiał oprawione plakaty starych okładek czasopisma detektywistycznego.

– Rany, ty naprawdę masz biuro.

– Mniejsze niż ty, ale musi mi wystarczyć, dopóki nie otworzę salonu w centrum miasta. – Dyskretnie odwróciła notes, w którym pisała. – Co tu robisz?

– Chciałem zobaczyć, co porabia druga połówka. – Pochylił się nad biurkiem i odwrócił notes, który starała się przed nim ukryć. – Dla psychiatry?

Chciała jeszcze na jakiś czas zachować dla siebie to, co do tej pory udało jej się ustalić, ale teraz było to niemożliwe.

– Znalazłam twojego byłego barmana. Pracuje teraz w spelunie w Bridgeport.

– I nie zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Owszem, po tym, jak z nim porozmawiam. Za to mi płacisz, zapomniałeś?

– No tak. – Obszedł dywanik i obmacał ziemię w doniczce z orchideą na oknie. Dostała ją od Amber. –

Kiedy chcesz się z nim spotkać?

– Dzisiaj. Zaczyna pracę o dziewiątej. Rano do ciebie zadzwonię.

– Nie musisz. Pojadę z tobą. – Wskazał orchideę. – Za dużo ją podlewasz.

– Dzięki za info. Tylko wszystko skomplikujesz. Idź już. Mam nowe zlecenie i muszę kogoś obserwować. – A twoja bliskość zamula mi mózg.

– Super. Pojadę z tobą. Chętnie zobaczę tę bardziej mroczną stronę twojego życia.

– Czaty są nudne.

– Dam radę.

I początkowo rzeczywiście dawał radę, ale po kilku godzinach zaczął się nudzić. Przeglądał drobiazgi na tylnym siedzeniu.

– Masz tu coś do jedzenia?

– Akurat wszystko się skończyło.

– A co to? – Uniósł Tinkle Belle.

– Łyżka do lodów.

– Jakaś dziwna. – Zaintrygowany, już miał ją wyjąć z plastikowej torebki.

– Zostaw to. – Wprawdzie ostatnio nie musiała po to sięgać, ale…

Olśniło go. Patrzył to na Tinkle Belle, to na nią.

– Zawsze mnie intrygowało, jak kobiety…

– No to teraz już wiesz. Odłóż to.

Zaparkowała po przeciwnej stronie wiekowego szeregowca, w którym mieszkał Hill. Z pobliskiego second-handu dobiegały głośne dźwięki muzyki tejano. Coop otworzył schowek przy kierownicy i zaczął w nim buszować. Kiedy i to go znudziło, bawił się obluzowaną listwą na desce rozdzielczej. Mógłby się uspokoić – wtedy ona mogłaby chociaż na chwilę zapomnieć o jego obecności.

– Skąd wiesz, że tam jest? – zainteresował się.

Wskazała najwyższe piętro.

– Kilka razy widziałam go w oknie.

– Może tylko tu nocuje.

– Może.

– A jeśli naprawdę naciągnął sobie mięśnie w pracy?

– Zasłużył na odszkodowanie.

Minął ich motocyklista. Coop położył rękę na oparciu i musnął jej bark.

– Wiesz, nie zawsze musisz być najtwardszym wikingiem na łodzi.

Niepotrzebnie opowiedziała mu o metodach wychowawczych Duke’a. Musiała się ratować.

– Słuchaj, nie jestem romantyczna, jeśli o to ci chodzi. Nie marzę o mężu i domu pełnym moich miniaturek. Kiedy dorastałam, miałam aż za dużo domowego ciepełka u boku ojca. – Tak jak zakazu płaczu, słabości i niepewności.

– Zważywszy na to, co spotkało twoją matkę, nic dziwnego, że ojciec był nadopiekuńczy, ale popełnił błąd, zostawiając firmę twojej macosze.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie było nic wielkiego.

– Jaka była twoja matka?

– Energiczna. Zabawna. Nie przepadała za ogniskiem domowym. Przeciwieństwo ojca. Trochę podobna do ciebie. Ale była też słodka.

Uśmiechnęła się. Drzwi domu otworzyły się, w progu stanął wyraźnie spięty facet z kościstą twarzą i niechlujnymi włosami do ramion. Piper wyprostowała się.

– To on.

Hill przysiadł na progu i zapalił. Coop obserwował, jak rozkoszuje się papierosem, a potem zerknął na telefon, żeby sprawdzić godzinę.

– To jak obserwowanie schnącego tynku, a jest dopiero siódma.
– Nie musiałeś ze mną jechać.
– Liczyłem na pościg jak z filmu.
Ona też.
Wylie wstał i przeciągnął się. Piper sięgnęła po aparat, ustawiła ostrość i strzeliła kilka fotek.
– To jeszcze nie jest żaden dowód – zauważył.
– Zleceniodawca lubi mieć poczucie, że się starasz.
Wylie kończył trzeciego papierosa, gdy wyjął komórkę z kieszeni i podniósł do ucha, jakby odbierał telefon. Powiedział coś, zdusił niedopałek w rynsztoku i ruszył ulicą, zaskakująco szybko jak na kogoś z urazem pleców. Usiadł za kierownicą starej szarej corolli. Piper wystawiła aparat przez okno i zrobiła serię zdjęć, gdy odjeżdżał.
– Czy teraz będzie superszybki pościg? – zapytał Coop.
– Może innym razem.

Piper sprawdzała się jako kierowca, była czujna i zwinna. Zauważył to już w drodze do Kanady. Trzymała się z dala od corolli, która zmierzała na północ, skręciła w Racine i potem w Osiemnastą. W końcu Wylie wjechał w uliczkę zamkniętą częściowo z powodu remontu. Coop zobaczył sklep monopolowy, meksykańską knajpę i nic więcej. Piper zjechała na parking, odłożyła aparat i sięgnęła po komórkę.
– Zostań w aucie – poleciła, otwierając drzwiczki. – Mówię poważnie, Coop. Za bardzo rzucasz się w oczy.
Miała rację – wieczór był pogodny i na ulicach było tyle osób, że ktoś na pewno by go rozpoznał. Z drugiej strony, to była niebezpieczna dzielnica i wkurzało go, że wysiada sama.
Zerknął na zegarek, gdy zniknęła za szlabanem robót drogowych. Spędzili razem już kilka godzin, a nadal jej nie powiedział, co się dzisiaj stało. Chciał mieć to już za sobą, ale doskonale wiedział, jak zareaguje.
Bębnił palcami w kolano, wpatrzony w róg, za którym zniknęła. Zdawał sobie sprawę, że jest dobra. Że umie sama o siebie zadbać. W kieszeni kurtki miała pewnie tego swojego glocka. Ale i tak czuł się jak ostatni frajer, kiedy siedział w wozie, podczas gdy ona była zdana tylko na siebie.
Mijały kolejne minuty, aż w końcu nie mógł tego dłużej wytrzymać. Zerknął na tylne siedzenie w poszukiwaniu czapki baseballowej czy czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za przebranie. Znalazł tylko fioletowe okulary przeciwsłoneczne. Olać to. Wysiadł.
Właśnie wtedy wyłoniła się zza rogu. Wrócił do auta, ale oczywiście zdążyła go zauważyć.
– Skurcz – mruknął, gdy wsiadała.
Przewróciła oczami i odpaliła silnik.
– Wygląda na to, że Wylie wyleczył sobie kręgosłup. – Podała mu komórkę.
Włączył zdjęcia i zobaczył lombard koło meksykańskiej knajpy. Wychodził z niego Hill, taszcząc mniej więcej czterdziestocalowy telewizor. Udało jej się wszystko uchwycić mimo mdłego światła. To, jak balansował ciałem, żeby utrzymać ciężki sprzęt. Jak oparł telewizor o zderzak, otwierając bagażnik. I przede wszystkim, jak umieścił w nim telewizor – bez specjalnego wysiłku.
– Właściciel lombardu przytrzymał mu drzwi – powiedziała. – Słyszałam ich rozmowę. Wylie rozpuścił wieści, że szuka nowego telewizora, i właściciel dał mu znać, że w przypadku tego egzemplarza minął termin wykupu.
– I wszystko jasne.
– Tak. – Wcale nie wydawała się zadowolona. – Miałam nadzieję, że to jeszcze trochę potrwa.
– Taka jest cena za to, że jesteś dobra w tym, co robisz. – Odłożył jej komórkę. – Byłoby ciekawiej,

gdybyś musiała go zastrzelić.

– Życie bywa okrutne.

Kiedy dojechali do mieszkania Hilla, zrobiła kolejne zdjęcia – jak wyładowywał telewizor. Lada chwila Keith zaczynał pracę, ale Coop najpierw kazał jej pojechać do Taco Bell. Zamówił sobie burritos, a Piper pochłonęła ogromny stek. Mimo otwartych okien samochód przepełniał zapach chili, kolendry i pożądania.

Od początku stawiała sprawę jasno. Uprzedziła go, że wykorzystuje facetów do łóżka, ale nie wyglądała na femme fatale, nie z tymi jagodowymi oczami, które przenikały go na wskroś. Jego opory co do seksu z pracownicą wygodnie znikły. Piper to nie zwyczajna pracownica. Przez większość czasu miał wrażenie, że to on pracuje u niej.

Starła odrobinę sosu z brody.

– Tak Duke sobie wyobrażał wyjście do restauracji. Taco Bell i piwo. Polubiłbyś go.

Wątpliwe. Nadopiekuńczość wobec córki z takim charakterem i jednocześnie ciągłe traktowanie jej jak faceta? Duke Dove dał ciała na całej linii. Coop wrzucił puste opakowanie do torby.

– No nie wiem. Różniłyby nas sympatie sportowe.

Łypnęła na niego spod oka.

– Bears to drużyna dla prawdziwych facetów. To prawdziwi dranie, w przeciwieństwie do was, przystojniaków z przedmieść.

– Statystyki oczywiście się nie liczą.

– Opinie Duke'a nie zawsze znajdowały odzwierciedlenie w faktach.

– Twoje też nie. Przysięgam, że jeśli jeszcze raz zobaczę cię w koszulce Bearsów, zedrę ją z ciebie.

Te słowa zawisły w powietrzu. Nie mógł tego dłużej wytrzymać, pochylił się w jej stronę. Wtuliła się w niego, ale tylko na chwilę.

– Uważaj, bo cię skuję.

Ależ z niej łobuz. Uparty, seksowny, zawzięty, zabawny mały łobuz.

Usiłowała go namówić do powrotu do domu, ale nie chciał o tym słyszeć i w końcu dała za wygraną.

– Bar jest niedaleko Bridgeport – powiedziała, gdy jechali Halstead na południe. – Nad samym Bulgotem.

– Bulgotem?

– Mieszkasz w Chicago tyle czasu i nie słyszałeś o Bulgocie?

– Wiesz, byłem trochę zajęty.

– To południowa odnoga rzeki Chicago, ale nikt tak na nią nie mówi. Sto lat temu wszystkie masarnie i rzeźnie w Union Stock Yards spuszczały odpady do tej rzeczki. Pisałam o tym referat w college'u. – Urwała i spojrzała na niego z ukosa. – Referaty są ważne dla tych z nas, którzy w college'u musieli się czegoś uczyć.

– Coś takiego – odparł przeciągle, jak kowboj z Oklahomy. – No tak, ja nie mam o tym pojęcia, bo godzinami włóczyłem się po mieście czerwonym kabrioletem, który dostałem za osiągnięcia sportowe.

Zmiażdżyła go wzrokiem, co było tak słodkie, że gdyby była inną kobietą, pocałowałby ją w nos.

– Więc co z tym Bulgotem? – zapytał.

– Pracownicy rzeźni wrzucali do rzeki wszystkie odpadki – wnętrzności, krew, sierść, wszystkie możliwe paskudztwa, a także rozmaite chemikalia. Po pewnym czasie rzeka zaczęła dosłownie bulgotać wskutek zachodzących procesów, i stąd nazwa. Czasami kożuch był tak gruby, że można było po nim chodzić. Rząd zainwestował grube miliony w oczyszczanie i rewitalizację, ale w gorące dni do dzisiaj zdarza mu się zabulgotać.

– Matka natura powoli odpuszcza nam grzechy.

– Kobiety już takie są. – Wjechała na obskurny parking przed przysadzistym budynkiem z logo znanego piwa nad wejściem. – Keith najwyraźniej podupadł – mruknęła.

Chciał już mieć to za sobą.

– Powinnaś o czymś wiedzieć, zanim tam wejdziemy. Dzisiaj byłem w klubie, uzupełniałem robotę papierkową i w tym czasie ktoś przeciął mi opony.

– Co?!

Wiedział, że się wścieknie.

– Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś?

Bo za żadne skarby świata nie chciał przyznać jej racji, że te zdarzenia to nie przypadek. A jeszcze bardziej zirytowało go, że ktoś grał mu na nosie.

– Może to zbieg okoliczności – mruknął.

– No nie, tylko znowu z tym nie zaczynaj.

Zasypała go pytaniami, dokładnie tak, jak się spodziewał. Kiedy do tego doszło? Kto był świadkiem? Czy w zaułku był ktoś jeszcze?

Powiedział jej wszystko, co wiedział. Tony i ekipa sprzątająca byli w środku. Nikt niczego nie widział. Nie zgłosił zajścia na policję.

Zacisnęła usta, jak to ona.

– Zobaczmy, co ma do powiedzenia twój kumpel Keith.

Tabliczka przy drzwiach uprzedzała, że w lokalu może być broń palna. Zakładał, że to nie żart.

Knajpa śmierdziała stęchłym piwem i dymem papierosowym chyba jeszcze z lat osiemdziesiątych. Długi bar, kwadratowe stoliki, żółte linoleum, na ścianach obrazki bez ładu i składu i Bee Gees śpiewający z szafy grającej – to wszystko miało tworzyć wątpliwej jakości atmosferę.

Żaden ze stałych bywalców nawet nie podniósł głowy, kiedy weszli. Keith stał za barem, tyłem do drzwi. Piper usiadła przy barze i wtedy odwrócił się i ich zobaczył. Znieruchomiał ze ścierką w dłoni.

Piper, jak się okazało, wiedziała, jak się zachować w spelunie.

– Dwa pabsty.

Coop nie pił tego piwa od czternastego roku życia, ale w takich lokalach raczej nie zamawiasz whisky Single Malt.

Keith podał im piwa. Przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Lekko unosił lewe ramię, jak zawsze, gdy chciał sprawiać wrażenie twardziela. Jak wtedy, gdy Coop wywalał go z pracy.

– Co, chcesz kopać leżącego? – Postawił szklanki tak energicznie, że piwo rozlało się na kontuar.

– Sam się skopałeś, bracie. – Coop nadal nie pogodził się z ciosem w plecy.

– Kiedy tylko zbiorę odpowiednią gotówkę, kupię tę budę – zapewnił Keith bojowo. – Stanę na własnych nogach.

– Powodzenia.

Keith przetarł kontuar wilgotną ścierką.

– Dawniej chciałbyś mi pomóc.

– Cóż, ten pociąg już odjechał.

Keith nigdy nie umiał zachować kamiennej twarzy. Spochmurniał. Spojrzał na Piper.

– Co ona tu robi?

– Jestem jego nową dziewczyną – odparła. – Gust mu się poprawia.

Biorąc pod uwagę sławy, z którymi dawniej się spotykał, nie do końca. Z drugiej strony – jak najbardziej.

Keith nie zwracał na nią uwagi. Patrzył na Coopa.

– Wiesz, czego mi brakuje?

– Czego?

– Wspólnego przesiadywania w knajpie i drinków. Tego.

Coop wzruszył ramionami.

– Żeby było jasne – mruknął Keith. – To był pomysł Taylor. Głupia suka. Zostawiła mnie, gdy tylko

wziąłem tę robotę.

Coop upił łyk piwa.

– Wystarczyło powiedzieć „nie”.

Keith roześmiał się gorzko.

– Z nas dwóch to ty zawsze miałeś charakter, zapomniałeś już? A ja zawsze wszystko psułem.

Piper odstawiła szklankę.

– No dobra, Keith, skoro tak cię gryzą wyrzuty sumienia… W zeszłym tygodniu ktoś napadł twojego kumpla.

Wydawał się autentycznie przejęty. Znowu zignorował Piper, wpatrzony w Coopa.

– To prawda?

Cooper tylko skinął głową.

Keith wzruszył ramionami.

– I myślisz, że to ja?

Coop się zamyślił.

– Nie sądzę.

– Ale ja jestem bardziej podejrzliwa – wtrąciła Piper. – Słyszałam, że chciałeś się bić z Coopem, kiedy cię zwolnił, więc nie wykluczam, że to twoja sprawka.

Keith poczerwieniał ze złości.

– Zrobiłem w życiu wiele świństw, ale do czegoś takiego nigdy się nie posunąłem.

Piper wkroczyła do akcji i wypytywała go szczegółowo, co robił poprzedniego wieczoru. Jak się okazało, pracował. Za to po południu spał, czyli nie miał alibi. Coop już go nie słuchał. Nieważne, co Keith miał jeszcze na sumieniu, to nie był on.

Piper dalej dręczyła Keitha, a Coop sączył piwo i dumał o nieznanych wrogach. Nie podobało mu się to ani trochę. Wolał mieć przeciwników pod nosem, w zasięgu wzroku.

Coop nie przepadał za piłką nożną, ale Deidre Joss zaprosiła go na stadion Toyota Park na mecz Chicago Fire z DC United i nie chciał jej odmawiać. Podobało mu się w niej wszystko, od charakteru po reputację. Wściekało tylko jedno – że jeszcze nie podjęła decyzji.

Zerknął na Piper. Wyglądała zarazem słodko i seksownie w luźnym pomarańczowym swetrze i dżinsach, wyjątkowo jak na nią dopasowanych. Burza ciemnych włosów okalała twarz całkiem pozbawioną makijażu. Piper to najmniej wymagająca kobieta, z jaką kiedykolwiek był. Ich związek układał się lepiej, niż przypuszczał.

Zaprosił ją poprzedniego wieczoru, zaraz po tym, jak wrócili po konfrontacji z Keithem. Początkowo odmówiła, co było do przewidzenia – przecież wcale nie są razem, a takie wyjście podejrzanie przypomina randkę – ale potem nagle zmieniła zdanie. Wiedział dlaczego. Chciała mieć go na oku. Strasznie irytujące i wcale niepotrzebne. Mało brakowało, a odrzuciłby zaproszenie, lecz w końcu tego nie zrobił. Doceniał wytrwałość, choćby w złej sprawie.

Kiedy po nią przyjechał, miała bardzo złe wieści. W sieci pojawiła się fala zażaleń na klub. Skargi dotyczyły różnych spraw, od opryskliwych kelnerów po brudne szklanki i kiepską muzykę – przy czym nic z tego nie było prawdą. Jej zdaniem to było działanie trolli i zabrała się za usuwanie fałszywych postów, ale uprzedziła go, że to trochę potrwa.

Był wściekły. Nie pomogły nawet jej zapewnienia, że ma wieloletnie doświadczenie w takich sprawach. Nie rozumiała. Nie mogła. Zaczynał nowe życie i klęska nie wchodziła w grę.

Deidre odłączyła się od grupki osób, z którymi rozmawiała, i odnalazła jego wzrok. Miał nadzieję, że nic nie wie o złych recenzjach. Podszedł do niej z wymuszonym uśmiechem.

Piper spoglądała na boisko przez ogromne panoramiczne okna loży Deidre Joss, ale właściwie nie widziała zagrywek piłkarzy; jej uwagę pochłaniały kawałki łamigłówki, których nijak nie mogła do siebie dopasować. Nie pojmowała tego. Napad, dron, przecięcie opon – to wszystko wymagało działania, natomiast kłamliwe opinie w Internecie i telefon do służb migracyjnych to raczej zwykłe złośliwości, kopanie dołków. Co jedno ma z drugim wspólnego?

Za jej plecami Deidre śmiała się z czegoś, co powiedział Coop. Wyglądali, jakby byli dla siebie stworzeni. Deidre, wysoka i smukła jak baletnica, i Coop, męski, pewny siebie. Ludzie sukcesu, swobodni wśród luksusów, które im dała ciężka praca. Coop wyraźnie zrobił na Deidre spore wrażenie, nie okazywała tego jednak ostentacyjnie.

– Jak mecz? – Za jej plecami stanął Noah Parks.

Cały czas obserwowała, jak opiekuje się Deidre. Nie przytłaczał jej, ale ilekroć rozglądała się za drinkiem, był u jej boku ze szklanką. Jeśli wydawało się, że nudziła ją rozmowa, odciągał jej uwagę. Piper dałaby dużo za takiego Noaha Parksa w swoim życiu.

– To nie to samo co rozgrywki Bearsów, ale jest fajnie – odparła. Na boisku napastnik Fire podbiegał do bramki przeciwnika. – Są naprawdę nieźli.

– Deidre ma też loże na Soldier Field i na Midwest Sports Complex.

Tam, gdzie grają Starsi.

– Lóż nigdy nie za dużo.

Roześmiał się.

– Załatwia tam interesy. – Patrzył w dół, na boisko. – Zadziwiające, że jesteś z Coopem tak blisko, zważywszy, od czego zaczęła się wasza znajomość.

Wyraźnie szukał informacji, ale od niej niczego się nie dowie.

– Coop się nudzi, a ja jestem jak powiew świeżości.

Fire zdobyli pierwszego gola. Skorzystała z pretekstu, żeby iść do bufetu po hot doga.

Wszyscy w loży chcieli porozmawiać z Coopem. Podszedł do niej dopiero w drugiej połowie.

– Właśnie się dowiedziałem, że to Deidre Joss kazała ci mnie obserwować.

Wyprostowała się.

– Skąd ten pomysł?

– Sama mi powiedziała.

– Tak? – Podniosła głos i kilka osób odwróciło się w ich stronę, ale Piper nie zwracała na to uwagi. Była oburzona. Najpierw Deidre Joss każe jej przysiąc, że dochowa sekretu, a teraz tak po prostu zdradza tajemnicę?

Dobrze, że akurat w tej chwili poczuła wibrowanie komórki. Wyjęła ją z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz. Czego Tony od niej chce?

– Coop wyłączył swój telefon – zaczął. – Jest z tobą?

– Tak. Chcesz z nim pogadać?

– Nie. Powiedz mu, że mamy problem. I że musi tu natychmiast przyjechać.

W kuchni roiło się od karaluchów. Coop w życiu nie widział tylu naraz. Kiedy zapalił światło, robale rozpierzchły się na wszystkie strony. Uwijały się po podłodze, biegały po blatach, po okapie. Blady jak ściana Tony czekał w holu przy drzwiach.

– Ekipa dezynsekcyjna już jedzie. Musimy zamknąć klub na co najmniej tydzień.

Jego Lara Croft zerknęła tylko na karaluchową apokalipsę i też uciekła do korytarza.

– Już mnie tu nie ma. – Spojrzała na Coopa przez ramię. – Jeśli choć jeden dotrze do mnie na górę, już po tobie.

Kilka godzin później Coop wpadł do jej mieszkania. Siedziała na kanapie, schylona nad laptopem. Ekipa dezynsekcyjna już zabrała się do pracy, ale Tony miał rację. Minie co najmniej tydzień, zanim ponownie otworzą klub. O siedem dni za późno.

– Trzeba się było rozebrać, zanim tu wszedłeś – mruknęła.

Szedł przez pokój.

– Niezła z ciebie ochrona.

– Nie chronię ciebie, zapomniałeś już? Robiłam to, co do mnie należało.

– Uciekłaś przed robalami?

Wzdrygnęła się.

– Cóż, nie jestem z siebie dumna.

I znowu to samo. Nie broniła się nigdy, gdy w grę wchodziło coś, co uważała za swoją słabość.

– Poszperałam tu i ówdzie – zaczęła, gdy przechadzał się nerwowo. – W Internecie można kupić karaluchy hurtowo, setkami. Wiedziałeś, że ich zamrożone głowy przeżyją? Co prawda tylko kilka godzin, ale mimo wszystko…

– Nie, nie wiedziałem i wcale się nie cieszę, że wiem.

– Jutro posprawdzam handlarzy, choć nie sądzę, żeby udało mi się ustalić, kto je zamówił. Można je kupić nawet na Amazonie.

Jednak ani Coop, ani ona nie zawracali sobie głowy Amazonem.

– Skoro nie Keith, oboje wiemy, kto jest następny na liście – powiedziała.

Nie pytał. Wiedział, kogo miała na myśli.

Zamknęła laptop, przez chwilę wpatrywała się w klapę, potem przetarła oczy.

– Jest w Miami.

Rozdział 16

South Beach to całodobowy karnawał rozkołysanych palm, latynoskiego rocka, pastelowych domków w stylu art déco i zgrabnych długowłosych kobiet spacerujących wzdłuż Ocean Drive. W ich uszach kołysały się okrągłe kolczyki wielkości bransoletek, przez białe szorty przebijały majteczki od kolorowych bikini. Piper i Coop zameldowali się w hotelu Setai przy Collins Avenue, który przepychem wabił najbogatszych. Coop zarezerwował tam apartament za taką cenę za noc, że kupiłaby sobie nowe opony i jeszcze laptop.

Książę Aamuzhir trzy dni wcześniej wyruszył z Londynu do Miami, gdzie już czekał ogromny jacht. Piper chciała się z nim spotkać sama, ale Coop zaprotestował. Tłumaczył, że bez niego nie dostanie się przed oblicze księcia. Usiłowała wybić mu to z głowy, on jednak nigdy nie chował się przed wrogami, zresztą Piper nie walczyła ze szczególnym przekonaniem.

Coop bez problemu zdobył zaproszenie na jacht i tym sposobem dokładnie miesiąc po tym, jak ją zdemaskował, gdy śledziła go w klubie, znaleźli się w jego dawnym mieście. Wszyscy – od pracowników lotniska po sprzedawców z ciężarówek z jedzeniem – witali go jak powracającego bohatera. Piper, która trzymała się z boku, ze zdumieniem stwierdziła, że jakaś jej cząstka chciałaby oznajmić całemu światu, że to jej kochanek.

Coop właśnie trenował w hotelowej siłowni, a ona podziwiała ocean za przeszkloną ścianą. Przebrała się w ciuchy, które kupiła podczas szybkiego wypadu na miasto. Umówili się na kolację z jego kolegami z dawnej drużyny, choć usiłowała się od tego wykręcić.

– Przecież jutro na jachcie będę tylko udawała twoją dziewczynę – przypomniała mu. – Dzisiaj będziesz z kumplami. Nie potrzebujesz fałszywki.

Nie wiadomo dlaczego, to działało mu na nerwy.

– Nie udajesz mojej dziewczyny. Sypiamy ze sobą.

– Techniczny drobiazg.

– Idziesz ze mną – zdecydował.

Wyszła z luksusowej łazienki w tej samej chwili, gdy Coop wrócił z siłowni. Wyrzuty sumienia znowu nie dawały jej spokoju. Gdyby go nie namówiła na pomoc Faizie, nie miałby teraz problemów.

Zatrzymał się w drzwiach i chłonął ją wzrokiem.

– Skąd to masz, do cholery?

Spojrzała w dół na króciutką różową sukienkę.

– A co, nie podoba ci się?

Cieniutkie ramiączka były na miejscu. Na jej nadgarstku brzęczały srebrne bransoletki. Umalowała się i zmieniła adidasy na delikatne sandałki. Ba, okiełznała nawet włosy resztką żelu ze starej tubki. I co z tego, że kupiła tę sukienkę w H&M, a nie w jednym z jego ulubionych idiotycznie drogich butików?

– Bardzo mi się podoba. – Obszedł ją dookoła. – I dlatego wiem, że świat się kończy. Wyglądasz jak

kobieta.

Był w świetnym humorze jak na kogoś, kto ma się spotkać z potężnym księciem, który prawdopodobnie już wiedział, że został oszukany.

– Kto jak kto, ale akurat ty powinieneś wiedzieć, że jestem kobietą.

– Nie w ubraniu. Przynajmniej przez większość czasu.

Była pełna podziwu dla jego spostrzegawczości.

– Umiem się ubrać, tak samo jak umiem gotować. Po prostu tego nie robię.

– Dzięki, Duke'u Dove.

– O co ci znowu chodzi?

– Tak z ciekawości: powiedział ci choć raz, że jesteś ładna?

– Ale po co? – Nie podobało jej się, że patrzył na nią, jakby dostrzegał coś, co jej umykało. – Muszę wyglądać tak, żeby jakoś usprawiedliwić nasz romans. Wiem, to naciągane, ale…

– Nie tak bardzo naciągane.

Ta rozmowa działała jej na nerwy.

– To ciuchy służbowe, mam na wszystko rachunki, więc oddam ci je po pracy. Tylko sandałki są moje. I bransoletki, dostałam je od byłego chłopaka, który w ogóle mnie nie znał.

– To widać. – Pociągnął nosem, jakby poczuł przykry zapach. – Perfumy?

– Próbka z czasopisma.

– I niech zostanie w gazecie. Cudownie pachniesz i bez tego.

On też. Nawet po treningu. Męski pot na czystym ciele. Najchętniej w tej chwili ściągnęłaby z niego koszulkę i zaciągnęła do łóżka.

Zamyślił się.

– Skoro to moja sukienka, w każdej chwili mogę ją z ciebie zedrzeć, prawda?

– Chyba tak. Chociaż wolałabym, żebyś poczekał, aż będzie po wszystkim.

– Trudna sprawa.

Spojrzała na niego znacząco.

– Właśnie widzę.

Uśmiechnął się, ale wyrzuty sumienia psuły jej humor. Powinna była pomóc Faizie sama, nie wciągając go w to.

Znowu się zirytował.

– Przestań, Piper. Nie zmusiłaś mnie do niczego, sam podjąłem decyzję.

– Wiem – odparła trochę za ostro.

Uniósł brew. Czytał w jej myślach jak nikt.

Podniosła jego komórkę.

– Kiedy cię nie było, dzwonił pracownik księcia. Jutro transfer zabierze nas na jacht.

Ściągnął koszulkę.

– Nie ma mowy. Nie chcę, żeby ten dupek decydował, kiedy wchodzimy na pokład i z niego schodzimy.

– Ja też nie. Dlatego zamówiłam osobny transfer.

– Bardzo słusznie.

Podniósł ją, aż jej stopy w sandałkach zawisły nad jego adidasami. Długim, głębokim pocałunkiem zepsuł jej makijaż. Różowa sukienka wkrótce znalazła się na podłodze. Coop chciał zaciągnąć ją pod prysznic, ale pchnęła go w stronę łóżka.

Kochali się… nie, nie kochali się. I chociaż nie miała żadnych oporów, jeśli chodzi o wulgaryzmy, to nie było również pieprzenie się. Oni… uprawiali seks, mnóstwo seksu, w łożu z widokiem na ocean, aż wydawało się, że unoszą się nad wodą. Chciała spać nago. Coop chyba też, bo musiała wykopać go z łóżka.

Nawet jeśli jego kumpli z drużyny zaskoczyło, że przyszedł z kobietą, która nigdy nie gościła na

wielkim ekranie, nie okazali tego. Przedstawił ją uczciwie jako prywatną detektyw, którą zatrudnił, żeby sprawdziła pracownika klubu.

To była rozrywkowa grupa. Dobrze się czuła wśród takich mężczyzn. Kobiety, wyraźnie nią zaintrygowane, często wciągały ją w rozmowę. Większość z nich miała dzieci, którymi – jak to matki – chciały się pochwalić. Piper z przyjemnością oglądała fotografie dzieciaków na ekranach telefonów, zarazem jednak cieszyła się, że sama nie ma czego pokazywać. Kiedy rozdawano instynkt macierzyński, chyba siedziała w barze.

Coop co chwila ją dotykał albo obejmował. A jej bardzo się to podobało. Za bardzo. Zastanawiała się, czy kiedy romans się wypali, będą jednak mogli zostać przyjaciółmi. Mogliby co jakiś czas razem wyskoczyć do meksykańskiej knajpy albo na mecz. Wiedziała, że będzie jej brakowało najlepszego seksu w życiu, ale może jeszcze bardziej zatęskni za najlepszym przyjacielem?

Zbyt deprymujące, by o tym myśleć.

Motorówka, którą zamówiła, zjawiła się następnego dnia po południu i zawiozła ich na jacht księcia. Cztery pokłady, lądowisko dla helikopterów, kadłub czarny jak maska Dartha Vadera – krótko mówiąc, prawdziwa morska forteca. Im byli bliżej, tym bardziej się denerwowała. Coop natomiast zachowywał stoicki spokój.

– Nie darowałbym sobie, gdybym stracił taką okazję – powiedział tylko.

Steward imieniem Malik powitał ich kawą pachnącą kardamonem i daktylami.

– Zaprowadzę państwa do kajuty. Tam, jeśli państwo sobie życzą, mogą się państwo przebrać w stroje kąpielowe. Jego Wysokość wkrótce dotrze na pokład.

Zanim dotarli do przydzielonej im kajuty na drugim pokładzie, Malik wyjaśnił, jak dojść na basen, do kina i do siłowni, w której, jak zapewniał, znajdą sportowe ubrania i buty we wszystkich rozmiarach. W salonie zwrócił ich uwagę na imponujące schody prowadzące do sypialni gospodarza na najwyższym pokładzie. Wspomniał także o salonie fryzjerskim, saunie i salonie masażu.

W ich kajucie o wielkich oknach wychodzących na ocean było więcej złota niż w niejednej katedrze.

– Nawet ciebie nie stać na taki jacht – stwierdziła Piper z nieskrywaną radością. I po chwili dodała: – Prawda?

– Nie wiem. – Rozejrzał się z niesmakiem. – Na kilka dni ujdzie, ale na stałe wolę czuć ziemię pod nogami.

– I kto to mówi.

Chwile w sypialni przerodziły się w cudowną orgię świństewek. Musnął wierzchem dłoni jej pierś.

Przebrała się w kostium, owinęła chustą w paski, którą wyjęła z torby z ubraniami. Wodził wzrokiem od odsłoniętych części jej ciała do żółtej plażowej torby, której nie spuszczała z oczu.

– Co tam masz? – zapytał.

– Najnowszy numer „Cosmopolitan” i zalotkę do rzęs. A co myślałeś?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Żebyś nie szarżowała.

– Martw się o siebie.

– Gdyby to było takie łatwe – mruknął.

Poszli na basen. Baldachimy z białego płótna osłaniały leżaki i sofy przed promieniami słońca. Na półmiskach czekały owoce, sery, grzanki, prażone orzechy i egzotyczne sosy. Świetnie wyposażony bar kusił alkoholami, zakazanymi na Bliskim Wschodzie. Malik zapytał, czego się napiją. Coop wybrał piwo, Piper – mrożoną herbatę.

Coop był obrzydliwie przystojny w ciemnozielonych kąpielówkach, przy których jego oczy stawały się złote jak pirackie dublony. Szedł w stronę basenu. Rzucił na leżak koszulkę, odsłaniając klatkę piersiową,

którą uwielbiała nie tylko ze względu na mięśnie, ale i włosy – niedużo, tyle, żeby wyglądał jak prawdziwy facet, a nie model lśniący od oliwki.

Patrzyła na niego z zazdrością, gdy niezbyt zgrabnie skoczył z trampoliny. Jej nowy czarny kostium, teoretycznie jednoczęściowy, miał dwa ukośne rozcięcia, jedno poniżej stanika, drugie nisko na plecach, więc skok do basenu wydawał się zbyt ryzykowny. Wolałaby bardziej praktyczny strój, ale uznała, że dziewczyna Coopa nie powinna zawracać sobie głowy praktycznością. Bo przecież podawała się za dziewczynę Coopa. Jedną z dziewczyn Coopa.

Coop wyszedł z basenu, strumyki wody spływały po jego napiętych muskułach. Miała ochotę je zlizać. Zamiast tego przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i skrzywiła się lekko.

– Phi. Najwyżej średni ten skok.

– Ciekawe, czy ciebie stać na więcej.

Tak już było między nimi. Wyzwanie i rywalizacja. Żadne nie chciało ustąpić ani o krok.

Nad ich głowami warczał helikopter. Po chwili czarny airbus usiadł na lądowisku na pokładzie.

Książę dołączył do nich pół godziny później. Towarzyszyły mu trzy bardzo młode piękności w mikroskopijnych bikini. Rozsiadły się na kanapach po drugiej stronie basenu. Nie rozmawiały ani z księciem, ani między sobą.

Widziała zdjęcia księcia, ale farbowane czarne włosy i dziwaczny wąsik sprawiały, że w rzeczywistości wydawał się jeszcze mniej atrakcyjny. Kiczowate złote logo zdobiło kieszeń białej sportowej koszuli, z nogawek granatowych szortów wystawały chudziutkie nóżki. Nawet z odległości kilku metrów czuła duszący zapach jego wody kolońskiej.

Serdecznie przywitał się z Coopem, co oznaczało, że albo ciągle się nie zorientował, że ten dał mu podróbkę, albo po prostu był bardzo dobrym aktorem. Coop trochę za mocno poklepał go po plecach, ale zaraz złagodził cios promiennym uśmiechem i akcentem rodem z Oklahomy.

– Fajnie widzieć Waszą Wysokość. Niezła łajba, nie ma co.

Książę przyglądał mu się przez dziwaczne okulary, barwione w górnej części, przezroczyste w dolnej.

– Jak widzisz, już nie taka nowa.

– Jak na moje oko, w znakomitym stanie.

– Nie udało ci się zabrać przyjaciół?

– Niestety. Robillardowi urodziło się kolejne dziecko, a Tucker wyjechał gdzieś z żoną. – Pogarda w jego głosie jasno wskazywała, co sądzi o facecie, który przedkłada żonę nad samego siebie.

– No cóż, trudno – skwitował książę i zachichotał. – Powiedz lepiej, mój drogi, jak się sprawdza mój upominek? Taki słodki, jak na to liczyłeś?

Chwilę trwało, zanim Coop zrozumiał, co Jego Wysokość miał na myśli. Zacisnął usta w wąską kreskę. Piper wkroczyła do akcji, zanim eksplodował.

– Wasza Wysokość – szepnęła. – To dla mnie wielki zaszczyt.

Chwyciła skraj pasiastego sarongu i dygnęła, co rozbawiłoby Coopa do łez, gdyby nie był tak wściekły.

Książę zwrócił się do niej z taką wyższością, jakby uważał, że zasługuje na wszelkie wyrazy uwielbienia.

– Szanowna pani – rzekł z chłodną uprzejmością możnego tego świata. – Mam nadzieję, że mój jacht pani odpowiada.

– O tak, jest wspaniały.

Wrócił spojrzeniem do Coopa i od razu zapomniał o jej istnieniu.

– Usiądźmy, Coop. Ostatnim razem nie mieliśmy dość czasu. Pamiętasz mecz z Titans, kiedy zepsułeś piękne podanie? Obejrzałem nagranie i wiem, gdzie popełniłeś błąd.

Piper najchętniej urwałaby mu głowę, ale wzięła się w garść i posłusznie podeszła do dziewcząt.

Same nogi i piersi, smukłe, doskonałe, nie potrzebowały grubych warstw makijażu, biżuterii i

manikiuru, za sprawą którego ich dłonie były równie bezużyteczne, jak krępowane stopy Chinek w dawnych czasach. Nie chciało im się rozmawiać ze sobą, ale odpowiadały na pytania Piper.

Dwie pochodziły z Miami, trzecia z Portoryko. Jedna niedawno zrobiła maturę, druga zaczęła studia, trzecia rzuciła college po pierwszym roku. Poznały się trzy dni temu, kiedy pracownicy księcia wypatrzyli je na plaży i zaprosili na jacht na tydzień, proponując tysiąc dolarów za dzień. Wszystkie trzy zerkały ciekawie na Coopa. Widziała, że intryguje je, jakim cudem kobieta tak mało doskonała zdobyła tak doskonałego faceta.

– Oboje lubimy sport – wyjaśniła, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Ja też – mruknęła tęsknie dziewczyna imieniem Cierra.

– Myślałam, że prawdziwy książę będzie bardziej ekscytujący – zauważyła piękność z Portoryko. – A on jest właściwie nudny.

– Bez pornosa mu nie staje – szepnęła jedyna brunetka, absolwentka liceum.

Piper nie chciała wiedzieć więcej o życiu erotycznym odrażającego księcia. Postanowiła wybadać teren.

– Coop go chyba lubi – skłamała. – Dał mu nawet swój pierścień Super Bowl.

Maturzystka komicznie przewróciła oczami.

– Wiemy. Ciągle się tym chwali.

– Tak? – Czyli jeszcze nie wie, że to fałszywka. Piper udała, że poprawia okulary. – Ale nie ma go na palcu. Pewnie za ciężki.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ma małe dłonie.

– Wszystko ma małe – dorzuciła druga blondynka.

Roześmiały się, zblazowane jak doświadczone kurtyzany.

– Wczoraj w nocy włożył mi go na duży palec u nogi – oznajmiła Cierra.

– Pewnie pasował lepiej niż na jego chude paluszki – mruknęła brunetka.

– Powiedział, że da go do zmniejszenia. – Cierra ziewnęła. – Jakby mnie to cokolwiek obchodziło.

Piper udała, że poprawia ramiączka kostiumu. Więc książę nie wie, że to fałszywka. Ale każdy jubiler się zorientuje i przekaże mu złe wieści.

Dziewczęta umilkły. Piper usiłowała dojść do ładu ze swoimi myślami. Skoro Aazmuhir sądzi, że ma oryginalny pierścień, nie on nęka Coopa. Ale fałszywka to bomba z opóźnionym zapłonem. Coop powinien był rozegrać to inaczej. Ale nie, on uważa, że jest niepokonany.

Wstała z szezlonga. Owinęła się chustą, która służyła jej jako pareo, i podeszła do mężczyzn. Z autentyczną przyjemnością przerwała wykład księcia o tym, jak często rozgrywający popełnia błąd, mierząc wzrokiem rozgrywającego przeciwnej drużyny. Była pewna, że Coop oduczył się tego jeszcze w szkole.

Miał nieprzeniknioną minę. Powiedzmy. Lekko dotknęła jego ramienia.

– Idę poćwiczyć na siłowni. Do zobaczenia.

Odprowadzał ją podejrzliwym spojrzeniem, ale siedząc za stołem, nie mógł tak po prostu za nią pobiec.

Ledwie znikła mu z oczu, minęła siłownię i weszła na schody. Po chwili natknęła się na członka załogi. Uśmiechnęła się, udając zaintrygowaną pasażerkę.

– Ależ panu zazdroszczę tej pracy. Cudownie tu jest.

– Tak, proszę pani.

– Naprawdę macie tu klub? Na pokładzie? Super. Chciałabym go zobaczyć.

– Na trzecim pokładzie. Zaprowadzę panią do windy.

– Spokojnie, sama trafię. Najpierw chciałabym obejrzeć salon. Kto wie, kiedy znowu znajdę się na takim jachcie?

– Jak pani sobie życzy. – Wskazał sterburtę.

W salonie inny członek załogi odkurzał największy perski dywan, jaki w życiu widziała, więc nie miała szans zakraść się do sypialni księcia na najwyższym pokładzie. Mężczyzna wyłączył odkurzacz i uprzejmie potakiwał, gdy paplała, że jacht jest cudowny i że na pewno był bardzo drogi. W końcu wsiadła do windy. Nie było przycisku na najwyższy pokład, więc wybrała trójkę.

Po chwili była w trójkątnym pomieszczeniu z małym parkietem do tańca, dyskotekową kulą i widokiem na ocean. Drzwi przy barze prowadziły na długi korytarz, gdzie znalazła boczne drzwi na klatkę schodową.

Ledwie postawiła stopę na stopniu, usłyszała kroki poniżej. Najciszej, jak umiała, pobiegła na górę i znalazła się w pustym na szczęście korytarzu na najwyższym pokładzie.

Jedyne drzwi prowadziły do małej kuchni. Minęła ją i weszła do jadalni, za którą był pokój z wielkim telewizorem. Usłyszała kroki za sobą, więc skręciła w pierwsze lepsze drzwi i znalazła się w sypialni księcia.

Rządził w niej komiczny wręcz przepych, ale na widok lustra nad łóżkiem odechciało jej się śmiać. Głosy za jej plecami były coraz bliżej. Nie rozumiała ani słowa. Rzuciła się w stronę, jak miała nadzieję, garderoby.

Okazało się, że to płytka szafa na buty. Wcisnęła się w wąską przestrzeń między półkami a drzwiami. Otaczała ją gęsta, klaustrofobiczna ciemność przesycona zapachem piżma, skóry i dziwnej mdlącej słodyczy.

Głosy były już w sypialni. Krawędzie półek wbijały jej się w plecy. Jeśli uchylą drzwi, od razu ją zobaczą, a wtedy niewykluczone, że trafi martwa na dno oceanu.

Coop byłby bardzo zły.

Coop grzecznie podziękował za cygaro, którym częstował go książę. Gdzie jest Piper, do cholery? Nie na siłowni, to pewne. Jej treningi ograniczały się do kilku pompek i paru rundek po okolicy.

Cała ta wyprawa okazała się jednym wielkim marnowaniem czasu. Aamuzhir posunął się do tego, że przechwalał się, jaki to świetny ubił interes – oddał zwykłą służącą za pierścień Super Bowl. Być może miał na sumieniu inne świństwa, ale nie on nękał Coopa.

Jego Wysokość wyjął cygaro z inkrustowanego klejnotami puzderka na stole i wskazał trzy kobiety przy basenie, jakby stanowiły jego własność:

– Bierz, co chcesz, przyjacielu. Dla ciebie są pewnie za stare, ale bardzo sprawne.

Coop musiał wziąć się w garść. Dziewczyny miały najwyżej osiemnaście lat. Z wielką chęcią sprałby drania na kwaśne jabłko, ale musiał raz na zawsze wymazać go ze swojego życia, inaczej Piper nie da mu spokoju w sprawie pierścienia.

– Niestety, dobre czasy już się dla mnie kończą – powiedział. – Wkrótce się żenię.

– Ech, wy Amerykanie. – Aamuzhir uśmiechnął się z politowaniem. – Tacy prowincjonalni.

– Wasza Wysokość mówi zupełnie jak mój kumpel Pete. W życiu się nie ustatkuje. I nikomu tego nie życzy.

– Doskonale go rozumiem. – Książę wypuścił z ust kłąb dymu.

Coopowi zrobiło się żal jego żon.

– No, to niezły gość. Technicznie rzecz biorąc, najemnik.

– Najemnik? – Książę spojrzał na niego z nowym zainteresowaniem.

– Walczył w Afryce, na Bliskim Wschodzie, Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Zna się na materiałach wybuchowych. Im większy cel, tym większa frajda. – Pochylił się nad księciem. – Kiedyś podobno wysadził podobny jacht, gdzieś na Morzu Arabskim. – Zachichotał. – Warto mieć takich przyjaciół. Gdyby ktoś mi groził, Pete załatwi sprawę, zanim go o to poproszę. Wariat, ale lojalny jak rzadko.

Coop opowiadał dalej, wychwalając mordercze skłonności i podkreślając ślepą lojalność nieistniejącego kumpla. Aamuzhir nie był zbyt subtelny, więc Coop jechał po bandzie, chcąc, żeby książę przypomniał sobie tę rozmowę, gdy zorientuje się, że jego pierścień to tylko kopia. Kiedy Coop uznał, że dość już mu naopowiadał, odsunął krzesło i wstał.

– Wasza Wysokość wybaczy, sprawdzę, czy moja narzeczona się nie zgubiła.

Książę nie był zachwycony, że stracił jego zainteresowanie, ale Coop zrobił swoje i wszystko inne miał w nosie. Skinął głową wpatrzonym w niego kobietom na leżakach. W tej chwili zjawiła się Piper, zarumieniona i zdyszana. Nie podobało mu się to.

– Jesteś, skarbie! – Sięgnął po telefon i wysłał wiadomość do właściciela motorówki, która ich tu przywiozła. – Widzę, że świetnie się bawisz, ale wkrótce musimy wracać.

– Musimy? – Zawód w jej głosie zdradzał, że tak jak on miała już dość tego statku głupców.

– Mamy spotkanie z organizatorką ślubów, zapomniałaś? – rzucił.

Jej jedyną reakcją był błysk w oczach.

– A już myślałam, że uciekniemy potajemnie. Ale nie, upierasz się przy gołąbkach i kwiatkach.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Miał dość Aamuzhira do końca życia. Zaciągnął ją na basen, gdzie planowali czekać na transport.

Podczas przeprawy nie mogli rozmawiać swobodnie, a ledwie dobili do portu, Piper chciała uciec.

– Muszę się trochę poruszać. Przejdę się plażą. Zobaczymy się później.

Oderwała się od niego i odeszła energicznie, aż sukienka zawirowała wokół jej nóg.

Złapał ją za ręce, zanim skręciła nad morze.

– Spacer? Świetny pomysł. Pójdę z tobą.

– Nie trzeba – zapewniła lekko. – Może zadzwoń do przyjaciela?

– Może jednak nie?

– No dobra. Właściwie i tak nie chce mi się spacerować.

– I dobrze, bo nigdzie nie idziemy. – Zaprowadził ją do hotelu, ale zanim wsiedli do windy, zmienił zdanie. W pobliżu łóżka zapomni, że mieli porozmawiać, więc skręcił w stronę dziedzińca.

Utrzymany w azjatyckim stylu dziedziniec wydawał się oazą spokoju, kusił miękkimi sofami nad płytkim basenem, koił zapachem trawy cytrynowej. Poza plamami koloru w postaci wypielęgnowanych palm i drzewek pomarańczowych, po jednym na stoliku, przestrzeń wypełniały odcienie szarości, od grafitu po perłową bladość. Ciszę zakłócał jedynie kojący szum wody i stłumione głosy. Ale Piper i tak czuła, że ta rozmowa nie przebiegnie łagodnie.

Coop usiadł koło niej na sofie.

– Cała podróż na nic. Tym bardziej nie rozumiem twojego zdenerwowania. Mów. Co chcesz przede mną ukryć?

– Nie do końca na nic – zaczęła ostrożnie. – Wyeliminowaliśmy kolejnego podejrzanego. Skoro nadal chwali się pierścieniem, nie miał powodu, by cię zaatakować.

– A jednak zniknęłaś.

– Chciałam się rozejrzeć.

– Gdzie dokładnie?

Zrobiła to, co jej zdaniem musiała, ale Coop będzie to widział inaczej. Nagle opadły ją wątpliwości.

– W sypialni Aamuzhira. Okropna.

Zmarszczył brwi.

– W jego sypialni? Gdzie każdy mógł cię przyłapać?

Wzruszyła ramionami. Kiedy w końcu wyszła z klaustrofobicznej szafki na buty, miała na plecach pręgi od wpijających się w nie półek. Na szczęście znalazła to, czego szukała, zanim zjawił się kolejny członek załogi.

– Ma tam różne rzeczy.

– Przestań kręcić.

Wyjęła z torby pareo w paski. Obserwował, jak rozwija je ostrożnie. W środku leżała replika pierścienia.

Wyprostował się gwałtownie.

– Co to ma znaczyć?

Dziedziniec nie był już tak spokojny. Powtarzała sobie, że działała dla jego dobra.

– Jedna z jego dziewczyn powiedziała, że chciał go zmniejszyć, żeby pasował na jego palec. Pierwszy lepszy jubiler zorientowałby się, że to fałszywka, i powiedział mu prawdę. Więc go zabrałam. Aamuzhir to szczur, ale szczur z nieograniczonymi funduszami, więc nie mogłam dopuścić, żeby cały czas stanowił zagrożenie.

Patrzył na nią, jakby spadła z kosmosu.

– Ukradłaś pierścień?

– Nie miałam innego wyjścia.

Był nie tyle zły, ile przerażony.

– Zdajesz sobie sprawę, że – o ile jeszcze się nie zorientował, że to twoja sprawka – oskarży jedną z dziewczyn albo kogoś z załogi? Masz pojęcie, co może im zrobić?

– Nie zorientuje się.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Mogę. – Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. – Podłożyłam… coś w zamian.

– Nie rozumiem.

– Oryginał – wyrzuciła z siebie.

Przechylił głowę.

– Niemożliwe. Oryginał jest w moim sejfie.

Milczała, czekała, aż sam zrozumie.

– Piper… – Jego głos był jak tsunami powoli, ale nieubłaganie sunące do brzegu.

– Żeby raz na zawsze położyć temu kres. Trzeba go było unieszkodliwić.

– Więc…

Głęboko zaczerpnęła tchu.

– Zabrałam fałszywkę i podrzuciłam oryginał.

Tsunami runęło na brzeg.

– Włamałaś się do mojego sejfu!

– Technicznie rzecz biorąc, to nie było włamanie. – Duke wprowadził ją do świata zamków, pokazał, jak działają różne rodzaje zabezpieczeń. Piętnaste urodziny uczciła, otwierając jego sejf. W przypadku Coopa niedługo się męczyła. Szyfr okazał się jego numerem z drużyny szkolnej, uniwersyteckiej i zawodowej. Załatwiła całą sprawę, zanim zaparzył kawę. – Masz łatwy szyfr – zauważyła.

– Włamałaś się do mojego sejfu i ukradłaś mój pierścień. – Niedowierzanie biło z każdego słowa. – A potem przywiozłaś go tutaj, zakradłaś się do sypialni tego drania i podmieniłaś pierścienie?

– Nigdy go nie nosisz. – Z każdą chwilą była mniej przekonana o słuszności tego, co zrobiła. – Naprawię to, Coop. Nie wiem jak, ale wynagrodzę ci to. To się musiało skończyć, ze względu na ciebie.

– Miałem sytuację pod kontrolą! – Zerwał się z kanapy, odszedł o krok i zaraz wrócił. – Ty planowałaś włamanie, a ja zneutralizowałem zagrożenie. I to nie tracąc pierścienia!

– Jak to: zneutralizowałeś zagrożenie?

Wyjaśnił jej. Powtórzył opowieść o wymyślonym kumplu najemniku i groźne aluzje, które wynikały z

tej bajeczki. Z każdym słowem był bardziej wściekły.

– Posunęłaś się tak daleko, że jesteś już w innym świecie.

– Coop, ja…

Pochylił się nad nią.

– Nie masz pojęcia, co zrobiłem, żeby zdobyć ten pierścień. Mordercze treningi. Operacje. Kontuzje. Oglądanie nagrań o czwartej rano, przed resztą drużyny. Zarwane noce i ślęczenie nad strategią. Studiowałem każdy ruch przeciwnika, do jasnej cholery!

– Ja nie…

– Zapłaciłem za ten pierścień harówą, o jakiej nie masz pojęcia. – Widziała pasję, która zdradziła jego legendę, ale nigdy nie spodziewała się, że to ona stanie obiektem jego wściekłości. – Grałem w czterdziestostopniowym upale i na mrozie, aż traciłem czucie w rękach. Wiesz, jak to jest grać na takim zimnie? Trzymałem ręce w lodowatej wodzie, żeby do tego przywyknąć. I uśmiechałem się, a wiesz czemu? Bo chciałem wygrać. Bo chciałem, żeby moje życie coś znaczyło!

Poderwała się na nogi. Serce podeszło jej do gardła.

– Coop, ja…

Wyszedł. Została sama na spokojnym dziedzińcu pachnącym pomarańczami i trawą cytrynową.

Rozdział 17

W sportowym barze drinki były tanie, turystów niewielu, a tubylcy nie zwracali uwagi na kobietę w kącie tępo wpatrzoną w ekran telewizora, na którym rozgrywał się mecz, nie wiadomo gdzie i kiedy. Podchodziło do niej kilku mężczyzn, ale patrzyła na nich tak pustym wzrokiem, że zaraz dawali jej spokój.

Była na dnie i robiła to, co wszyscy pokręceni detektywi w takiej sytuacji. Piła.

Niepotrzebnie ruszała ten pierścień. Gdyby miała dość oleju w głowie i wymyśliła coś lepszego, nie musiałaby tego robić. Ale z niej detektyw od siedmiu boleści, nie ma co. A teraz siedziała tu sama i zalewała rozpacz alkoholem.

Dopiła trzeciego drinka, zamówiła czwartego. Piła czysty burbon, bez wody, tylko z lodem.

Duke Dove nie popełniłby takiego głupstwa. No, ale Duke był zawodowcem, a ona to ciągle amatorka.

Barman postawił przed nią nową szklankę. Wydawało jej się, że widzi podwójnie, ale i tak podniosła ją do ust. Kostki lodu stukały dźwięcznie, gdy ktoś odsunął sąsiedni stołek barowy i usiadł koło niej. Nie podniosła wzroku.

– Spadaj.

Znajoma ręka – bez pierścienia – podniosła butelkę meksykańskiego piwa. Kolejny błąd – zapytała portiera o najbliższy tani bar. Nie przyszło jej do głowy, że Coop za nią pójdzie.

Wbiła wzrok w ekran.

– Nie gram dla dobra drużyny – wykrztusiła w końcu. Tylko trochę plątał jej się język.

– Zauważyłem. – Jego głos aż ociekał wrogością.

Na jej nowej szklance był odcisk szminki – nie jej. Upiła łyk z drugiej strony.

– Nie umiem.

– Sama kontra cały świat, co?

– Zawsze tak było. – Wsadziła palec wskazujący do szklanki i zamieszała lód. – Dzisiaj osiągnęłam dno.

– Dno dna.

– Nie szukam usprawiedliwienia, jeśli o to ci chodzi. Zrobiłam głupstwo, bo nie miałam lepszego pomysłu. Znajdę jakiś sposób, żeby ci to wynagrodzić.

Przesuwał paznokciem po naklejce na butelce piwa, aż przerwał ją na pół.

– Sama powiedziałaś: nie umiesz współpracować.

Nie mogła tego dłużej wytrzymać. Wstała, chcąc uciec do łazienki, ale zachwiała się. Przytrzymał ją i pchnął z powrotem na stołek.

– Nie bądź dla mnie miły! – warknęła. – Sknociłam sprawę i dobrze o tym wiem!

– To fakt. – Zacisnął zęby, jak zawsze, gdy był wściekły. – Wiesz, co jest najtrudniejsze w dowodzeniu? Świadomość, że czasami chcesz czegoś, co wcale nie wyjdzie na dobre drużynie.

– W tej chwili wiem tylko, że mam, czy może raczej miałam, klienta, któremu grożą, a ja nie mam pojęcia, kto za tym stoi.

Nie najlepszy sposób, żeby uratować posadę, na którą najwyraźniej nie zasłużyła.

Coop wstał.

– Wracamy do hotelu.

Musiał się jej pozbyć. Wiedział doskonale, jak to jest, kiedy coś idzie nie tak, ale Piper przegięła, złamała wszystkie zasady, a to oznacza, że musi odejść.

Przespała moment, gdy samolot dotknął płyty lotniska O'Hare. Była impulsywna, ale nie głupia i na pewno wiedziała, co teraz będzie, domyślała się, że nie może jej dłużej zatrudniać. W jego życiu nie ma miejsca dla niebieskookiego łobuza, który robił to, co mu się żywnie podoba.

A jednak, choć nie mógł na niej polegać, polegał na niej jak na nikim innym. Nikomu, z kim dotychczas pracował, tak bardzo na nim nie zależało. Owszem, trenerom i kumplom z drużyny, ale każdy miał swoje powody. Piper natomiast chroniłaby go na swój dziwaczny sposób, nawet gdyby nie płacił jej ani centa. Bo taka już jest. Lojalna do końca. Czyli do teraz. Bo to już koniec.

Samolot podjeżdżał do rękawa. Poruszyła się niespokojnie. Fakt, że z nim sypiała, skomplikował sprawy bardziej, niż się spodziewał. Od początku wiedział, że ten romans to pomyłka, a i tak poszedł z nią do łóżka. A teraz musi z nią zerwać i wywalić ją z pracy.

Miał za sobą niejedną trudną rozmowę, ale nic równie strasznego.

„CO GRYZIE COOPERA GRAHAMA?

Karaluchy! Tysiące z nich atakują klub Spiral, nowe oczko w głowie byłego rozgrywającego Starsów. – Są wszędzie – powiedział nam pracownik klubu, który chce pozostać anonimowy. – W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Klub zamknięto, walka z insektami trwa, pytanie tylko, czy imprezowicze zechcą tam wrócić? Może nazwę Spiral warto zmienić na Death Spiral?"

Internet aż huczał od tych informacji. Piper złapała się za ciągle obolałą głowę. Siedziała w swoim biurze. Jak przez mgłę pamiętała, że runęła jak długa na kanapę w pokoju hotelowym, doskonale za to przypominała sobie napięcie między nimi na lotnisku. Prawie nie rozmawiali.

Liczyła, że zwolni ją w samolocie, żeby mieli to już za sobą, ale nie. Ponieważ ze sobą sypiali, chciał to zrobić delikatniej. Pewnie powie, że jeszcze przez jakiś czas może mieszkać nad klubem. I zaproponuje sowitą odprawę. Na myśl o jego wielkoduszności robiło się jej niedobrze.

Klepnęła się w policzek – kiepski pomysł, zważywszy kaca giganta. Dopóki jej nie zwolni, musi pracować, i to do samego gorzkiego końca. Jest mu to winna. To i wiele więcej.

Internetowe pomówienia, przecięte opony, napad i dron. To wszystko nie trzymało się kupy. No i ktoś wezwał służby imigracyjne – ale czy to miało cokolwiek wspólnego z całą resztą? Jeśli chodzi o karaluchy, Tony powiedział pracownikom, że zamykają klub ze względu na konieczność naprawy klimatyzacji, więc przeciek nie pochodził od nikogo z personelu. Na czas fumigacji Coop umieścił Karah i Jadę w hotelu. Znały prawdę, ale wiedziały też, że muszą zachować ją dla siebie. Oczywiście możliwe, że tę informację sprzedał ktoś z firmy dezynsekcyjnej, ale Piper podejrzewała raczej, że zrobił to ten, kto wpuścił karaluchy do klubu.

Była w kropce, nie miała pojęcia, co dalej, poza tym, że trzeba dopilnować, by w Spiral zainstalowano lepszy system monitoringu. Zadzwoniła w tej sprawie do Tony'ego. W zeszłym tygodniu zwróciłaby się bezpośrednio do Coopa, ale nie teraz.

Coop nie odezwał się przez resztę weekendu. Dopóki trwały prace dezynsekcyjne, nie mogła wrócić do siebie, więc spała na kanapie w kantorku. Nie chciała narzucać się Jen czy Amber, ale przede wszystkim wolała trzymać się z daleka od innych ludzi.

Ulotki agencji zaowocowały w poniedziałkowy ranek telefonem od podejrzliwej żony. Następnego dnia Piper czekało przykre zadanie – musiała potwierdzić jej obawy. Duke miał rację. Kiedy żona postanawia zatrudnić detektywa, sama już zna prawdę.

Podobno pomaganie innym pomaga wyjść z depresji, myślała więc gorączkowo, komu o inicjałach innych niż CG mogłaby się przydać. Przypomniały jej się problemy Jen z Dupkiem i przez kilka godzin buszowała w mrocznych zakątkach sieci, ale nie znalazła niczego ciekawego.

Przyszła środa i odezwał się właściciel firmy czyszczącej systemy klimatyzacyjne. Słyszał, że Piper jest dobra w demaskowaniu nieuczciwych pracowników, którzy twierdzą, że doznali urazu w czasie pracy, ale łżą jak z nut. Facet sprawiał wrażenie wyjątkowego palanta, ale i tak pojechała na spotkanie do Rogers Park. Kiedy wracała, zadzwonił Tony z informacją, że wieczorem ponownie otwierają klub i ma wracać do pracy.

– Ustaliłeś to z Coopem? – zapytała.

– Ale co?

– No, że mam tam być.

– A niby czemu miałoby cię nie być?

– Nieważne. Sama z nim pogadam.

Dopadła Coopa w kantorku w Spiral. Uznała, że nie ma sensu przebierać się w sukienkę, więc miała na sobie dżinsy i obszerny szary sweter – ciuchy, które w jej mniemaniu najbardziej przypominały zbroję.

Siedział za biurkiem z nogami na stole i od niechcenia przerzucał piłeczkę z jednej ręki do drugiej. Paliła się tylko lampka na biurku, więc jego twarz nikła w cieniu. Podniósł wzrok, gdy weszła, zaraz jednak ponownie skupił się na piłce.

Zebrała się na odwagę.

– Nie bądź tchórzem i załatw to raz na zawsze. Oboje wiemy, że musisz mnie zwolnić, więc byłabym ci wdzięczna, gdybyś zrobił to teraz, żebym mogła przestać o tym myśleć.

Przerzucił piłkę z prawej dłoni do lewej.

Zacisnęła palce na mankietach swetra.

– Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale chciałabym jeszcze trochę pomieszkać nad klubem. Obiecuję, że będę schodzić ci z oczu.

Znowu przerzucił piłkę.

– Przekażę wszystko, co wiem, mojemu następcy – ciągnęła. – Musisz kogoś zatrudnić, Coop, bo uwierz mi, to jeszcze nie koniec. – Będzie się dalej zajmowała tą sprawą, nawet kiedy ją zwolni. Była mu to winna. To i pierścień Super Bowl…

Opuścił nogi na ziemię, ale nie dowiedziała się, co chciał powiedzieć, bo do pokoju wpadła Jada – tym razem bez karabinu na pianki.

– Mama miała wypadek! – krzyknęła. – Jest w szpitalu!

Coop zerwał się zza biurka.

– Gdzie jest? Co się stało?

– Nie wiem! – Jada zaczęła płakać. – Dzwoniła pielęgniarka z izby przyjęć. A jeśli mama umrze?

Coop już sięgał po kurtkę.

– Jedziemy.

Musieli jechać sonatą, bo Coop pożyczył swoje audi. Właśnie Karah.

Podłączyli ją do kroplówki i monitora. Ciemne włosy rozsypały się jak aureola wokół bandaża na głowie. Inny opatrunek zabezpieczał lewy nadgarstek i przedramię. Przy łóżku stało dwóch policjantów.

Jada podbiegła do matki. Karah skrzywiła się, przytulając ją do piersi.

– Już dobrze, skarbie. Już dobrze. – Nad jej głową zobaczyła Coopa i skrzywiła się mocniej. – Skasowałam twój samochód. I to po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś.

– Nie zawracaj sobie głowy samochodem – mruknął. – Najważniejsze, że wyszłaś z tego cało.

Karah wsunęła palce we włosy Jady.

– Niepotrzebnie go od ciebie brałam. Wydawało mi się, że jadę bardzo ostrożnie.

– Samochód jest do zastąpienia, ty nie – odparł.

Policjanci robili, co w ich mocy, by w obecności Coopera Grahama zachować profesjonalny spokój. Wyższy podszedł do niego.

– To prawda, że pozwolił jej pan wziąć samochód?

Coop skinął głową.

– Jej wóz nie chciał odpalić, a ja miałem spędzić w klubie całą noc, więc wiedziałem, że samochód nie będzie mi potrzebny.

– Wykładowczyni zaprosiła nas do siebie do Wadsworth – wyjaśniła Karah. – Bardzo chciałam tam pojechać. Trzeba było zostać w domu. – Ponownie spojrzała na Coopa. – Bardzo cię przepraszam.

– Dość już tego przepraszania. Od czego mam ubezpieczenie?

– Niech pani jeszcze raz opowie wszystko, co pamięta – poprosił drugi policjant.

– Na drodze było ciemno, panował niewielki ruch. – Karah spojrzała na Coopa. – Nie przekroczyłam dozwolonej prędkości, przysięgam.

– Widziałem, jak jeździsz. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Wierzę ci.

– Zobaczyłam światła za sobą, ale nie zwróciłam na nie uwagi. Wszystko działo się tak szybko… Światła były coraz bliżej, zwolniłam, żeby samochód mógł mnie wyprzedzić. Podjechał do mnie i… chyba wyłączył reflektory, bo nagle zrobiło się ciemno. Skręcił gwałtownie i uderzył w bok audi. Mocno. Straciłam panowanie nad wozem, wpadłam w poślizg, uderzyłam w coś. W co właściwie?

– W słup – odparł wyższy z policjantów.

Karah uniosła dłoń do policzka.

– Ten, co mnie stuknął, nie zatrzymał się nawet, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest.

Piper i Coop spojrzeli po sobie. Piper podeszła do szpitalnego łóżka.

– Powiedziałaś „ten”. Widziałaś kierowcę?

– Nie, nie jestem nawet pewna, czy to był mężczyzna. To była wąska droga, bez latarni. Nic nie widziałam.

Piper zerknęła na Coopa, który gestem nakazał jej milczenie. Policjanci powinni się dowiedzieć o wszystkich napadach na niego, ale teraz była mądrzejsza niż kilka dni wcześniej i postanowiła najpierw z nim o tym porozmawiać.

Funkcjonariusze nadal przesłuchiwali Karah, ale dowiedzieli się tylko, że samochód, który zepchnął ją z drogi, był duży, może nawet była to furgonetka.

Karah miała zostać na noc w szpitalu. Piper obiecała spać u niej, żeby Jada nie została sama.

Coop musiał wracać do klubu na ponowne otwarcie. Piper wyszła za nim na korytarz. Brzęczenie aparatury, poświata monitorów, zapach środków dezynfekujących – to wszystko przypominało te straszne tygodnie przed śmiercią Duke’a.

– Masz być dzisiaj w pracy – powiedział.

Odepchnęła przykre wspomnienia.

– Ja… nadal u ciebie pracuję?

– Nie mam innej kobiety na bramce – odparł posępnie.

Nie o to pytała i dobrze o tym wiedział.

– Posłuchałam twojej rady i staram się grać dla dobra drużyny – powiedziała.

Szedł w stronę wind.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Dam ci szansę: przekonaj mnie, dlaczego mam nie mówić policji o serii napaści na ciebie, zanim to w końcu zrobię.

Wcisnął guzik.

– Brzmi jak ultimatum, nie dążenie do kompromisu.

– Małe kroczki.

Głośne westchnienie.

– Przez karaluchy miałem wystarczająco złą prasę. Nie chcę, żeby i to trafiło do gazet.

– Rozumiem. Ale audi ma przyciemniane szyby. Na drodze było ciemno. Oboje wiemy, że celem byłeś ty.

Zacisnął usta.

– Powinienem był to przewidzieć, a ja, jak idiota, pożyczyłem jej samochód. Gdybym się choć przez moment zastanowił… – Drzwi windy otworzyły się. Wszedł do środka. – Nie mieszaj w to policji. To polecenie służbowe.

Drzwi zamknęły się za nim.

Następnego dnia Piper odebrała Jadę ze szkoły i zadzwoniła do Erica. Zgodził się zabrać ją na policyjny parking, na którym znalazło się audi Coopa. Fotografowała smugi czarnego lakieru, które pozostawił tajemniczy pojazd, i dumała o tym, że wypadek Karah to jedyny powód, dla którego Coop jej jeszcze nie zwolnił. Nie wiedziała, czy chciał, aby teraz pracowała wyłącznie na bramce. Nie, żeby to miało jakiekolwiek znaczenie. I tak nie zrezygnuje, za żadne skarby świata.

Eric oparł się łokciem o dach audi – od nieuszkodzonej strony. Poranne słonce odbijało się w jego lustrzanych okularach przeciwsłonecznych.

– Znam fajną nową włoską knajpkę na Clark. Co ty na to?

To miły facet. Powinna być z nim szczera.

– Eric, nie mogę się z tobą spotykać.

– Ejże…

– No dobra, jestem idiotką. Zamiast polecieć na solidnego, fajnego faceta jak ty, wpakowałam się w romans z… – z solidnym, fajnym facetem nazwiskiem Cooper Graham – …z kimś innym. Już po wszystkim, ale potrzebuję trochę czasu. Jak powiedziałam, jestem idiotką.

– Cooper Graham. Wiedziałem.

Przełknęła z trudem.

– Naprawdę myślisz, że mógłby być mną zainteresowany?

– A czemu nie?

Chyba nie pora mu przypominać, że facetom podoba się tylko dlatego, że traktują ją jak jedną z nich.

– Umówię cię z kimś.

O jeden cios za dużo jak dla jego ego.

– Nie musisz mnie z nikim umawiać.

– Nie? Nawet z Jennifer MacLeish? Najbardziej popularną pogodynką w Chicago?

– Znasz ją?

– Tak. – Co prawda będzie musiała popracować nad Jen, ale może się uda. – Uważam, że możemy sobie czasami pomóc. Co ty na to?

– Jak to?

Oby się nie pomyliła w ocenie jego charakteru.

– Jestem zwyczajną obywatelką. Mogę spokojnie wejść do miejsc, do których policjant nie ma wstępu, i któregoś dnia to ci się może przydać.

Słuchał uważnie.

– Może – przyznał.

– A ja chciałabym wiedzieć, że czasami mogę do ciebie zadzwonić. Weźmy ten wypadek. Martwię się o Coopa.

Eric był nie tylko przystojny, lecz także bystry.

– Myślisz, że sprawca celował w Coopa.

– Nie wykluczam tego. – Wcale nie.

– To ciekawe. – Wsunął kciuk za pasek. – A jeśli chodzi o tę randkę z Jennifer MacLeish…

Były czyściciel klimatyzacji, którego miała sprawdzić, mieszkał z dziewczyną i dzieckiem w domu jej rodziców. Piper śledziła całą rodzinę aż do lokalnej knajpki, a kiedy weszli do środka, zaczęła się martwić o Coopa. W tej chwili, zgodnie z rozkładem, powinien być na siłowni. Zgodnie z rozkładem, który każdy głupi może rozgryźć. Nerwy wzięły górę. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do samochodu.

Tesla stała pod siłownią. Wyjęła z bagażnika połamany wózek dziecięcy, który kiedyś znalazła na ulicy, i przechadzała się z nim wzdłuż budynku. Zadziałało. Kiedy Coop w końcu wyszedł, widziała jego odbicie w wystawie sklepu muzycznego. Wózek sprawił, że nawet na nią nie spojrzał.

Jechała za nim do domu Heatha i miała w nosie, czy ją zobaczy. Kiedy upewniła się, że cały i zdrowy wszedł do środka, wróciła do obserwowanej rodzinki, która zdążyła przenieść się do małego parku.

Usiadła na ławce i obserwowała całą trójkę. Dziecko podnosiła wyłącznie matka. Mogło to dowodzić tylko tego, że podejrzany jest kiepskim ojcem, ale instynkt podpowiadał Piper, że facet nie kłamał. I rzeczywiście, kiedy mała upadła i rzucił się jej na ratunek, zaraz złapał się za plecy.

Właściciel firmy czyszczącej systemy klimatyzacyjne okazał się takim palantem, jak podejrzewała, i nie był zadowolony ani z jej sprawozdania, ani z jedynego zdjęcia, które udało jej się zrobić. Mogłaby przedłużyć zlecenie, podsycając jego obawy, ale uczciwie i całkowicie wbrew własnym interesom przekonała go, że tylko marnowałby pieniądze.

Kilka godzin później odebrała Karah ze szpitala, zawiozła do domu i przygotowała kolację. Miejsce bandaża na jej głowie zajęło kilka plastrów. Okazało się też, że ręka jest tylko skręcona, nie złamana. Mogło być o wiele, wiele gorzej.

Podczas kolacji Jada opowiadała o swojej prezentacji na temat handlu dziećmi w seksbiznesie. Karah stwierdziła, że w szkole prowadzonej przez zakonnice chyba nie powinno się omawiać równie mrocznych stron życia, ale dziewczyna nie przejęła się uwagą matki i mówiła dalej.

– Wiecie, że tu, w Stanach, są dziewczyny młodsze ode mnie, które…

Karah odgarnęła córce kosmyk włosów z twarzy.

– Porozmawiajmy o tym po kolacji.

– Ale mamo… – W bursztynowych oczach Jady płonęło oburzenie. – Zdarza się, że stare dziady gwałcą te dziewczyny kilka razy dziennie, ale kiedy przyjeżdża policja, aresztują dziewczyny za prostytucję! Dziewczyny w moim wieku!

Piper sporo czytała o dziecięcej prostytucji, ale temat wydawał jej się tak bolesny, że zepchnęła go na dno świadomości. Teraz, widząc poruszenie piętnastolatki, zaczęła się wstydzić własnej obojętności.

– To ofiary przemocy i nie powinno się ich aresztować – oznajmiła Jada. – Będziemy pisać listy do Kongresu.

– I bardzo dobrze – orzekła Piper.

Karah ścisnęła dłoń córki.

– Ja też napiszę.

Po kolacji Piper przebrała się do pracy. Przerażała ją myśl o powrocie do klubu, o bliskości Coopa, o tym, że lada chwila wyleje ją na dobre. I słusznie, na nic innego nie zasłużyła…

Klub pękał w szwach. Coop i Tony robili, co w ich mocy, by zatrzeć złe wrażenie w mediach po inwazji karaluchów: specjalne promocje i mnóstwo gwiazd przez cały tydzień – sportowców, aktorów i piosenkarzy.

Jonah powitał Piper chrząknięciem i poklepał ją po plecach – to była jego wersja gałązki oliwnej. W odpowiedzi szturchnęła go w brzuch, na szczęście niezbyt mocno. Widziała, że jeden z bramkarzy przez cały wieczór trzymał się blisko Coopa, z czego ten najwyraźniej nie był zadowolony.

Znowu przyszła Deidre Joss, tym razem sama. Zniknęli gdzieś z Cooperem. Kiedy nie wracali przez pół godziny, Piper zaczęła się martwić.

Najpierw wyjrzała do zaułka. Zainstalowano tam nowe kamery przemysłowe, zgodnie z jej instrukcjami. Tesla stała nietknięta. Czyli Coop jest w kantorku. A jeśli Deidre nadal mu towarzyszy? Najgorsze, co Piper mogła sobie wyobrazić, to że wchodzi tam i przyłapuje ich in flagranti, więc zapukała głośno do drzwi. Otworzyły się. Coop był wyraźnie zirytowany.

– Co jest?

– Kontrola bezpieczeństwa. Chciałam się upewnić, że nie ma tu osób nieupoważnionych.

– Piper? – zainteresowała się Deidre ze środka.

Coop otworzył drzwi szerzej. Za jego plecami Piper widziała Deidre, która stała przy kanapie, wyprostowana jak baletnica na szpilkach, w trzeciej pozycji klasycznej, z włosami spływającymi kaskadą na plecy. Właściwie nawet jej różowa sukienka przypominała kreację baletnicy.

Deidre była ucieleśnieniem kobiety sukcesu, w jakich gustował Coop. Piper bez trudu mogła sobie wyobrazić tych dwoje razem. W przerwach między posiedzeniami rady nadzorczej Deidre urodziłaby mu troje wspaniałych dzieci, a w weekendy gotowałaby smakowite, eleganckie obiady. Ciekawe, czy pewnego dnia Coop wspomni ich krótki romans i będzie się zastanawiał, co mu wtedy odbiło.

– Miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać – zaczęła Deidre. – Wejdź, proszę.

Piper usłuchała niechętnie.

– Noah twierdzi, że powinnam cię przeprosić – ciągnęła Deidre. – Powiedział mi prosto z mostu, że strasznie skomplikowałam ci życie, nie pozwalając, żebyś powiedziała Cooperowi, że to ja cię zatrudniłam.

To jest Coop, a nie Cooper, pomyślała Piper ze sztucznym uśmiechem na twarzy.

– Nic takiego się nie stało.

– Poza tym, że groziłem ci, że cię pozwę – odezwał się Coop.

– Nie! Nie zrobiłeś tego! – Deidre była wyraźnie poruszona. – Przepraszam, Piper. Nie wiedziałam.

Taka cholernie miła. I mądra. I bogata.

Piper jej nienawidziła.

Deidre ponownie skoncentrowała się na Coopie.

– Rano muszę wcześnie wstać, więc już pójdę. To była ciekawa rozmowa.

Wyciągnęła do niego rękę, choć tak naprawdę chciała go pocałować, mocno, głęboko. A może Piper tylko tak się wydawało. Jedno wiedziała na pewno: Coop szczerze polubił Deidre. Bo dlaczego miałby nie polubić?

– Odprowadź Deidre do samochodu, dobrze, Piper? – Uścisnął dłoń Deidre. – Przepraszam cię, ale muszę wracać do klubu.

Deidre uśmiechnęła się.

– To jedna z rzeczy, za które cię podziwiam.

A także za kaloryfer na brzuchu, uśmiech, za te niesamowite usta… które całowały mnie, a nie ciebie.

Piper czuła, jak jej wstręt do samej siebie osiąga nowe wyżyny… Albo doły, zależy, jak na to spojrzeć.

Odprowadziła Deidre do parkingu po drugiej stronie ulicy, gdzie czekało jej bmw.

– Nie musiałaś tego robić – zauważyła milionerka.

– Czasami fajnie jest odetchnąć świeżym powietrzem.

– Wiesz, że Noah jest twoim wielkim fanem?

– Tak?

Deidre zatrzymała się i uśmiechnęła.

– Jesteś pierwszą kobietą, której od rozwodu okazał jakiekolwiek zainteresowanie.

Piper mruknęła coś niewyraźnie.

– Między nami dziewczynami… – podjęła Deidre – to porządny facet. Ambitny. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła po śmierci Sama. Czasami przesadza, to fakt, ale uważam, że powinnaś dać się zaprosić na kolację i przekonać się, czy między wami zaiskrzy.

– Nie bardzo mam teraz czas na randki.

Deidre przechyliła głowę.

– Przez Coopa? Słyszałam, że łączy was coś więcej niż praca.

Tego się Piper nie spodziewała.

– Czego to ludzie nie wymyślą.

– To prawda?

– Nie bawisz się w subtelności, co?

– Nie, od śmierci męża już nie. To była brutalna lekcja o tym, jak krótkie jest życie. – Przełożyła torebkę do drugiej ręki i czekała, patrząc Piper prosto w oczy. – No to jak?

Piper ruszyła w stronę bmw.

– Chyba wiesz, że nigdy nie rozmawiam o moich klientach.

– I bardzo to szanuję. – Deidre otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i spojrzała na Piper. – Ale jeśli to prawda… Cóż, Coop mi się podoba i będę o niego walczyć. – Nie powiedziała tego złośliwie, raczej rzeczowo, konkretnie. – A jeśli nie, powiedz mu, że jestem tania w utrzymaniu i wspaniała.

Piper roześmiała się. Sama nie wiedziała, czy dlatego, że to ją autentycznie rozbawiło. Wiedziała natomiast, że Deidre Joss to istny żywioł.

Deidre wyjechała z parkingu, a Piper zawróciła do klubu i mało nie wpadła pod lexusa, którego właścicielowi wydawało się, że cała jezdnia należy do niego. Fajnie było mieć na kogo się wściec. Pokazała mu środkowy palec.

Następnego dnia, w piątek, w klubie panował jeszcze większy ruch. Piper pomogła Erniemu, kiedy wyrzucał ze Spiral kilku agresywnych typów, poprosiła kelnerów, żeby uspokoili zbyt rozbrykanych tancerzy, i zapobiegła bójce w zaułku. Jak się okazało, była świetna na bramce. Szkoda, że jako prywatny detektyw nie radziła sobie równie dobrze.

Wróciła do mieszkania ledwo żywa. Ściągnęła sukienkę, włożyła koszulkę z Bearsami, umyła zęby. Wychodząc z łazienki, usłyszała, że drzwi wejściowe się otwierają. Wyjrzała z saloniku.

Coop miał na rękawie ślady pudru, na szyi – szminkowe pocałunki. Był zmęczony, potargany i zły.

– Nie mam siły jechać do domu.

Spędził w klubie cały wieczór i domyślała się, jak bardzo jest zmęczony, ale postanowiła być twarda.

– Nie możesz tu zostać.

– Jak to nie? To moje mieszkanie.

Zaczął opróżniać kieszenie. Odruchowo patrzyła, co kładzie na stole: komórka, pęk kluczy, papierek od tamponu z jakimś napisem, pewnie numerem telefonu.

Ktoś wylał na niego drinka i śmierdział alkoholem.

– Coop, mówię poważnie. To już… koniec. – Zawahała się, ale musiała to powiedzieć. Z ich związku nic nie zostało. – Kochankowie powinni być sobie równi, a my nie jesteśmy.

Patrzył na jej koszulkę.

– Czy ty kiedykolwiek ją pierzesz?

– Często. Mam kilka takich.

– Oczywiście.

Ściągnął sweter przez głowę, wypełniając pomieszczenie zapachem kilkunastu różnych perfum. Zobaczyła kolejny odcisk ust na jego szyi. Niełatwo jest być Cooperem Grahamem.

Gdyby nie wypadek Karah, już byłaby bez pracy. Pewnie teraz ją zwolni.

– Słyszałeś, co mówiłam?

– Idę pod prysznic, a potem do łóżka. – Skierował się do łazienki. – Postaraj się mnie nie molestować.

Rozdział 18

Piper położyła się, zgasiła światło i otuliła się kołdrą. Jej życie to jeden wielki chaos. Ma spać z szefem, być może eksszefem i może także byłym kochankiem, ale dlaczego w ogóle tu przyszedł i dlaczego ona pozwalała mu o wszystkim decydować? Była zbyt nieszczęśliwa, by mieć gotową odpowiedź. Nie miała pieniędzy, nie miała domu, a w jedynej poważnej sprawie w swojej karierze okazała się kiepskim detektywem.

Szum prysznica ucichł, zaskrzypiały drzwi, materac ugiął się pod jego ciężarem. Odsunęła się najdalej, jak to było możliwe, ale nawet nie próbował jej dotknąć. Było to zarazem pocieszające i uwłaczające.

Obudziła się w środku cudownie erotycznego snu i poczuła go w sobie. Była mokra i uległa, drżała z rozkoszy. Czuła na sobie jego ciężar, jakby nadal spał, oboje zachowywali się jak zwierzęta, nie jak ludzie. Pod koniec już nie spali, ale milczeli, a potem odsunęli się od siebie i ponownie zasnęli w samym środku tego bałaganu.

Następnego ranka obudził się sam i skacowany. Przetarł oczy dłonią. Upił się po raz pierwszy, odkąd miał klub. Zaczęło się kilka godzin przed zamknięciem od paru drinków, a potem były kolejne, aż bał się usiąść za kierownicą. Nigdy dużo nie pił, w młodości wolał marihuanę, a później wystarczało mu kilka piw. Ale wczoraj, kiedy obserwował Piper wśród gości, coś w nim pękło.

Była wszędzie jednocześnie; miała oko na gości, na kelnerów, na niego. Dogadała się z bramkarzami i jeden z nich zawsze kręcił się w pobliżu. Było mu łatwiej, że nie musi mieć oczu dookoła głowy, choć sprzeciwiał się z założenia. To, że już nie gra, nie znaczy, że nie jest w stanie o siebie zadbać. Warknął na Jonaha, żeby odwołał swoich chłopaków, ale drań bał się Piper bardziej niż jego i nic się nie zmieniło.

Najchętniej wyrzuciłby ją z mieszkania. Było mu potrzebne na sytuacje takie jak ta. Musiał odzyskać swoje dawne życie, takie, jakie było, zanim się w nie wdarła.

Coś w nim drgnęło, coś, czemu wolał się nie przyglądać. Ale zdawał sobie sprawę, że to coś z każdym dniem znajdowało się bliżej światła dziennego. Zupełnie bez powodu. Miał wszystko, czego pragnął. Pieniądze. Reputację. Od lat nie czuł się tak dobrze fizycznie. A jeśli chodzi o Spiral, odkąd trzy dni temu ponownie otworzyli podwoje, klub pękał w szwach. Co najlepsze, na poniedziałek Deidre zaprosiła go na swoją farmę. Z jej żartobliwych aluzji wywnioskował, że wreszcie udzieli mu odpowiedzi. Wszystko układało się po jego myśli.

A mimo to nie był szczęśliwy.

Przez Piper.

Miała marzenia – tak jak on. Miała cel, który co rano kazał jej wstać z łóżka i walczyć. Skąd więc poczucie, że jego życie stało się mglistym odbiciem w jej lustrze?

Stała w progu, w dżinsach i z marsem na czole. Miała mokre włosy, pewnie wzięła prysznic, choć tego

nie słyszał. Patrzyła na niego.

– Nie mogę dłużej, Coop.

Oparł się na łokciu.

– Pozwolisz mi się najpierw obudzić?

– Nie sypiam z facetami, którzy mnie nie szanują.

To go rozjuszyło.

– Skąd pomysł, że cię nie szanuję?

– A mógłbyś po tym, jak wszystko zepsułam?

– Zepsułaś, to fakt. – Nagi poderwał się z łóżka i wpadł do łazienki. Znowu wszedł pod prysznic. Nie znosił, gdy ktoś zapędzał go w kozi róg, jak ona.

Nie zwolnił jej, bo jej ufał. Oczywiście nie w kwestii pierścienia, za to w kwestii swojego życia. Jakimś cudem stała się energią, dzięki której wszytko było możliwe. Może dlatego jest taki nieszczęśliwy.

Czyste ciuchy zostały w kantorku. Wyszedł z łazienki owinięty ręcznikiem. Oczywiście na niego czekała.

– Przepraszam – powiedziała.

– I dobrze. Czasami wydaje mi się, że jedynym celem twojego życia jest uprzykrzać moje.

– Nie za to przepraszam, tylko za to, że chciałam z tobą poważnie porozmawiać, zanim napiłeś się kawy. – Podała mu parujący kubek.

Wziął go i zdał sobie sprawę, że Piper na coś patrzy. Na niego. A dokładnie – na jego klatkę piersiową. Znowu. Miała do niej słabość. A był w samym ręczniku. Upił spory łyk i pozwolił jej patrzeć.

W końcu podniosła wzrok na jego twarz.

– Nie pojmuję, czemu mnie nie zwolniłeś, i nie podoba mi się, że być może trzymasz mnie tylko dlatego, że ze sobą sypiamy.

Równie dobrze mogła dać mu w twarz.

– Bzdura! Dlaczego uważasz mnie za drania?

– Wcale nie uważam cię za drania.

– Więc czemu tak mówisz?

– Bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– A co powiesz na to, że jesteś najlepszą osobą na bramce, jaka u mnie pracowała?

Już gdy to mówił, wiedział, że to niewłaściwe słowa. Popatrzyła na niego z bezgranicznym smutkiem, odwróciła się i wyszła.

Zatrzymał ją, kiedy podnosiła torbę konduktorkę.

– To prawda, Piper. Ale nie dlatego cię nie zwolniłem. – Wylał sobie gorącą kawę na dłoń. Zlizał ją odruchowo. – Chciałem to zrobić – przyznał, odstawiając kubek. – Popełniłaś błąd i byłem na ciebie wściekły, tylko że jesteś czarnym koniem, który zasuwa dwa razy ciężej niż inni. A ja zawsze stawiam na właśnie takich zawodników w mojej drużynie.

Do tej chwili nie potrafił ubrać tego w słowa, nawet w myślach, więc kiedy wreszcie to powiedział, od razu poczuł się lepiej.

Oczy jej rozbłysły, co mu się podobało, i zaraz przygasły – a to już mniej.

– Doceniam to – odparła. – Ale fakty są takie, że cały czas tkwię w miejscu, jestem w tym samym punkcie, co na początku. I nie mam pojęcia, co dalej.

– Na pewno coś wymyślisz.

– Skąd wiesz?

– Bo taka po prostu jesteś.

Wiara Coopa w jej umiejętności mobilizowała Piper. Nie mogła sprawić mu zawodu, nie mogła i już. A potem zadała sobie pytanie, czy ta determinacja, by sprawdzić się w jego oczach, różni się czymkolwiek od dawnej nieustannej batalii o aprobatę Duke'a. Doszła do wniosku, że jednak tak. Duke przesadnie się o nią bał i dlatego nigdy nie dał jej szansy, by mogła walczyć o to, czego pragnęła. W przeciwieństwie do ojca, Coop dał jej taką szansę i właśnie dlatego nie mogła go zawieść.

W poniedziałkowy ranek siedziała w sztabie Starsów w okręgu DuPage. Na ścianie biura działu PR widniało logo drużyny – trzy splecione złote gwiazdy na niebieskim tle. Za pancerną szybą umieszczono trofea Starsów, a przed nimi znajdowała się recepcja – półokrągły kontuar z jasnego granitu.

Była pełnia sezonu, więc w biurze wrzało jak w ulu – dzwoniły telefony, migały ekrany komputerów, ludzie uwijali się jak w ukropie. Coop w końcu załatwił jej dostęp do czekającej na niego korespondencji. Młoda pracownica o kocim makijażu i poważnym podejściu do swoich obowiązków wskazała jej jedyne wolne biurko i wytłumaczyła, jak wyglądają procedury.

– Zajmujemy się korespondencją z fanami Coopera. Wysyłamy autografy, odpowiadamy na pytania, mamy specjalny pakiet dla dzieciaków. Ustalamy z jego agentem wszelkie wystąpienia publiczne. Chociaż już nie gra, nadal dostaje mnóstwo listów.

– Z pogróżkami?

– Bardzo rzadko. Na początku, po kilku niezbyt udanych meczach, było tego więcej. Wracaj do Miami, te klimaty. Fani nie wiedzieli wtedy, że grał ze złamanym palcem.

– A kobiety?

– Majteczki, nagie zdjęcia… Wszystko już było. Naprawdę wszystko. – Wskazała biurko. – Proszę bardzo. Wołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Dzięki.

Piper usiadła nad stertą papierów – wydruków z maili i zwykłych listów. Znakomitą większość stanowiły prośby o autografy i zdjęcia. Niektóre były naprawdę słodkie – od dzieciaków, które go uwielbiały, od fanów, którzy od samego początku śledzili jego karierę. Wzruszający list od mężczyzny, który stracił syna w wypadku samochodowym i czerpał pociechę, wspominając, jak syn podziwiał Coopa. Odłożyła go na bok, bo uznała, że Coop powinien odpisać na ten list osobiście. Osobną kategorię stanowiły listy od rodziców uzdolnionych sportowo dzieci. Prosili go o radę.

No i kobiety. Kandydatki na jego dziewczynę do listów dołączały fotografie oraz listę osiągnięć i zainteresowań: zamiłowanie do sportu, kariera w modelingu, dyplom z zarządzania sportem, a nawet mistrzostwo świata w fellatio.

Pogrążona w lekturze Piper dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że do pokoju ktoś wszedł. Uniosła głowę.

W progu stała Phoebe Somerville Calebow, żona Dana Calebowa, byłego głównego trenera, a obecnie przewodniczącego stowarzyszenia Starsów. Miała z nim czworo dzieci i była najpotężniejszą kobietą w NFL, a może i w całym wszechświecie.

Piper zerwała się na równe nogi, gdy właścicielka Starsów zbliżała się do jej biurka.

– Pani Calebow.

Phoebe przyglądała się jej uważnie.

– Więc to ty jesteś panią detektyw Coopa.

Fakt, że Phoebe Calebow wiedziała o jej istnieniu, był tak oszałamiający, że Piper zdobyła się tylko na słabe skinienie.

– Moi zawodnicy wiążą się z intrygującymi kobietami – stwierdziła Phoebe.

O tych związkach było głośno i Piper znała te historie, podobnie jak całe Chicago. Cal Bonner ożenił się z doktor fizyki światowej sławy. Kevin Tucker poślubił znaną autorkę książek dla dzieci. Oryginalna malarka została, o dziwo, żoną Deana Robillarda. Legendarny obrońca Bobby Tom Denton był mężem byłej dyrektorki angielskiej szkoły z internatem.

Pani Calebow dała Piper znak, że ma usiąść, i sama przysiadła na skraju biurka. Wiek średni nie zatarł jej urody, nawet okulary w rogowych oprawkach nie tłumiły dojrzałego seksapilu jasnowłosej piękności.

– Jakie masz zamiary wobec mojego chłopca?

Piper mało kto onieśmielał, ale Phoebe Calebow to bogini. Z trudem przełknęła ślinę.

– Chyba żadne.

Pani Calebow uniosła idealnie wyregulowaną brew w niemym pytaniu.

– My… to już koniec – wykrztusiła Piper. – Łączy nas tylko praca. Mam zadanie do wykonania. I… skąd pani o mnie wie?

– Mam moich chłopców na oku – odparła Phoebe z suchym uśmiechem. – Czytasz?

– Czy czytam?…

– Książki.

– Oczywiście. Thrillery. Kryminały. Przynajmniej czytałam do zeszłego miesiąca, bo wtedy zaczęłam pracować po nocach. – Zaczerpnęła tchu i paplała dalej. – Lubię biografie i autobiografie, ale o kobietach. Wiem, że to seksizm, ale odnajduję się w tych historiach. O, i jeszcze książki kucharskie. Nie znoszę gotować, ale lubię czytać o jedzeniu. I o technologii. – Zmusiła się, żeby przestać.

– Interesujące. – Pani Calebow wstała, wyprostowała nogi, które nadal niejednemu zawróciłyby w głowie. – Bardzo mi miło, Piper.

I wyszła, a Piper usiłowała zrozumieć, co się przed chwilą stało.

Wyszła ze sztabu Starsów dopiero po południu. Do tego czasu zdążyła przejrzeć wszystkie dane dotyczące PR Coopa. Kiedy szła do samochodu, wróciła znajoma frustracja. Nic z tego, co przeczytała, nie budziło podejrzeń. Jadąc dwupasmówką, po raz kolejny analizowała, co przeczytała, i po raz kolejny niczego nie znalazła.

Zamiast skręcić na wschód, do miasta, jechała na zachód. Po raz ostatni widziała Coopa dwa dni temu, gdy u niej spał. Dzwoniła do niego wczoraj, żeby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie wybiera się na huczną imprezę pełną ludzi albo na samotną wędrówkę.

– Jadę do Heatha i Annabelle obejrzeć mecz Starsów – usłyszała w odpowiedzi.

Na pytanie, dlaczego nie zrobi tego na stadionie, odparł, że byłoby nie w porządku wobec nowego rozgrywającego, gdyby wszystkie kamery kierowały się na niego i śledziły jego reakcję na każdą zagrywkę nowego zawodnika.

– Deidre zaprosiła nas na swoją farmę. W poniedziałek wieczorem – oznajmił.

– Chyba się cieszysz.

– Ucieszę się, kiedy w końcu zdecyduje się wesprzeć mój projekt.

– Więc nadal chcesz to zrobić? Zbudować imperium klubowe?

– Oczywiście. Czemu w ogóle pytasz?

Bo prowadzenie klubu nocnego do niego nie pasowało, ale zachowała tę obserwację dla siebie. Nie wspomniała też, że z łatwością uzyskałby od Deidre coś więcej, choć akurat o tym chyba sam wiedział.

– Lubię ją – powiedziała ostrożnie. – Chociaż mnie wylała.

– Ja też. Bardzo.

Bo dlaczego nie?

Skręciła w Farnsworth i kierowała się na północ. Nie chciała jechać na imprezę z noclegiem u Deidre, ale nie chciała też tracić Coopa z oczu na dwa dni, więc ustalili, że spotkają się na miejscu.

St. Charles to urocze miasteczko nad rzeką Fox, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Chicago. Farma Jossów znajdowała się na północnym zachodzie. Wjazdu broniły kamienne kolumny w białym ogrodzeniu. Złote liście szeleściły pod kołami, opadały na maskę, gdy jechała w stronę dużego białego domu. Zaparkowała między teslą Coopa a czerwonym lexusem. Farma wyglądała autentycznie, była tu

stajnia, stodoła i padok dla koni. Pola już szykowano na nowe zasiewy.

Wiejskie przyjęcia znała tylko z brytyjskich powieści, ale ten dom był wyraźnie amerykański – szeroka weranda, a na niej dekoracja na Halloween: dynie, kolby kukurydzy i doniczki jarmużu. Drewniane fotele na biegunach, a na nich pomarańczowo-brązowe poduszki, ciemnozielone drzwi ozdobione wieńcem z liści, nasion i małych dyń – to wszytko nadawało się na okładkę czasopisma.

Gospodyni w średnim wieku, w dżinsach i białej koszulce, wybawiła ją od nieznanej tęsknoty.

– Wybrali się na przejażdżkę – powiedziała, gdy razem weszły do pokoju Piper. – Ale lada chwila wrócą. Proszę się rozejrzeć po terenie.

Ponieważ większość dnia spędziła za biurkiem, chętnie obejrzała stajnie i zabudowania gospodarcze. Dowiedziała się od gospodyni, że na farmie uprawia się kukurydzę, soję i pszenicę, jest tu także spory ogród warzywny, a w nim dynie, kapusta, brokuły i chrzan – warzywo, którego nie widziała w naturze, dopóki Coop nie pokazał jej swojego ogrodu. W stajni trzy boksy ze świeżym sianem czekały na powrót lokatorów.

Zobaczyła ich pierwsza. Deidre na pięknej karej klaczy, między Noahem a Coopem, który dosiadał siwego ogiera. Trzymała się prosto, ciemne włosy zebrała w niski kok, w toczku i bryczesach wyglądała, jakby wybierała się na wszechstronny konkurs konia wierzchowego. A Coop… Piper nigdy nie widziała go tak rozluźnionego. Poruszał się miękko, w rytm ruchów konia, i po raz kolejny zastanawiała się, jak ktoś, czyje miejsce jest na wsi, tak dobrze odnajduje się w wielkim mieście.

Stała w progu i obserwowała jak stajenny, który słuchał Lil Wayne, zabrał się do pracy. Coop zeskoczył z konia z taką samą gracją, z jaką wymijał przeciwników na boisku. Przez chwilę patrzyła na grę mięśni pod materiałem dżinsów na jego udach, potem zmusiła się, by odwrócić wzrok.

Deidre zsiadła. Coop objął ją ramieniem. Wydawał się zakochany. Zmierzwione włosy. Swobodny śmiech. Czuła, jak w jej sercu wybucha brudna bomba.

W końcu ją dostrzegł i puścił Deidre – nie z poczucia winy, tylko po to, żeby oddać lejce stajennemu.

– Szkoda, że nie dotarłaś wcześniej, Pipe. Odbyliśmy fantastyczną przejażdżkę.

– Jesteś urodzonym jeźdźcem, Cooper. – Komplement Deidre był rzeczowy, bez cienia kokieterii. – Widać, że w dzieciństwie sporo czasu spędzałeś na końskim grzbiecie.

– Nigdy nie nauczyłem się dobrze jeździć – mruknął. – Ale trzymam się w siodle.

Deidre uśmiechnęła się szeroko.

– Moim zdaniem jeździsz bardzo dobrze.

Piper zbierało się na mdłości.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na Noaha. Droga zamszowa marynarka i wyprasowana dżinsowa koszula zdradzały, że zdecydowanie lepiej czuł się za biurkiem.

Szybko stało się jasne, że przyjęcie Deidre było bardzo kameralne – ograniczało się do ich czworga. Piper nie musiała uciekać się do zdolności detektywistycznych, by wiedzieć, że Deidre bawi się w swatkę. Może po prostu to lubiła, a może miała nadzieję, że między Piper a Noahem zaiskrzy, a ona będzie mogła spokojnie zająć się Coopem. Niestety, między Piper a Noahem nigdy do niczego nie dojdzie. Był inteligentny i nawet niebrzydki, ale nie miał ani odrobiny poczucia humoru.

Coop wskazał pole za ogrodem.

– Mieliśmy bardzo deszczowe lato. Jak to zniosła twoja pszenica, Deidre?

– Wstyd się przyznać, ale nie wiem. Ziemią zajmuje się dzierżawca. Mój mąż wiedział wszystko na ten temat, ja tylko jeżdżę konno i odpoczywam.

– Sam kochał tę ziemię – wtrącił się Noah. – Należy do jego rodziny od wielu pokoleń.

Stajnia została z tyłu. Deidre opowiadała, jak razem z mężem wyburzyli starą stajnię i zbudowali nową. Mówiła o zmarłym mężu rzeczowo, konkretnie. Deidre Joss nie okazywała uczuć.

Noah trzymał się koło Piper. Postanowiła go wybadać, nie siląc się specjalnie na subtelności.

– Deidre musi być bardzo ciężko, tak szybko straciła męża. Wypadek na skuterze śnieżnym, tak?

– Za szybko jechał.

– Jaki był?

– Sam? Wyluzowany. Zabawny, dusza towarzystwa, trochę nieodpowiedzialny. Wszyscy go lubili; trudno było go ignorować. Byli małżeństwem przez pięć lat.

– Dobrym?

Spodziewała się, że ją spławi, ale nie.

– Szaleli za sobą, ale cały ciężar spoczywał na niej.

Dotarli do domu i Deidre oznajmiła, że za godzinę spotkają się na patio na drinka.

– Coop, chodź, pokażę ci twój pokój.

Który zapewne znajduje się bardzo daleko do pokoju Piper.

Umyła twarz i lekko się umalowała, została jednak w tym samym stroju, który miała na sobie na stadionie Starsów. Chciała sprawdzić wiadomości w telefonie, gdy przypomniała sobie, że został, podobnie jak jej torba konduktorka, w samochodzie. Poszła po niego.

Lekki wietrzyk kołysał gałęziami drzew koło rezydencji. Powietrze przepełniał zapach, który uwielbiała – zapach jesieni. Ściemniało się już, jarzeniówki na stodole oświetlały jej sonatę, teslę Coopa i lexusa. Podeszła bliżej i zobaczyła jego tablicę rejestracyjną. ARARAT.

Nad jej głową gdzieś wśród gałęzi zahuczała sowa. Jakieś wspomnienie nie dawało jej spokoju. Wyjęła komórkę, napisała do Jen, ciekawa, czy skontaktowała się z Erikiem, i wróciła do domu.

Cała trójka siedziała wokół okrągłego paleniska. Na patio była polowa kuchnia – grill, zlew, kontuar obłożony glazurą. Ogrodowe pochodnie odbijały się w pokrywie basenu, już zabezpieczonego na zimę.

– Ostatnio miałeś kiepską prasę – powiedział Noah do Coopa. – Wybacz bezpośredniość, ale moim zdaniem to rezultat złego zarządzania.

– Raczej pecha – mruknął Coop.

– Wiesz, że od początku byłem temu przeciwny – ciągnął Noah. – Nie przekonuje mnie wizja inwestowania tak wielkich sum w kaprys sportowców, którzy i tak mają pieniędzy jak lodu. Oczywiście nie ciebie mam tu na myśli.

– Przyznałbym ci rację, gdyby tak wyglądał mój plan – odparł Coop. – Ale nie rozumiesz najważniejszego. Sportowcy kończą karierę w sile wieku. Jasne, części z nich wystarczy wydawanie zarobionych pieniędzy, ale ci mnie nie interesują. Moją ofertę kieruję do mądrych, ambitnych, szukających nowych wzywań, które niekoniecznie chcą sami finansować. Jest ich całkiem sporo.

Deidre w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie.

– To dla nas zbyt ryzykowne przedsięwzięcie – stwierdził Noah. – Nie znamy tej branży, nie rozumiemy tego rynku.

– A znałaś chiński rynek systemów uzdatniania wody, gdy tam zainwestowałaś? – Coop spojrzał na Deidre. – Odrobina ryzyka w granicach rozsądku tylko podkręca atmosferę, nie uważasz?

Deidre odezwała się po raz pierwszy.

– Podoba mi się pomysł dywersyfikacji inwestycji, a także wejścia na nowy rynek, choć Noah ma pod wieloma względami rację. Waham się przede wszystkim dlatego, że rzadko się myli.

– Ale teraz jest w błędzie. – Coop obstawał przy swoim. – Posłuchaj, Deidre, bardzo tu u ciebie miło i bardzo chciałbym z tobą pracować, ale już czas, żebyś podjęła decyzję. Dam ci jeszcze kilka dni, potem poszukam innego inwestora.

Nie chciał nikogo szukać. Piper wiedziała, że zależało mu tylko na Deidre.

Jego ultimatum nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia.

– Nie sądzę, aby to było konieczne – powiedziała z uśmiechem.

– Piper! – Noah wstał. – Może się czegoś napijesz? Drinka? Wina?

– Piwa. – Weszła w krąg światła. – Tego co Coop.

– Macie podobne gusty. Nic dziwnego, że tak dobrze się wam razem pracuje. – Noah podszedł do

barku. – Chciałem cię o coś zapytać. Dobrze mi się wydaje, że Coop darzy cię ogromnym zaufaniem?

Ciekawe, czy to wyobraźnia płata jej figle, czy naprawdę w jego słowach krył się podtekst?

Wyjął oszronioną szklankę z lodówki.

– Wszyscy wiemy, że był świetnym sportowcem, ale czy jest równie dobrym biznesmenem?

Deidre po raz pierwszy okazała zniecierpliwienie.

– I jak twoim zdaniem Piper ma na to odpowiedzieć?

– Jak to ona, prosto z mostu – odparł Noah. – Zna go lepiej niż ty czy ja i wierzę w jej osąd. No więc jak, Piper? Widzisz Coopa w roli potentata branży rozrywkowej?

– Widzę Coopa jako potentata wszystkiego, czym się zajmie – odparła dyplomatycznie.

Noah szedł w jej stronę ze szklanką zimnego piwa.

– Ale czy to powinna być sieć nocnych klubów? Co ci podpowiada instynkt?

Nie, po stokroć nie. Coop uniósł brew. Znowu czytał w jej myślach. Wzięła szklankę od Noaha.

– Nie mnie oceniać plany i marzenia Coopa, mogę tylko powiedzieć, że nie znajdziesz lepszego i bardziej pracowitego partnera w interesach.

Nagle podeszła do nich wyraźnie poruszona gospodyni. Powód jej poruszenia był oczywisty – za jej plecami szło dwóch policjantów.

– Deidre? Panowie są z posterunku St. Charles.

Piper zerwała się nogi. Deidre była tylko lekko zaintrygowana.

– O co chodzi?

Nie patrzyli na nią, tylko na Coopa.

– Pan Graham? Proszę z nami. Jest pan aresztowany.

Noah zrobił krok do przodu.

– Co za bzdura. Pod jakim zarzutem?

Policjant zmierzył Coopa ponurym spojrzeniem.

– Molestowania seksualnego.

Rozdział 19

Nakaz wydano w Chicago. Jakaś kobieta twierdziła, że Coop molestował ją w klubie, w zeszłą środę.

Deidre patrzyła na niego z obrzydzeniem.

– Nie bądź głupia – rzuciła Piper. – Nikogo nie napastował. Ktoś go wrabia.

Coop się nie odezwał.

Policjanci wyprowadzili go w kajdankach, co złamałoby Piper serce, gdyby nie była tak strasznie wściekła. Radiowóz jeszcze nie wyjechał z podjazdu, a już dzwoniła do jego prawników.

Deidre drżały ręce, gdy nalewała sobie nowego drinka.

– Ja… nie wyobrażam sobie, żeby zrobił coś takiego.

– Sportowcom często się wydaje, że stoją ponad prawem. – Noah wydawał się niemal zadowolony z rozwoju sytuacji. – Im więcej wiem o Cooperze Grahamie, tym mniej mi się podoba.

I wtedy Piper skojarzyła.

ARARAT.

Ponieważ Coopa aresztowano na przedmieściach, a nie w samym Chicago, załatwienie kaucji miało mu zająć wiele godzin, ale Piper wcale nie czekała na niego na posterunku. O nie, Piper włożyła czarną bluzę z kapturem i włamała się do chicagowskiego domu Noaha Parksa.

Ze stosukowo prostym zamkiem poradziła sobie bez trudu, niestety w wyremontowanym domu był też system alarmowy i potępieńcze wycie oznaczało, że ma tylko kilka minut, zanim przyjedzie policja.

Wnętrze wypełniał zapach świeżej farby. Światełka w holu i saloniku dawały wystarczającą ilość światła, by widziała, dokąd idzie.

ARARAT.

Po raz pierwszy zwróciła uwagę na tablicę rejestracyjną w czwartek, gdy Deidre była w klubie, a Piper odprowadzała ją na parking. W drodze powrotnej czerwony lexus odjechał tak nagle, że pokazała mu środkowy palec. Czerwony lexus z tablicą rejestracyjną ARARAT. Ararat. Góra, na której zatrzymała się arka Noego.

Arka Noaha.

Tamtego wieczoru Parks pojechał za Deidre do klubu. Raczej nie obawiał się, że coś może jej się stać, bo przecież Deidre umiała sama o siebie zadbać. Bardziej prawdopodobne, że nie chciał tracić jej z oczu. A widząc, jak zachowywał się wcześniej i jak z trudem ukrywał niechęć do Coopa, Piper domyślała się dlaczego.

Czas płynął za szybko. W gabinecie na tyłach domu nie było laptopa. Pobiegła na górę i zajrzała do sypialni. Niemożliwe, żeby nie miał komputera w domu, więc gdzie jest? I co na nim jest?

Zaraz po wyjściu policjantów zwinęła telefon Noaha i schowała się z nim w łazience na piętrze. Jak

większość ciągle zajętych użytkowników, nie zawracał sobie głowy hasłem, więc szybko znalazła i zapamiętała ciekawą informację. Potrzebowała jednak więcej danych, a nie mogła bez końca siedzieć w łazience Deidre. Zostawiła telefon na patio, żeby Noah pomyślał, że odłożył go tam przez roztargnienie, wykręciła się od noclegu, wróciła do miasta i teraz dokonała pierwszego włamania w karierze.

Biegiem wróciła na dół. Wycie alarmu działało jej na nerwy. Nie mogła zostać dłużej. Jeszcze moment. Salonik, aneks jadalny. Nic. Musi wyjść, zanim zjawi się policja. Wracała przez kuchnię. Jest. Na granitowym kuchennym blacie. Porwała go i pędem wróciła do zaułka, do samochodu.

U siebie w biurze poczekała, aż przestanie dygotać, zaparzyła dzbanek mocnej kawy, żeby nie zasnąć, usiadła za biurkiem i zabrała się do kopiowania zawartości twardego dysku.

Godzinę później było po wszystkim.

Rozdzwoniła się jej komórka. Podniosła gwałtownie głowę znad biurka, niezdarnie sięgnęła po aparat. Ósma rano. Zasnęła niecałą godzinę temu.

– Halo – wychrypiała.

– Miło się przekonać, jak bardzo ci na mnie zależy. – Nietypowy foch w głosie Coopa dodał jej więcej energii, niż mogła się spodziewać.

– Cóż, miałam pełne ręce roboty. Zresztą zadzwoniłam do twojego prawnika, może nie? – Sięgnęła po kubek, upiła łyk zimnej kawy i wzdrygnęła się.

– Nawet mnie nie zapytasz?

Przetarła oczy.

– Ale o co?

– Jestem oskarżony o przestępstwo seksualne! – krzyknął. – Wyszedłem za kaucją.

– Ach, o to ci chodzi.

– Myślisz, że to jakiś żart?

– Nawet nie zaczynaj. – Gniew, nad którym z trudem udało jej się zapanować, wydostawał się jednak na powierzchnię. – Tysiące kobiet nie zgłaszają gwałtu, bo boją się, że zarzuci się im kłamstwo. A teraz to. Tego już za wiele, Coop. Przysięgam, że dopadnę tego, kto cię wrobił.

Milczał tak długo, że już myślała, że się rozłączył. A potem usłyszała, jak mówi:

– Dzięki. – Miał jakiś dziwny głos. Zduszony.

– Bardzo proszę.

– Co robisz? – To nie było takie niezobowiązujące pytanie w stylu: co porabiasz. Raczej: chcę wiedzieć wszystko ze szczegółami.

– Mam coś do załatwienia. Zadzwonię później. – Rozłączyła się i wyłączyła komórkę. Tyle, jeśli chodzi o granie na drużynę.

Poruszyła kilka razy głową, żeby rozluźnić mięśnie karku, i ponownie wbiła wzrok w ekran komputera. W Internecie już huczało od komentarzy na temat aresztowania Coopera. To jeszcze bardziej zmobilizowało Piper.

W koszu laptopa Noaha znalazła wiadomość od sprzedawcy owadów. „Dziękujemy za zamówienie". Niezłe, ale znalazła coś jeszcze lepszego. Sprawdzając jego komórkę, zauważyła numer, pod który dzwonił wieczorami, czasami nawet o drugiej w nocy. Numer pojawiał się w historii połączeń na tyle często, że złamała wszystkie swoje zasady i włamała się do jego domu, licząc, że znajdzie tam komputer, a na nim więcej informacji o sekretnym życiu Noaha Parksa.

Kilka godzin szperania w sieci dało efekt, na jaki liczyła – związek między numerem a nazwiskiem Rochelle Mauvais, znaną także jako Ellen Englley. W jego telefonie nie było żadnych fotografii, za to mnóstwo zdjęć znalazła w laptopie, który ukradła. Młoda, ładna blondynka. Na kilku zdjęciach towarzyszył jej Noah, ale na większości Rochelle/Ellen była sama – i naga. Nad ranem Piper wreszcie

trafiła w dziesiątkę. Tajemniczy przelew w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

W jej żyłach nadal buzowały resztki adrenaliny. Odkąd przejęła agencję detektywistyczną, nic nie sprawiło jej takiej satysfakcji jak to, czego dowiedziała się, ślęcząc nad monitorem. Ale nawet ta satysfakcja nie łagodziła goryczy na myśl, że Noah Parks nie jest w tym towarzystwie jedynym kryminalistą.

Zerknęła na okładki pisma „True Detective" na ścianach. Nigdy nie wyobrażała sobie siebie jako przestępczyni, a jednak złamała prawo. Zignorowała własne zasady, złamała reguły, jakby jej nie dotyczyły. Kiedy to wszystko się skończy, będzie musiała się sobie uważnie, krytycznie przyjrzeć.

– Nie oczekuję, że podasz mi nazwisko – zapewniała Erica przez telefon kilka minut później. – Proszę tylko, żebyś sprawdził, czy kobieta, która oskarżyła Coopa, nosi jedno z nazwisk, które ci podam. Masz tylko mówić „tak" lub „nie".

Oddzwonił dziesięć minut później.

– Skąd masz te informacje?

Nie odpowiedziała, podała mu adres Ellen/Rochelle i umówiła się z nim na miejscu za pół godziny.

Rozmowa z Ellen była krótka i bezpardonowa. Jak się okazało, kobieta zaczęła się prostytuować, żeby spłacić studencki kredyt, szybko jednak doszła do wniosku, że tym sposobem zarobi więcej i szybciej, niż szukając pracy jako licencjatka metaloznawstwa. Noah był jednym z jej pierwszych klientów. Choć Piper nie miała dowodów, że przelew na dziesięć tysięcy dolarów z jego konta trafił do niej, udawała, że wie to na pewno, i Ellen pękła. Przyznała, że kłamała w sprawie Coopa.

W imieniu wszystkich kobiet, które mówiły prawdę, ale nikt im nie wierzył, pomyślała Piper, gdy Eric zabierał kochankę Noaha na posterunek.

Deidre wróciła z farmy. Piper zadzwoniła do niej i umówiła się na piętnastą. Miała dość czasu, żeby się wykąpać i przebrać. Kiedy wychodziła, wyobraziła sobie tłumy reporterów pod domem Coopa. Zasłoniłaby go własnym ciałem przed każdym z nich.

Przerażało ją, jak bardzo chce go chronić. Usiłowała zaplanować spotkanie z Deidre, ale była tak pogrążona w myślach, że pojechała dookoła, przez Lincoln Square. A tam, przy fontannie, siedział na ławce starszy pan w rogatym hełmie wikinga.

Hełmie wikinga, fana drużyny z Minnesoty.

Nie miała na to czasu, a jednak zamiast odjechać, skręciła w uliczkę z zakazem parkowania, wyskoczyła z wozu i pobiegła w jego kierunku. Zobaczył ją, dopiero gdy dzieliło ich zaledwie dziesięć metrów, i wtedy puścił się biegiem. Dogoniła go.

– Stój! Policja!

Straszne, jak łatwo przekracza się kolejne granice, gdy człowiek raz złamie zasady.

Gdy tylko stanął, zorientowała się, że to nie Howard Berkovitz. Miał szczuplejszą twarz i więcej siwych włosów. Ale był tego samego wzrostu i budowy, w zbliżonym wieku… naprawdę był do niego bardzo podobny.

– Nic złego nie zrobiłem – zaczął z akcentem rodowitego mieszkańca Chicago.

– Wiem. – Starała się wyglądać miło, żeby się przekonał, że nic mu nie grozi. – A ja wcale nie jestem policjantką.

– Więc dlaczego mnie ścigasz? Już cię widziałem. Goniłaś mnie kilka tygodni temu.

– To długa historia. W każdym razie jestem nieszkodliwa, przysięgam. Czy mogę zaprosić pana na kawę i wszystko wytłumaczyć?

– Nie lubię rozmawiać z nieznajomymi.

– Ja będę mówić. Proszę. Mam za sobą kilka trudnych dni, prawie nie spałam. Bardzo pana proszę.

Zmrużył oczy, ściągnął krzaczaste siwe brwi.

– No dobra, ale bez żadnych numerów.

– Oczywiście.

Wkrótce siedzieli przy Western Avenue, w kafejce o fioletowych ścianach i ciemnym parkiecie. Nie pytała o nic, nawet o nazwisko, a już na pewno nie o to, dlaczego przechadza się po Lincoln Square w nakryciach głowy kibiców różnych drużyn. Po prostu opowiedziała mu o Berni.

– I ona myśli, że jestem jej zmarłym mężem? – zapytał, gdy skończyła. – Wariatka.

– Ekscentryczka, ale nie wariatka. Po prostu za nim tęskni.

Podrapał się w podbródek i przesunął przy tym zawadiacko rogaty hełm.

– To akurat rozumiem. Sam w zeszłym roku straciłem żonę.

– Przykro mi.

– Nie doceniałem jej za życia.

Piper starała się zachować kamienną twarz. Czas uciekał. Musiała to szybko zakończyć, jeśli chciała się wykąpać przed spotkaniem w biurze Deidre. Wzięła się z wikingiem za rogi.

– Chyba bardzo lubisz futbol amerykański.

– W sumie wolę baseball. Uwielbiam Soxów. Wiesz, możesz wyrwać człowieka z South Side, ale nie wyrwiesz South Side z człowieka.

– Rozumiem. – Nieprawda. Spojrzała znacząco na jego nakrycie głowy.

– Ach, o to ci chodzi? – Zdjął rogaty hełm i położył na stoliku. – Noszę takie cuda, żeby ludzie mnie nie zaczepiali. Od śmierci Ellie nie chcę z nikim rozmawiać.

Piper zaczynała rozumieć.

– Hełm wikinga, piankowy ser – to wszystko odstrasza ludzi.

Skinął głową z wyraźną satysfakcją.

– Mają mnie za wariata.

– Tak jak ty Berni?

Przemyślał to.

– Masz rację.

– Chciałbyś z nią porozmawiać? Moglibyśmy się tu spotkać, we trójkę.

– Nie lubię rozmawiać z obcymi – powtórzył na wypadek, gdyby umknęło jej to, o czym informował już dwukrotnie.

– Nic nie szkodzi. Berni mówi za dwoje. Musisz tylko kiwać głową. Myślę, że jak cię zobaczy, wreszcie pogodzi się ze śmiercią Howarda.

Wbił wzrok w swoją kawę.

– Ze śmiercią bliskiej osoby trudno się pogodzić.

– Wyobrażam to sobie.

– Muszę przyznać, że to intrygująca perspektywa. Ostatnio wszystko mnie nudzi. Kiedy pracowałem, o, wtedy sprawy miały się inaczej…

Choć zaklinał się, że nie lubi mówić, kiedy już zaczął, nie sposób było go powstrzymać. Nazywał się Willie Mahoney, całe życie spędził w Chicago, do emerytury pracował w gazownictwie. Żona, z którą przeżył czterdzieści osiem lat, była jak iskierka. Dorosłe dzieci mieszkały w innych stanach. Był samotny. Zanim skończył, dorobiła się mandatu i straciła szansę na kąpiel.

Pojechała prosto do Lakeview po Coopa. Czekał w zaułku, kilka przecznic od domu. Cały czas miała przed oczami tę chwile, gdy wyprowadzano go w kajdankach, więc kurczowo zacisnęła dłonie na kierownicy, żeby nie rzucić mu się na szyję. Na szczęście był zły.

– Nie podoba mi się wymykanie się ukradkiem z własnego domu.

– Wolisz pogadać z bandą dziennikarzy przed budynkiem?

Burknął coś pod nosem i wcisnął się na fotel pasażera.

– O co chodzi? Dokąd jedziemy?

– Dzięki za zaufanie. – Wolała nie odpowiadać na te pytania.

– Skąd pomysł, że ci ufam?

– Jesteś tu, prawda?

Cudem. Miał przekrwione oczy i dwudniowy zarost na twarzy. Chciała go pocieszyć, uspokoić, ale nie oczekiwał tego.

– Mam nadzieję, że wyglądałeś lepiej, kiedy robili ci więzienne fotki.

Mało brakowało, a uśmiechnąłby się.

– Nie masz litości.

Ostatnie, czego chciał, to jasne.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej – odciął się. – Właściwie…

– Nie miałam czasu. – Włączyła radio na cały regulator, żeby położyć kres rozmowie.

Odczekała, aż mogła swobodnie skręcić na parking za budynkiem, w którym miała siedzibę firma Deidre – Joss Investments.

– Mamy spotkanie z Deidre.

– Domyślam się. – Przetarł oczy. – Nie mam na to ochoty.

– Gramy drużynowo.

– O jakiej drużynie mówisz? Nie mam pojęcia, co robisz, o niczym mi nie powiedziałaś.

Spojrzała na niego, na całą jego zmęczoną wspaniałość.

– Po raz ostatni proszę, żebyś mi zaufał. Masz moje słowo.

Otworzył drzwiczki.

– Czemu nie, do cholery? Jeden fatalny dzień w tę czy we w tę? Co za różnica.

Wyjęła laptop z bagażnika. Chyba myślał, że to jej komputer, bo o nic nie pytał. Natomiast Noah od razu zwrócił na niego uwagę, gdy tylko sekretarka Deidre wprowadziła ich do gabinetu. Poderwał się zza małego stolika z boku gabinetu, przy którym razem z Deidre przeglądali stertę dokumentów.

Deidre powitała Coopa chłodnym skinieniem, bez śladu dawnej serdeczności, i ruszyła w stronę biurka, jakby chciała odciąć się od niego fizycznie.

– Piper, nie mówiłaś, że Coop będzie z tobą. Myślałam, że przyjdziesz sama.

– Tak? Przepraszam.

Coop stanął między drzwiami a olejnym portretem ojca Deidre. Skrzyżował ręce na piersi, oparł się o ścianę i zdał się na Piper. Chciała to zrobić dla niego, rzucić mu prawdę do nóg, jak puchar Super Bowl. Podała komputer Noahowi.

– Chyba twój. Przedziwne. Wczoraj w nocy ktoś mi go podrzucił pod drzwi. Ale nie martw się, skopiowałam całą zawartość.

Noah zacisnął usta, ale nie mógł jej oskarżyć o kradzież, nie stawiając się jednocześnie w niekorzystnym świetle.

Deidre ułożyła palce w wieżyczkę.

– O co chodzi, Piper?

– O twoją prawą rękę. O Noaha. To przestępca. Pewnie o tym nie wiesz?

Noah sposępniał.

– Wyjdź stąd – warknął.

Deidre, przyzwyczajona do kontroli nad wszystkim, wyglądała dziwnie z wyrazem zagubienia na twarzy. Piper spojrzała na Noaha.

– Czy nazwisko Ellen Englley coś ci mówi?

Podszedł do biurka Deidre.

– Wzywam ochronę.

– Chociaż właściwie znasz ją jako Rochelle Mauvais – poprawiła się. – Fantastyczne nazwisko dla dziwki.

Z jego twarzy odpłynęła cała krew.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Deidre wstała. Ciężko opierała się o biurko.

– Ellen to stara… przyjaciółka Noaha – wyjaśniła Piper. – To także kobieta, która oskarżyła Coopa o gwałt. Ciekawe, prawda?

Coop oderwał się od ściany.

Noah pochylił się i wcisnął przycisk interkomu na biurku Deidre.

– Przyślijcie mi tu ochronę!

– Ellen mi wszystko powiedziała.

Deidre była w szoku.

– Noah? To prawda?

– Nie, skądże!

– W tej chwili jest na policji – dodała Piper. – Ona i to, co było na twoim twardym dysku.

Noah rzucił się do drzwi, ale Coop był szybszy. Zablokował mu drogę i Noah odskoczył. Zachwiał się i upadłby, gdyby Coop go nie przytrzymał. Pchnął go na kanapę.

– Posłuchajmy, co Piper ma do powiedzenia.

A miała sporo.

– Noah zapłacił pani Englley, żeby oskarżyła Coopa o gwałt. Chciał go zniszczyć. Usunąć z twojego życia. Ba, szpiegował go nawet za pomocą drona. – Noah skulił się na kanapie, ukrył twarz w dłoniach. Deidre stała jak wryta. Piper mówiła dalej. – Policjantów pewnie bardzo zainteresuje zawartość twojego twardego dysku. Radziłabym co jakiś czas opróżniać kosz i spam, choć właściwie karaluchy w Spiral to małe piwo w porównaniu z twoimi innymi sprawkami.

– Ukradłaś mój komputer – szepnął z twarzą w dłoniach.

– Dlaczego, Noah?! – krzyknęła Deidre. – Dlaczego to zrobiłeś?!

Nie odpowiadał, więc Piper zrobiła to za niego.

– Chce być najważniejszym mężczyzną w twoim życiu. Przyzwyczaił się, że od śmierci męża polegasz tylko na nim. Może liczył, że za niego wyjdziesz, nie wiem, ale jest jasne, że zależało mu, żeby pozostać kimś dla ciebie ważnym, a twoje zainteresowanie Coopem mogło pokrzyżować mu szyki. Chciał usunąć z pola widzenia i Coopa, i klub.

Coop słuchał w milczeniu.

Deidre opadła na krzesło. Ona także ukryła twarz w dłoniach, ale tylko na chwilę. Powoli uniosła głowę.

– Jak mogłeś?

– A co niby miałem robić? – Noah skrzywił się z goryczą. – Nie udało mi się zapobiec ślubowi z Samem, choć wszyscy wiedzieli, że nie jest dla ciebie. Nie mogłem cię stracić jeszcze raz, na rzecz Grahama.

– Ufałam ci bardziej niż komukolwiek innemu.

– Musiałem mieć czas! Więcej czasu! Zawsze cię kochałem.

A jeszcze bardziej Joss Investments, przemknęło Piper przez głowę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło dwóch ochroniarzy.

Deidre odzyskała panowanie nad sobą.

– Zaprowadźcie go do gabinetu i pilnujcie, żeby stamtąd nie wyszedł do przyjazdu policji. – Kiedy wyszli z Noahem, spojrzała na Coopa. – Nie mam pojęcia, jak ci to wynagrodzić.

Piper miała kilka pomysłów, ale żaden nie przypadł jej do gustu.

Coop usiadł za kierownicą sonaty i ruszył w stronę klubu.

– Jakim cudem zdobyłaś jego komputer?

Piper odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła ozy. Słowa cisnęły jej się na usta, emocje buzowały, myśli i uczucia tak sprzeczne, tak bolesne, że nie mogła dać im ujścia.

– Pogadamy, kiedy się prześpię.

– Muszę to wiedzieć.

– Mówię poważnie, Coop. Nie spałam od soboty. Muszę odpocząć.

– Dobrze. Jutro przez prawie cały dzień mam spotkania z prawnikami, ale przyjadę po ciebie o piątej.

Otworzyła szeroko oczy.

– Ile ty masz lat? Osiemdziesiąt? Kto o tej porze umawia się na kolację?

– Niewyspana jesteś jeszcze bardziej wredna.

– Wszystko jasne. Klub seniora o piątej.

– Piąta oznacza tylko, że chcę mieć mnóstwo czasu, żeby cię upić.

– W takim razie… – Znowu zamknęła oczy.

Następnego dnia policja wydała oświadczenie, że Coopa oskarżono fałszywie. Nazwisko Noaha nie padło, była tylko mowa o kimś, kto „żywił urazę do byłego gwiazdora Starsów". W południe już wszystkie lokalne stacje telewizyjne pokazywały zdjęcia Ellen Englley w kapturze naciągniętym na oczy, gdy usiłowała uniknąć obiektywów dziennikarzy. Piper z obrzydzeniem patrzyła na ekran. Kochanka Noaha pewnie trafi do jakiegoś reality show.

O trzeciej prawnik Coopa wygłosił oświadczenie dla prasy, z którego Piper dowiedziała się między innymi, że Coop od lat jest członkiem zespołu zawodników NFL walczących z przemocą seksualną. Adwokat odczytał jego apel o negatywnym wpływie fałszywych oskarżeń na ofiary prawdziwej przemocy. I jak mogłaby go nie chronić?

Zadzwonił Eric z deprymującą wiadomością – Noah Parks ma niepodważalne alibi na czas napaści na Coopa i moment wypadku Karah. Piper podejrzewała, że Noah zlecił pobicie Coopa, ale miała nadzieję, że siedział za kierownicą samochodu, który zepchnął z drogi audi. Jeśli policja nie zdobędzie żadnych innych dowodów, Noah wywinie się od odpowiedzialności.

Zmusiła się, by myśleć tylko o pomarańczowo-złotej sukience z długim rękawem, którą wygrzebała z dna szafy. Ostatni raz miała ją na sobie na ślubie koleżanki ze studiów kilka lat temu. Dekolt w łódkę odsłaniał jej długą szyję i obojczyki. Rzadko zawracała sobie głowę takimi drobiazgami, ale dzisiaj chciała ładnie wyglądać.

Coop zamienił nieśmiertelne dżinsy i kowbojki na białą koszulę, szare spodnie i o ton ciemniejszą marynarkę, która leżała na nim, jakby się w niej urodził. Na jej widok w jego oczach błysnęło uznanie.

– A niech mnie, Piper, ty naprawdę potrafisz wyglądać jak kobieta.

– Mówiłam ci, że potrafię – odparła. – Dokąd idziemy?

– Najpierw drinki. Znam nowy wspaniały lokal.

– Ludzie się na ciebie rzucą.

– Nie zawracaj sobie tym głowy.

Miał rację. Nowy wspaniały lokal znajdował się bezpośrednio pod nimi, co tłumaczyło wczesną godzinę spotkania.

Choć klub otwierał podwoje dopiero za cztery godziny, miękkie światło już spowijało sześcienne stoliki, a pręty nad barem mieniły się jak złote stalaktyty. Obite skórą kanapy zachęcały, żeby usiąść, w tle cicho grała muzyka. Poza nimi w klubie nie było nikogo.

Coop stanął za barem.

– Mamy trzy godziny do przyjścia personelu – powiedział. – Na razie klub jest zamknięty, wyraźnie zaznaczyłem, że do ósmej nikt nie może tu wejść.

– Zostanie mało czasu do otwarcia.

– Dadzą sobie radę. – Otworzył butelkę bardzo drogiego caberneta i napełnił dwa kieliszki.

– Przepraszam, że nie grałam drużynowo – zaczęła, siadając na wysokim barowym stołku. – Ale nie było cię w pobliżu, żebym mogła to skonsultować.

– Wybaczam ci.

Uniosła kieliszek w toaście.

– Za niewinność.

– Nie w tej sukience.

Głęboki dekolt odsłaniał jej obojczyki, choć reszta sukienki była bardzo obcisła.

– Miałam na myśli ciebie.

– Wiem – uśmiechnął się. – Jak się domyśliłaś?

Opowiedziała mu o tablicy rejestracyjnej Noaha.

– Niewiele na początek.

– No i intuicja. Cały czas trzymał się koło Deidre, pilnował jej, w jego zachowaniu było coś osobistego, coś więcej niż profesjonalizm.

Oparł się o kontuar i posłał jej jedno z tych swoich spojrzeń, które przenikają człowieka na wskroś.

– Jakim cudem zdobyłaś jego komputer?

Poruszył temat, którego najbardziej chciała uniknąć.

– Nielegalnie. – Wbiła wzrok w kieliszek. – Przestaję szanować samą siebie. Staję się kimś do tego stopnia skoncentrowanym na celu, że nie zwraca uwagi na to, jak do niego dąży.

– To się nazywa pasja.

Ona była innego zdania. Jej zdaniem to brak zasad.

Coop obserwował, jak sączy wino. Nie była szczęśliwa, a powinna. Bardzo tego chciał.

Wyjął z lodówki półmisek wędlin, serów, oliwek i innych przekąsek i postawił na pierwszym z brzegu stoliku. Piper wzięła kieliszki z winem i ruszyła za nim na obcasach, których nie znosiła. Ani przez chwilę nie wierzyła, że kogoś zgwałcił. Irytowała się, kiedy wracał do tego tematu – jakby marnował jej czas, w ogóle o tym mówiąc. Jeszcze nikt nie darzył go takim zaufaniem. I co, do licha, zrobić z taką kobietą?

Usiadła na kanapie i sukienka przesunęła jej się wysoko na uda, na tyle wysoko, że urwał mu się wątek. Nawet bez tuszu, którego dzisiaj użyła, jej rzęsy były długie i gęste, a lśniące cynamonowe usta zdawały się prosić o pocałunki. Najbardziej podobała mu się nieumalowana, ale jednocześnie cieszyło go, że wyszykowała się specjalnie dla niego.

– Bardzo uroczyście – zauważyła.

– Bo to jest uroczystość. – Zaryzykowała dla niego utratę licencji i ta świadomość dręczyła go jeszcze bardziej niż myśl, że ktoś inny rozwiązuje za niego jego problem.

– Nie wydajesz się szczęśliwy – mruknęła.

– Jestem bardzo szczęśliwy.

– Więc skąd ten grymas?

– Bo staram się nie zachować jak zwierzę, na co mam ochotę, kiedy sobie wyobrażam, co masz pod tą sukienką. Nie jestem z siebie dumny.

Uśmiechnęła się.

Odstawił kieliszek.

– Zatańczmy.

– Naprawdę?

– Czemu nie?

Wzięła go za rękę i wysunęła się zza stołu. Poprowadził ją na parkiet. Dziwnie się poczuł na myśl, że po raz pierwszy we własnym klubie tańczy wyłącznie dla przyjemności.

Bo też to naprawdę była przyjemność. Doskonałość, z jaką jej ciało wpasowało się w jego kształty, była aż bolesna. Żałował, że kiedy nastawiał muzykę, nie zrezygnował z sentymentalnej ballady Eda Sheerana. Z drugiej strony, idealnie pasowała do jego nastroju.

– Dziwne – mruknęła, oparła się czołem o jego brodę i wtuliła w niego jeszcze bardziej.

– Ależ z ciebie romantyczka.

Roześmiała się. Właściwie czemu zamartwiał się, że ją zwodzi? Zawsze twardo stąpała po ziemi, choć jednocześnie głowę miała wysoko w chmurach.

Tańczyli w milczeniu, trzymając się za ręce, ciało przy ciele, oddech przy oddechu. Ed Sheeran skończył, Etta James zaczęła śpiewać *At Last*. Zaciągnął ją z powrotem do stołu.

Skubała przekąski, małymi kęsami, jak to ona. Musiał jej powiedzieć, ile dla niego znaczy jej wiara w niego, ale zamiast tego poprosił, żeby opowiedziała mu po kolei, co robiła od chwili, gdy zabrała go policja, aż do spotkania z Deidre.

– Zacznę od najlepszego. – Opowiedziała, jak odnalazła mężczyznę, którego pani Berkovitz uważała za zmarłego męża.

– Niewiarygodne – mruknął, kiedy skończyła. – Ile ci za to zapłaciła?

– Dwieście dolarów. Chciałam zaprosić ją na kolację. Teraz chyba zaproszę oboje.

– Masz dobre serce, Piper Dove.

Nabiła kawałek sera na wykałaczkę.

– I wątpliwej jakości zasady moralne.

Wstał, wyjął z barku butelkę caberneta.

– No, mów. Wal śmiało.

– Nie chcę.

– Aż tak źle?

– Zależy, co sądzisz o włamaniu. Poza tym okłamałam tę dziewczynę, która cię oskarżała, kiedy mówiłam o przelewie, choć akurat z tego powodu nie mam wyrzutów sumienia. Dalej, ten pierścień…

Postawił butelkę na stole.

– Nie wydaje ci się, że trochę za surowo się oceniasz?

– Bo co? Cel uświęca środki? Chciałabym tak uważać, ale nie mogę.

– Piper, walczysz o wszystko. Taka już jesteś. – Taką cię uczynił Duke Dove.

Uśmiechnęła się sztucznie.

– Koniec z depresyjną gadką. Opowiedz, jak było w więzieniu. Ktoś cię podrywał?

– Siedziałem w sali konferencyjnej pełnej gliniarzy, którzy chcieli usłyszeć wszystko o zeszłorocznym finale Super Bowl. Więc nie.

– Szkoda.

Wsunął jej oliwkę do ust.

Rozległa się szybsza muzyka. Wrócili na parkiet. Wkrótce Piper zrzuciła pantofle na obcasach, a Coop pozbył się marynarki. Muzyka była coraz bardziej zmysłowa; ich taniec także. Pharrell, Rihanna, Bowie, Beyoncé. Piper na palcach, ocierająca się o niego tym swoim cudownym tyłeczkiem. Kołysze biodrami, odwraca się do niego, zarumieniona, ze zmrużonymi oczami. Porusza pośladkami… jeśli nie przestanie, skończy się jak za ich pierwszym razem, więc złapał ją za ramiona i przycisnął do ściany.

Pocałował ją. W usta. Jeszcze raz i jeszcze – usta, szyja, znowu usta. Długo, przeciągle, głęboko. Pieścili się, jakby bali się posunąć dalej. Pochłaniali się wzajemnie. Ubrania lepiące się do skóry. I piosenka za piosenką.

Marvin Gaye… *Let's get it on…*

Missy Elliott… *Let me work it…*

Całowali się bez przerwy. Pieszczoty po wsze czasy.

Przez całą noc… Całą noc.

Skraj jej sukienki w jego dłoniach, powyżej talii. Klamra jego paska pod jej palcami.

Teraz… zaraz…

Majteczki. Suwak. Wełna i nylon na parkiecie.

Pod ścianą. W holu. Gorąco.

Swobodne spadanie.

Jej uda na jego biodrach. Jej pośladki w jego dłoniach. Wilgoć pod jego palcami. W niej.

Dalej, dalej, dalej.

Głębiej.

Tak, właśnie tak.

Tak…

Dzianinowa sukienka przetrwała tę cudowną napaść, ale majteczki nie, a ponieważ dziwnie się czuła, mając na sobie stanik bez majtek, zdjęła go także i włożyła sukienkę na gołe ciało. Uniosła dłoń do ust. Opuchnięte. Jutro będzie obolała, i to nie tylko chodzi o usta.

Szczękała zębami, nogi się pod nią uginały. Osunęła się na sofę w damskiej łazience.

Spotkała ją najgorsza rzecz na świecie.

Rozdział 20

Kochała go. Głupio, bez pamięci, zakochała się w Cooperze Grahamie. Było mnóstwo sygnałów ostrzegawczych – dreszcz, który ją przenikał, ilekroć go widziała; radość, którą czuła, ilekroć udało jej się go rozbawić; zasady, które dla niego łamała. Jakim cudem od razu nie zidentyfikowała tej burzy uczuć, która dopadała ją w najmniej odpowiednim momencie?

Oszołomiona, zwiesiła głowę między kolana i zrobiło się jeszcze gorzej. Wszystko miała jak na dłoni, tylko po prostu sama nie chciała tego dostrzec. Wydawało jej się, że jest odporna na miłość. I może nawet była. Odporna na miłość do każdego mężczyzny poza Cooperem Grahamem. Dopiero kiedy zobaczyła go w kajdankach, jej serce, przez wiele lat zamknięte na klucz, stanęło otworem. Do tej pory nie wiedziała nawet, że je ma. Do tej pory.

Zmusiła się, by usiąść prosto. Przecież nie wierzy w miłość. Nie umie kochać. Jak może stąd wyjść i udawać, że wszystko jest po staremu? Jest bystry, czyta w niej jak w książce. Zaraz wyczyta wszystko z jej twarzy. A jeśli zobaczy, że… Będzie dobry. Taki cholernie dobry.

Upływały minuty. Lada chwila zajrzy i zapyta, co się z nią dzieje. Nie mogła się tu chować bez końca, więc wstała. Był tylko jeden sposób, żeby wyjść z tego z twarzą. Żeby uniknąć jego litości i współczucia.

Musi stąd wyjść i z nim zerwać.

Wyszedł z kuchni. Jego usta były tak samo opuchnięte jak jej. Ugryzła go? Byle jak ułożył sztućce na stoliku i postawił talerze sałatki z rukoli i jabłek. Na pewno sam jej nie zrobił.

– Risotto z homarem. Prosto z piekarnika. Bardzo smakowite. – Omiótł ją spojrzeniem. – Jak ty.

Dreszcz, który ją przeszył, zdradzał, jak bardzo jest wrażliwa. Opadła na kanapę.

Zmuszała się do jedzenia, chociaż to było jeszcze trudniejsze, niż udawać, że nic się nie zmieniło.

– Świetnie gotujesz – mruknęła.

Wiedziała, a Coop wiedział, że ona wie, że niczego sam nie przygotował, ale wszedł w rolę.

– Skaleczyłem się, walcząc z homarem.

– Wielcy kucharze muszą się z tym liczyć.

Uśmiechnął się. Zabrała się do jedzenia. Było smakowite, jak powiedział. Z serem i homarem, który, jak się obawiała, może stanąć jej w gardle. Rozmawiali, czy raczej Coop mówił, analizował całą sprawę z Parksem. W końcu powiedziała mu, jak zdobyła jego laptop, ale nawet to nie było takie trudne jak to, co dopiero miała mu powiedzieć. W końcu przestała udawać, że je.

– Nie smakuje ci? – zapytał.

– W ciąży nie ma się apetytu.

Upuścił widelec. Przerażenie na jego twarzy zdradzało, że za bardzo się stara zachowywać normalnie.

– Żartuję – dodała.

– Mało śmieszne! – ryknął.

– Wiesz, że w stresie zaczynam głupkowato dowcipkować.

– Mam w nosie, czy to stres, czy nie. Nigdy więcej nie żartuj na temat… Czemu właściwie się stresujesz?

Może powinna chwilę z tym poczekać. Kilka dni… tygodni… Perspektywa równie kusząca jak słowa węża w raju, i równie niebezpieczna. Musi załatwić to szybko. Raz, a dobrze. Być równie bezwzględna wobec samej siebie jak Duke, gdy płakała nad rozbitym kolanem czy przebitym balonikiem. Jest córką swojego ojca, może nie? Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Tym, że z tobą zrywam.

– Akurat.

Wytłumacz mu logicznie. Logika do facetów przemawia.

– Moje zadanie skończone. Wreszcie mam trochę pieniędzy na koncie. Ba, mam nawet gdzie mieszkać.

– I tak masz gdzie mieszkać.

– Coś lepszego. Amber za kilka dni wyjeżdża z chórem na tournée, wraca dopiero w grudniu, więc zamieszkam u niej. – Nie rozmawiała z nią jeszcze. W ogóle o tym nie myślała, w tej chwili wpadła na ten pomysł.

Mars na jego czole pogłębił się.

– Niepotrzebnie.

– Zrobiłam to, po co mnie zatrudniłeś.

– Co nie ma nic wspólnego z nami.

Przełknęła gulę w gardle.

– Oczywiście, że ma. Koniec roboty i koniec z nami.

Zacisnął pięść.

– Co ty opowiadasz? Oboje świetnie się bawimy. Seks jest boski. Chcę z tobą być.

– Teraz.

– I co w tym złego?

Jej serce rozpadało się na kawałki.

– Z twojego punktu widzenia oczywiście nic. Z mojego – sporo. – Ledwie dotknęła prawdy. – Nie nadaję się do twojego świata. Nie tam jest moje miejsce. Ja jestem dziewczyną z Chicago, a ty gwiazdą – uśmiechnęła się. – Gwiazdą ze Starsów, że tak powiem.

– Bzdura – prychnął. – Wiem już, jak postrzegasz świat, więc wiem, że nie czekasz na pierścionek zaręczynowy.

Sposób, w jaki to powiedział, był jak cios w serce. Nie jest romantyczna, nie, nie, nie. Nie chciała pierścionków i welonów. To nie w jej stylu. A to, jak nonszalancko zbył wszelką nadzieją na przyszłość, bolało niewyobrażalnie.

Musi być twarda. Taka już jest, tego się po niej spodziewał. Z trudem zaczerpnęła tchu.

– Jeszcze nigdy kobieta nie rzuciła cię pierwsza, prawda?

– Kto tu mówi o rzucaniu?

– Czyli nie, zawsze ty odchodziłeś. Nie wiesz, jak się zachować w innej sytuacji. Nie rozumiesz? Nie chodzi o mnie czy o nasz związek. Chodzi o ciebie, o to, że zawsze musisz wygrywać. – Powiedziała prawdę i może nawet Coop to wiedział, bo od razu się najeżył.

– Nie baw się w terapeutkę.

– Robię to dla twojego dobra. I tak, owszem, zrywam z tobą.

Zacisnął usta w wąską linię.

– Tchórz z ciebie, Piper Dove. W życiu się nie spodziewałem, że ci to zarzucę, ale uciekasz na samą myśl o nas. Pryskasz jak wystraszona nastolatka.

Fakt. Ale nie miała innego wyjścia, bo stawką w tej grze jest jej emocjonalna równowaga.

– Nie uciekam, jestem pragmatyczna. Ty i ja to dwa różne światy, Coop. Czas, żebym wróciła do swojego, a ty żył dalej w swoim.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak.

Wstał, rzucił serwetkę.

– Niech cię szlag – wycedził lodowatym głosem.

Coop pobiegł na górę do kantorka. Co ona wyprawia? Mieli dzisiaj świętować. Chciał sprawić jej niespodziankę i poprosić, żeby z nim zamieszkała. Jeszcze nigdy nie prosił o to żadnej kobiety. A ona co? Wszystko zepsuła.

Cała Piper Dove, wziąć prostą sprawę i zrobić z niej wielki chaos. Świetnie się razem bawili. Podobnie postrzegali życie. Co w tym takiego trudnego? A ona, zamiast docenić to, co mieli, musiała wszystko zepsuć.

Co do jednego miała rację, fakt. Nie znosił przegrywać. Zwłaszcza bez powodu. Podjął decyzję. Przez kilka dni będzie ją ignorował, niech zatęskni za tym, co mieli. Potraktuje ją surowo. Twardo. Bo twardość do niej przemawia.

Ostatnie cztery noce w klubie to było istne piekło, ale obiecała Tony'emu, że zostanie do końca tygodnia, i chciała dotrzymać słowa. Historia fałszywego oskarżenia rozniosła się głosnym echem w mediach i klub noc w noc pękał w szwach. A gdziekolwiek spojrzała, wszędzie był Coop.

Aż nadeszła sobota. Ostatni wieczór. W efekcie zamieszania ostatnich dni Coop sam na parkiecie to już przeszłość. Jonah ustalił z brakarzami, że jeden z nich zawsze będzie w jego pobliżu.

Do tego wieczoru Piper wykręcała się od pilnowania Coopa, bo jako jedyna kobieta w ochronie i bez tego miała pełne ręce roboty. Niestety, w sobotę Ernie się rozchorował i musiała go zastąpić.

Coop ułatwiał jej zadanie – zachowywał się, jakby w ogóle jej nie zauważał. Był chodzącym dowodem na to, co już o nim wiedziała – nie znosił przegrywać. Brakowało jej jego bliskości tak bardzo, że czuła fizyczny ból. Tęskniła za czułymi spojrzeniami, za żartami, które tylko im wydawały się śmieszne. To wszystko zniknęło.

Tej nocy po raz ostatni miała nocować nad klubem. Amber była zachwycona, że ktoś zajmie się jej mieszkaniem. Piper miała się wprowadzić następnego dnia. Jutro ten rozdział jej życia będzie zamknięty. Najgorszy rozdział.

Najlepszy.

Obserwowała długowłose blondynki, cisnące się do niego, żeby znowu umazać mu koszulę szminką, gdy Jonah dotknął jej barku.

– Przejmujesz Coopa. – Zerknął na niego. – A właściwie jak to z wami jest? Od tygodnia w ogóle nie rozmawiacie.

Odchodziła z klubu, Coop zostawał. Musiała zrobić to, co należy.

– Coop mnie rzucił. Oczywiście bardzo uprzejmie. To prawdziwy dżentelmen.

– No co ty? Myślałem, że będziecie razem o wiele dłużej.

– Spokojnie, tak musiało być. Lepiej wcześniej niż później.

Jonah niezgrabnie poklepał ją po plecach. Choć to kretyn, nie wiadomo kiedy polubiła go.

Kilka minut po jego wyjściu goście zaczęli napierać na Coopa i musiała wkroczyć do akcji.

– Proszę odrobinę miejsca.

Większość gości nie sprawiała kłopotów, a ci nieliczni, którymi musiała się zająć, byli zwyczajnie pijani i radziła sobie z nimi szybko. Dobrze, że nikt jej nie zaczepiał, bo potrzebowała ujścia dla

buzujących w niej emocji. Jeszcze tylko kilka godzin…

Koleś w czapeczce z daszkiem i swetrze z dekoltem w serek przyczepił się do Coopa. Czuła, jak narasta w niej wściekłość, gdy słuchała, jak kretyn opisuje każde nieudane podanie Coopa i każdą za późno rzuconą piłkę. Coop przywykł do takich sytuacji i świetnie sobie radził. Czego nie można powiedzieć o niej. Kiedy koleś zaczął dowodzić, że Coop był fatalnym kapitanem drużyny, buzujące w niej emocje znalazły w końcu ujście. Wybuchła. Wcisnęła się między jego kumpli, wspięła na palce, choć była w szpilkach, i złapała go za poły swetra.

– Odwal się, dupku, bo inaczej rozwalę ci łeb. Jasne?

Coop uniósł brwi. Koleś zamrugał zdumiony. Nadrabiał miną.

– Tak? I kto to mówi?

– Moja ochrona – odparł Coop spokojnie. – Lepiej jej nie drażnij.

Koleś postanowił się wycofać.

– Na co komu taki klub do bani?

Bryan szybko wyprowadził go na zewnątrz. Coop popatrzył na nią gniewnie.

– Świetnie rozegrane.

– Zdenerwował mnie.

– Daruj sobie.

Nie mogła tego dłużej wytrzymać. Odeszła. Za godzinę będzie po wszystkim.

Zajrzała do damskiej łazienki i do VIP roomu. Wszystko w porządku. Kiedy w końcu wróciła na dół, natknęła się na grupkę mężczyzn wokół Coopa, przy schodach na antresolę. Jeden z nich, głośny typ z żelem we włosach, stał koło Coopa i opowiadał coś, gestykulując z przejęciem.

– Ty i ja, Coop. Obaj wiemy, jak to jest. Mnie też jedna chciała wrobić. Tak samo jak ciebie.

– Coś takiego. – Coop odwrócił się.

Typ jeszcze nie skończył.

– Sama się prosiła. Chciała tego. Wszyscy to widzieli.

I wtedy idiota popełnił błąd i złapał Coopa za ramię. Coop odwrócił się i bez ostrzeżenia jego pięść trafiła w szczękę typa, który zatoczył się na innych gości.

Cholera. Piper wkroczyła do akcji. Typ upadł na kolana. Chwycił się za szczękę. Uklękła koło niego i spojrzała na faceta, z którym zerwała.

– Świetnie rozegrane, Coop.

Łypnął na nią i odpowiedział:

– Zdenerwował mnie.

Był wściekły, a i tak miała ochotę go uściskać. Za wszystkie kobiety, które mówiły prawdę, ale nikt im nie uwierzył.

W końcu wybiła trzecia. Piper zdjęła pantofle na obcasie i poczłapała na górę, by po raz ostatni przespać się w mieszkanku nad klubem. Już jutro będzie spała w podwójnym łożu Amber, pod plakatem z *Aidy*.

Rozebrała się, włożyła zwykłą brązową koszulkę i majtki. Zerknęła przez okno. Samochód Coopa zniknął, zaułek był pusty. Równie pusty jak jej serce.

Weszła do zbyt obszernej sypialni i wbiła wzrok w sufit. Postąpiła słusznie. Bardzo cierpiała, ale gdyby została z nim dłużej i musiała ukrywać, jak bardzo jej zależy, cierpiałaby jeszcze bardziej.

W końcu zapadła w niespokojny sen. Dręczyły ją koszmary – dziwaczne postacie z twarzami klaunów, kalosze i selfie-sticks. Gonili ją przez szkarłatną dżunglę, gdzie ze słupów telefonicznych zwisały martwe kobiety. Chciała krzyknąć, ale nie mogła nabrać tchu. Miotała się, uciekała. Gdziekolwiek. Byle dalej.

Obudziła się gwałtownie. Było jeszcze ciemno. Koszulka przywarła jej do pleców, przez sen ośliniła

poduszkę. To tylko sen… Tylko sen…

Ktoś stał w progu. Ciemna postać. Z jej gardła wydobyło się ochrypłe pytanie:

– Coop?

Rzucił się do łóżka.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. W jednej chwili tkwiła w koszmarze sennym, w następnej – rzucił się na nią mężczyzna. I to nie Coop.

Wrzasnęła.

– Zamknij się! – Złapał ją za ramię. Potrząsnął.

Chciała walczyć, ale krępowała ją pościel. Potrząsał nią tak mocno, że zabolał ją kark. Wyswobodziła rękę, rozorała mu twarz paznokciami. Uderzył ją, aż zadzwoniło jej w uszach. Walczyli rozpaczliwie. Ciszę przerywało tylko jej sapanie, ale i ono ucichło, gdy zacisnął dłonie na jej szyi.

Ktoś zapalił górne światło.

Nacisk na jej tchawicę zelżał, mężczyzna drgnął, odwrócił się. Piper przetoczyła się na drugą stronę łóżka i jednocześnie wyswobodziła się z krępującego ruchy prześcieradła. Upadła na podłogę. Chwilę później klęczała, mrugając szybko, oślepiona ostrym światłem.

W progu stała Jada z karabinem na pianki u boku i wpatrywała się w napastnika, którego Piper widziała po raz pierwszy w życiu.

– Hank? – Głos nastolatki zadrżał.

Miał ogoloną na łyso głowę i pistolet, dziewięciomilimetrową barettę. I celował w Jadę.

A potem w Piper.

Skrzywił się. Był potężny, umięśniony. Kiedyś pewnie był przystojny, ale nienawiść wykrzywiła mu twarz w maskę gniewu.

– Co jest, do cholery? Gdzie Karah? Czemu jej tu nie ma?

Jada pisnęła coś w holu. Podbiegł do przeciwległej ściany, żeby mieć je obie w zasięgu strzału. Pomylił mieszkania. Szukał Karah.

– Nie… nie ma jej tu – wykrztusiła Piper. – Jada jest ze mną.

Wycelował pistolet w Jadę.

– A gdzie jest?

Piper modliła się, żeby Jada nie wypaplała, że matka śpi w sąsiednim mieszkaniu.

– Ja… nie wiem – szlochała dziewczyna.

– Nie kłam, suko.

– Jest na… dwudniowym seminarium – wykrztusiła Piper. – Ze studiów. A teraz idź już sobie!

– Kłamiesz. – Ociekał potem, był czerwony na twarzy, może łyknął metamfetaminę. – Jest z Grahamem. Pieprzy się z tym skurwysynem. – Skinął pistoletem na Piper. – Podejdź do niej.

Ostrożnie szła w stronę dziewczyny. Jada stała nieruchomo, bezużyteczny karabin na pianki osunął się na podłogę. Piper objęła ją ramieniem. Oby tylko Karah się nie obudziła.

– Karah tu nie ma. Idź już. Zostaw nas.

– Zapłaci za to, że jest dziwką. Musi za to zapłacić.

– Nikt nie musi za nic płacić – powiedziała Piper. – Idź już.

– Pewnie, chcecie, żebym zniknął. Żebym zapomniał, co mi zrobiła.

– To już przeszłość. Daruj sobie.

Podszedł bliżej. Patrzył na Jadę.

– Proszę, proszę, jej mała królewna. Już nie taka mała.

Piper poczuła na plecach zimne palce strachu. A potem usłyszała szczęk otwieranych drzwi. Karah. Ten szaleniec ją zabije. Może Jadę także.

Nigdy w życiu nie czuła się równie bezradna. Glock leżał w bagażniku samochodu, a wszystkie sztuki walki tego świata nie zdadzą się na nic, dopóki celował w Jadę.

Ale to nie głos Karah niósł się echem po saloniku. W progu stanął Coop i jej przerażenie sięgnęło zenitu.

– Nie mogłem spać – powiedział.

Hank złapał Jadę, przycisnął jej lufę do skroni i skinął głową na Piper, wskazując drzwi sypialni.

Coop znieruchomiał, gdy ich zobaczył. Piper, Jada i Hanka.

– Coop… – zaszlochała przerażona nastolatka.

– Szuka Karah. – Piper zrobiła krok w przód i pistolet w dłoni Hanka znalazł się przy jej głowie.

– Ani kroku dalej, bo rozwalę ci łeb!

Lufa wciskała się w jej skroń. Starała się ignorować szloch Jady, walczyła z paraliżującym ją strachem. Wbiła wzrok w Coopa.

Grać na drużynę.

– Odłóż broń – odezwał się niskim, gardłowym głosem.

– Przyszedłeś po swoją dziwkę? – wycedził Hank.

– Ma na myśli Karah, nie mnie – uściśliła Piper.

Coop o nic nie pytał. Grał taktycznie, mecz dobiegał końca, zostały jeszcze tylko sekundy.

– Odłóż broń. – Jego usta prawie się nie poruszały.

– A niby dlaczego? – Hank mocniej docisnął lufę do skroni Piper. – Ukarzę ją. Zostawiła mnie i pobiegła do ciebie z zadartą spódnicą.

– Karah i mnie nic nie łączy i nie łączyło – zapewnił Coop.

– Kłamiesz! Tak samo jak ona!

– Niby dlaczego miałbym cię okłamywać? – Coop był spokojny, wyluzowany, nie licząc czujnego spojrzenia i drgającego mięśnia w żuchwie.

Nagle Hank przestał mierzyć w Piper i ponownie wbił lufę w skroń Jady. Dziewczyna pisnęła.

– Miałem odstrzelić głowę Karah, ale to za mało. Uderzę tam, gdzie zaboli najbardziej. – Przejechał dłonią po szyi Jady. – Najpierw rozwalę jej małą.

Jada dostała mdłości. Jej ciałem wstrząsały torsje.

Piper czuła, jak między jej piersiami spływa strużka potu. Była cała mokra, serce waliło jej jak oszalałe.

– Dlaczego sądzisz, że Coop i Karah są kochankami? – Mówić cokolwiek, byle co. – Coop to mój kochanek. Od bardzo dawna. Nie tylko kochanek. Łączy nas coś więcej. Kochamy się. – Paplała bez przerwy. Grała na zwłokę. Wszytko, byle nie myślał o pistolecie przyciśniętym do skroni Jady. – Karah wcale mu się nie podoba. Nabija się z niej za jej plecami.

– Kłamiesz.

Kątem oka widziała, że Coop się rusza. Powoli. Ćwierć kroku w lewo. Mówiła dalej:

– Sam wiesz, jaka jest do niczego. Ty to wiesz najlepiej. Nie umie nawet zadbać o Jadę, o własną córkę. Dlatego ja się nią opiekuję. Bo wiesz, Karah jej nienawidzi. – Coop zrobił kolejny krok. Drużyna. Graj na drużynę. – Naprawdę ci na kimś takim zależy? Mówiła, że nigdy nie chciała być matką. Że Jada komplikuje jej życie. Że przez nią nie jest wolna.

Jada zaszlochała, głośno, przejmująco. Hank drgnął. Coop skoczył. Długie ciało wyprężone w ataku. Wylądował. I powalił napastnika najlepszym skokiem w swojej karierze. Zakazanym na boisku atakiem, od którego ugięły się pod nią kolana, a pokój zadrżał w posadach.

Piper porwała Jadę i zasłoniła własnym ciałem, gdy padł strzał.

Rozdział 21

Piper bała się unieść głowę, żeby nie odsłonić nawet skrawka ciała dziewczyny. Sekundy ciągnęły się koszmarnie wolno. Czy Coop żyje? Boże, niech się okaże, że to Hank oberwał. Albo ściana. Albo podłoga. Tylko nie Coop. Coop musi żyć. Musi żyć, bo ona go kocha, kocha całym sercem. Musi żyć.

Musi!

Stłumiony kobiecy krzyk. Nie ona. Nie Jada. Karah.

– Ty suko! – Ryk Hanka zmroził ją do szpiku kości.

Soczyste przekleństwo od strony Coopa.

Żyje!

Jada drgnęła pod Piper. Gdzie broń? Musi przejąć broń. Odwróciła głowę.

Coop przyciskał Hanka do podłogi. Krew.

Piper zsunęła się z Jady i rzuciła się po broń. Po chwili klęczała z pistoletem w dłoniach. Karah stała w drzwiach z ustami otwartymi z przerażenia. Piper krzyknęła do niej, żeby wezwała policję.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Coop złapał Hanka za gardło i cisnął nim o ścianę. Bił go, aż napastnik nieprzytomny osunął się na ziemię.

Jada chwyciła karabin na pianki. Szlochając głośno, podbiegła do Hanka i w wpakowała w nieruchomą postać całą serię piankowych kul.

Piper najpierw zobaczyła na ścianie krwawą smugę, dopiero później coś znacznie gorszego. Czerwoną plamę na wełnianej marynarce Coopa.

Ratownicy medyczni musieli ją siłą powstrzymywać, żeby nie wsiadła z nim do karetki. Wskoczyła do sonaty i pojechała za ambulansem. Miała w nosie ograniczenia prędkości, myślała tylko o jednym – czy kula uszkodziła ważne narządy. W szpitalu nie odstępowała go ani na chwilę.

Kula weszła i wyszła bokiem. Dobrze. Nie doszło do uszkodzenia żadnych ważnych organów. Jeszcze lepiej. Ale Coop był ranny. A to straszne, nie do pomyślenia.

Czuwała przy jego łóżku, mierzyła groźnym wzrokiem każdego lekarza, pielęgniarkę i sanitariusza, którzy do niego podchodzili. Chciała nawet iść z nim na prześwietlenie, ale wtedy zagrozili, że wezwą ochronę.

Coop był cały czas przytomny, ale nie próbował jej uspokoić, tylko obserwował ją ze zdumieniem.

Kiedy go badano, w jej głowie wszystko zaczęło się układać. Myślała, że miał tylko jednego wroga, Noaha Parksa, i to był jej błąd. Noah miał niejedno na sumieniu – karaluchy w Spiral i internetowe ataki na klub, dron, oskarżenie o gwałt. Natomiast za całą resztę odpowiedzialny był były chłopak Karah, chorobliwie zazdrosny Hank. Wmówił sobie, że Karah i Coop są kochankami. I to on pobił Coopa tamtej nocy po powrocie z Kanady. To on przeciął mu opony. Domyślała się także, że wiedział, kto tamtego

wieczoru siedział za kierownicą audi, i uznał, że skoro on nie może mieć Karah, żaden mężczyzna jej nie dostanie. Dlatego usiłował zepchnąć ją z drogi.

To wszystko powiedziała policjantom. Starała się nie myśleć, co by było z Karah i Jadą, gdyby Hank nie pomylił mieszkań. Co byłoby z nimi wszystkimi, gdyby Coop nie przyszedł.

Dopiero o ósmej rano zadzwoniła do Heatha, który wpadł do szpitala zaledwie pół godziny później, blady jak ściana. Zadawał szybkie, konkretne pytania, a gdy się upewnił, że Cooperowi nic nie będzie, odetchnął z ulgą. Spojrzał na Coopa na szpitalnym łóżku.

– Gustowna koszula nocna – zauważył.

– Daj mu spokój! – warknęła Piper.

Coop i Heath wymienili znaczące spojrzenia, ale zignorowała to. W tej chwili nikt nie będzie zawracał mu głowy.

Później zadzwoniła do Karah i Jady. Hank trafił do aresztu pod zarzutem usiłowania zabójstwa i kilku innych przestępstw. Karah oczywiście obwiniała się o wszystko.

– Kiedy zaczęłam się z nim spotykać, był uroczy, a gdy w końcu dotarło do mnie, że coś z nim jest nie tak, było za późno. Dlatego wyjechałam z Saint Louis. Żeby przed nim uciec. Nie przyszło mi do głowy, że za nami pojedzie.

Piper pocieszała ją, jak umiała, a potem rozmawiała z Jadą – o wiele spokojniej.

– Mama chce mnie wysłać na terapię, na wszelki wypadek, żeby się upewnić, że po tym wszystkim mi nie odbije, chociaż ja bardzo w to wątpię. Ale wiesz co? Kiedy policjanci w końcu poszli, zabrała mnie na naleśniki. Tyle się działo, że straciłam czujność i Clara mnie zastrzeliła. Nie żyję.

– O rany. Przykro mi.

– No wiem. Myślałam, że bardziej mnie to zaboli, ale w sumie w porządku, bo zabiła mnie Clara i teraz się chyba kumplujemy.

– Mimo wszystko szkoda.

– Właściwie tak, ale widać było, że jej głupio z tego powodu, a poza tym potrzebuje tych pieniędzy jeszcze bardziej niż ja, więc powiedziałam, że nic nie szkodzi. Umówiłyśmy się na jutro, będziemy razem pisać ten referat o dzieciach w seksbiznesie. Najlepsze, że już nie muszę wszędzie chodzić z tym idiotycznym karabinem na pianki.

Lekarze puścili mimo uszu protesty Coopera i uparli się, że na noc zostanie w szpitalu. Coop wykopał Heatha, ale chyba chciał, żeby Piper została. Zresztą nie pozbyliby się jej żadnym sposobem.

Co prawda sanitariusz, który przewoził Coopa z sali operacyjnej do pokoju, wydawał się sympatyczny, ale Piper na wszelki wypadek cały czas trzymała się w pobliżu podczas długiej podróży windą i licznymi korytarzami. Coop cały czas się piekli – nie dlatego, że go bolało, tylko dlatego, że nie pozwalali mu iść o własnych siłach.

Przed jego pokojem stała spora grupka. Piper nie chciała nawet o tym słyszeć.

– Zostaje tylko lekarz i pielęgniarka. Reszta – do widzenia.

A Dusza Człowiek podniósł tylko rękę i uśmiechnął się bezczelnie.

– Doceniam waszą troskę.

Fala adrenaliny zaczęła opadać i Piper dopadły zmęczenie i smutek. Najchętniej by stąd uciekła, ale nie mogła zostawić Coopa samego w szpitalu, zdanego na łaskę nieznajomych, którzy pod byle pretekstem chcieli zajrzeć do jego pokoju. Ktoś musiał czuwać pod drzwiami, póki go nie wypiszą. Kiedy pielęgniarka badała Coopa, Piper zadzwoniła do Jonaha i powiedziała mu, co się stało.

Coopa umieszczono w szpitalnym odpowiedniku apartamentu – dużym pomieszczeniu z panoramą miasta za oknem. Kiedy wróciła po rozmowie z Jonahem, ustawił oparcie łóżka w pozycji siedzącej.

– Powinieneś leżeć – zauważyła.

Spojrzał na nią dziwnie, jakby nie wiedział, kim jest, zaraz jednak wrócił stary Coop.

– Litości. W liceum miewałem poważniejsze kontuzje. Nie mieści mi się w głowie, że muszę tu

siedzieć do jutra.

– Dla twojego dobra. – Odwróciła się do niego plecami i podeszła do okna.

– Dziękuję, tak przy okazji – mruknął. – Doceniam, że nade mną czuwasz.

Nie wydawał się zły. Ciekawe, ile go kosztowały te słowa. Jak mogła sobie to zrobić? Jak mogła zakochać się w kimś tak od niej innym?

– To ja ci dziękuję – odparła. – Gdybyś nie przyszedł… – Odwróciła się od okna. – Właściwie dlaczego wtedy przyszedłeś?

Opadł na poduszkę.

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– A to nie mogło poczekać do rana? – Oplotła się ramionami.

– To ważne.

Spojrzała na niego badawczo.

Zacisnął usta z uporem, który zdążyła już poznać.

– Miałem nadzieję, że ochłonęłaś na tyle, by zrozumieć, że to całe zerwanie nie ma sensu. Powinniśmy raczej iść o krok dalej. I to chciałem ci powiedzieć w środę na kolacji, zanim ci odbiło. Uważam, że powinniśmy razem zamieszkać. U mnie, nie u ciebie.

Ktoś przekręcił nóż w jej sercu.

– Niby dlaczego miałabym z tobą zamieszkać?

Zmrużył oczy.

– Dobrze, że mam gigantyczne ego, bo gdyby było mniejsze, rozerwałabyś je na strzępy. – Przełknęła ślinę, a Coop ciągnął dalej: – Niepotrzebnie się upierasz. To najrozsądniejsze rozwiązanie.

Jakim cudem wmówił sobie taką bzdurę?

– Nie pojmuję, czemu tak uważasz.

– Ostatnio sporo o nas myślałem. – Nie był już taki trupio blady. – Spójrz mi w oczy i powiedz szczerze, że nie jest to najlepszy związek, jaki ci się w życiu trafił. Bo jeśli o mnie chodzi, tak właśnie jest.

Znieruchomiała na moment, ale od razu zdusiła niebezpieczną iskierkę nadziei.

– Naprawdę? Cóż, jeśli to jest najlepszy związek w twoim życiu, potrzebujesz terapii.

Widziała, jak upór bierze w nim górę. Upór, przez który nie mógł się pogodzić z przegraną. Cecha, która prowadziła do zwycięstwa, ale zarazem budziła jej czujność. Musiała działać szybko, zrobić coś ostatecznego. Wiedziała nawet, co to jest, ale bała się, że nie da rady. Wzięła głęboki oddech. Musi to zrobić, choćby dlatego, że go kocha i chce dla niego jak najlepiej… choć jednocześnie pęknie jej serce.

– Posłuchaj, Coop… – Odetchnęła z trudem. – Kiedy tylko wszystko ucichnie, musisz zadzwonić do Deidre.

Odchylił oparcie łóżka o kilka centymetrów.

– Nie mam ochoty robić z nią interesów.

– Ta sprawa z Noahem to nie jej wina. Zresztą nie mówię o interesach, tylko o relacji osobistej. – Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Jest lepsza niż hollywoodzkie gwiazdki. Jesteście dla siebie stworzeni, a ona powoli traci dla ciebie głowę. Jeśli wczorajsza noc czegoś nas nauczyła, to chyba tego, że życie jest krótkie. Marnując czas z inną, czyli ze mną, przegapisz szansę na związek z kobietą idealną.

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby miała dziurę w mózgu. Oparcie wróciło do dawnej pozycji.

– Deidre Joss nie jest dla mnie kobietą idealną.

Jak mógł tego nie widzieć? Przecież to jasne!

– Ależ jest! Jest inteligentna, piękna, odnosi sukcesy – to kobieta, która będzie dla ciebie wsparciem, zawsze i wszędzie! I szaleje za tobą. A do tego jest miła. Dobra.

– No, to wszystko jasne – mruknął. – Oszalałaś.

– Masz trzydzieści siedem lat. Najwyższy czas.

– Upewnij mnie, czy dobrze zrozumiałem: zrywasz ze mną i jednocześnie podsuwasz mi nową kobietę?

– Nie byle jaką kobietę. Jesteście dla siebie stworzeni. Widziałam was razem. Daj jej szansę, a zaraz się w niej zakochasz. Może sam nie wiesz, co robić ze swoim życiem, ale dla mnie to jasne jak słońce.

– No proszę. – Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu. – Proszę bardzo, powiedz mi.

– Dobrze. Musisz się wycofać z branży klubowej. To nie dla ciebie. Kup ziemię. Pracuj na niej. Uprawiaj badyle. I załóż rodzinę… z odpowiednią kobietą. Z kimś… równie olśniewającym jak ty. Z kimś wystrzałowym. Z kobietą mądrą, piękną, ale chodzącą twardo po ziemi, jak ty.

– To jest naprawdę fascynujące. – W jego głosie było autentyczne zdumienie. – Więc powiedz mi, co właściwie mam zrobić, skoro… – na ułamek sekundy zmrużył oczy – skoro chyba się w tobie trochę zakochałem?

Bała się, że zacznie płakać, ale udało jej się przekształcić szloch w szorstki, gorzki śmiech.

– Nieprawda.

– A więc i to wiesz.

Oczywiście, że wiedziała, tak jak wszystko inne. Trochę zakochany. Nie ma czegoś takiego. Nie rozpłacze się przy nim. W życiu.

– Zwycięstwo masz we krwi. Dzięki temu byłeś genialnym sportowcem. Ale to jest życie, a nie mecz, więc zamiast ustawiać zasłony dymne, przemyśl moje słowa. O tobie. O Deidre. O wszystkim.

Rozjuszyła go.

– A co z nami? Oczywiście kiedy już będę z Deidre.

– Nic.

– Jak to? Nie będziemy kumplami? – Bark zabolał przy gwałtownym ruchu, ale nie zwrócił na to uwagi. – Nie spotkamy się na piwo? Nie pójdziemy na striptiz? Na pokera? No wiesz, my faceci, my kumple.

Nie mogła tego dłużej wytrzymać.

– Poczekam w korytarzu, aż przyjdzie Jonah.

– Proszę bardzo.

„Chyba się w tobie trochę zakochałem”. Albo człowiek kocha, albo nie, teraz już to wiedziała. Rozpłakała się po raz pierwszy od dzieciństwa. Szlochała przez całą drogę do domu. Wielkie łzy spływały jej po policzkach, aż na kurtkę. Łzy ze studni bez dna.

Zbyt długo czekała z miłością i dlatego było jej tak ciężko. Powinna była zakochać się po raz pierwszy jako nastolatka, jak każda normalna dziewczyna. I jeszcze kilka razy później. Gdyby tak było, byłaby bardziej doświadczona, a tak nie miała pojęcia, jak sobie z tym radzić. I dlatego świat zawalił się jej na głowę.

Zawadziła przednim kołem sonaty o krawężnik, gdy skręcała w zaułek za klubem. Musiała się spakować, a przecież nie wejdzie do środka zapłakana i zasmarkana. Nikt nie może jej widzieć w takim stanie. Zmieniła zdanie, wrzuciła wsteczny bieg i pojechała nad jezioro. Zaparkowała i potykając się, poszła nad wodę.

Wiał zimny wiatr, który przenikał ją na wskroś. Łzy nadal płynęły. Łzy, które łykała przez te wszystkie lata, teraz postanowiły wreszcie popłynąć. Łzy żalu za matką, której nie pamiętała, za ojcem, który ją kochał i nią gardził, za sportowcem, który skradł jej serce.

Puściła się biegiem. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Lada chwila nadejdzie listopad, a potem zima. Lodowata chicagowska zima. Przyspieszyła, jakby chciała wyprzedzić rozpacz.

W jej stronę biegła kobieta w modnym sportowym stroju. Była coraz bliżej. Stopniowo zwalniała kroku, aż w końcu się zatrzymała.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Piper domyślała się, że wygląda jak wariatka. Zwolniła na tyle, żeby uspokoić nieznajomą.

– Mój… pies zdechł.

Kobieta schyliła głowę.

– Przykro mi.

Piper znowu zaczęła biec. Kolejne kłamstwo. Nigdy nie kłamała, a teraz robi to co chwila.

„Wszyscy mówią do mnie Esme. Lady Esme. Esmerelda to imię rodowe. Bo widzisz… Jestem twoją stalkerką".

Odwróciła się i zawołała za biegaczką:

– Zerwałam z facetem, którego kocham do szaleństwa, a on nigdy, przenigdy nie odwzajemni mojego uczucia, i cierpię tak bardzo, że sama nie wiem, co robić!

Kobieta nie odwróciła się, ale podniosła rękę i jej pomachała.

Piper wpatrywała się w jezioro. Szczękała zębami. Na jej policzkach zamarzały łzy. Musi znaleźć nową siebie. Nową, niezniszczalną Piper, która nie pozwoli, by jeszcze raz spotkało ją coś takiego.

Minął tydzień. Piper odeszła, jakby nigdy jej nie było. Ekipa sprzątająca starła jego krew z podłogi i ustawiła wszystko tak, jak było przedtem. Coop był tam tylko raz, nie mógł wytrzymać w małym mieszkanku.

Cały czas miał przed oczami Piper z lufą przy skroni. Wtedy zrozumiał, jakby potężny podmuch wiatru rozwiał mgłę, która przesłaniała mu prawdę, choć powinien dostrzec ją o wiele wcześniej. A on, zamiast wypalić to prosto z mostu, sknocił sprawę w szpitalu. Użył niewłaściwych słów – zabawne, zważywszy, że ma opinię faceta, który zawsze wie, co powiedzieć. Od lat codziennie podtykano mu mikrofony pod nos, więc nauczył się mówić dokładnie to, co chciał powiedzieć, wywierać takie wrażenie, o jakie mu chodziło. Ale kiedy chodziło o Piper, zepsuł wszystko na całej linii. A teraz nie odbierała jego telefonów.

Rana w boku goiła się – i to była jedyna dobra wiadomość. Rozległo się pukanie do drzwi. Po raz pierwszy od kilku dni ktoś zawracał mu głowę. Nie dziwił się, że wszyscy schodzili mu z drogi. Był opryskliwy wobec gości, wściekły na kelnerów i naprawdę wredny dla ochroniarzy. Doszło nawet do tego, że pokłócił się z Tonym, bo ten twierdził, że z klimatyzacją w klubie wszystko jest w porządku. A przecież powietrze było duszne, stęchłe, do tego stopnia przesycone perfumami i oparami alkoholu, że zatykało mu pory.

Oderwał wzrok od monitora, w który gapił się od Bóg wie kiedy, i skierował gniew na drzwi.

– Odejdź!

Do gabinetu wpadła Jada.

– Zerwałeś z Piper! Jak mogłeś?!

– To Piper ze mną zerwała. Zresztą skąd właściwie o tym wiesz?

– Rozmawiałam z nią przez telefon. Początkowo nie chciała mi powiedzieć, ale w końcu udało mi się to z niej wydusić.

Opadł na oparcie fotela. Silił się na beztroskę, choć najchętniej wydusiłby z niej siłą wszelkie szczegóły.

– No i co o mnie mówiła?

– Tylko tyle, że od tamtego zajścia cię nie widziała.

– I z tego wywnioskowałaś, że z nią zerwałem?

– Była smutna. – Jada przycupnęła na kanapie. – Dlaczego z tobą zerwała?

– Jej zdaniem za mało poważnie traktuję nasz związek. – Nie mógł wytrzymać na siedząco. Zerwał się zza biurka i udawał, że poprawia żaluzje w oknie.

– Tak powiedziała? – drążyła Jada.

– Nie tymi słowami, ale… – Podszedł do małej lodówki między regałami. – Piper rywalizuje z całym światem i sądzi, że ja też.

Jada pochyliła się lekko, jak miniaturka psychiatry.

– A tak nie jest?

– Nie, jeśli chodzi o nią. – Wyjął z lodówki puszkę coli. – Chcesz?

Jada przecząco pokręciła głową.

– Będziesz się starał ją odzyskać?

– No.

– Nie wydajesz się przekonany.

– Jestem przekonany.

– Nie słychać tego w twoim głosie.

Racja. Otworzył puszkę coli, choć w tej chwili nie przełknąłby ani kropli.

– W ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Nie odbiera telefonów, nie czyta wiadomości. – Nie do końca wiedział, dlaczego opowiada to wszystko nastolatce, może po prostu dlatego, że zapytała, a inni bali się to zrobić.

– Powinieneś do niej iść – poradziła Jada. – Mieszka teraz u Amber. Albo… mógłbyś poczekać na nią przy jej samochodzie, zaskoczyć ją i zmusić, żeby cię wysłuchała.

– Takie numery działają w kinie, ale w rzeczywistości to podpada pod stalking. Chcę z nią pogadać, a nie ją wkur… jeszcze bardziej zdenerwować.

Kolejne pukanie do drzwi.

– Spadaj!

Drzwi i tak stanęły otworem. Tym razem w progu stała Deidre Joss. Będzie musiał być uprzejmy, jeśli jeszcze pamięta, jak to się robi.

– Nieodpowiedni moment? – zapytała.

– Przepraszam, Deidre. Myślałem, że to Tony.

– Biedny Tony.

Spojrzał na Jadę.

– Później pogadamy.

Poderwała się z kanapy.

– Dobra, tylko nie mów mamie, że na ciebie narzekałam. Złości się, gdy coś cię zdenerwuje.

– Szkoda, że nie wszyscy tak mają.

Deidre zamknęła drzwi za dziewczyną. Coop zorientował się, że nadal trzyma puszkę coli. Wyciągnął ją w jej stronę.

– Napijesz się?

– Nie, dzięki. – W czarnym kostiumie jak zawsze wyglądała elegancko. Tu nie ma mowy o pogniecionych dżinsach czy koszulce Bearsów. Nie ma też jagodowych oczu. Włosy Deidre spływały gładką ciemną kurtyną, a nie sterczały szaleńczo na wszystkie strony.

– Jak rana? – zagaiła.

– Już prawie o niej zapomniałem. – Chyba że za szybko się poruszył. Wtedy bolało, ale i tak nie narzekał.

– Cieszę się. – Podeszła bliżej. – Nie odpowiedziałeś na moje telefony. – Powiedziała to bez jadu, za to ze współczuciem. Była zbyt miła. I dlatego nie mógłby się w niej zakochać. Piper powinna to wiedzieć, zna go przecież tak dobrze. – Kontaktował się ze mną adwokat Noaha – ciągnęła. – Pójdzie na ugodę.

Coop odstawił colę.

– To wiele ułatwi.

– Byłam u Noaha w więzieniu, chciałam, żeby wszystko było jasne. Kiedy wyjdzie, nie ma czego u

mnie szukać. Powinien w ogóle wyjechać z Chicago. Najlepiej niech wraca do mamusi. – Zdjęła torebkę z ramienia, położyła na kanapie. – Czuję się jak idiotka. Zdawałam sobie sprawę, że jest bardzo zaborczy, ale po śmierci Sama bardzo ułatwiał mi życie, więc przymykałam na to oko. Chciałam cię przeprosić, że byłam taka ślepa i przeze mnie musiałeś przez to wszystko przejść.

– Każdy ma gorsze chwile. – Zwłaszcza on. Musiał koniecznie porozmawiać z Piper. Musiał jej wytłumaczyć, co czuł, widząc pistolet przy jej skroni, ona jednak mu to uniemożliwiała.

Deidre uśmiechnęła się.

– Jutro otrzymasz od nas oficjalną propozycję. Wierzę w twoją wizję i cieszę się, że wesprzemy cię finansowo. Powinnam była zaufać instynktowi, pozwoliłam jednak, żeby Noah wpłynął na mój osąd.

Nadszedł czas powiedzieć to głośno. Wsunął kciuki w szlufki dżinsów i zaraz znowu wyjął.

– Deidre, wycofuję się z tej branży. Sprzedaję klub. – Cudownie było w końcu wyłożyć karty na stół.

Zawiodła ją pokerowa twarz kobiety biznesu.

– Byłeś tak bardzo zaangażowany. Na pewno tego nie chcesz? Co się zmieniło?

– Powoli dochodziłem do tego wniosku. – O ile do czegokolwiek można dochodzić powoli, kiedy Piper Dove wygarnęła mu wszystko z delikatnością buldożera. Tyle że miała rację. Po satysfakcji, jaką odczuwał, wchodząc do klubu, nie było śladu. Spiral to świetny klub, wspaniale się bawił, kiedy go tworzył, ale już codzienna rutyna klubowego życia mu nie odpowiadała i wizja przyszłości, w której otwiera kolejne lokale, straciła cały urok. – Podobało mi się wyzwanie, sam pomysł, że tworzę coś od zera, ale, jak się okazało, tylko to. Wydawało mi się, że kluby nocne to dla mnie idealna branża – wysokie ryzyko i wysokie zyski, ale byłem w błędzie.

– Ale dlaczego?

Udzielił jej najprostszej odpowiedzi.

– Brakuje mi poranków.

Nie zrozumiała, choć Piper wiedziałaby, jak bardzo zmęczyły go tłumy, przekrzykiwanie muzyki, różne zapachy i światła. Miał dosyć życia głównie w nocy. Pragnął świeżego powietrza. Chciał spać dłużej niż trzy godziny, zanim wyruszy na poranną przebieżkę. Chciał, dokładnie jak powiedziała Piper, „uprawiać badyle". Nie wiedział, jak to wszystko pogodzić, ale nie wiedział, jak sobie poradzić z mnóstwem rzeczy. Wiedział jedno: czekają go wielkie zmiany.

Spojrzał na swoją koszulkę wiszącą na ścianie gabinetu.

– Ktoś bliski tłumaczył mi, że to nie moja branża, ale trochę trwało, zanim to do mnie w pełni dotarło.

– Piper?

Nie zaprzeczył, ale też nie potwierdził.

– Dzwoniłam do niej – mruknęła Deidre. – Rozmawiałyśmy.

Chyba wszyscy wokół rozmawiali z Piper, tylko on nie.

– Wiesz, że jej zdaniem pasujemy do siebie? – Deidre obracała srebrną obrączkę na palcu. – Ale nic z tego nie będzie, prawda?

Nie chciał sprawiać jej przykrości, ale zasługiwała na szczerość.

– Niestety nie. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. – Założyła kosmyk za ucho i posłała mu smutny uśmiech. – Kiedy udało mi się spojrzeć na to wszystko z dystansu, zrozumiałam, dlaczego nie jestem dla ciebie odpowiednią partnerką. Potrzebujesz kogoś mniej… konwencjonalnego.

Ciekawe, że wszystkie kobiety wokół wiedzą, kogo potrzebuje.

– Szkoda, że nie będziemy razem pracować – zakończyła. – Daj znać, gdybyś zmienił zdanie.

– Oczywiście – zapewnił, choć wiedział, że to się nie zdarzy.

Ledwie za Deidre zamknęły się drzwi, sięgnął po telefon i po chwili namysłu wysłał Piper kolejną wiadomość.

„Kocham cię. Nie tylko trochę. Całym sercem".

Wiadomość nie dotarła. W końcu go jednak zablokowała.

Rozdział 22

Ale ja wcale nie chcę się z nim spotkać – marudziła Berni, gdy Piper wchodziła z nią do kafejki, w której za dokładnie dziesięć minut miały się spotkać z Williem Mahoneyem. – Uzna mnie za starą wariatkę.

To określenie w tej chwili pasowało też do tego, jak czuła się Piper – stara jak świat i niezdolna sprawnie funkcjonować. Rozpaczliwie tęskniła za Coopem. Z najwyższym trudem co rano zwlekała się z łóżka i tylko poczucie obowiązku kazało jej spełnić zobowiązanie wobec Berni.

Odwołała się do miękkiego serca staruszki.

– To bardzo sympatyczny facet, doskwiera mu samotność. Sama wiesz, jak to jest stracić bliską osobę. Nikt go tak nie pocieszy jak ty.

– Nie pojmuję, dlaczego akurat ja. Uzna mnie za wariatkę.

– Uzna cię za bardzo interesującą kobietę. Sama się przekonasz, więc przestań już marudzić i miejmy to z głowy.

Być może Piper zdołałaby zapomnieć o Coopie, gdyby dał jej spokój, ale taki twardy zawodnik nie poddaje się bez walki. Trzeba było dać mu, czego chciał. Trzeba było z nim zamieszkać i dławić go czułością do tego stopnia, że przestałby widzieć w niej wyzwanie. Gdyby to zrobiła, sam wyrzuciłby ją z domu. Ale nie zdecydowała się na to, bo nie była dość twarda.

Choć zjawiły się dziesięć minut przed czasem, Willie już siedział przy tym samym stoliku, przy którym po raz pierwszy rozmawiał z Piper dziesięć dni wcześniej.

– To on – powiedziała.

– Nie mówiłaś, że jest taki przystojny – szepnęła Berni.

Starannie zaczesał resztki siwych włosów i musnął brylantyną. Koszula wyglądała, jakby sam usiłował ją uprasować, a do szarych spodni włożył nowiutkie białe adidasy. Piper objęła Berni ramieniem, zadowolona, że ma staruszkę u boku.

– To miała być niespodzianka. Chodźmy.

Berni człapała powoli, jakby szła na własną egzekucję. Willie wstał, Piper dokonała prezentacji. Berni chwyciła byka za rogi.

– Pewnie myślisz, że jestem starą wariatką.

Piper nie mogła tego tak zostawić.

– Kiedy po raz pierwszy widziałaś Williego, miał na głowie wielki piankowy ser.

– To prawda – przyznał, gdy usiedli. – Odstrasza ludzi.

Berni przyglądała mu się z mieszaniną zaciekawienia i troski.

– Ale dlaczego? Każdy kogoś potrzebuje.

– To samo mówią mi dzieci, kiedy do mnie dzwonią. Raz w tygodniu. Ale nigdy do mnie nie przyjeżdżają.

– Szczęściarz z ciebie, że masz dzieci. My z Howardem nie mogliśmy. Za mało pływaków, wiesz, co mam na myśli.

Willie ponuro skinął głową.

– Szkoda, ze względu na was oboje.

Berni westchnęła.

– Tak bywa. Kiedy Howard…

Piper poderwała się z krzesła.

– Muszę zadzwonić. – Nie musiała, ale była w tak kiepskim nastroju, że opowieść o kłopotach Howarda Berkovitza z liczbą plemników chybaby ją totalnie dobiła.

Berni nawet nie próbowała jej zatrzymywać.

Piper wyszła na zewnątrz i przycupnęła przy jednym z dwóch metalowych stoliczków, z których goście korzystali w pogodne dni, a nie w ponure listopadowe popołudnie. Niskie ołowiane chmury odbierały nadzieję na słońce. Ciekawe, ile czasu goi się złamane serce. Może jeśli pomnoży to przez trzy, będzie mniej więcej wiedziała, kiedy wróci do jakiej takiej równowagi. Na razie każdy dzień był niekończącą się mordęgą odłamków sterczących jej z piersi.

Rozdzwonił się jej telefon.

– Piper? Tu Annabelle Champion.

Pogodny głos Annabelle trochę poprawił jej humor. Rozmawiały chwilę, zanim Annabelle przeszła do rzeczy:

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Firma sprawdzająca moich klientów ostatnio się ociąga, więc może ty byś przejęła to zlecenie?

Miesiąc temu oszalałaby ze szczęścia, ale teraz wszystko się zmieniło, jakby dawna Piper odeszła w przeszłość. W uszach miała głos Duke'a: „A nie mówiłem? To nie robota dla kobiety".

Mylił się. Była nieszczęśliwa nie dlatego, że jest kobietą, ale dlatego, że naiwnie wierzyła, że do szczęścia wystarczy jej Agencja Detektywistyczna Dove.

Wytarła dłoń w nogawkę dżinsów.

– Oddzwonię do ciebie, dobrze? Jestem ci bardzo wdzięczna, ale… muszę przemyśleć pewne sprawy.

– Chcesz o tym pogadać?

Annabelle była taka otwarta, tak daleka od wszelkich ocen, że mało brakowało, a Piper opowiedziałaby jej o wszystkim, ale przecież niemożliwe, żeby szczęśliwa kobieta sukcesu z ukochanym mężem u boku naprawdę ją zrozumiała.

Wybrała więc odpowiedź szczerą, ale nie tak osobistą.

– Podczas obserwacji nudzę się jak mops i nie znoszę mówić kobietom, że mężowie je zdradzają.

– To zrozumiałe – mruknęła Annabelle.

– Muszę sobie wszystko przemyśleć.

– Każdy czasami musi to zrobić, przekreślić to, co się nie sprawdza, i poszukać nowych, lepszych rozwiązań.

Świetna rada, tylko że Piper nie miała pojęcia, co w jej wypadku się sprawdza, a co nie.

Po rozmowie wróciła do kawiarni, ale Berni spławiła ją, mówiąc, że Willie odwiezie ją do domu.

Piper powiedziała „nie". A „nie" zawsze oznacza „nie", prawda? Jednak nocami nie mógł zasnąć. Nie jadł. I coraz częściej spoglądał tęsknym wzrokiem na butelki za barem. Początkowo był pewien, że wcześniej czy później odbierze od niego telefon albo przynajmniej przeczyta wiadomość, ale nic z tego. Rozmowa z nią była równie abstrakcyjna jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni, osiem dni temu, gdy wychodziła z jego pokoju w szpitalu. Nie wytrzyma tego dłużej. Pojechał pod jej blok.

Przez całą drogę powtarzał sobie to, co powiedział Jadzie o stalkingu, ale zwykła rozmowa, mimo

braku chęci z drugiej strony, to chyba jeszcze nie prześladowanie?

No dobra, granica jest płynna.

Faceci z dołu, którzy wcześniej wpuszczali go do budynku, teraz nie reagowali, choć widział sylwetki w oknie. Spróbował z Jennifer MacLeish, przyjaciółką, Piper, ale nic z tego nie wyszło. Potem zadzwonił do pani Berkovitz.

– Kto tam? – spytała przez domofon.

– Cooper Graham, pani B. Wpuści mnie pani?

– Kto, przepraszam?

– Cooper. Cooper Graham. Otworzy mi pani?

– Bardzo chętnie… Tylko że… skaleczyłam się w obie ręce i nie mogę wcisnąć guzika.

Oczywiste kłamstwo, zwłaszcza że robiła to w tej chwili, rozmawiając z nim.

– Może łokciem? – podsunął z anielską cierpliwością.

– Artretyzm mi nie pozwala.

Zastanawiał się chwilę.

– To może wejdę na kawałek tego pysznego ciasta krówkowego? Najlepszego na świecie?

Długa cisza i w końcu ochrypły szept:

– Nie mogę. Zabroniła nam cię wpuszczać. – I już normalny głos: – Nie wolno igrać z kobiecymi uczuciami. Tylko tyle mam do powiedzenia.

Był tak wściekły, że zrobił coś, co, jak się zaklinał, nie wchodziło w grę – czekał przy jej samochodzie. Czuł się przy tym jak Hank, były facet Karah, ale musiał pogadać z Piper, a naprawdę nie miał innego wyjścia.

Stał na zimnie prawie dwie godziny, zanim ją w końcu zobaczył. Miała na sobie puchową kurtkę, jak wiele kobiet w Chicago. Znowu obcięła włosy. Powiewały na wietrze jak piórka.

Zauważyła go od razu i zatrzymała się w pół kroku. Wbiła ręce w kieszenie kurtki.

– Daj mi spokój! – Odwróciła się i wbiegła z powrotem do budynku.

Był na siebie wściekły. Wysłała jasny komunikat, a on to zignorował. Przydałby mu się prysznic.

Jeździł po mieście bez celu, w kółko. W końcu trafił na siłownię, choć lekarz jeszcze mu nie pozwolił na powrót do treningów. Po drodze zatrzymał go policjant z drogówki za przekroczenie prędkości, ale oczywiście nie chciał dać mu mandatu, dopóki Coop tego na nim nie wymusił. Piper miała rację. Jeździł jak pirat drogowy i trzeba go za to ukarać.

Piper z pistoletem przy skroni… Ten obraz utkwił mu w głowie jak klatka z filmu. W tej chwili mgła opadła i jego umysł pojął to, co serce sugerowało od kilku tygodni – jak bardzo kocha Piper Dove. Była jego częścią. Jego śmiechem, jego odpoczynkiem.

I czymś o wiele więcej. Była jego sumieniem i jego punktem odniesienia. I jego wyzwaniem, ale nie tak, jak sobie to wmawiała. Przy niej chciał być lepszym człowiekiem, chciał znaleźć swój kawałek świata, w którym nie wszystko zależy od wyniku i w którym razem radzą sobie z przeciwnościami losu.

A czym on jest dla Piper? Cóż, Duke Dove zadbał, by może nigdy się tego nie dowiedział.

Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie tyle, że reszty mógł się domyślić. Chcąc zadowolić ojca, tłumiła wszelkie emocje, które mu się nie podobały, a on karał ją za łzy i chwalił za opanowanie. Miał cel – zrobić z niej wojowniczkę tak twardą, że przetrwa w świecie, który zamordował jej matkę – i osiągnął go. A potem ją odepchnął, nie dając pola walki, które przecież jej się należało.

Coop dorastał w zupełnie innych warunkach. Jego ojciec walczył z własnymi demonami, ale zawsze wspierał syna w normalnych emocjonalnych burzach dorastającego dziecka.

„Faceci czasami też płaczą, synu. Dobrze to z siebie wyrzucić”.

Piper nigdy nie słyszała takich słów, jej nikt nie dawał emocjonalnego wsparcia. Jeśli chciała zdobyć miłość ojca, nie mogła okazywać słabości, delikatności, wrażliwości.

Zahamował tak gwałtownie, że mało brakowało, a wpadłby w poślizg. Jasne, że bała się rozmowy z

nim. Nikt nigdy nie przygotował jej na rozmowę, która musiała dotyczyć uczuć.

Lufa przy jej skroni… Szloch Jady… I Piper, taka bezbronna, wpatrzona w niego, usiłująca przekazać mu tylko jedno, tak jasne, jakby powiedziała to na głos.

Grać na drużynę.

Kiedy wczoraj zobaczyła Coopa przy swoim samochodzie, mikroskopijny postęp, który się w niej dokonał, szlag trafił. Wysoki, silny, o wielkich, mocnych dłoniach, z listopadowym słońcem na twarzy… Zakręciło jej się w głowie. Bała się, że upadnie.

Tępo gapiła się w okno, gdy zadzwoniła Jada.

– Jesteś detektywem – zaczęła. – Uważamy z Clarą, że powinnaś coś z tym zrobić.

– Nie zdołam sama uporać się z problemem dziecięcej prostytucji.

– Ale mogłabyś, bo ja wiem, udawać dzieciaka w sieci. Na przykład. Umawiać się z tymi typami, a później ich aresztować.

– Jestem prywatnym detektywem. Nie mogę nikogo aresztować.

– Mogłabyś współpracować z policją. – Jada nie dawała za wygraną. – I tłumaczyć innym, że nie można aresztować tych dziewczyn, jakby to była ich wina.

Zapał Jady był godny podziwu, ale Piper z trudem mogła funkcjonować, a co dopiero mierzyć się z takimi problemami.

Rozłączyły się. Piper ukryła twarz w dłoniach. Annabelle zaproponowała jej pracę, zgłosiła się także Deidre Joss z kolejnym zleceniem w imieniu Joss Investments. Agencja stawała na nogi, a ona miała to w nosie. Wczorajsza wizyta u Jen stanowiła jedyny jaśniejszy moment tego tygodnia.

– Wysłałam ci link – poinformowała najlepszą pogodynkę w Chicago. – Zrobisz z tym, co zechcesz.

– Jak to?

– Sama zobaczysz.

W końcu udało jej się pomóc przyjaciółce – wygrzebała w sieci filmik nakręcony za studenckich czasów Dupka. Piper natychmiast go ściągnęła, dla potomnych. Na filmie młodszy o kilkanaście lat Dupek, w staniku i damskich majtkach na głowie, biegnie po pokoju na czworakach, a kolega o owłosionej klacie dumnie jedzie na jego grzbiecie.

– Boże! – wykrzyknęła Jen. – Dupek jest mój na wieki wieków!

Piper zamrugała na to wspomnienie. Ostatnio często jej się to zdarzało.

Drzwi otworzyły się nagle i do biura wszedł Heath Champion.

– Dawno się nie widzieliśmy – zagaił.

Miała już dość kłopotów. Z drugiej strony, wreszcie ktoś wyrwał ją z ponurych rozmyślań.

– Czego chcesz?

– Negocjować warunki – odparł. – W imieniu Coopa. Chce, żebyś z nim zamieszkała.

– Co? I w tym celu przysłał swojego agenta?

– Sportowcy… – Heath skrzywił się z niesmakiem. – Rozpuszczeni są jak dziadowskie bicze. Sami nic nie umieją załatwić.

Wbiła paznokcie w dłonie.

– Nie wierzę.

– Cóż, przynajmniej tym razem nie chodzi o bydło. Nie znoszę negocjować w sprawie bydła.

– Panie Champion…

– Heath. Chyba nie zaczniemy teraz zwracać się do siebie oficjalnie.

– Heath… Nie zamieszkam z twoim klientem. – Teraz bolał ją już nie tylko brzuch, ale i kark. I chciało jej się płakać. Mocniej wbiła paznokcie w dłonie. – Z czystej ciekawości… Agent dostaje dziesięć procent wartości kontraktu, tak?

– Prowizja zależy od wielu czynników.

– Więc gdyby udało ci się doprowadzić do kompromisu w tej sprawie – co jest niemożliwe, ale gdyby jednak – ile wyniesie twoja działka?

– Warzywa. Na rok.

– Rozumiem.

Odchylił się do tyłu na obcasach nieprzyzwoicie drogich butów.

– Żeby wszystko było jasne: nie chcesz z nim zamieszkać?

– Nie chcę. – Bo wtedy musiałaby udawać, że są tylko kumplami do łóżka. Już pierwszego dnia błagałaby go, żeby się w niej zakochał. Na samą myśl oblała się zimnym potem.

– Więc czekam na kontrpropozycję – powiedział.

– Nie mam żadnej propozycji!

– To są negocjacje. Musisz coś zaproponować.

Jego teatralna cierpliwość budziła w niej agresję, najchętniej złapałaby go za poły sportowej marynarki i potrząsnęła z całej siły.

– Proponuję, żeby dał mi spokój.

Miał czelność posłać jej zawiedzione spojrzenie.

– To nie jest kontrpropozycja, to ultimatum. Doświadczenie – niemałe, uwierz – podpowiada mi, że efekty są lepsze, gdy obie strony działają w dobrej wierze.

Nie wiadomo kiedy znalazła się w centrum szaleństwa i, o dziwo, to ją w końcu uspokoiło. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Heathem, gdy Coop rzucił mu jej standardową umowę, a Heath walczył o więcej pieniędzy. Dla niej. To nie był zwykły układ agent i jego klient, a teraz chcieli ją wciągnąć w swój obłęd? Proszę bardzo. Szaleństwo zwalczaj szaleństwem. To akurat potrafi.

– Kontrpropozycję? Dobrze. Jeśli zniknie z mojego życia, wyślę mu wszystkie moje koszulki Bearsów.

– Zapewniam cię, nie zgodzi się na kilka koszulek w zamian za wspólne życie w luksusowym apartamencie. Musisz się bardziej postarać.

Chciała jednego – żeby ten koszmar się wreszcie skończył, a to nie nastąpi, dopóki Coop nie da jej spokoju. Łypnęła na agenta.

– Jeśli da mi spokój, osobiście umówię go z Deidre Joss.

– Jesteś niepoważna.

Była poważniejsza, niż mu się wydawało. Czemu Coop jej to robi? Trzeba było z nim wczoraj porozmawiać. Trzeba było stanąć tam, na zimnie, i wysłuchać wszystkiego, co miał do powiedzenia. W milczeniu. Ale za bardzo się bała, i wtedy, i teraz.

– Przez miesiąc będę za darmo obsługiwała klubowy system komputerowy. Ale tylko z Tonym i tylko pod warunkiem, że Coop da mi spokój.

– Trzy miesiące.

– Dwa.

– To rozsądna propozycja. – Wyjął telefon z kieszeni. – Zapytam go.

– Proszę bardzo.

Wyszedł na zewnątrz, na parking. Widziała przez okno, jak rozmawia przez telefon, jak przechadza się między samochodami. W końcu schował komórkę i wrócił do środka.

– Nic z tego. Chce się spotkać twarzą w twarz.

Nie mogła. Nie da rady.

– Nie.

– Wydawało mi się, że chciałaś się go pozbyć?

– Najbardziej na świecie.

– Więc zaproponuj coś, czemu się nie oprze. Oczywiście poza samą sobą.

Poderwała się z krzesła.

– Niby od kiedy jestem taka nieodparcie pociągająca? Wiesz może?

– Nie mnie powinnaś o to pytać. Choć oczywiście uważam, że jesteś czarująca.

– Nie chcę z nim rozmawiać!

– Rozumiem. Ale to są negocjacje.

Obłęd, nie negocjacje.

– Przez dwa miesiące za darmo zajmę się jego systemem komputerowym i przez rok będę sprawdzała potencjalnych pracowników. Cały rok!

– I to mi się podoba. – Ponownie wymknął się na parking.

Piper wróciła za biurko. Uwzięli się, żeby ją dręczyć.

Za oknem Heath mówił coś do aparatu. Oparł rękę na biodrze, poprawił poły marynarki. Mówił dalej. Potem wrócił do środka.

– Nie.

– No jasne – mruknęła. – Tak bardzo nie chce przegrać, że dla zwycięstwa zrobi wszystko, choćby największe świństwo.

– Surowe słowa z ust zakochanej kobiety.

Wbiła wzrok w punkt tuż powyżej jego brwi.

– Nie jestem zakochana. A ty chyba musisz już iść.

– Niby tak, ale… wygląda na to, że w tę całą sprawę zaangażowała się również Annabelle i postanowiła, że musicie z Coopem jakoś to zamknąć. Nie mam pojęcia, o co chodzi z tym zamknięciem, ale mówię, jak jest. Uprzedzam lojalnie, że lepiej rozmawiać ze mną niż z moją żoną. Pozornie jest w porządku, ale w głębi duszy to potwór.

– Annabelle chce, żebym to zrobiła?

– Upiera się przy zamknięciu. – Wydawał się smutny. – Jeśli to sknocę, mam do niej zadzwonić i wtedy zaraz się tu zjawi.

Piper dała za wygraną. Z mężczyznami mogła walczyć, z Annabelle – nie.

Nagle zrobiło jej się słabo.

– Spotkam się z nim, ale w miejscu publicznym. – Osunęła się na oparcie krzesła. – W kawiarni Big Shoulders, jutro po południu. Pod warunkiem że da mi słowo honoru, że nigdy więcej nie będzie próbował się ze mną skontaktować.

Wykrzesać resztki sił, żeby to przeżyć. W kawiarni było jasno i tłoczno, ale spokojnie można podsłuchiwać cudze rozmowy, więc nie będą mogli się za bardzo kłócić. I na pewno zostaną w ubraniach.

– Chwileczkę. – Heath wyjął komórkę z kieszeni.

Chciało jej się wrzeszczeć. Albo płakać.

Tym razem został z nią.

– Coop, spotka się z tobą, ale w miejscu publicznym – w kawiarni Big Shoulders, jutro po południu, pod warunkiem że nigdy więcej nie będziesz się z nią kontaktował. – Słuchał, stukając nerwowo stopą. – Hm… Tak… Dobrze. – Rozłączył się i spojrzał na nią. – Dzisiaj albo nigdy. I nie w Big Shoulders. Ma dzisiaj spotkanie w ratuszu, więc spotkacie się później na Daley Plaza. O drugiej. Bardziej publicznie się nie da. Moim zdaniem powinnaś się zgodzić.

Jak można tak bezwzględnie dążyć do zwycięstwa? Już zdobył jej serce, teraz chciał je zmiażdżyć.

– Zgadasz się? – naciskał Heath.

Zwiesiła smętnie ramiona.

– Zgadzam.

– Nigdy więcej nie będę narzekał na bydło – mruknął Heath, wychodząc.

Poderwała się, podbiegła do drzwi i krzyknęła za nim na pół parkingu:

– Oby ci te warzywa stanęły w gardle!

Odwrócił się i uniósł kciuk. Cokolwiek to w tej sytuacji miało znaczyć.

Rozdział 23

Szła na wyznaczone spotkanie takim krokiem, jakby wybierała się na szafot. Wolałaby gniew niż panikę, która ściskała ją za gardło. Musiała to przeżyć, zachowując choć odrobinę godności. Bez względu na to, jak bardzo go kocha, jak bardzo chciała znaleźć się w jego ramionach, musi być twarda.

Na placu przed trzydziestojednopiętrowym budynkiem Daley Center królowała dziwna nowoczesna rzeźba Picassa. Sam artysta przekazał ją miastu, a kiedy tak wielki twórca daje prezent, nie sposób go odrzucić. Piper miała wrażenie, że metalowe ślepia przewiercają ją na wylot. Odwzajemniła się gniewnym spojrzeniem. Lepsze to niż ucieczka gdzie pieprz rośnie.

Wiatr trzepotał flagą, bawił się włosami kobiet. Jej sweter na suwak to za mało na taki zimny, wietrzny dzień. Trzeba było włożyć puchówkę, ale to wymagało planowania i myślenia.

Coop już czekał. Stał w cieniu Picassa, z pochyloną głową, tak że przechodnie go nie rozpoznawali. Na moment zapomniała o oddychaniu.

Zobaczył ją, ale nie podchodził, czekał, aż ona się zbliży. Miał na sobie ciemny elegancki garnitur, białą koszulę i krawat w prążki. Zatrzymała się kilka kroków od niego, w bezpiecznej odległości, żeby nie rzucić mu się na szyję.

– Wygrałeś – oznajmiła lodowato. – Powiedz, co masz do powiedzenia, i daj mi spokój.

Patrzył na nią, jakby uczył się na pamięć jej twarzy. Czekała, aż powie coś mądrego, ale zaskoczył ją.

– Co u ciebie? – zapytał.

– Unikam cię. To robota na pełny etat.

Skinął głową, jakby przyznawał jej rację. Przyglądał jej się tak uważnie, że musiała odwrócić wzrok.

– No, dalej, Coop. Czemu nasłałeś na mnie tego twojego agenta z piekła rodem?

– Chciałem z tobą porozmawiać, a nie dawałaś mi szansy.

Nie rozklei się na jego oczach, nigdy w życiu.

– No więc jestem. Mów, co masz mi do powiedzenia.

– Chyba ci się to nie spodoba.

– Więc może lepiej zachowaj to dla siebie.

– Nie mogę. To… – Skulił się przy nagłym podmuchu wiatru. – To nie jest łatwe.

Wydawało jej się, że rozumie.

– Chcesz to skończyć na twoich warunkach, nie na moich. Proszę bardzo. Zerwij ze mną. Poczujesz się lepiej, kiedy to wyjdzie od ciebie, a ja jakoś przeżyję.

– Wcale nie chcę z tobą zerwać.

– Więc o co ci chodzi?! – krzyknęła. – Bo na pewno z tobą nie zamieszkam!

– Rozumiem. – Między nimi spacerowały gołębie. – Wiem, że brak ci odwagi, żeby przyznać, co do mnie czujesz, więc powiem ci, co ja czuję do ciebie.

Zarzucał jej słabość. Jeszcze nikomu nie uszło to na sucho i od razu ruszyła do kontrofensywy.

Przypomniała mu jego własne słowa.

– Już to przerabialiśmy. Powiedziałeś, że się we mnie trochę zakochałeś, zapomniałeś już?

– Powiedziałam to, bo nie chciałem cię spłoszyć.

Zbił ją z pantałyku.

– Boisz się nas – ciągnął – i to od samego początku. Gdybym powiedział ci prawdę, uciekłabyś ile sił w nogach. To nadal możliwe, bo tylko mi się wydaje, że wiem, co do mnie czujesz. Pod każdym innym względem czytam w tobie jak w książce, ale to ciągle jest tajemnica.

Świadomość, że zdołała się choć trochę ochronić, niosła słodko-gorzką pociechę.

– Nie do końca rozumiem, o co chodzi w tej rozmowie, ale czy kiedykolwiek nadążałam za tobą i twoim walniętym agentem?

– Kocham cię, Piper. Nie troszeczkę. Zakochałem się po uszy.

W jej uszach gwizdał wiatr. Żołądek fiknął salto.

Nie drgnął. Nie dotknął jej. Kosmyk włosów opadł jej na policzek.

– Wiedziałem chyba od dawna – ciągnął cicho – ale nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki ten dupek w ciebie nie wycelował. Kiedy to zobaczyłem, myślałem, że serce mi pęknie.

Wbiła ręce w kieszenie swetra. Nie wierzyła, nie chciała nawet cienia nadziei.

– Adrenalina zniekształca obraz rzeczywistości.

– Wiem o adrenalinie wszystko; szybko opada. Moje uczucie to co innego.

Dopadła ją gorzka rzeczywistość.

– Nie minęły jeszcze nawet dwa tygodnie. Daj sobie trochę czasu.

– Jak możesz być aż tak cyniczna?

Nie uważała tego za cynizm. Była krucha jak porcelana. Przez nią znalazł się pod ścianą i teraz walczył, jak umiał, brutalnie, na oślep.

– Zaryzykuj, Piper – poprosił. – Nie jestem twoim ojcem. Powiedz, co czujesz. Powiedz prawdę. Albo mnie kochasz, albo nie. Powiedz szczerze. Muszę to wiedzieć.

Nie musiała daleko szukać, nie mogła jednak powiedzieć tego na głos. Ale jeśli tego nie zrobi, okaże się tchórzem, prawda?

Twardzielka z niej. Zawsze taka była. Wbiła pięści głębiej w kieszenie.

– Tak, owszem, kocham cię. Jasne. Jak mogłabym cię nie kochać? – rzuciła mu w twarz. – Kocham cię tak bardzo, że nie pozwolę, by było z tego coś więcej. Za bardzo się różnimy, żebyśmy mieli szansę, więc jaki to ma sens?

– Różni nas jedynie stan konta.

– Spora różnica.

– Tylko zakładając, że pieniądze są najważniejsze.

– Pieniądze. Sława. Kluby nocne. Pierścień Super Bowl.

– Którego nie ma żadne z nas.

– I aktorki z Hollywood.

– Mówi się, że przeciwieństwa się przyciągają. Zabawne, bo wcale się nie różnimy. Jesteśmy tą samą osobą, dwiema stronami jednej monety. – Na jego szczęce zadrgał mięsień. – Tylko że ja myślę logicznie, a ty nie.

– To nie…

– Jednego nie pojmuję: dlaczego tak trudno ci uwierzyć, że się w tobie zakochałem?

Chciał zbić ją z tropu, namieszać w głowie. Palnęła pierwsze, co ślina przyniosła jej na język.

– Jesteś piękny. Sławny. A ja się nie nadaję na panią domu.

Rozzłościł się.

– Tylko na tyle cię stać?

– I masz pieniądze.

– Już o nich mówiłaś.

Rozpoznała go grupka biznesmenów. Ruszyli w jego kierunku. Piper zareagowała gwałtownie.

– Nie teraz! – warknęła.

A Coop, wyjątkowo, nie starał się załagodzić sytuacji kowbojskim wdziękiem. Nawet się nie odwrócił.

Mężczyźni łypnęli na nią gniewnie i odeszli. Nic jej to nie obchodziło. Mogłaby do końca życia odgrywać złą policjantkę, byle go chronić.

– Powiem ci, co wiem. – Przerażała ją jego intensywność. – Być może twój ojciec chciał dobrze, ale do tego stopnia namącił ci w głowie, że sama już nie wiesz, kim jesteś. Zawsze jesteś sama kontra cały świat i umierasz ze strachu na samą myśl, że mogłabyś okazać się wrażliwa.

Musiała walczyć.

– I kto to mówi? Pan Twardziel we własnej osobie.

– Jestem uparty i zmotywowany, ale nigdy nie twierdziłem, że jestem niepokonany. To ty masz wolę ze stali.

– Nieprawda! – krzyknęła. – Przecież się w tobie zakochałam i nie wyobrażam sobie innej sytuacji, w której poniosłabym większą klęskę.

– I dlatego tak bardzo chcesz mnie odepchnąć.

Nie rozumiał. Był tylko jeden sposób, żeby otworzyć mu oczy. Musiała to zrobić. Pokazać czarno na białym, udowodnić jemu i sobie, jak bardzo do siebie nie pasują. Zadarła głowę i łypnęła na niego groźnie.

– Dobrze, zrobię to. Zamieszkam z tobą. Spróbujemy na kilka tygodni i wtedy zobaczymy.

Przyciągnął ją do siebie.

– Skarbie…

Zamknęła oczy. Przywarła policzkiem do jego piersi. Poddała się.

Ujął jej twarz w dłonie i dotknął czołem jej czoła. Ich nosy się zetknęły. Poruszył się leciutko.

– Rzecz w tym… – zaczął – że ta propozycja jest już nieaktualna.

– Co? – Odskoczyła. Zmyłka. Typowa sportowa zmyłka.

– Powierzyłbym Piper Dove własne życie. – Czułość w jego spojrzeniu sprawiała jej ból. – Ale nie powierzę serca córce Duke’a Dove’a.

– Więc czego chcesz? – Prawie szloch.

– Dokumentów.

– Jak to?

– Aktu ślubu.

Odepchnęła go.

– Chyba żartujesz!

– Nie chciałem jeszcze o tym mówić, wolałem poczekać, dać ci więcej czasu, żebyś ochłonęła i przywykła do myśli, że ktoś cię kocha. Ale teraz widzę, że to byłby poważny błąd. Jesteś tak przerażona, że przez cały czas będziesz szukać pretekstu, żeby ze mną zerwać.

– Nieprawda! – Trafił w sedno. Plac wirował wokół niej. Dzwoniło jej w uszach.

– Jesteś tak samo uparta jak ja. – Musnął dłonią jej policzek. – Według mnie po ślubie oboje ochłoniemy na tyle, że będziemy mogli spokojnie pomyśleć, co dalej.

– Szaleństwo! Nikt tak nie robi!

– To fakt. Ale sytuacja jest wyjątkowa i moim zdaniem tylko w ten sposób może nam się udać.

– To obłęd!

– W oczach większości – pewnie tak. Ale my jesteśmy inni. Więc teraz musisz zdecydować.

– Nie wystarczy, że przyznałam, że cię kocham? – Już prawie płakała. – Jesteś najwspanialszym facetem, jakiego w życiu poznałam. Na dźwięk twojego głosu uginają się pode mną nogi. Ale to nie

oznacza małżeństwa. Mówiłam ci już, zamieszkam z tobą, a teraz chcesz mnie zmusić do ślubu!

– Tak jakby. – Dotknął jej włosów. – Ale postaw się na moim miejscu. Co ty byś zrobiła?

– Ja… ja… nie wiem.

– Wiesz, po prostu nie podoba ci się odpowiedź. – Skinął głową w stronę budynku za ich plecami. – O ile pamiętam, jest tu filia urzędu stanu cywilnego i można dostać pozwolenie na ślub.

I wtedy zrozumiała.

– Zaplanowałeś to, tak? Dlatego chciałeś się tutaj spotkać. To nie był przypadek i cudowny zbieg okoliczności.

– Nie ukrywam, że przemknęło mi to przez głowę jako plan B, i chyba właśnie teraz wcielamy go w życie. – Wziął ją za łokieć i poprowadził w stronę przeszklonego foyer. – Niczym się nie przejmuj. To tylko kawałek papieru. Nie ma się czego bać.

– Ja się nie…

– Oddychaj głęboko. To wystarczy. Ja załatwię resztę.

I wtedy postradała zmysły. Zamiast zaprzeć się i uciec, poszła z nim. Dreptała obok niego, jakby nie miała własnego rozumu. Nie patrzyła na niego, nie odzywała się, ale i nie uciekała. Uległa jego oślemu uporowi.

Biuro mieściło się na pierwszym piętrze. Przestronne pomieszczenie, w którym za szklaną ścianą ciągnęły się szeregi komputerów. Krępy urzędnik rozpoznał Coopa, gdy tylko weszli, i zaprowadził do gabinetu na uboczu.

Widziała wszystko jak przez mgłę. Urzędnik poprosił ją o prawo jazdy. Coop wyjął je z jej torebki. Kiedy musiała się podpisać, wskazał jej właściwe miejsce na dokumencie. I przez cały czas głaskał ją po plecach, jakby była wystraszonym zwierzakiem.

Z dokumentami w dłoni wyprowadził ją na zewnątrz. Na placu wsunął jej palce pod brodę.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana. Co gorsze, jesteś przerażona, a ponieważ nie radzisz sobie ze strachem, musimy jak najszybciej mieć to ze sobą. Ja się wszystkim zajmę. Zaproś, kogo chcesz. Wystarczy, żebyś przyszła. Jutro. O szóstej. Do mnie.

– Jutro? – Wysoki, piskliwy głos nie należał do niej.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń do Heatha. Chyba lepiej, żeby on z tobą rozmawiał.

– Ale…

Jeszcze nigdy nie widziała takiej powagi na jego twarzy.

– Pipe, muszę wiedzieć, że wchodzisz w to na sto procent. Jestem silny i mogę walczyć z każdym, ale nie z tobą. Więc dalej to już twoja decyzja, nie będę naciskał. Doprowadziłem nas do linii boiska. Teraz piłka jest w twoich rękach.

– Ale jutro… Nie możemy tego przełożyć?

– Na kiedy? Na za rok? Za pięć lat? Kiedy będziesz gotowa?

Uciekła wzrokiem.

– No właśnie. Im dłużej zwlekasz, tym będzie trudniej.

– Ale jutro?

– Nie jestem taki twardy jak ty, skarbie. Lepiej raz na zawsze mieć to już z głowy.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Mam nadzieję, że dasz, bo obiecałem, że jeśli dzisiaj się ze mną spotkasz, nie będę cię więcej dręczył. – Pochylił głowę, a gdy ponownie ją uniósł, zobaczyła w jego oczach tyle uczuć, tyle rozpaczy, że wydawało jej się, że patrzy w lustro. – To wszystko, co mogę zrobić, Pipe – szepnął. – Ostatni krok należy do ciebie. Albo przyjdziesz… albo nie.

I tyle. Odszedł.

Annabelle była cudotwórczynią i miała liczne kontakty, więc Cooper powierzył jej organizację imprezy, najpierw jednak musiał wysłuchać wykładu.

– Małżeństwo to nie żarty, Coop. To poważna decyzja. Nie powinieneś się żenić pod wpływem impulsu, a działasz tak szybko…

I tak dalej, i tak dalej. Wiedział, jak to wygląda z jej perspektywy, ale w życiu nie zrobił nic mniej impulsywnego. Pipe zrozumie. Musi. I przyjdzie, na pewno… Bo jeśli nie… Wolał o tym nie myśleć.

Przez cały następny dzień usiłował się czymś zająć. Omijał tylko szerokim łukiem barek z alkoholem. Dziennikarze dowiedzieli się, że był w urzędzie stanu cywilnego, ale nie odpowiadał na telefony i maile. Wolał sprawdzić, czy doszedł już do siebie, więc przebiegł kilka kilometrów, wypił dzbanek kawy i znowu poszedł biegać. Pojechał do biura i gapił się w ekran komputera. Włączył kanał sportowy. Wyłączył. Próbował czytać.

Koło pierwszej zadzwonił Heath.

– Twoja była pani ochroniarz siedzi u mnie w biurze. Troszkę spięta, muszę przyznać. I bardzo głośna.

Coop zacisnął dłoń na słuchawce.

– Między innymi.

Słyszał jej krzyki w tle.

– Kretynie, nie możesz się żenić bez intercyzy! A intercyzy nie spisuje się w pięć minut!

– Wiesz, bracie, muszę przyznać jej rację – mruknął Heath.

– Jesteś wart miliony dolarów! – wrzasnęła. I do Heatha, choć nadal darła się tak, że Coop musiał odsunąć słuchawkę od ucha. – Widzisz, z czym walczę? Uzależniony od adrenaliny kretyn.

– Najwyraźniej dokładnie sobie wszystko przemyślała – ciągnął Heath. – W tych okolicznościach radzę ci szybko skontaktować się z prawnikami.

– Bo inaczej oskubię cię co do centa!

Słyszał ją doskonale nawet mimo odsuniętej słuchawki.

– Słyszałeś? – upewnił się Heath.

– Trudno nie słyszeć. Powiedz, żeby martwiła się o siebie. – Rozłączył się.

Annabelle dokonała cudu. Z tarasu zniknęły ogrodowe mebelki i stół z donicami. Tragarze wnosili krzesła i zewnętrzne grzejniki, dzięki którym gościom nie będzie straszny listopadowy chłód. Firma cateringowa zawładnęła kuchnią, a Coop uciekł na górę, z każdą chwilą bardziej zdenerwowany. Kiedy nie mógł już wytrzymać, zadzwonił do Heatha.

– Jak myślisz, przyjdzie?

– Nie mam pojęcia. Obstawiam fifty-fifty, w najlepszym układzie.

Nie to chciał usłyszeć.

O wpół do piątej wszystko było gotowe, także z formalnego punktu widzenia. Coop był wrakiem człowieka.

Powoli zaczęli schodzić się goście. Zaprosił niewiele osób, tylko tych, których Piper znała i w których towarzystwie czuła się swobodnie: Tony'ego i bramkarzy, Jadę i Karah, panią Berkovitz, która zjawiła się w towarzystwie nieśmiałego staruszka, a przedstawiła go jako swojego chłopaka Williego Mahoneya. Rozważał ściągnięcie Faizy, ale dziewczyna denerwowałaby się, wracając do Stanów. Jennifer MacLeish zjawiła się z zachwyconym Erikiem Vargasem.

Coop odciągnął ją na bok.

– Rozmawiałaś z Piper?

Jen westchnęła.

– Dobijałyśmy się do niej z Berni, ale kazała nam odejść – przy czym użyła bardziej dosadnego słowa – a telefonu nie odbiera. To nie było najrozsądniejsze posunięcie z twojej strony.

Obawiał się, że Jen ma rację, i usiłował sobie przypomnieć, dlaczego uważał, że to taki świetny pomysł.

Podszedł do niego Jonah.

– Mamy z chłopakami po nią pojechać?

Kusząca propozycja, ale przecząco pokręcił głową.

– Musi sama podjąć decyzję.

– Ryzykowne, szefie. Bardzo ryzykowne.

Jakby sam tego nie wiedział.

Wybiła szósta. Godzina prawdy. Byli już wszyscy zaproszeni goście, tylko panny młodej nie było. Oszalał, stawiając jej ultimatum. Nikt nie jest zachwycony, gdy staje pod ścianą, a Piper Dove nie znosi tego trzy razy bardziej.

Minęło kolejne pięć minut. I jeszcze dziesięć. Lada chwila będzie musiał wyjść na taras i przeżyć koszmarne upokorzenie, oznajmiając, że ślubu nie będzie.

I właśnie wtedy drzwi windy otworzyły się i nagle tu była.

Miała marsa na czole, a na sobie krótką koronkową sukienkę na jedno ramię, którą zapewne kupiła w H&M, a która przywodziła na myśl waniliowy lukier. Odgarnęła włosy z twarzy i okiełznała je wąską opaską z cyrkoniami, która uwydatniała jej kości policzkowe. Była doskonała. Cała, z wyjątkiem wielkich niebieskich oczu, w których malowało się przerażenie, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widział.

Wystarczyły trzy kroki i był u jej boku. Kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczył coś, czego nigdy sobie nawet nie wyobrażał. Coś tak nieoczekiwanego, że myślał nawet, że światło płata mu figle. Ale nie. To się działo naprawdę. W oczach Piper Dove błyszczały łzy.

Kiedy to zobaczył, i jemu zrobiło się mokro pod powiekami. Złapał ją za ręce.

– Skarbie…

Podniosła na niego wzrok. Na rzęsach zawisła pojedyncza, piękna łza.

– Boję się.

Nigdy nie kochał jej tak bardzo jak wtedy. I choć to szaleństwo, wiedział, że postępują właściwie.

– Wiem. – Pocałował kąciki jej oczu. Poczuł sól. Zrozumiał, ile ją kosztowało, że tak bardzo się odsłoniła.

– A ty? Nie boisz się? – zapytała.

– Teraz nie, ale kilka minut temu… Lepiej nie pytaj.

Jej usta zadrżały.

– Myślałeś, że nie przyjdę.

– Umierałem ze strachu.

– Nie mogłabym ci tego zrobić. Za bardzo cię kocham.

Serce nabrzmiało mu tak bardzo, że mówił ochryple.

– Właśnie widzę. I dlatego tu jesteś.

Przycisnęła dłonie do jego marynarki.

– Nie mam pojęcia, jak być żoną. Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– W sześćdziesięciu procentach.

Uśmiechnęła się słodko jak nigdy i to poruszyło go do tego stopnia, że musiał odchrząknąć, zanim był w stanie się odezwać.

– Co powiesz na taki plan? – Musnął kciukiem kącik jej ust. – Przeżyjemy najbliższe godziny, a później będziemy udawać, że żadnego ślubu nie było. Będziemy razem mieszkać i żyć jak gdyby nigdy nic. I słowo „małżeństwo” nie padnie nigdy więcej.

Rozpromieniła się.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

– Oczywiście.

– Więc dobrze.

Wziął ją za rękę.

– Udawaj, że to zły sen.

– Wcale nie taki zły. – Nie był pewien, czy mu się zdawało, czy naprawdę to powiedziała.

Prowadził ją przez salonik do drzwi na taras. Razem weszli do krainy czarów w jego miejskim ogrodzie na dachu.

Goście siedzieli na złotych krzesełkach pod białym baldachimem mieniącym się setkami malutkich żaróweczek. Kwiaty w wielkich złotych donicach pyszniły się wszystkimi kolorami jesieni: śliwkowe dalie, ciemnoczerwone róże, zielone hortensje i pomarańczowe lilie.

Kiedy stanęli w progu, wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę i rozległo się niejedno westchnienie ulgi oraz głośny gwizd uznania z piersi Jonaha. Piper uśmiechnęła się z trudem. Coop sprowadził Amber w roli niespodzianki. Pomachała do Piper i zaczęła śpiewać pięknym koloraturowym sopranem.

Splecione brązowo-jeżynowe wstążki wyznaczały prowizoryczną nawę. Cyrkonie we włosach Piper mieniły się w świetle lampek. Do tego stopnia pochłonął ją występ Amber, że nie zauważyła, kto szykował się do roli mistrza ceremonii.

– Nie! – syknęła, zaciskając palce na przedramieniu Coopa.

– Przecież ktoś musi udzielić nam ślubu – odparł szeptem.

– Ale…

Wybrzmiały ostatnie nuty pieśni. Nakrył jej dłoń swoją i razem poszli dalej, tam, gdzie Phoebe Somerville Calebow, właścicielka drużyny Star, już czekała, by udzielić im ślubu.

– Uprzedzałam cię, że wykorzystuję facetów – szepnęła Piper do męża tej nocy, gdy leżała w jego ramionach, oszołomiona i zaspokojona po seksie.

– Jak myślisz, kiedy ci się znudzę?

– Jeszcze bardzo długo nie. – Wtuliła się w niego. Nie bardzo wiedziała, jak tego dokonać, ale planowała być superżoną. – Nie mieści mi się w głowie, że wzięliśmy ślub – westchnęła.

– Wydawało mi się, że mamy o tym nie rozmawiać.

– Tylko dzisiaj. – Przewróciła się na plecy. – Skoro już upolowałam męża, mogę przestać o siebie dbać. Koniec z sukienkami, makijażem i fryzjerem…

– Do fryzjera i tak nie chodzisz – zauważył i przyciągnął ją do siebie.

– Sukienki to straszne zawracanie głowy.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy, ale nie wiem, czy nie będzie ci brakowało tych ukradkowych spojrzeń w lustro, gdy się wystroisz.

Nagle spoważniała.

– Musimy podpisać intercyzę. Albo umowę poślubną. Naprawdę, Coop! Jak na człowieka interesów jesteś kompletnie nieodpowiedzialny.

Ziewnął w odpowiedzi i położył jej dłoń na biodrze.

– Załatw to z Heathem.

– Więc tak ma wyglądać nasze małżeństwo? Nasza trójka? Ty, ja i twój agent?

– Tak to jest, jak wychodzisz za rozpuszczonego karka.

Roześmiała się, podniosła rękę i podziwiała obrączkę, którą wsunął jej na palec. Wąski pasek platyny inkrustowany brylancikami.

– Stać cię na coś większego.

– Fakt. – Pocałował jej pierś. – Ale zabiłabyś mnie za to.

Tak dobrze ją znał. Nie tylko jej gust, jeśli chodzi o biżuterię, ale także jej lęki i obawy, i wszystkie

dziwactwa. I mimo to ją kochał.

– Ja też mam dla ciebie pierścionek – oznajmiła. – Ale dostaniesz go dopiero za kilka tygodni.

Dotknął platynowej obrączki, na którą wydała lwią część swoich oszczędności.

– Już dostałem.

– Nie taki.

Gwałtownie podniósł głowę.

– Nie mów mi, że…

– Musiałam, to nie dawało mi spokoju. Po ślubie uciełam sobie pogawędkę z panią Calebow i dobiłyśmy targu. Nowy pierścień Super Bowl w zamian za zabezpieczenia systemowe, które w zimie przygotuję dla Starsów.

– Pipe, mam w nosie ten cholerny pierścień.

– Lepiej nie! – krzyknęła. – Bo muszę wyrzucić wszystkie koszulki Bearsów. Na zawsze.

Roześmiał się.

– Dobrze, że jesteś twarda.

Nie taka twarda, ale wystarczająco. Bo jeśli wychodzisz za mistrza, musisz umieć grać w najlepszej lidze.

Epilog

Jada siedziała po turecku na podłodze salonu w domu Piper i Coopa w Lincoln Park i patrzyła, jak jedenastomiesięczna Isabelle Graham i jej brat bliźniak Will wędrują od mebla do mebla jak mali pijacy. Bawili się starym różowym prosiakiem i gaworzyli do siebie w języku, który rozumieli tylko oni, przez co byli jeszcze bardziej rozkoszni. Kochała ich całym sercem.

Przypomniała sobie tamten dzień, gdy Piper dowiedziała się, że będzie miała bliźniaki. Jada była wtedy u nich, bo jej mama pojechała z Erikiem do Lansing – miała poznać jego rodziców. Jada była już na tyle duża, że mogłaby zostać sama, ale lubiła Piper i Coopa i nie robiła z tego problemu.

Piper umierała ze strachu, gdy zaszła w ciążę, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, gdy poszli na pierwsze USG. Ponieważ Jada pilnie uczyła się biologii i ponieważ bardzo ich o to prosiła, zabrali ją ze sobą. Kiedy Piper usłyszała, że będą mieli bliźnięta, oszalała. Zeskoczyła ze stołu z żelem ciągle na brzuchu i rzuciła się na Coopa.

– Jedno! – wrzasnęła. – Zgodziłam się na jedno! Dla ciebie! Miałeś się nim opiekować! O dwójce nie było mowy! Czy ty we wszystkim musisz bić rekordy?

Coop porwał ją na ręce, nie zwracając uwagi, że teraz i on upaprał się żelem, i zapewniał, że będzie najlepszą na świecie matką bliźniąt, bo taki już ma charakter. Krzyknęła wtedy, że to jego wina, bo zawsze ze wszystkimi rywalizuje, a ona jest zbyt emocjonalna, żeby mieć dwoje dzieci. Przyznał, że to akurat prawda, i zapytał, czy chce płakać. Chciała, więc dał jej zielone światła. I rzeczywiście się rozpłakała, ale na krótko, a potem zarzuciła mu ręce na szyję. Przez cały ten czas lekarz stał obok ze sprzętem do USG w ręku i patrzył na nich jak na wariatów.

Coop miał rację, twierdząc, że Piper będzie świetną matką, ale i on był wspaniałym ojcem. Oboje bardzo się zmienili w ciągu trzech lat, które minęły od ich ślubu. Coop sprzedał klub Spiral i zainicjował program ogrodów miejskich. Wyczarował je już na siedmiu działkach, na których do niedawna poniewierały się puste butelki i stare opony. Dzięki jego akcji byli członkowie gangów, seniorzy i samotne matki pielili i sadzili ramię w ramię, wszystko dla dobra lokalnej społeczności. We wrześniu miał otworzyć ośrodek szkoleniowy, dzięki któremu młodzi ludzie znajdą pracę w przemyśle spożywczym. Piper twierdziła, że pomaganie zaniedbanym dzielnicom to odpowiednie wyzwanie dla kogoś, kto lubi mierzyć się z niemożliwym.

Według Jady praca Piper była jeszcze bardziej fascynująca. Agencja Detektywistyczna Dove specjalizowała się teraz w sprawdzaniu wiarygodności pracowników i wniosków ubezpieczeniowych dla wielu firm. Mieli tyle zleceń, że Piper zatrudniała jeszcze dwie osoby. Ale nie to było najlepsze. Im więcej Jada opowiadała o dziecięcym seksbiznesie, tym bardziej Piper się złościła, aż ten temat pochłonął ją nawet bardziej niż Jadę. Teraz wykorzystywała swoją wiedzę z zakresu informatyki, żeby wsadzać alfonsów za kratki i wyszukiwać w Internecie drani, którzy polują na młode dziewczyny. Podawała się w chat roomach za czternastolatkę i otwierała fałszywe strony internetowe, na których

policja śledziła ruchy pedofilskie. Później sprawę przejmował Eric, teraz już porucznik. Piper twierdziła, że to brudna, obrzydliwa robota, ale nigdy nie czuła się równie czysta.

Jada słuchała, jak w kuchni kucharz stuka naczyniami. Dzisiaj wypadała rocznica ślubu Coopa i Piper i wydawali wielkie przyjęcie, żeby zatrzeć wrażenie po, jak mawiał Coop, „ślubie z przeceny". Ani Piper, ani Jada nie podzielały jego zdania. Według Piper był to najpiękniejszy ślub na świecie, a Jada wspominała go dobrze, bo właśnie tam jej mama odbiła Erica Jen, przyjaciółce Piper. Ale wszystko się dobrze skończyło, bo Jen poznała naprawdę fajnego faceta, a do tego zdobyła ważną nagrodę meteorologiczną. A Eric okazał się cudownym ojczymem. Jada mogła z nim o wszystkim pogadać. No i bardzo kochał mamę. Jada już właściwie wcale nie myślała o Hanku. Może to okrutne, ale cieszyła się, że zabito go w więziennej walce.

Ludzie z firmy cateringowej ustawili w holu mały stolik. Coop zatrzymał się w progu salonu. Kiedy Jada opiekowała się Willem i Isabelle, przebrali się z Piper na przyjęcie. I wygospodarowali jeszcze czas na szybki numerek, rzadki luksus, odkąd bliźnięta przyszły na świat.

Spojrzał przed siebie. Piper klęczała w czerwonej sukience, którą zapewne wyszperała na jakiejś wyprzedaży. Dzieci podbiegły do niej radośnie.

– Chodźcie, małpki – mruknęła. – Czas spać.

Podszedł do nich.

– Położę ich – zaproponował. – A ty odpocznij, zanim przyjdą goście.

– Jestem bardzo wypoczęta. – Miał nadzieję, że Jada nie widziała łobuzerskiego błysku w jej oczach. – Ja ich wezmę.

– Spokojnie, ja to zrobię.

– Nie musisz. Pogadaj z Jadą.

– Już z nią gadałem – odparł stanowczo.

Jada parsknęła śmiechem.

– Jesteście niemożliwi. I tak wiemy, że oboje zaniesiecie je do łóżka.

Spojrzał na nią.

– Biorę cię na świadka, sama słyszałaś, co mówiła Piper: ledwie wyjdą z rury, są na mojej głowie. Tak się umówiliśmy.

– I dotrzymałam słowa – wtrąciła się Piper.

– Jasne. O trzeciej nad ranem.

Piper uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, który sprawiał, że cały się rozpływał. Uśmiechem, którego nigdy nie widzieli urzędnicy miejscy i stanowi, gdy toczyła z nimi batalie o prawa nieletnich prostytutek, bo oddała tej walce serce i zapał. Najtwardsza kobieta, jaką znał. Dopóki nie przekroczyła progu ich domu.

– Idziemy spać, bąble. – Wziął Isabelle, Piper schyliła się po Willa.

Nieco później stał między dwoma łóżeczkami i patrzył, jak Piper całuje dzieci na dobranoc. Szczęściarz z niego. Miał wspaniałych przyjaciół, pracę, w której się spełniał, dzieci jak z marzeń i żonę, którą uwielbiał. Rozległ się dzwonek do drzwi. Piper wzięła go za rękę. Razem poszli powitać gości.

To dobry wieczór w życiu Coopera Grahama. Ten i każdy inny.

Podziękowania

Jakimi słowami podziękować fantastycznemu zespołowi w wydawnictwie William Morrow and Avon Books za ciężką pracę i przyjaźnie, które zrodziły się na przestrzeni lat? Dziękuję Carrie Feron, wieloletniej redaktorce i doradczyni; Pameli Spengler-Jaffee, która ma na mnie oko, jeśli akurat nie upijam się jej szampanem pod prysznicem (to długa historia); Liate Stehlik, cudownej kobiecie, jaką chcę być, gdy dorosnę; Tavii Kowalchuk, która ma mnie w sercu, ilekroć wyrusza na wędrówkę. Dziękuję niezastąpionej Lynn Grady, superskutecznym Nicole Fischer i Leorze Bernstein, a także entuzjastycznej ekipie sprzedażowej z Harpera: Brianowi Groganowi, Dougowi Jonesowi, Rachel Levenberg, Carli Parker, Dale'owi Schmidtowi i Donnie Waitkus. Doceniam także wsparcie Shawna Nichollsa i Angeli Craft oraz sieciowy marketing w wykonaniu Tobly'ego McSmitha. Virginio Stanley, kibicujesz mi, odkąd sięgam pamięcią. Elsie Lyons, dzięki za wspaniałą okładkę. Shelly Perron, jesteś nie tylko cudowną czytelniczką i recenzentką, ale też ucieleśnieniem cierpliwości.

Jeśli chodzi o domowe pielesze, gdyby nie moja cudowna asystentka Sharon Mitchell, przerwy między książkami byłyby o wiele dłuższe. Mój mąż Bill Phillips ma wiele talentów, czemu dał wyraz, wymyślając tytuł tej książki. Moja siostra Lydia to moja pokrewna dusza. Ze Stevenem Axelrodem i Lori Antonson z Axelrod Agency pracuję od tak dawna, że traktuję ich jak rodzinę.

Los dał mi wspaniałych przyjaciół. Dzięki nim się śmieję, myślę, cieszę, dzięki nim znajduję inspiracje. Wiele zawdzięczam zwłaszcza Nicki Anderson, Robyn Carr, Jennifer Greene, Kristin Hannah, Jayne Ann Krentz, Lindsay Longford, Dawnowi Struxnessowi, Suzette Van, Julie Wachowski i Margaret Watson. Andy Kamm i Allison Anderson, dziękuję za odpowiedzi na moje pytania. A ty Julesie, czuwasz nade mną hen w Australii.

Wydawcom z całego świata dziękuję, że powitali mnie z otwartymi ramionami. Szczególne podziękowania dla kochanej Marisy Tonnezer z wydawnictwa Ediciones B w Barcelonie, a także dla wyjątkowego zespołu w Blanvalet w Monachium, zwłaszcza dla Nicoli Bartels, Berit Bohm, Anny-Lisy Hollerbach i Sebastiana Rothfussa. I dla Angeli Spizig, mojego niemieckiego głosu.

Czytelnicy i blogerzy, dziękuję, że dzięki wam moje książki trafiają do coraz większej liczby osób. Kochani, byłam zachwycona, gdy prosiliście o kolejną książkę o Chicago Stars. (Ci z was, którzy nie znają historii Heatha i Annabelle, znajdą ją w Match Me If You Can*, której tytuł także wymyślił mój mąż, o czym mi ciągle przypomina).*

Dziękuję wszystkim znajomym z Facebooka, Twittera i Instagramu. Listę moich książek oraz chronologiczną kolejność powieści o zawodnikach Chicago Stars znajdziecie na mojej stronie, susanelizabethphillips.com. Tam także możecie zamówić newsletter.

Mam nadzieję, że mieliście przyjemność z czytania, kochani!

Susan Elizabeth Phillips

Table of Contents

Tytułowa
Redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Epilog
Podziękowania